

# Fioretti Phillipa

## Włoska tajemnica

*Ona – piękna właścicielka antykwariatu, miłośniczka stylu vintage oraz aromatycznych konfitur robionych według dawnych receptur.*

*On – absolwent akademii sztuk pięknych, pełen sprzeczności seksowny wrażliwiec zaangażowany przez sycylijskiego mafiosa, by odzyskał zaginione dzieła sztuki.*

*Połączyła ich tajemnica kradzieży bezcennej erotycznej księgi, podróż do Rzymu oraz namiętny romans.*

## **ROZDZIAŁ 1**

Lily przerzucała stęchłe karty książki, przeklinając pod nosem larwy muchy tse-tse. Z hukiem odłożyła tom na stos podobnych dzieł. Jak przez jedną transakcję zaprzepaścić całoroczny dochód? Powierzyć Robbiemu kartę kredytową i wysłać go do Afryki. Koszt wykupienia całego składu księgarni pana V. P. Sindraha, handlującego używanymi książkami na tylnych uliczkach Nairobi, był stanowczo za wysoki. Robbie przywlókł to wszystko ze sobą w nadziei, że wśród śmieci, które zazwyczaj stanowiły książki z drugiej ręki, natrafią na jakąś perełkę. Lily zostało już tylko kilka pudeł, ale poddała się i poszła spać, a Robbie niech sobie spędzi noc w budzie Otta. A jeśli zmarznie? Cóż, zawsze może się przykryć starymi, pokrytymi pleśnią czytadłami.

Czerwone dachy i baseny majaczyły w oddali. William zerknął na nie z góry, po czym wrócił do przeglądania

notatek, czując w prawym uchu narastający powoli ból. Schwartzman i Trevennen, antykwariusze, dzielnica Paddington w Sydney. Gdyby zdawali sobie sprawę z tego, co zakupili, i z niebezpieczeństwa, w jakim się znaleźli, nie rozgłaszałiby swojego adresu tak beztrąsko.

Samolot wylądował, potrząsając pasażerami i wydając ogłuszający ryk. Kilka osób zaklaskało, jakby lot z Nairobi do Sydney był cudem nadprzyrodzonym. Klepiąc się w ucho, poczekał, aż większość podróżnych opuści kabinę. Przed bramką przylotów kłębił się tłum. Wzrok ludzi poszukujących swoich bliskich prześlizgiwał się po jego twarzy. Okrzyki powitania i śmiech rozbrzmiewały wokół, rodziny ścisnęły się, pary całowały namiętnie, a dzieci popychano w stronę stęsknionych dziadków. William sprawdził komórkę i skierował się ku postojowi taksówek.

Robbie patrzył, jak pies obwąchuje ostatnie z pudeł. Przynajmniej jedna istota cieszyła się z jego łupów. Z westchnieniem otworzył kolejne pudło i zaczął przeszukiwać jego zakurzoną zawartość. Nagle uwagę Robbiego przyciągnął tom formatu folio owinięty szarym papierem. Odpakował go ostrożnie, strzepując kurz z okładki. Pod palcami czuł stary, gruby pergamin. Francuski tekst wydrukowany był pismem, jakie Robbie widywał jedynie w dziełach z osiemnastego wieku.

Znużenie zniknęło jak ręką odjął.

Obrócił się do laptopa i wstukał w wyszukiwarce tytuł książki. Następnie z powrotem opakował dzieło i delikatnie odłożył je na bok, po czym rzucił się do

przeszukiwania pozostałych pudeł. Nie natrafił już jednak na nic godnego uwagi.

W ostrym świetle garażowej jarzeniówki Robbie ponownie sprawdził ekran komputera, po czym wrócił do stronic dzieła. Nagie nimfy, falliczne rzeźby, bachantki, jurni satyrowie i obywatele starożytnego Rzymu w trakcie nocy poślubnych spoglądali na niego z kart księgi.

Ale to nie zawartość dzieła zaszokowała Robbiego, lecz świadomość, że właśnie ono, leżące pośrodku zatechłego garażu, należy do najcenniejszych ksiązek na świecie, a na dodatek jest jego własnością.

Jego i Lily, rzecz jasna.

Robbie wszedł do środka. Lily nadal spała, miał więc trochę czasu, by zastanowić się, co zrobić z książką. Usiadł przy biurku w antykwariacie i zaczął obracać w palcach długopis.

Dzwonek telefonu tak go zaskoczył, że długopis wyleciał mu z dłoni.

- Chciałbym rozmawiać z Robertem Schwartzmanem.

- Przy telefonie.

- Nazywam się William Isyanov. Jestem pracownikiem londyńskiej firmy Weston, działającej w branży sztuk pięknych.

Robbie zdjął nogi z biurka i chwycił za długopis. Sztuki piękne? Londyn? To mogło być coś dużego - klient przez duże „K”! Nie miał co prawda pojęcia, które z ksiązek w jego zbiorach mogłyby zainteresować tak zacną organizację...

- Panie Schwartzman?

- Tak, tak, słucham. Czym mogę panu służyć? - spytał z lekkim drzeniem w głosie.  
- Jestem na tropie pewnej książki i sądzę, że pan może wiedzieć, gdzie jej szukać. Jej autorem jest pułkownik Colonel César Fanin, data wydania to rok 1816, a tytuł: *Musée royal de Naples. Peintures, bronzes et statues erotiques du cabinet secret, avec leur explication*. Zawiera oryginalne litografie erotycznych dzieł sztuki odkrytych podczas pierwszych wykopalisk w Pompejach.

Robbie zawahał się. Marszcząc brwi, popatrzył na Otta. Pies odwzajemnił spojrzenie, nie mrugnawszy okiem. Otto ubóstwiał Robbiego tak, jak małe dziecko uwielbia tatę, który często przebywa gdzieś daleko.

- Tak, znam tę księgę.

Kupiec, tak szybko! Niewiarygodne. Zaczął przekopywać bałagan na biurku: buteleczki lakieru do paznokci, przepisy, recenzje książek powycinane z gazet, rachunki, faktury, kartki z przypomnieniem, co jeszcze trzeba zrobić. Lily musi jakoś opanować ten chaos. Przerzucając na drugi koniec biurka przepis na ostry sos śliwkowy, odzyskał wreszcie długopis i czekał na odpowiedź.

- Działam w imieniu klienta, któremu skradziono owo dzieło.

Robbie o mało nie rzucił słuchawką. Zakrył ją dłonią i zaklął.

Otto podniósł łeb i zerknął na drzwi. Jakiś intruz?

- Liczę na to, że pomoże mi pan rozwiać kilka wątpliwości. Czy mógłby się pan jutro ze mną spotkać?

Robbie z wściekłością popatrzył na telefon. Nie, nie mógłby. Żaden termin nie będzie odpowiedni. Książka należała już do niego!

- Przyjechałby pan tu? Hmm... no tak. Jutro? Nie, lepiej we wtorek. Powinienem być w domu przez cały dzień.

- Świetnie. Zatem do wtorku.

William odłożył telefon, wyciągnął się w wannie i przekręcił stopą kurek z ciepłą wodą. Czymś musiał rekompensować sobie włóczenie się po świecie w poszukiwaniu skradzionych dzieł sztuki, a kąpiele w hotelach były doskonałe w tej sytuacji. W mieszkaniu w Londynie miał tylko prysznic, przywykł więc oceniać hotele po rozmiarze ich wanien. W związku z wysokim wzrostem - ponad metr osiemdziesiąt - liczyła się dla niego nie tylko głębokość, ale i długość wanny, a ten hotel był pod tym względem bardziej niż zadowalający.

Nalał wody aż pod brodę. Zamknął oczy i pozwolił rękom unosić się spokojnie. Może we wtorek poleci do domu, jeśli wszystko pójdzie tak, jak trzeba. Był pewien, że Schwartzman ma książkę. Teraz trzeba ją tylko od niego wydostać... zanim zrobi to ktoś inny.

Robbie nie odrywał ciężkiego spojrzenia od psa, więc ten położył głowę na legowisku, tak nisko, jak tylko potrafił. Czuł, że jakoś zawiódł pana, choć nie miał pojęcia w jaki sposób. Coś musiał jednak przeskrobać, skoro ukochany pan tak groźnie na niego patrzył.

- Co robić, Otto? - mruczał Robbie pod nosem. Wszedł zza biurka i przechadzał się pod wielkim, frontowym oknem. Lily ułożyła na wystawie stare książki

O pielęgnacji urody i katalogi mody kobiecej. Pomędzy nimi porozkładane były szale i flakoniki perfum, a na ścianie widniał plakat przedstawiający ognistą Jane Rus-sel na sianie. Co parę tygodni Lily zmieniała tematykę wystawy, nazywając to chwytem marketingowym.

Robbie wrócił do biurka, uderzył w nie dłonią i podszedł z powrotem do witryny. Nie odda książki, dopóki mu za nią nie zapłacą, i to tyle, ile się należy. A należało się, jak zdołał się zorientować, grubo ponad dwadzieścia milionów. Nic dziwnego, że właściciel próbował odzyskać dzieło...

Nie, nie, co za bzdura. Przecież teraz to on był właścicielem!

William zatrzymał się przed wejściem do antykwariatu Schwartzmana i Trevennen. Nie spodziewali się go dzisiaj, ale dyskretne rozpoznanie terenu przed spotkaniem z właścicielami nie mogło zaszkodzić. Przeszedł przez ulicę i się rozejrzał. Księgarnia przylegała do sklepu z bielizną. Drzwi obydwu były zamknięte. William przyjrzał się ubraniom na wystawie: nie były to zwyczajne figi i biustonosze. Zaintrygowała go też nazwa sklepu - Świat Suzy Wong. Witryna przyciągała bladoniebieskimi ciuszkami zdobnymi w kokardki, koraliki, falbanki i koronkę. Bielizna była bardzo skąpa  
1 William z dużym wysiłkiem próbował wyobrazić sobie, gdzie się co zakłada. Z powrotem przeszedł przez ulicę. W dole widać było włoską kawiarnię i piekarnię. Patrząc w drugą stronę, można było dostrzec ruchliwą Oxford Street,

zakorkowaną już wczesnowieczornym sznurem samochodów. Z francuskiej ciastkarni na rogu wysypywał się właśnie tłum wielbicieli słodkości.

Zza budynku wyszedł nagle starannie ostrzyżony sznaucer, ciągnąc na smyczy swoją właścicielkę, młodą kobietę, której jasne włosy podskakiwały na plecach, gdy truchtała za psem. Miała na sobie bluzkę z odkrytymi plecami i wydawało się, że śmieje się z pupilem, który zerkał na nią z rozdziawionym pyskiem, jak gdyby razem z nią cieszył się jakimś żartem.

Zawahała się przez chwilę, ale potem także Williama obdarzyła uśmiechem. Nie miał pojęcia, jaki dowcip rozbawił ją i psa, ale ich radość nagle objęła i jego, aż zaparło mu dech w piersi. Skinął głową i odwzajemnił uśmiech. Idąc przeciwną stroną ulicy i patrząc prosto przed siebie, minęła miejsce, w którym stał. Potem obejrzała się na niego przez ramię i zniknęła w drzwiach księgarni Schwartzmana i Trevennen.

Otto wbiegł po schodach, a za nim podążała Lily, kuszona aromatem czosnku podsmażanego z kminkiem i kolendrą. Robbie potrafił ugotować tylko jedną potrawę, ale za to robił to po mistrzowsku. Konsekwentnie odmawiał wzbogacenia swojego repertuaru, byle tylko nie stracić *image u* kucharza idealnego.

Innymi słowy, wolałaby, żeby gotował częściej. Lily zdjęła pokrywkę z garnka i przyjrzała się barwie dania, gęstego i oleistego, i mięsu, które odchodziło już od kości.

- Robercie Schwartzmanie, geniusz z pana!



Odłożył gazetę i wszedł za nią do kuchni.

- A jak okażesz geniuszowi uznanie?

- Poprzez degustację jego dzieła? - odpowiedziała pytaniem, nalewając sobie wody do szklanki. Przytulił się do niej.

- Są inne sprawdzone metody... Chodź do sypialni, to ci je zaprezentuję - zaproponował Robbie, dając jej klapsa w pupę. Wziął ją za rękę i poprowadził przez salon do sypialni, gdzie rozebrał się i położył, klepiąc materac obok siebie.

Lily kusiło, żeby zerknąć przez okno balkonowe, czy nieznajomy mężczyzna nadal tam jest. Czowała się nieswojo na myśl, że może stoi na chodniku, podczas gdy ona zamierza zdjąć ubranie. Wpadły jej w oko wysokie kości policzkowe i ten jego nonszalancki uśmiech.

Robbie mocniej klepnął w łóżko, więc odwróciła się do niego, lecz zaraz jej wzrok powędrował z powrotem za okno. Wtedy, przed sklepem, mężczyzna uśmiechnął się do niej tak, jak gdyby mieli wspólny sekret, który znali tylko oni dwoje. Nic dziwnego, że obejrzała się jeszcze za siebie...

- No, chodź, póki jeszcze jesteś spocona...

- Curry się nie przypali?

- Nie, wyłączyłem - zapewnił, muskając palcami jej gładkie ciało. Całował jej szyję i płatki uszu, zsuwając dłoń coraz niżej po brzuchu.

Wbiła wzrok w sufit, podążając oczami za pęknięciem meandrującym w stronę łazienki.

Nawet jeśli mężczyzna nadal tam stał, co miałyby zrobić? Pomachać mu?

- Na pewno się już ugotowało?

Robbie rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie.

- Zamierzasz się do mnie przyłączyć, kobieto, czy będziesz tak leżeć i rozważać *menu*<sup>7</sup>.

Kiedy już jakaś myśl zagnieździła się w umyśle Lily, nie mogła się jej pozbyć, dopóki jej nie przeanalizowała na wszystkie strony. Ale to nie wizja obiadu nie chciała jej opuścić.

Wstyd jej było, że myśli wciąż uciekały jej do człowieka z ulicy. Nie gapił się na jej piersi ani nie szczyrzył się do niej jak drapieżnik obserwujący ofiarę.

Zwyczajnie się do niej uśmiechnął.

Potrząsnęła głową, westchnęła i obróciła się do Robbiego. Objęła go, wprawiając w osłupienie delikatnością swego gestu.

Lily ogryzła kostki z mięsa i szukała na talerzu kąsków, które jeszcze mogłaby zjeść.

Robbie nalał im jeszcze po kieliszku verdelho i wygodnie się rozsiadł. On gotował, więc Lily pozmywa. To był uczciwy układ, więc mógł się teraz spokojnie zrelaksować z lampką wina i sobotnią prasą. Lily stała przy zlewie, woda parzyła jej dłonie, a myśli natrętnie wracały do księgi.

- Jak trafiła do tego pudła? Co o tym myślisz?

Nie usłyszała odpowiedzi. W maleńkiej kuchni nie zmieścił się nawet niewielki stolik, więc postawili okrągły stół w salonie, zaraz przy drzwiach kuchennych. Lily szorowała garnek po curry.

- Robbie!?! - podniosła głos.

Zaczytał się w artykule o krachu na giełdzie i nie zwracał na nią uwagi. Stała w drzwiach.

- Co o tym sądzisz?

- Myślę, że przy odrobinie szczęścia ludzie niedługo zaczną inwestować w białe kruki zamiast topić pieniądze w metalach szlachetnych - odparł, odkładając gazetę.

- Nie, chodzi mi o tę książkę z Muzeum Królewskiego w Neapolu. Co za znalezisko! Powinniśmy kogoś o tym powiadomić. W końcu na całym świecie istnieją tylko cztery egzemplarze, więc...

- Nikogo jeszcze nie zawiadamiamy. Muszę to najpierw przemyśleć i zrobić rozeznanie co do potencjalnej ceny rynkowej. Na razie siedzimy cicho.

Lily tłuła się w kuchni, zeskrobując jedzenie z talerzy i wyrzucając resztki.

- To przecież bezcenna rzecz. Naprawdę uważam, że powinniśmy dokonać darowizny na rzecz muzeum czy coś w tym stylu... Wiesz, sytuacja trochę nas przerasta!

Robbie z hukiem odłożył gazetę na stół i spojrzał na dziewczynę, jakby nagle wyrosło jej siedem głów.

- Nikomu niczego nie będziemy ofiarowywać. Czyś ty zwariowała? Księga należy teraz do nas i możemy z nią zrobić, co nam się żywnie podoba! A mi nie uśmiecha się bycie wielkodusznym dobroczyńcą, który przyjdzie i powie: „Proszę, to dla państwa. My wcale nie potrzebujemy tego bezcennego dzieła...”.

Odeszła od zlewu, kapiąc pianą z gumowych rękawic.

- Tak, ale...

- Tak, ale nie! Sprzedamy je. Kupca znajdziemy dyskretnie. Sebastian rozpuści wici i będziemy czekać.

Znów wziął do rąk gazetę.

- A wtedy kupisz sobie tyle sukienek z cekinami w stylu *vintage*, ile zapragniesz. Nim to jednak nastąpi, przestań obciążać kartę kredytową.

Lily wróciła do mycia naczyń.

- Ty kupiłeś tę cholerną plazmę na ścianę, choć wiedziałeś, że jej nie chcę.

- Ale ile sukienek z lat trzydziestych można zgromadzić w jednej szafie?

Miał rację. Oboje ją mieli.

Na tyłach obszernego, podłużnego gabinetu, naprzeciw ciężkich drzwi, stało biurko zavalone papierami, książkami, kubkami po kawie i teczkami. Za biurkiem siedziała dziewczyna, którą widział poprzedniego dnia. Była ubrana w obcisłą szarą sukienkę przypominającą tradycyjny strój chiński, a jej jasne włosy o miodowym odcieniu spięte były wysoko. Optymistycznie przytrzymała je tylko jedna klamra, mająca uchronić je przed nieładem. Obrzuciła go spojrzeniem, dostrzegając jego obecność, lecz wyraźnie nie miała ochoty na nawiązywanie kontaktu. Przynajmniej nie okazywała wrogości -to dużo jak na początek.

Zaczął przechadzać się po księgarni, odnotowując szczegóły oświetlenia, fakturę ścian i długość pomieszczenia. Zerknął na kobietę, lecz jej wzrok utkwiony był w monitorze. Gdy pochylała się nad komputerem, zauważył mimochodem, jak zgrabne są jej ramiona.

Mężczyzna przechadzał się po dziale z mapami, a ona czuła narastający ucisk w klatce piersiowej. Rozpoznała go - takiej twarzy nie zapomina się łatwo. Uśmiechnęła się wtedy do niego, ale wcale nie na znak zaproszenia. Robbie zawsze upominał ją, żeby nie głaskała bezdomnych kotów, bo szły później za nią, prosząc o więcej. Miała nadzieję, że do księgarni przywiódł go zbieg okoliczności, a nie zainteresowanie jej osobą.

Podniosła wzrok, lecz wtedy on odwrócił swój. Ponownie spojrzała na monitor. Jego oczy natychmiast z powrotem ją odnalazły. Spróbowała podejrzeć go przez zasłonę włosów i przyłapała go na tym, że nadal na nią patrzy.

- Mogę w czymś pomóc? - odezwała się wreszcie. Musiała utrzymać profesjonalny dystans do klienta, jakiegokolwiek były jego zamiary. Jeśli dobrze pójdzie, okaże się, że mężczyzna chce wydać mnóstwo pieniędzy na książki.

Podszedł do biurka i wyciągnął rękę.

- Nazywam się William Isyanov. Czy zastałem Roberta Schwartzmana?

Sądząc po wyglądzie, mógł być kolejnym szalonym artystą liczącym na przestrzeń wystawową dla swoich najnowszych arcydzieł. Błada cera, podniszczona koszula i wełniana kamizelka - przypuszczalnie był malarzem. Nie rzeźbiarzem, zdecydowanie nie, za mało kipiącego testosteronu. A może fotograf? Nie, też nie. Stara koszula i kamizelka niosły ze sobą powiew romantycznej melancholii - gołej, drewnianej podłogi w potężnej wiktoriańskiej willi, pąsowych aksamitnych zasłon i nagich kobiet. Pewnie recytuje im poezję

Puszkina podczas malowania ich ślicznych, bujnych pośladków.

Mógłby się też okazać rytownikiem wiernym dawnym tradycjom. Płuca zniszczone oparami kwasów to dowód jego poświęcenia dla pracy... Albo jest litografem! To nazwisko, Isyanov, wskazuje na kogoś, kto bada swoje rosyjskie korzenie, przeszukując zapewne zbiory plakatów ukazujących dorodne kobiety o dziarskim spojrzeniu, które w dzień przenoszą stalowe dźwigary, a nocą obsługują swych towarzyszy.

Odgarnęła pasmo włosów i zamrugła. Nie wyciągnęła dłoni w odpowiedzi na jego gest.

- Nie, jeszcze go nie ma. Musi się pan umówić na spotkanie. - Kilka kliknięć i na monitorze wyświetlił się ich terminarz.

- Spodziewa się mnie dzisiaj. Mówiłem mu, że wpadnę, kiedy tylko uda mi się wyrwać.

Lily zmarszczyła brwi i pogrzebała w stercie papierów, po czym znów wbiła wzrok w ekran komputera.

- Nie wspomniał mi o tym, drań - wymamrotała pod nosem.

- Wobec tego zaczekam... Przepraszam, nie dosłyszałem pani imienia.

Mówił tenorem z gładkim akcentem prezentera BBC. Nic nie zdradzało jego pochodzenia.

Na pewno pięknie śpiewa - snuła przypuszczenia Lily - a jego głos niesie się echem po Wołdze, gdy woła do rybaków w swych rodzinnych stronach.

- Lily Trevennen.

Podniosła się zza biurka i w tej samej chwili zawadziła ręką o pusty kubek po kawie.

Kubek przewrócił

się, a ona, próbując go ratować, zrzuciła teczkę, która z hukiem spadła na podłogę. Stawiając kubek, zwróciła się do mężczyzny:

- Panie Isyanov, może wyjawi mi pan cel swojej wizyty? Być może lepiej będzie, jeśli przyjdzie pan kiedy indziej.

- Proszę mówić mi po imieniu. Lily skinęła głową.

- Dobrze, zatem... Williamie, co cię tu sprowadza? Isyanov przyjrzał się jej badawczo ciemnymi oczami

i odparł:

- Chyba Robert sam powinien ci to wyjaśnić. Ach tak, więc taki z ciebie ważniak. Zbyt światły dla

marnej asystentki. Zamrugła szybko.

- Panie Isyanov. Nic w tym antykwariacie nie dzieje się bez mojej wiedzy, absolutnie nic. Robert i ja wspólnie stoimy za sterami firmy, rozumie pan? Jeśli ma pan do niego interes związany z mapami lub książkami, to ma pan interes również do mnie.

Arogancki dupek silący się na elegancję i szyk. Czy nie zdawał sobie sprawy z tego, że takich jak on, marzących o sukcesie pozerów, było na pęczki? Jeżeli chciał dotrzeć do Robbiego, musiał najpierw dogadać się z nią, a jeśli w ciągu najbliższych trzech minut nie wyciągnie skądś kilogramowego pudła wykwinnych czekoladek, to nie ma szans na dotarcie dokądkolwiek. Poza tym poczuła się nieswojo w obcisłej sukience - mógłby już przestać lustrować ją wzrokiem.

Chyba że się myliła. Może przybysz rzeczywiście musiał się spotkać z Robbiem w celu, którego jej partner nie zdążył jej jeszcze wyjawić.

- Oczywiście, jeśli przychodzi pan w sprawie osobistej ...

Przerwał jej dzwonek telefonu. Odebrała, automatycznie stając na baczność. Włosy uwolniły się spod klamry, którą uprzednio je spięła, i teraz sprawiały wrażenie bardziej buduarowe niż profesjonalne. Lepiej wyglądałaby w krótkiej fryzurze, prostej i surowej, budzącej szacunek. Do tego kostium od Armaniego, a nie jakieś śmieszne chińskie wdzianko przypominające piżamę, pasujące niestety chwilowo do jej włosów, postrzępionych i w nieładzie.

- Tak? - warknęła do telefonu. - Tak, oddzwonię.

Panie Isyanov, z tymi wysokimi kośćmi policzkowymi i obsesją tajemniczości, pewnie dobrze się pan bawi? Usiadł, nie czekając na zaproszenie. Zajął krzesło naprzeciw niej, założył nogę na nogę i czekał, aż i ona zajmie swoje miejsce.

- Lily... - zaczął.

Cóż za protekcjonalny ton.

- Lily, chciałbym dowiedzieć się czegoś na temat... Powiodła wzrokiem po ścianach wypełnionych oprawionymi w ramy starymi mapami i drukami.

- Nie użyczamy przestrzeni na wystawy tymczasowe, jeśli o to chcesz zapytać.

- W porządku, rozumiem - powiedział, tłumiąc uśmiech. - Staram się zbadać pochodzenie pewnego dzieła, które w tej chwili jest w waszym posiadaniu.

Lily przez moment wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, po czym zreflektowała się i odparła ostro:

- Sugerujesz, że...



- Pracuję dla firmy Weston, zajmujemy się ochroną i odzyskiwaniem dzieł sztuki. Proszę, oto moja wizytówka. - Wręczył jej kartonik, a kiedy po niego sięgała, ponownie potrafiła kubek i wizytówka wypadła jej z ręki. Podniosła ją szybko, tym razem ignorując kubek.

- Londyn? - spytała, patrząc mu w oczy. Przebyłeś taki szmat drogi?

Wzruszył ramionami.

- Jesteśmy znani ze staranności, z jaką sprawdzamy pochodzenie każdego dzieła, które mamy w sprzedaży -zapewniła Lily, stukając długopisem w blat i czekając, aż jej rozmówca wreszcie przejdzie do sedna. - Jeśli o to ci chodzi.

- Wcale w to nie wątpię. Niemniej jednak mamy podstawy przypuszczać, że ta książka nie opuściła Włoch legalnie.

Lily przestała bawić się długopisem i odłożyła go na biurko, skąd natychmiast stoczył się na podłogę. Nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Wpatrywała się w mężczyznę.

- I ty chcesz ją odzyskać, tak?

- Staram się ustalić pewne fakty.

- Czyli jesteś kimś w rodzaju prywatnego detektywa? - dopytywała, odchylając się w fotelu. No, na to by nie wpadła.

- Coś w tym guście, zgadza się. Firma Weston zajmuje się wszystkim, co jest związane ze sztuką: wyceną rynkową, zarządzaniem kolekcjami...

- A ty jesteś ich mięśniakiem? - W ostatniej chwili stłumiła wybuch śmiechu. - Rety, nigdy nie miałam do czynienia z kimś takim.

- Ma pani dużo szczęścia.

- Proszę, mów mi po imieniu. Nosisz przy sobie broń?

Wychyliła się nieco do przodu, wstrzymując oddech w oczekiwaniu na odpowiedź, ale w tej chwili do sklepu wkroczył Robbie.

William patrzył, jak właściciel zmierza w stronę biurka, mija kolejne regały, a jego ciało zdradza wszystko: ma ją, ale chce zatrzymać dla siebie. William nie odgadł tylko, ile wie Lily.

- A, pan Isyanov. Nie spodziewałem się pana tak wcześnie.

Robbie przyniósł sobie krzesło z magazynu, ale wyglądał, jakby nie mógł się zdecydować, czy usiąść, czy nie.

- Yyy... może napije się pan kawy? - spytał i nie czekając na odpowiedź, spiesznie udał się z powrotem do magazynu. Lily przeprosiła gościa i poszła za Robbiem.

- Natychmiast tam idź - syknęła. - Ja zajmę się kawą.

Robbie niezgrabnie wyciągał filiżanki i kawę rozpuszczalną, rzucając nerwowe spojrzenia na drzwi, za którymi siedział Isyanov. Lily zmarszczyła brwi i popchnęła go przez próg.

Przybysz w tym czasie nie ruszył się z krzesła. Kiedy za chwilę przyniosła trzy espresso, stwierdziła z niezadowoleniem, że Robbie zajął jej miejsce, zyskując fortecę, którą stanowiło biurko. Lily nie miała więc wyjścia i musiała usiąść dokładnie naprzeciw

Isyanova. Żałowała, że wybrała na ten dzień tak obcisły strój. Postanowiła, że wieczorem sukienka trafi do śmieci. Trzeba było w ogóle jej nie kupować. Zainspirowała ją miłość do chińskich potraw, ale przecież już dawno porzuciła tę fascynację.

- A więc, panie Isyanov - zaczął Robbie. - W czym moglibyśmy panu pomóc?

- Proszę mówić mi po imieniu: William. -Williamie... dobrze więc... - spróbował znów Robbie, starając się usiąść wygodniej. - Williamie, nie mam... to znaczy, nie mamy - poprawił się, kiwając głową w kierunku Lily - doświadczenia w kontaktach z prywatnymi detektywami i nie znamy obowiązujących procedur.

- Naturalnie, firma Weston...

- Chodzi wam o książkę Fanina, tak? - przerwał mu Robbie, ruszając nerwowo stopą.

Lily spojrzała na nogę partnera, radząc mu w myślach, żeby się uspokoił. Dobra, gość, który ich odwiedził, faktycznie wprowadzał atmosferę pewnej grozy, ale nie trzeba było od razu sikać ze strachu.

Patrzyła na Williama z niejaką fascynacją, kiedy z kolei on obserwował Robbiego.

Przybysz miał ciemnoniebieskie oczy, a czarne włosy okalające twarz sprawiały, że jego skóra wydawała się bledsza, niż była w rzeczywistości. Zwróciła uwagę na gęste rzęsy i leciutki zarost, widoczny, chociaż było jeszcze wcześniej.

Odwrócił się do niej i zapatrzył na nią - przez chwilę wytrzymała skupiony na sobie wzrok. Zapowiada się niezła zabawa, zupełnie jak w filmach. Miała nadzieję, że wyraz jej twarzy nie zdradza niepokoju. Bycie

maglowaną przez przystojnego śledczego może okazać się miłą odmianą po kontaktach z handlarzami i kolekcjonerami książek, którzy przeważnie byli wiecznie spiętymi obsesjonatami. Mężczyzna siedzący naprzeciw niej zdawał się mistrzem spokoju i opanowania.

Ciekawe, jak został prywatnym detektywem. Zwolnili go z policji za jakąś akcję, o której woli nie mówić? Ekscytujące! A może wykopali go z tajnych służb za uwodzenie agentek? I pistolet... Nikt w Australii nie chodził uzbrojony, z wyjątkiem farmerów albo wariatów. Pochyliła się w jego stronę, zapominając na chwilę o celu jego wizyty.

- Prywatny detektyw... Co cię skłoniło do podjęcia takiej pracy, Williamie? Studia? Tradycje rodzinne?

- Nie jestem detektywem.

Zanim zdążyła zadać kolejne pytanie, Robbie wyciągnął komórkę.

- Nie chciałbym być niegrzeczny, ale spieszę się na następne spotkanie, więc gdybyśmy mogli już przejść do rzeczy...

Trzy filiżanki kawy stały nietknięte na biurku.

- Proszę pokazać mi księgę i całą związaną z nią dokumentację.

Robbie oparł się w fotelu i spojrzał na mężczyznę wzrokiem pełnym nieufności.

- Tu jej pan nie znajdzie.

Isyanov przyglądał się Lily: jej twarz wyrażała zdumienie.

- Panie Schwartzman, na razie jedynie się rozglądam. Nasz klient pragnie odzyskać książkę bez zbędnego rozgłosu. Moim obowiązkiem jest ustalenie, czy

istotnie jest pan w posiadaniu zaginionego przedmiotu. Jeśli okaże się, że egzemplarz znajdujący się w pana rękach to inne dzieło, nie będę stwarzał najmniejszych problemów. Jeżeli dokumentacja jest w porządku, to również obejdzie się bez trudności. Muszę jednak obejrzeć zarówno dzieło, jak i dokumenty.

- Rozumiem - rzucił Robbie krótko. - Odezwę się, a teraz... Gdzie moje kluczyki? Lily, odprowadź pana Isyanova.

Dziewczyna ze zdumieniem patrzyła, jak Robbie pędzi na górę, Isyanov z kolei obserwował ją.

- Proszę mu wybaczyć. Na ogół nie bywa nieuprzejmy.

Wzruszył ramionami.

- Nadmiar pytań potrafi wstrząsnąć człowiekiem. Powiesz mi, gdzie trzyma książkę? Już chciała wyznać, że obiekt poszukiwań znajduje się na górze, pod łóżkiem, ale skoro Robbie nie zamierzał udzielić informacji, to i ona nie powinna tego czynić za jego plecami. Poprowadziła Isyanova do wyjścia. Najwyraźniej nie zamierzał zbyt mocno na nią naciskać.

Stał tuż przy niej, gdy otwierała drzwi. Zachowanie jakiegokolwiek odległości uniemożliwiła mu półka zamocowana nisko pod oknem. Poczowała delikatny zapach palonych goździków, kiedy wychodząc, musnął ją ramieniem.

- Nosisz spluwę? - spytała jeszcze.

- Co takiego?

- Pistolet. -Tak.

- Uuu, groźnie. Poważnie podchodzisz do pracy.
- To tylko na pokaz, mnie samego przeraża broń -odparł. - Wkrótce zadzwonię, może przypomnisz sobie, gdzie Robbie schował książkę.
- Cieszy mnie perspektywa współpracy z tobą. Uniósł brwi i posłał jej słaby uśmiech. Potem zniknął za rogiem ulicy.

## ROZDZIAŁ 2

Robbie rozparł się wygodnie w olbrzymim łóżku. Pod brodą trzymał miseczkę z płatkami śniadaniowymi i jedząc, wlepił wzrok w ekran telewizora umieszczony przed łóżkiem. Kapa z angielskim haftem i wełniana narzuta były w poważnym niebezpieczeństwie, bo Robbie jadł zamasyście, nie do końca panując nad tym, co dzieje się z miską i łyżką w jego rękach. Do pokoju weszła Lily i widząc czekoladowo-zbożową miazgę w miseczce, wykrzyknęła:

- A spróbuj to rozlać! Nie zamierzam spać na okruszkach i mokrym prześcieradle!

Najlepiej będzie, jak mi to oddasz.

Robbie już prawie skończył, więc podał jej resztki posiłku bez odrywania wzroku od telewizora. Nadawano właśnie reality show, polegający na odchudzaniu się ku uciesze widzów.

Nachyliła się i porwała pilota, po czym wyłączyła telewizor.

- Dopiero dwudziesta pierwsza, dlaczego leżysz w łóżku?

Spojrzał na nią, zrzucił z siebie kołdrę i tupiąc, wyszedł do łazienki. Zatrząskując za sobą drzwi, rzucił:

- Zostaw mnie w spokoju, jestem zajęty!

- Okłamałeś go. Mamy przecież w domu tę cholerną książkę!

Robbie z rozmachem otworzył drzwi.

- Może wykrzycz to jeszcze głośniej, co? - syknął.

- O co ci chodzi? - Odstawiła miseczkę z resztką płatków na szafkę nocną. Robbie trzasnął drzwiami łazienki.

- Jeśli mi nie powiesz, zadzwonię do Williama i przyznam, że ją mamy.

Drzwi ponownie się otworzyły i Robbie wrócił do pokoju. Potrącił Lily, przechodząc obok niej. - Nie zachowuj się jak idiotka - warknął. - Muszę się nad tym zastanowić.

Nie odstępowała go.

- Nad czym się tu zastanawiać? Pokaż mu księgę, i wszystkiego się dowiemy.

Robbie, ubrany jedynie w spodnie od dresu, padł na łóżko, wtulając twarz w materac. Lily usiadła obok niego i zaczęła delikatnie gładzić go po plecach.

- Spokojnie, jeśli okaże się, że dzieło jest kradzione, to niech je sobie weźmie. To przecież ryzyko zawodowe, z którym zawsze musimy się liczyć. Jeśli postąpimy zgodnie z prawem, to nasza reputacja na tym nie ucierpi.

Obrócił się na plecy i odepchnął jej rękę.

- Wykupiłem cały skład tamtego sklepu, a książka znajdowała się w jednym z pudeł. Jest moja. Nasza. I nie



życzę sobie, żeby ktoś węszył nam po kątach. Ta rzecz może być warta miliony! Prawie wszystkie egzemplarze zostały zniszczone w dziewiętnastym wieku. A my odnaleźliśmy jeden z kilku, które przetrwały. Nie rozumiesz? My! Mamy ją. A kim, do cholery, jest Isyanov? Jakimś nieogolonym dupkiem, który wpycha nam wizytówkę i myśli, że nas nabierze? Nie ma mowy. Zanim cokolwiek zrobię, muszę się dowiedzieć, kim on w ogóle jest.

Lily obgryzała paznokcieć kciuka. Ani przez moment nie przeszło jej przez myśl, że Isyanov mógłby nie być tym, za kogo się podawał.

- Zwróćmy się do Sebastiana - zaproponowała. Rzucił jej gniewne spojrzenie, po czym przeszedł

do kuchni, gdzie, tłukąc się niemiłosiernie, nalał sobie dżinu z tonikiem.

- Albo zadzwońmy do firmy Weston w Londynie i zapytajmy ich! Jestem przekonana, że są przyzwyczajeni do takich sytuacji - zasugerowała, oparłszy się o futrynę.

Robbie z hukiem wydobywał kostki lodu z pojemnika.

- Zrobię to później. Idę na dół, nie czekaj na mnie. Mam kilka spraw do załatwienia.

Patrzyła, jak wychodzi z kuchni, i przeklinała tego, kto włożył księgę do pudła. Przyniesie im kłopoty, i to obojgu. Otworzyła usta, żeby coś jeszcze powiedzieć, ale w tej chwili

Robbie powtórzył:

- Zajmę się tym, zrobię, co będzie trzeba. Pilnuj pozostałych spraw! - rzucił jeszcze, nim zbiegł po schodach.

Na zlecenie firmy zjeździł już prawie całą Europę i Amerykę Północną. Sao Paulo również figurowało na

liście miejsc, w których prowadził dochodzenia, ale miał nadzieję, że akurat tam nie będzie musiał wracać. Sydney natomiast było mu nieznane. Otrzymał listę osób, z którymi mógł się kontaktować, w razie gdyby odzyskanie książki wymagało pewnych form nacisku. To rozwiązanie było jednak ostatecznością.

Skuszony wizją przyzwoitego jedzenia, jaką roztoczył przed nim znajomy, przeszedł ulicą Philipa na nabrzeże, po czym podążył promenadą aż pod budynek opery. Niestety rozejrzawszy się wokół, stwierdził, że najwyraźniej gusta jego i kolegi rozmijają się. Może gdyby wybrał się na kolację z przyjaciółmi czy dziewczyną, miałby tu czego szukać, ale sam pośród tłumu bogato ubranych ludzi nie czuł się komfortowo.

Wreszcie zdecydował się na butelkę guinnessa i porcję ostryg, które jadł, obserwując słynny most nad zatoką. Książka ewidentnie była w posiadaniu Robbiego, ale wydostanie jej mogło okazać się trudniejsze, niż przypuszczał. Liczył na to, że księgarz ugnie się pod siłą delikatnego nacisku, bo z innych środków perswazji wolał nie korzystać, szczególnie jeśli musiałyby one objąć ponętą Lily.

Po posiłku wrócił spacerem na nabrzeże i stanął oparty o barierkę, wpatrując się we wzburzoną wodę. Obserwował, jak prom przybija do przystani. Zapalił kreteka, papierosa z mieszanki tytoniu i ziół, i zaciągnął się głęboko. Gęsty, aromatyczny dym rozszedł się w wieczornym powietrzu. Przechodnie obrzucali niepewnymi spojrzeniami mężczyznę, od którego czuć było woń palonych goździków.

Robbie siedział przy komputerze. Palce tańczyły po klawiaturze, twarz podświetlał blask monitora. Dotarł do niego dźwięk splukiwanej wody i zamykanych drzwi: Lily wreszcie się położyła. Wyłączając laptop, zerknął w stronę wystawy sklepu. Zarejestrował jakiś ruch i dostrzegł zarys sylwetki kogoś, kto stał na zewnątrz i patrzył wprost na niego. Otarł spocone dłonie o dzinsy, po czym zacisnął je na leżącej przy nim skórzanej torbie.

Lily obróciła się na drugi bok i wyczuła nieobecność Robbiego. W łóżku tych rozmiarów niełatwo było stwierdzić, czy kogoś brak, czy nie, ale sześć lat przyzwyczajenia podpowiedziało jej, że jest sama. Nie potrafiła nawet stwierdzić, o której przyszedł się położyć. Nie do końca jeszcze rozbudzona, ruszyła pod prysznic i stała tam dłuższą chwilę jak w transie, pozwalając, aby gorące strumienie smagały jej ciało. Myśli popłynęły w stronę tajemniczego, mrocznego Williama: czy zjawi się dzisiaj?

Wycierając się energicznie, przeglądała obfitą zawartość szafy. Światło poranka sączyło się przez drewniane żaluzje, które pozwalały dostrzec plamki zieleni na tarasie budynku naprzeciwko. Guy i Tony, znani z fanatycznej miłości do roślin doniczkowych, jako jedyni w tej okolicy zapewniali choć odrobinę przyrody.

Lily długo nie mogła się zdecydować, lecz w końcu wciągnęła na siebie szare getry rowerowe i koronkową koszulkę na ramiączkach. Strój zostanie oczywiście skorygowany później, po śniadaniu. Otto leżał zrezygnowany w swoim koszyku. Porzucił już wszelką

nadzieję na spacer i całym ciałem wyrażał niechęć do rozpoczętego szarego dnia i do życia w ogóle.

- Uszy do góry, Otto! Wieczorem wyjdziemy na bardzo długo, obiecuję!

Pies powlókł się za nią do kuchni. Jakie przyjemności zostały mu jeszcze w życiu? Tylko jedzenie. Zmusi się, by coś przekąsić.

Lily nastawiła wodę, a Otto usiadł na macie kokosowej zdobiącej podłogę i zwrócił na swoją panią oczy pełne nadziei. Wyjęła już kawałek suszonej wątróbki z pudełka z psimi smakołykami, ale zanim zdążyła rzucić mu przysmak, poczuł, że musi popędzić na dół i kogoś obszczekać.

Dziwne. Nie zareagowałaby tak na Robbiego, a sklepu jeszcze przecież nie otworzyła.

Rozległ się gwizd czajnika. Podeszła do schodów i wychyliła się przez poręcz. Na dole jakiś mężczyzna przemawiał do Otta. Przeklęty Robbie, wstanie, wyjdzie i nawet nie zamknie drzwi, choć przecież wie, że ona śpi.

To William wszedł do środka, a teraz kucał przy psie i drapał go po brzuchu. Ubrany był mniej niechlujnie niż poprzedniego dnia i Lily była gotowa uwierzyć, że naprawdę jest tym, za kogo się podaje. - Dzień dobry, Williamie.

Podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się. Był taki przystojny, kiedy się uśmiechał. Całe szczęście, że zachowywał się tak oficjalnie, bo gdy ich spojrzenia się spotkały, poczuła w żołądku ucisk z poczucia winy.

- Miły pies - powiedział, wstając.

- Oddałby wszystko za odrobinę uwagi - wyjaśniła. - A co dopiero za jedzenie! Tony, sąsiad z naprze-

ciwka - tłumaczyła, wskazując na taras z roślinnością - dał mu kiedyś resztki sznycła i od tej pory stał się jego najlepszym przyjacielem. Kiedy jedzą tam obiad, Otto staje w progu i węszy.

William słuchał, a uśmiech nie znikał mu z ust. Nagle Lily z przerażeniem zdała sobie sprawę, że nie jest w odpowiednim stroju do przyjmowania gości. Getry rowerowe z lycry nie pozostawiały zbyt wiele dla wyobraźni. Na szczęście wzrok rozmówcy nie błądził nigdzie poza jej twarzą, mogła więc przynajmniej udawać, że ma na sobie coś przyzwoitego.

- Sznaucer zawsze szuka sznycła, to przymus aliteracji - zażartował.

Zaśmiała się i podrapała Otta za uchem.

- Dopiero wstałam i jeszcze nie zdążyłam się ogarnąć, a Robbie, hmm... - zawahała się, rozglądając wokół - najwyraźniej gdzieś wyszedł.

Jego twarz od razu przybrała wyraz powagi. Zerknął na schody. Nie miała dotąd czasu, żeby się uczesać, i teraz zorientowała się, jak niechlujnie muszą wyglądać jej włosy do ramion, zebrane w byle jaki kucyk i wymagające umycia. Na dodatek bez tuszu na rzęsach zdarzało jej się przypominać białego królika, a i kredka do oczu była w jej przypadku równie nieodzowna jak szczoteczka do zębów.

- Dziś koniecznie muszę się z nim zobaczyć, chyba że poinstruował cię, żebyś...

- Nie, niczego mi nie nakazywał - wpadła mu w słowo. Podchodząc do drzwi, spytała: - Były otwarte?

- Tak, a to nieco ryzykowne, zważywszy, że chyba jesteś tu sama.

- Kawy? - rzuciła zniecierpliwiona, przechodząc do magazynu. W zlewku leżało puste opakowanie.

- Tu zabrakło, ale zapraszam na górę, tam zaparzę. Robbie pewnie by się wściekł, gdyby się dowiedział, że wpuściła Williama do mieszkania, ale jej zdaniem za bardzo przeżywał całą tę sytuację. Nie mieli jeszcze mocnej pozycji na światowym rynku antykwarycznym, a okazanie gościowi odrobiny sympatii nie mogło nikomu zaszkodzić. William podążył za nią po stromych schodach. Krew napłynęła jej do twarzy, gdy zdała sobie sprawę, że mężczyzna ma właśnie doskonały widok na jej opięte lycrą pośladki.

Wszedł za nią do kuchni, która była wyposażona w blat i zlew, ale brakowało w niej czegośkolwiek do siedzenia. Oparł się więc o ścianę i spokojnie patrzył, jak z rąk lecą jej kubki, a kawa rozsypuje się na podłogę.

- Przepraszam, ale peszy mnie twoje towarzystwo - wyznała. - Może postaramy się o jakąś kurtuazyjną rozmowę?

William milczał. Obserwował, jak Lily walczy z ekspresem do kawy. Czując na sobie jego wzrok, odwróciła się i spytała wprost:

- Czy coś cię niepokoi?

- Nie, a powinno?

Nerwowym ruchem przygładziła włosy i podjęła na powrót walkę z urządzeniem.

- Znasz się na tych wrednych maszynach? - spytała wreszcie, gubiąc się w szeregach przycisków i wskaźników ciśnienia. - Życie było łatwiejsze, kiedy piło się rozpuszczalną.

Podszedł bliżej, dając jej okazję, by mogła mu się przyjrzeć, gdy z rękami w kieszeniach badał wzrokiem maszynę. Znów wyczuła lekki zapach goździków. Widziała, jak równo pulsuje tętnica na jego szyi, i zastanawiała się, dlaczego jej własna krew płynie tak szybko, skoro nie dostarczyła sobie jeszcze porannej dawki kofeiny.

- Powinnaś chyba włączyć tutaj - zauważył i pstryknął przełącznik. Maszyna ożyła z gulgotem.

- A, no tak - odezwała się, stropiona. - Najpierw włączyć, sprawdzony sposób.

- Mieszkaś tu? - spytał, po czym usiadł przy stole w pokoju.

Spojrzała na niego, podnosząc dwie filiżanki. - Mam nadzieję, że lubisz espresso... Ale ze mnie gospodyni, zapomniałam zapytać... już drugi raz.

- Może być.

Postawiła kawę na stole i przełożyła na podłogę zalegające na nim gazety. W pokoju znajdowała się stara kanapa, tradycyjnie obok niej stała lampa. Wszystkie ściany zastawione były półkami, jedynie drzwi do sypialni i do kuchni oraz wejście na schody wolne były od książek.

- Tak, mieszkamy tu z Robbiem. Nad sklepem, to wygodne.

- Ty i Robbie?

Wydawał się zaskoczony faktem, że są parą. Wyczuła w jego głosie cień zawodu. Choć może oszukiwała samą siebie.

- Rozumiem. - Wsypał do kawy łyżeczkę cukru i teraz powoli mieszał napój.

Lily opróżniła filiżankę jednym haustem, tak szybko, że przeszedł ją dreszcz.

- Pyszna, wypiję jeszcze jedną.

Z miejsca, w którym siedział, widać było wewnątrz kuchni i można było prowadzić rozmowę ze znajdującą się tam osobą, więc wstała, aby znów włączyć ekspres i włożyć chleb do tosterka.

Widziała, jak przygląda się zdjęciu stojącemu na jednym z regałów, gdzie ona uśmiecha się, patrząc w obiektyw, jej rozwiane przez wiatr blond włosy omiatają twarz Robbiego, a on, opalony, całuje ją w policzek. Wydaje się szczęśliwa, a Robbie wygląda, jakby chciał ją schrupać.

- Jadłeś już śniadanie?

- Tak, dziękuję - odpowiedział, sprawdzając godzinę na komórce, jakby dawał do zrozumienia, że za piętnaście jedenasta to pora zdecydowanie zbyt późna na śniadanie, a on ma do załatwienia jeszcze wiele spraw.

Jego stosunek do niej ochłodził się nieco po tym, jak wyjawiała naturę swych relacji z Robbiem.

- Od dawna tu mieszkacie?

- Już trzy lata - odpowiedziała, biorąc do ust łyżkę marmolady.

- A jak sąsiedzi?

- Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszych. Są dla mnie jak rodzina.

- Tamci faceci - kiwnął głową w stronę tarasu - czym się zajmują?

- Guy jest prawnikiem, specjalistą od prawa w świecie rozrywki, a Tony pracuje w salonie kosmetycznym. Jest naprawdę dobry w depilacji woskiem, więc gdybyś kiedyś chciał...

- Zapamiętam sobie - odparł sucho. - Zgłoszę się, jeśli kiedykolwiek będę w potrzebie.



Lily ugryzła grzanekę, nie spuszczać oczu z Williama. Te gęste, czarne włosy i gładka skóra. Gdyby tylko trochę się rozluźnił, na pewno opowiedziałby jej o swoich przejściach z przemytnikami sztuki i wyjaśnił, dlaczego przemierza świat w poszukiwaniu skradzionych dzieł.

- Wiem, że już jadłeś - zagaiła - ale naprawdę zależy mi, żebyś skosztował tej marmolady. To jeden z moich największych sukcesów, konfitura z pomarańczy malinowych z amaretto.

Wyszła do kuchni i włożyła do tosterka dwie kromki chleba.

- Ciekawa jestem opinii prawdziwego Anglika, bo wszyscy wiedzą, że uwielbiasz konfitury. - Ugryzła kolejny kęs i szeroko otworzyła oczy. - Serio, nigdy nie jadłam nic pyszniejszego!

Lily umiała uruchomić pokłady uroku, jeśli tylko sytuacja tego wymagała, i teraz też już po chwili na jego twarz wypłynął uśmiech. Odstawił filiżankę po kawie

1 zdecydował:

- No dobrze, chyba nie mogę przepuścić takiej okazji. Posmarowała tosty masłem, nałożyła na nie dżemu

i podała mu kromkę, uważnie patrząc, jak wkłada ją do ust. Aż zacisnęła dłonie.

- Ico?

- Dobry, nawet bardzo. Lekko gorzkawy smak, duże kawałki owoców...

- Wiedziałam, że będzie ci smakowało! - zawołała, uderzając dłonią w stół. - To spróbuj jeszcze tego! - Pobiegła do kuchni i wróciła po chwili, dzierżąc kolejnych pięć słoików o różnych kolorach i kształtach.

- Przepis na ten dżem wzięłam z francuskiej książki kucharskiej z dziewiętnastego wieku! Śliwka z brandy! Niebo w gębie, jak nałożysz go na wafle czekoladowe!

Posmarował masłem świeżą grzanekę, a Lily popędziła do kuchni i załadowała więcej chleba do tosterów. Nałożył sobie śliwkowego dżemu i skosztował, kiwając do niej z aprobatą.

Jej oczy zapłonęły blaskiem szczęścia. Miłośnik przetworów, całkiem jak ona!

- No, to teraz musisz spróbować konfitury gruszkowo--waniliowej!

- Sama to wszystko produkujesz? - spytał, napawając się zapachem płynącym ze słoiczków.

- Napijmy się jeszcze kawy - zaproponowała, podejmując po raz kolejny walkę z ekspresem. - Lubię wypróbować stare przepisy z książek, które wpadają mi w ręce, ale wprowadzam w życie również własne pomysły. Uwierz mi, nie zawsze wychodziło to na dobre. Kiedyś trafiłam na przepis o nazwie „banina”, mieszanka smaków banana i żurawiny, i była to porażka, ale wszystkiego warto spróbować. O, albo zeszłoroczna wpadka z galaretą z głów cielęcych. - Usiadła, piastując w dłoniach filiżankę kawy. - Jak z horroru, z tym że...

- Lily, mogę zadać ci kilka pytań na temat książki?

- Pewnie! Jest francuska, co prawda nie z Prowansji, tylko bardziej z rejonów półno...

- Nie - powiedział miękko. - Chodzi mi o księgę Fanina.

Wyglądała na lekko rozczarowaną. - Ach, to. Dobrze, pytaj.

- Nigdy wcześniej nie sprzedaliście ani nie nabyliście tak wartościowego dzieła, prawda?

- Nie, nigdy - przyznała, kładąc na stole nową porcję tostów. - Wiadomo, że o tym marzymy i regularnie odwiedzamy w tym celu Europę, ale nigdy nie trafiliśmy na nic podobnego. Robbiemu zależy, żebyśmy zaistnieli w świecie bardziej wysublimowanego, antykwarycznego księgarstwa, ale cóż, nie pozwalają nam na to fundusze.

- A ty?

Wzięła łyk kawy i popatrzyła na Williama znad filiżanki. A więc tak czuje się osoba maglowana przez profesjonalistę. Sprytna zabawa w towarzyskiego gościa, garść komplementów na temat jej przetworów, żeby trochę zmiękała, a potem już można atakować ostrymi pytaniami.

- Podoba mi się to, czym zajmujemy się teraz, na obecnym poziomie.

Pokiwał głową i ze wzrokiem wbitym w talerz pełen okruszków zapytał:

- Jak odkryliście księgę?

- Robbie przywiózł ją z Kenii. Czasem można tam znaleźć ciekawe książki kolonialne, prawdziwe skarby! Tym razem wykupił całą księgarnię, myślałam, że oszalał! Kiedy towar dotarł tutaj i rozpakowaliśmy pudła, wśród tekstów trafiliśmy na książkę Fanina.

- Widziałaś ją w pudle?

- Tak, ale...

Nie przyzna się, że Robbie nigdy jej nie pokazał, gdzie schował księgę.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, na jaką ekscentryczkę wygląda, siedząc przy stole zastawionym pootwier-

nymi słoikami dżemów, eksponując ciało w koronkowej koszulce i sportowych getrach. Odgarnęła włosy z twarzy i zapewniła:

- Nie jestem kompletną idiotką, Williamie, choć może takie sprawiam wrażenie.

- Wcale nie. Przypuszczam, że to dzięki tobie jakoś przedziecie.

Znowu próbował jej schlebiać, choć akurat tym razem miał rację. Wreszcie wstał, kończąc rozmowę:

- Masz mój numer. Zadzwoń, kiedy tylko Robbie się zjawi, dobrze?

Lily odprowadziła go na dół, tym razem idąc za nim, żeby pupa w getrach pozostawała bezpiecznie poza zasięgiem jego wzroku. Nie wstydziła się swoich pośladków, ale nie czuła się komfortowo, wystawiając się na ocenę. Dostawała od tego gęziej skórki.

- Naprawdę mi przykro - powiedziała, kiedy dotarli na dół. - Musisz Robbiego wypytać o wszystko, ze mną marnujesz tylko czas.

- Ależ nie - odparł uprzejmie. - Było mi bardzo miło.

Okazja nakarmienia kogoś ukochanymi dżemami nie zdarzała się zbyt często, nawet jeśli tym razem wynikała ona ze specyfiki pracy Williama. Regulamin firmy Weston, punkt trzysta dwudziesty siódmy: jeśli podejrzany zaserwuje konfiturę domowej roboty, przyjąć po wstępnie odegranym ociąganiu. Cóż, był najwyraźniej wzorowym pracownikiem, a przecież nie doszła do korniszonów i gruszek w occie.

Od biedy mogą zaczekać na następną aferę w świecie sztuki, w której ona odegra główną rolę.

Nie miała mu już nic więcej do powiedzenia. Sprawa książki musi zostać wyjaśniona przez Robbiego, który miał pewne plany związane z tym dziełem. Wiedział jednak, równie dobrze jak ona, że nie mogą narażać swojej reputacji, handlując kradzionymi książkami. Nie, jeśli zależało im na interesach.

Otto zerwał się z miejsca i w nadziei na spacer ruszył do drzwi, stukając pazurami o wypolerowane deski podłogi. William wyjął telefon i poprosił Lily o jej numer. Zaczęła dyktować, ale jakiś ruch za oknem odwrócił jej uwagę. Wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła Suzy, machającą do niej zza szyby.

Sąsiadka weszła do środka i prześliznęła się obok dziewiętnastowiecznych map Bawarii zdobiących ścianę. Ubrana w atłasowy gorsecik i czarne, jedwabne bokserki obszyte koronką, niosła w smukłych rękach gliniany garnek. Wraz z nią do księgarni wtargnęła woń imbiru i cebuli dymki.

- O, czy to już czas na lunch? - spytała Lily, zacierając ręce. - Co tam masz?

- To jest pho, wiesz, ta zupa z wołowiny, którą robi Tranh.

Lily i William stali tuż obok siebie na dole schodów. Suzy przeniosła wzrok ze stopni na Williama.

- Yyy... to jest mój znajomy, William Isyanov - wybrnęła Lily, rzucając mu niepewne spojrzenie.

- Witaj, Williamie - wymruczała Suzy, ze zdumieniem patrząc na strój koleżanki.

Prowadziła sklep z bielizną znajdujący się obok księgarni i głęboko wierzyła, że odzież spodnia stanowiła fundament życia każdej kobiety. Spodenki rowerowe z lycry raczej nie znalazłyby

miejsca w tym życiu, chyba że na trasie Tour de France, z pewnością jednak nie podczas pogawędki z atrakcyjnym mężczyzną.

- Trochę pho na smaczek? - spytała Williama, podstawiając mu garnek pod nos.

- William już wyrobił sobie zdanie o mieszkańcach tej ulicy: żarłoki! Dopiero skończyłam... skończyliśmy śniadanie - wyjąkała Lily.

- Skończyli-im<sup>^</sup>? - zaakcentowała Suzy, zerkając znów na schody z wyrazem zdziwienia na twarzy.

- Przykro mi, ale na lunch nie mogę już zostać - rzekł William, ruszając w stronę drzwi. - Odezwę się, Lily.

Suzy odstawiła garnek na biurko i wzięła się pod boki, odprowadzając wzrokiem oddalającego się mężczyznę.

- Niezłe ciacho, nie? - spytała szczuplutka Wiet-namka.

- Oj, tak - przyznała Lily. - Przynieść miseczki? Boże, pomyśli sobie, że nie robimy nic innego, tylko biegamy roznegliżowane po okolicy, wyglądając kolejnego posiłku.

- Bo to prawda. Ale co tam się działo na górze? Mały trójkiak z Robertem i Isyanovem? Mhm, podoba mi się to nazwisko! Jak z Dostojewskiego!

- Suzy, życie nie jest aż tak piękne. Już widzę, jak mój facet dzieli się mną z innym mężczyzną. Prędzej to ja trafiłabym na Robbiego, wijącego się wśród trzech setek lasek...

- No tak - przyznała koleżanka, wspinając się po schodach za Lily. - To bardziej prawdopodobna wizja.

- Tak czy inaczej, nie mam pojęcia, gdzie Robbie się podział. Wyszedł z samego rana - mówiła Lily przez ramię. - Mhm, ta zupa pachnie bosko.

Otto siedział na podłodze, powoli tracąc resztki nadziei na przechadzkę. Od kilku minut przyglądał się uważnie Lily, wyglądając jakichś sygnałów. Ale teraz poddał się, będąc przekonany, że nie zostanie wzięty pod uwagę przy rozdzielaniu zupy. Powlókł się na posłanie przy biurku i legł tam, wzdychając ciężko.

William sięgnął po książkę. Jasne, że Lily była dziewczyną Schwartzmana, powinien był od razu to dostrzec. Odłożył lekturę i wyrztał przez grube, podwójne szyby na przystań. Mogło mu to utrudnić śledztwo. Przypuszczalnie dziewczyna zdołałaby przekonać Robbiego do oddania dzieła, ale co jeśli zwycięży lojalność wobec partnera? Nie sądził, by Lily coś ukrywała ani żeby szalenie zależało jej na milionowej transakcji. To piękna, choć nieco ekscentryczna młoda kobieta, która pechowo związana była z jego podejrzanym. Znów podniósł książkę, po czym rzucił ją na łóżko, chwycił komórkę oraz klucze i opuścił pokój hotelowy.

## **ROZDZIAŁ 3**

Lily odkurzyła książki, wyskoczyła na sąsiedzką pogawędkę z Suzy, sprawdziła mejle i stronę internetową księgarni, pokręciła się na skórzanym fotelu obrotowym i rozważała, gdzie też podział się Robbie. Nie odbierał komórki, nie odpisywał na SMS-y.

Drzwi sklepu otworzyły się i weszła stała klientka. Lily przestała obracać się w fotelu i wzięła do ręki książkę. Przybyła kobieta nigdy nie mówiła „dzień dobry”, chociaż w ostatnich latach często zachodziła do księgarni. Nie była to kwestia złego wychowania, ale cicha umowa między nimi: kobieta nie miała ochoty na po-gaduszki, wolała uniknąć wchodzenia w jakiegokolwiek relacje z osobami prowadzącymi sklep. Lily nie miała nic przeciwko temu. Wymyślanie osobowości dla klientów zajmowało ją bardziej niż poznawanie ich prawdziwych, szarych losów.

Ta na przykład pani, pod sześćdziesiątkę, z ciemnymi włosami przyprószonymi siwizną, złowrogim wyrazem



twarży i nazwiskiem, które przywodziło na myśl górskie wrzosowiska i potoki pełne pstrągów, nie rzuciła się w oczy. Stała klientka księgarni, która zaopatrywała się w liczne stare przewodniki turystyczne. Przewodniki prowadzące po świecie, który istniał tylko w przeszłości. Lily pomyślała, że kobieta zapewne sama była kiedyś przewodniczką - stąd nostalgiczny wyraz oczu, kiedy wkraczała do działu z książkami podróżniczymi. Niestety spotkało ją nieszczęście, związane bądź to z kręgosłupem, bądź ze złamanym sercem, i raz na zawsze pożegnała się z podróżami. Żyła teraz przeszłością, zagłębiając się w lekturę przewodników.

Przed wielu laty zakochała się w kierowcy autokaru ze Stanów Zjednoczonych, co tłumaczyło ledwie słyszalny amerykański akcent w jej wymowie. Pewnego dnia pojazd wpadł do jaru zarośniętego gęstymi krzakami, a jej ukochany kierowca i wszyscy pasażerowie zginęli na miejscu. Kobiecie zbrzydły wówczas wszelkie podróże, więc wróciła do domu, do Sydney, gdzie żyła niczym Dickensowska panna Havisham w świecie starych widokówek.

Lily rozpracowała też innych stałych klientów. Pewien młody mężczyzna wiódł według niej podwójne życie. Widywała go czasem, jak podąża ulicą w długim, idealnie skrojonym, czarnym płaszczu. I choć nie było nic dziwnego w czarnych płaszczach w dzielnicy Paddington, to jednak ilekroć zjawiał się w księgarni, od stóp do głów ubrany był na biało. Czyżby jakaś obsesja na punkcie czystości? Książki przeglądamy tylko w dziewiczej, czystej bieli?

Nigdy nie przyszedł do niej w ciemnym płaszczu. Kupował wyłącznie poezję. Kiedyś zaproponował, że

zadeklamuje dla niej swój ulubiony wiersz, ale zaraz z magazynu wyłonił się Robbie i nic z tego nie wyszło. Ale kiedy mijala go na ulicy, miał prezencję wytwornego biznesmena spieszącego na służbowy obiad.

- To palant - skwitował Robbie spod otwartej maski citroena.

- Zbyt ostra ta twoja wyważona opinia - broniła nieznajomego Lily, podając klucz francuski. - Może to członek sekty czytelników poezji purytańskiej. W wolne dni wciela się w taką jakby Isadorę Duncan.

Robbie prychnął.

- Podaj szmatę.

- Wrażliwa dusza, zmuszona do pracy w bezlitosnym świecie handlu, aby wyżywić siedmioro rodzeństwa...

- Przekona się, co znaczy „bezlitosny”, jak jeszcze raz tu przyjdzie i spróbuje ci recytować erotyki Katullusa. Daj jeszcze ten klucz.

Szkocko-amerykańska przewodniczka opuściła sklep, nie kupiwszy niczego. Lily wyszła do cukierni Marcela, gdzie zjadła kawałek ciasta, plotkując z żoną właściciela, Annette. Z braku osób, z którymi jeszcze miałyby ochotę pogawędzić, powoli wróciła do księgarni, otworzyła drzwi, sprawdziła mejle, telefon i zastanowiła się, czy Guy i Tony są o tej porze w domu. Niedawno przyszła osiemnastowieczna książka o ogrodnictwie i Lily była pewna, że będą nią zainteresowani.

O siedemnastej żadnych klientów na horyzoncie i ani słówka od Robbiego Lily zdecydowała się zamknąć księgarnię i wybrać w górę ulicy po owoce i warzywa.

Otto leżał w swoim koszu, co jakiś czas wydając z siebie przygnębione westchnienie lub rzucając się do okna z dzikim ujadaniem, jeśli zauważył, że inny pies śmiał wkroczyć na jego ścieżkę. Lily wyłączyła komputer, schowała komórkę do kieszeni i podniosła torbę. Otto uniósł nagle łeb, zerknął na nią, po czym skoczył w stronę wyjścia, szczekając głośno. Popatrzyła za nim i ujrzała Williama zagląającego przez uchylone drzwi. Otto natychmiast padł na podłogę i wystawił brzuch do głaskania.

- Cześć - przywitała go. - Myśli, że przyszedłeś do niego.

Spojrzał na nią i posłał jej uśmiech, jednocześnie drapiąc psa. Długie, czarne rzęsy znów przyciągnęły jej uwagę.

- Chyba przez cały dzień trzymałeś ten uśmiech specjalnie dla mnie - powiedziała. Czowała się jak Otto, podekscytowana faktem, że jakaś żywa istota przyszła ją odwiedzić, ale mina Williama, speszzonego zalotnym komentarzem, zbiła ją z tropu. Zaczęła gwałtownie szukać czegoś w torebce. Czegokolwiek.

- Czy pojawił się Robbie? - spytał on.

- Nie, w ogóle nie dawał znaku życia. Idę właśnie po zakupy.

- Mogę się przyłączyć?

W spojrzeniu Lily malowało się zdumienie. Robbie miał zawsze milion wymówek, żeby tylko nie iść na zakupy spożywcze.

- Oczywiście, ale wiesz, to raczej nudne zajęcie.

- Prace domowe urastają do rangi egzotyki, jeśli ktoś podróżuje tyle co ja.

Ruszyli więc razem wąską ścieżką w stronę głównej drogi. Lily nie przywykła do chodzenia obok mężczyzny wyższego od siebie i nie była w stanie uniknąć wpadania na Williama, gdy tak szli obok siebie. Robbie nie był może niski, ale też trudno go było nazwać wysokim, a jego krępe, umięśnione ciało zdawało się zawsze pełne skumulowanej energii. Chodził sprężysto, obejmował latarnie i bezustannie mówił. Mężczyzna towarzyszący jej teraz szedł równym, miarowym krokiem, a myśli zachowywał dla siebie, chyba że bezpośrednio o coś spytała.

- Masz rosyjskie nazwisko - zagadnęła, podnosząc na niego wzrok.

- To prawda - odparł. - Tak jak i mój ojciec.

- A dlaczego twój ojciec ma rosyjskie nazwisko?

- Bo urodził się w Rosji.

Powoli skinęła głową. Masz swoją odpowiedź, maleńka, zdawał się sugerować. Słusznie. Najwyraźniej nie zamierzał opowiadać jej o rosyjskich emigrantach konających na suchoty ani o sowieckich bohaterach rewolucji październikowej, ani nawet recytować wiersza Achmatowej.

- Nie kryje się za tym żadna pasjonująca opowieść? Pokręcił głową. Czy oznaczało to, że nic się nie kryje?

Czy też nie chce się dzielić swoją historią? A może opowieść dotyczyła czasów tak odległych, że już straciła wszelkie znaczenie? Dotarli do głównej ulicy i skręcili w nią, meandrując wśród popołudniowego tłumu buszującego po sklepach. William wyjął z kieszeni paczkę kreteków, ale nie poczęstował dziewczyny. Papieros żarzył się i cicho syczał, gdy się nim zaciągał.

Samochody zbijały się w długi sznur kierujący się na wschód od miasta.

- Znasz jakichś rosyjskich poetów? - zaryzykowała, zerkając ukradkiem na jego pozbawioną wyrazu twarz.

- Dlaczego pytasz?

Wzruszyła ramionami. - Skoro nie usłyszę od ciebie żadnej opowieści, to może chociaż wiersz.

- Dlaczego miałbym ci coś recytować?

- Nie chodzi o deklamację z dedykacją dla mnie, ale po prostu o znajomość wiersza.

- Ze względu na moje rosyjskie korzenie?

- Właśnie.

Zaciągnął się głęboko i potrząsnął głową.

- Nie przypominam sobie żadnego wiersza i wydaje mi się, że ciężko ci będzie znaleźć kogokolwiek, kto znałby coś na pamięć.

Lily zatrzymała się przed księgarnią i przyglądała się wystawie. William bez słowa stanął obok niej. Przygryzła wargę i spojrzała mu w twarz.

- Wybacz, za dużo czasu spędzam sama. Nie powinnam zadawać takich idiotycznych pytań. - Nie, nie, pytaj śmiało. - Wydmuchał dym, rzucił niedopałek na chodnik i roztarł go podeszwą. Wzrok Lily wrócił do wystawionych książek.

- Lubię sprawdzać, co według nich przyciągnie uwagę klientów. Fakt, że są niezależni i że nadal istnieją, wiele mówi o ich wyczuciu.

Skinął głową i ruszyli dalej ścieżką do sklepu z warzywami. Był otwarty na oścież i obłożony skrzynkami przecenionych owoców. Lily przyjrzała się jabłkom, jej

wybór padł na szampiony. Wzięła cztery i włożyła je do woreczka.

- To jaka historia wiąże się z twoim imieniem, Lilio? - zapytał, wchodząc za nią do sklepu.

- Moim? Cóż, niezbyt to ciekawe, ale skoro pytasz... Moja matka miała hopla na punkcie ogrodnictwa. Spędzała całe dnie za domem, w jednej ręce motyka, w drugiej papieros.

Moja starsza siostra ma na imię Róża.

- Jest równie blada jak ty?

- Tak, i bardziej ruda. Obie musimy uważać na słońce. O parę minut za długo, a już wyglądamy jak wyjęte z wrzątku krewetki. Jej dostało się radosne imię, ja noszę imię kwiatu, z którego robi się wieńce pogrzebowe.

Wyciągnął rękę, podniósł brzoskwinię i badał jej skórkę.

- Lilie kojarzą się z pięknem i czystością, przynajmniej w kulturze klasycznej.

Sklep wypełnił nagle odgłos wielu klaksonów naciskanych jednocześnie, nieomylny znak furii kierowców. Lily odwróciła się i posłała Williamowi uśmiech.

- We współczesnej Australii lilie to szkodliwy chwast, który zarasta stawy.

Odłożył brzoskwinię i przeniósł wzrok na dzemy ustawione na półce nad winogronami.

- Lilie wyrosły z mleka z piersi królowej niebios, przynajmniej według wierzeń greckich.

Przerzuciła w dłoniach kilka moreli i spytała:

- Skąd to wszystko wiesz? - Zamiast odpowiedzieć, urwał woreczek z rolki na stojaku i

przytrzymał go dla niej. - Mam na drugie Cyphomandra - powiedziała, po

czym wybuchnęła śmiechem na widok powagi malującej się na jego twarzy. Zawtórował jej śmiechem i potrząsnął głową. Ludzie w sklepie przerwali przebieranie owoców i spojrzeli na nich.

- No dobrze, żartowałam. Narcyza.

- Na cześć Narcyzy Vanderlip, walczącej o prawa kobiet?

- Nie, na cześć narcyzów, które kwitną na wiosnę w takich ilościach, że można kupić je na targu za grosze. Mamy z siostrą szczęście, że mama nie pasjonowała się wędkarstwem albo budową komputerów. Skutki mogłyby być opłakane!

- Chyba muszę się z tobą zgodzić - przyznał.

Lily przeszła od warzyw do stoiska z ziołami, mając już ręce pełne owoców. William zniknął na chwilę, lecz zaraz pojawił się znowu, tym razem z koszykiem w dłoni.

- Co paliłeś? - spytała, wsypując owoce do koszyka.

- Kreteki, goździkowe papierosy z Indonezji. Używam ich w zastępstwie zwykłych papierosów. Nie zawierają nikotyny, a ja właśnie próbuję rzucić palenie.

- I tak zaciągasz się dymem. - To tłumaczyło zapach goździków, który zawsze mu towarzyszył. Rzucił jej spojrzenie znad stosu fioletowego czosnku. - Pewnie, pal. -

Wzruszyła ramionami. - Nie krytykuję niczyich wyborów. - Na owocach położyła miętę, bazylię i kolen-dre, po czym zajrzała do chłodni w poszukiwaniu jogurtu. Wspólne zakupy sprawiały jej przyjemność. Prostota tej czynności budziła w niej spokój, którego bardzo potrzebowała po wydarzeniach ostatniej doby. Cierpliwie

podążał za nią, czekając bez słowa, aż zbada jajka, przeczyta etykiety i wybierze najświeższe produkty. Robbie już dawno sprawdzałby, czy ktoś nie wysłał mu SMS-a, gderał o braku czasu i rzucał to swoje: „Czy musimy to robić akurat teraz?”, albo „To tylko jajka, nie?” I tak bez przerwy, zanim znowu nie poddałaby się jego woli i nie odesłała go ze sklepu.

Oglądała pomidory, świadoma bliskości ramion Williama i jego oczu, wpatrzonych w nią, gdy dokonywała selekcji gładkich, czerwonych owoców. Miała nadzieję, że wybiera właściwego pomidora.

- Wydajesz się szczęśliwa - zauważył. Spojrzała na niego, przy okazji łapiąc swoje odbicie w lustrze na ścianie. Włosy rozczochrane, jak zwykle.

- Tak, wiele mi nie trzeba: bezcenne książki, suknie z minionej epoki wyszywane koralikami, rasowe szczeniaki rasy sznaucer.

- Jesteś szczęśliwa z Robbiem?

Pytanie było tak osobiste i nieoczekiwane, że na chwilę ją zamurowało. Po tym swoim milczeniu i zdawkowych odpowiedziach pyta ją nagle o coś takiego?

- Co to ma wspólnego z twoim dochodzeniem?

Marszcząc brwi, wrzuciła pomidory do koszyka, wyrwała mu go z ręki i ruszyła do kasy. William wyszedł na zewnątrz, gdzie czekał, zapalając kolejnego kreteka i obserwując ruch uliczny.

- Przepraszam - powiedział, gdy wyszła. - Daj, poniosę zakupy.

Minęła go jednak bez słowa, szybko przeszła obok wystawy z książkami. Znikała za rogiem, kiedy wreszcie ją dogonił.



-Lily...

- Robbie już pewnie wrócił, możesz z nim sam porozmawiać.

Miała nadzieje, że zastanie go w domu, jak rozłożony przed ukochanym telewizorem rozmawia przez telefon, drapiąc się po jajach. Albo będzie siedział zgarbiony przed komputerem, sprawdzając ich stronę internetową i zawiadamiając ją podekscytowanym tonem

O każdym większym zamówieniu. Okna były jednak ciemne, kiedy stanęli przed księgarnią. Otworzyła drzwi

1 włączyła światło. Ani śladu Robbiego. Twarz Williama nie zdradzała żadnych emocji.

- Dzięki za pomoc - powiedziała Lily, tonem nieco bardziej przyjaznym.

- Wróć tu jutro - oznajmił. - Dobranoc. Weszła już do środka i odkładała torby, kiedy zatrzymał się jeszcze, po czym zawrócił.

- Wiem, że będziesz się niepokoić, ale nie zawiadamiaj policji. Nie teraz. To bardzo ważne.

- Dlaczego? - zdziwiła się. Poczowała nagły przyпіływ strachu.

- Na razie po prostu mi zaufaj, proszę. Dobrze? Skinęła głową i patrząc, jak się oddala, weszła do

pustej księgarni. W magazynie włączyła światła na podwórzu, po czym otworzyła drzwi garażu. Tak, samochód stał na miejscu.

Te wszystkie okrągłe owoce przywodziły mu na myśl jej rowerowe getry. Nie wyglądała na kolarkę. On też z jazdą na rowerze niewiele miał do czynienia, ale

elastyczne spodenki miały swój obcisły urok. Wchodzenie za nią po schodach było istną rozkoszą.

I nigdy w życiu nikt nie poprosił go o wiersz. Jej przyszło to z taką łatwością, jakby pytała go, czy czytał dzisiejszą gazetę. Jak gdyby w tej rzeczywistości było jeszcze miejsce dla poezji.

Oddalał się od niej tylnymi uliczkami dzielnicy Paddington, niepewny, dokąd właściwie zmierza.

Lily Narcyza, szare oczy, jasne rzęsy.

Nie spodobało jej się, że spytał o Robbiego. Będzie musiał uważać. Wtykanie nosa w związki innych ludzi nie było łatwe dla żadnego z zainteresowanych i nie znosił tego robić. Łatwiej było zajmować się profesjonalnymi złodziejami, przynajmniej jasne było, kto nosi czerń, a kto biel.

Szedł dalej, a światło dnia powoli gasło. Żadnego wiersza nie znał na pamięć tak dobrze, by móc go deklamować. Może urywki zapamiętane z powtórek w liceum, ale nic z poezji rosyjskiej. Po rosyjsku rozmawiał tylko z rodzicami, a oni w ogóle niewiele czytali, co dopiero literaturę piękną.

Nie miał już pojęcia, gdzie się znalazł, więc wstąpił do pubu i zapytał, po czym wezwał taksówkę.

Sama w domu czuła się ponuro i źle. Trzy razy sprawdziła, czy drzwi wejściowe są zamknięte na klucz, zanim mogła choć trochę się rozluźnić.

Pod nieobecność Robbiego, który wiecznie domagał się mięsa, mogła zjeść na kolację tosty - z awokado i wędzonym łososiem, grubo posypane pieprzem.

Do tego dżin z tonikiem. Podczas jedzenia przeglądała gazetę, szukając doniesień o wypadkach lub wezwań dla rodzin, aby zgłosiły się zidentyfikować odnalezione zwłoki. Wzięła szklanekę i przeszła do sypialni, gdzie włączyła telewizor i ściszyła dźwięk. Trafiła na program policyjny o sekcjach zwłok. Po jej policzku stoczyła się łza. Wypiła łyk dżinu. Na stole ze stali nierdzewnej mógłby teraz leżeć Robbie. Podniosła słuchawkę.

- Sebastian? Hej, tu Lily. Jest u ciebie Robbie? Nie? OK, w porządku, trzymaj się. Odłożyła telefon, przygryzła wargę i znów sięgnęła po słuchawkę. Kolejne trzy rozmowy nie przybliżyły jej ani trochę do rozwiązania zagadki jego zniknięcia. Może jest z Richardem. Nie miała jednak numeru jego komórki, zresztą i tak ciągle ją gubił. Upili się może razem i teraz gdzieś odsypiali.

Kolej na rodziców.

- Lily? Dobrze się czujesz?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Esther wpadła w sło-wotok. - Chciałam, żebyś wpadła, bo mam zaproszenie na ślub Miriam. Muszę ci je przekazać, bo ona nie miała waszego adresu. Więc mówię do niej: „Miriam, może podam ci adres przez telefon?”, a ona na to, że nie, no i prosiła, żebym to ja wręczyła ci zaproszenie. Więc pytam Mauriego, co mam zrobić, bo przecież Robbie nigdy nas nie odwiedza. A on mi na to, żebym zadzwoniła do ciebie, no i nie mogłam się jakoś zebrać, więc oszczędziłaś mi kłopotu! Przyjedź po to zaproszenie. Chcę ci też pokazać, w co się ubiorę, a jeśli ci się nie spodoba, to zawsze zdążymy jeszcze iść na zakupy i wybrać coś innego.

Lily słuchała, wpatrując się w ekran telewizora. Cóż, najwyraźniej tam Robbiego też nie zastała. Nie mogła też nic wyjawić Esther - nie chciała martwić jej ani ojca Robbiego. Ale jeśli nie wróci niebawem, będzie musiała ich zawiadomić.

Z rosnącym niepokojem sięgnęła po drinka. Gdzie on się, do cholery, podziewał? Miał wypadek. Na pewno, a ona nie sprawdziła szpitali, nie obejrzała nawet wiadomości. Co z niej za dziewczyna, wzdycha do Williama i żebrze o egzotyczne opowieści, podczas gdy Robbie może siedzi zakneblowany, zamknięty w jakiejś komórce i czeka, aż ona zawiadomi oddział antyterrorystów. Albo leży nieprzytomny na bloku operacyjnym, a za chwilę lekarze wytną mu narządy i roześlą je potrzebującym na wszystkich krańcach kontynentu.

Na miękkich nogach zeszła na dół i uruchomiła komputer. Wbijając wzrok w wyświetlacz telefonu, czekała, aż laptop zacznie działać.

Kliknęła na stronę informacyjną. Żadnych wypadków śmiertelnych, a przynajmniej niczego nie zgłoszono. Zero wysłanych przez Robbiego mejli z nagłówkiem z Kajmanów. Wzięła głęboki oddech i wystukiwała numery kolejnych szpitali. Nigdzie nie mieli ani ciężko rannego cierpiącego na amnezję, ani nikogo o nazwisku, które podawała.

Z okna widać było sporo samochodów zaparkowanych przed domem Tonyego. Może Robbie był u nich i sącząc drinka, dyskutował właśnie z Guyem na swój ulubiony temat: o kondycji australijskiej piłki nożnej. Nie dzwonił do niej z banalnej przyczyny: nie miał jak. Nie mógł się dostać do telefonu, wyczerpała mu się

bateria albo... Wytarła oczy, wydmuchała nos i poprawiła poduszkę. Albo zajęty jest czymś, o czym wolałaby nie wiedzieć.

Włączył laptop i wrzucił w wyszukiwarkę hasło „poeci rosyjscy”. Ujrzał długą listę. Wszyscy, rzecz jasna, słyszeli o Puszkynie, ale kto czytał jego wiersze? A Man-delsztam, Batuszkow, Kuzmin? Lepiej zacznij od tych łatwiejszych.

Obsługa hotelowa dostarczyła mu kolację. Zdjął pokrywkę z talerza i obejrzał danie, które zamówił. Hotelowe żarcie. Dobre, ale jednak hotelowe. Jeśli okaże się, że zostaje w Sydney na dłużej, będzie musiał znaleźć jakieś przyzwoite jadłodajnię.

Jadł nieuważnie, skupiając się na wierszach. Z pewnością istnieje taki, który byłby w stanie zapamiętać i wyrecytować. Lily pewnie dobrze zna poezję i zorientuje się, jeśli pomyli wersy czy słowa. Nie może też być to nic starego. Jeśli ma się nauczyć wiersza, to powinien się w niego wczuć. Ona na pewno od razu wyczuje, jeśli potraktuje poezję jako ćwiczenie pamięci.

W pokoju było duszno, więc miał na sobie tylko koszulkę bez rękawów. Zgarbił się nad komputerem i czytał, klikał, robił notatki. Nie pojawi się następnego dnia na jej progu, oznajmiając, że ma już dla niej wiersz, szczególnie jeśli w drzwiach stanie Robbie.

Gdyby jednak kiedyś jeszcze spytała go o poezję, to miałby w pogotowiu wiersz lub dwa.

## **ROZDZIAŁ 4**

Zaopatrzona w kubek herbaty, zeszła na dół i włączyła komputer. Nadal żadnych wieści od Robbiego, żadnych listów z żądaniem okupu. Tego jeszcze nie było. Cokolwiek by się działo lub gdziekolwiek by był, Robbie zawsze się meldował.

Wstukała w wyszukiwarkę firmę Weston i natychmiast wyskoczyły trafienia: Firma Weston, sztuki piękne. Spisała ich adres mejlowy, zamknęła stronę, po czym przeszła z powrotem do swojej skrzynki poczty elektronicznej i napisała wiadomość z zapytaniem o niejakiego Williama Isyanova.

Skoro prosił ją o powściągliwość w stosunku do policji, musiała się upewnić, że działa legalnie. Kliknęła „wyślij” i upiła łyk herbaty, mając nadzieję, że odpowiedź przyjdzie w ciągu doby. Do tej pory Robbie może już wróci do domu i cała afera okaże się zwykłym nieporozumieniem.

Gdy stała przed otwartą szafą, przyszło jej podjąć decyzję dnia. Rozważyła różne warianty. Luźna, czarna

sukienka w stylu lat sześćdziesiątych ozdobiona frędzlami? Ale odkryte ramiona? Jesienią? No to czarna bluzka pod spód. Tak, cała w czerni, pod kolor nastroju. Szczotkując włosy, postanowiła, że upnie je z tyłu za pomocą klamry. Albo lepiej - dwóch. Jeśli chwilę poćwiczy, powinno jej się udać uzyskać pożądaną efekt: fryzurę staranną i gładką. Zawsze podziwiała kobiety o gęstych włosach, takich jak jej, które wyglądały schludnie i gustownie dzięki klamrom. Tylko trochę wytrwałości. O, proszę: już sprawia wrażenie młodej kobiety panującej nad własnym życiem.

Co teraz? Dobrze by było pójść do sklepu po pieczywo na tosty. Wyruszyła do kawiarnio-piekarni Rosy na rogu.

- *Buongiorno, signora Rosa*, bochenek pani najpyszniejszego, *per favore* - powiedziała Lily.

- *Buongiorno, bella* - odparła właścicielka, sięgając do stojaka pełnego bochnów chleba. - Gdzie ten twój kawaler, kochana?

Lily zamarła i poczuła, jak drętwieją jej ramiona. Czy wszyscy już wiedzieli? Czy była jedyną, która nie ma pojęcia, co się z nim stało?

- Jest w okolicy - odpowiedziała, siląc się na swobodny ton.

- Coś nas unika ostatnio, już od dłuższego czasu nie wpada na kawę.

Lily nie wiedziała nawet, że Robbie tu bywał. Zawsze pił kawę z nią, w domu.

- Znalazł sobie lepsze miejsce, co? - śmiała się Rosa. - Złamię serce naszej Gracielli. - Kiwnęła głową w kierunku dziewczyny przy ekspresie, z ponurą miną pieniającej mleko w dzbanuszkę. Była szczupła, ciasno opasana czarnym fartuszką, a czarne włosy upięte miała w kok.

- Lubi to, co dla niego robię. - Graciella uśmiechnęła się w rozmarzony, prowokujący sposób.

Nie wątpię, wielkooka ladacznico, wycodziła Lily w myślach.

- Witaj, Roso.

Lily odwróciła się i ujrzała Suzy, odzianą dziś w białą, atlasową halkę.

- Gdzie twój rosyjski kochanek? - spytała. Graciella zmierzyła Lily wzrokiem.

- Znalazłaś sobie kochanka, Lily? - Rosa się zaśmiała. - Nic dziwnego, że Robbie zniknął.

- Dwie białe kawy, Graciella - zamówiła Suzy. - Napijesz się, co, Lily?

- Pocieszę cię: wcale nie mam kochanka - oznajmiła, bezskutecznie starając się wpasować w wesoły nastrój. Niestety wstała dziś pełna złych przeczuc i nie potrafiła wyzbyć się ich, aby spokojnie pożartować. Wszyscy się śmiali, a ona przyciskała do piersi bochenek chleba i miała nadzieję, że nikt nie zauważy niepokoju kryjącego się pod maską beztroski. Opuściła kawiarnię w towarzystwie Suzy i razem ruszyły w stronę domu, popijając kawę z papierowych kubków.

- Graciella robi świetną kawę - stwierdziła Suzy.

- Widziałaś tam kiedyś Robbiego?



Suzy zerknęła na Lily kątem oka.

- Robbiego widuje się wszędzie.

Lily zatrzymała się przed drzwiami do księgarni i wyciągnęła z kieszeni klucz. Gardło miała tak ściśnięte, że nie mogła nawet przełknąć kawy.

- Nie wiem, gdzie się podział, Suze. Zbudziłam się wczoraj i już go nie było. To do niego niepodobne, zawsze się przecież meldował. Nie odbiera telefonu, nie kontaktował się z przyjaciółmi ani rodzicami.

Suzy mrugnęła i upiła łyk kawy.

- Dzwoniłaś na policję?

Lily nie wiedziała, co powiedzieć. Postanowiła nie wspominać nikomu o sprawie z książką ani o roli Williama w tym wszystkim, dopóki dla niej samej sytuacja nie stanie się jaśniejsza. Robbie mógł przecież stanąć w progu dosłownie w każdej chwili.

W tym momencie przed sklepem Suzy pojawiły się trzy kobiety, zajrzały przez szybę do środka, po czym zaczęły cmokać nad kartką o treści „zaraz wracam”. Suzy pobiegła w ich stronę, tak szybko na ile pozwalały jej pantofle na wysokim obcasie. Obracając się przez ramię, zawołała jeszcze:

- Nie martw się, na pewno wróci! Lily przełknęła łyżę.

- Pewnie tak... - odparła.

Zadzwoił telefon, identyfikując rozmówcę jako Thomasa z firmy Weston. To była nowość - na ogół nie przeszkadzali mu w pracy. Podawali szczegóły, zaopatrywali w niezbędne środki i pozwalali działać.

- Słucham cię, Thomas. W czym mogę pomóc?
- Wybacz, że przeszkadzam, ale mam dla ciebie wieści. Klient zleceniodawcy, wiesz, o co chodzi, trochę się niecierpliwi i posyła tam kilku własnych żołnierzy.
- Więc ściągacie mnie z roboty?

Miał nadzieję, że Thomas to potwierdzi. Przerwa od pracy spędzona w Sydney na zakupach z Lily i delektowaniu się jej dżemami dobrze by mu zrobiła.

- Nie, nie o to chodzi. Zdobądź obiekt, zanim oni to zrobią. Nie chcielibyśmy rezygnować z wynagrodzenia. W tych zawodach startuje już kilku uczestników, którzy chcieliby faceta wykiwać, że się tak wyrażę. Bądź tego świadom.

William stłumił westchnienie.

- Gość, który ma książkę, jest antykwariuszem i zdaje się, że wziął nogi za pas. Jego dziewczyna chce dzwonić na policję.

Przez chwilę ze słuchawki nie dobiegał żaden dźwięk.

- Nie dopuść do tego. Cicho sza! Wiesz, jak działamy. Tak czy inaczej, rozegraj to, jak chcesz, tylko miej się na baczności.

William schował komórkę do kieszeni. Wystarczył jeden telefon, a status sprawy skoczył z „prosta” na „skomplikowana”.

Będzie siedzieć i płakać cały dzień, jeśli coś się nie wydarzy. Antykwariat to nie miejsce, gdzie dużo się dzieje, i nawet jeśli na ogół popijanie kawy i odpowiadanie na mejle sprawiało jej przyjemność, to dziś brzemień samotności bardzo dawało jej się we znaki.

Kusiło ją,

by zadzwonić do Williama, i już sięgała po telefon, ale raptem cofnęła rękę. Nie był zainteresowany jej stanem emocjonalnym, chciał zdobyć książkę i zniknąć. Będzie jej cierpliwie wysłuchiwał, zachowując dystans profesjonalisty. Potrzebowała rękawa, w który mogłaby się wyplakać, ale akurat żadnego nie było w pobliżu. Trudno, będzie trzeba się znieczulić za pomocą ciężkich robót.

Z wysiłkiem przytасzczyła pudło książek z salonu i rzuciła się w wir pracy, odkurzając, spisując szczegółowe dane, ustalając ceny i znajdując odpowiednie miejsce dla poszczególnych tomów. Włączyła muzykę i przekopywała się przez kolejne pudła. Udało jej się rozpakować trzy, zmieniając płytę przy pracy nad każdym z nich. Przeszła od Mozarta przez Leonarda Cohena do opery Pucciniego, po czym wróciła do starego, dobrego Leonarda. W tym czasie pojawili się w sklepie klienci i udało jej się sprzedać komplet osiemnastowiecznych pism „Spectator”, tom oprawny w skórę. Zdecydowanie podniosło ją to na duchu.

Wieczorem odwiedził ją William, by sprawdzić, czy pojawiły się może jakieś wieści.  
- Obawiam się, że żadne. Nikt nie przysłał mi pocztą ucha Robbiego, nie dostałam też wycinanki z żądaniem okupu. Ale może chcesz się przejść na spacer?

Zgodził się, więc zapięła na smycz uradowanego Otto i ruszyli.

William miał nadzieję, że zastanie ją w domu. Fakt, że Robbie nadal się nie pojawił, jednocześnie niepokoił go i intrygował. Albo chłopak zwiął z książką, albo

dopadł go jeden z przyjemniaczków, o których mówił Thomas. Oba scenariusze wiązałyby się z przykrymi konsekwencjami.

Chwilowo jednak cieszył się ze spaceru w towarzystwie Lily. Przepisał jeden z wierszy i nosił teraz skrawek papieru w kieszeni. Wyjmował go, ćwiczył w wolnych chwilach i był już gotów z uczuciem wyrecytować pierwszą strofę. Kilka godzin w wannie i będzie się mógł pochwalić znajomością kolejnej. Zostawały jeszcze dwie, cóż, trzeba będzie nad tym popracować.

Dziś jednak nie prosiła o wiersz.

- Co robisz, gdy nie jesteś zajęty przesłuchiowaniem mnie?

- Wcale cię nie przesłuchuję! A przynajmniej nie mam takiego zamiaru i przepraszam, jeśli mi się zdarzyło.

Otto szarpnął do przodu i smycz wpiła się jej w dłoń. Pociągnęła go w ramach przypomnienia, że ma panią na drugim końcu linki.

- Żartowałam. Ale poważnie, czym wypełniasz czas, skoro nie jesteś stąd i, jak zakładam, masz tylko jedną pracę?

- Śledzę tropy i odbywam pogawędki z ludźmi, oczywiście w sposób cywilizowany.

- I po to ci broń? - Lily zatrzymała się, bo Otto z całych sił starał się dosięgnąć smakowitego zapachu dolatującego spod zaparkowanego samochodu.

- Wymachiwanie nią bywa skuteczne, ale nie sądzę, bym był do tego zmuszony w przypadku tego zadania.

- Co jeszcze robisz? Uśmiechnął się do niej.

- Jesteś nieprawdopodobnie wścibska.

Otto wreszcie zaspokoił potrzebę węszenia, więc ruszyli dalej w dół wzgórza.

- Wiem, to wynika ze spędzania całych dni w księgarni i patrzenia, jak ludzie wchodzą i wychodzą. Siedzę i myślę o tym, kim są, czym się zajmują.

- Ja robię to, co inni ludzie, kiedy nie pracują: śpię, jem, czytam. Potem pracuję dalej. Nuda. A pokój hotelowy jeszcze ją potęguje.

- Cóż - odparła zawiedzionym tonem. - Liczyłam na mrożące krew w żyłach opisy urządzeń podsłuchowych, schadzek z gangsterami w nocnych klubach, kupowania tłumików w porcie, wiesz, te sprawy.

Roześmiał się, idąc dalej.

- Niestety, nic z tych rzeczy.

- To co czytujesz? Z pewnością coś ciekawego.

- Gazety prawne - odparł, patrząc wprost przed siebie. - Nie, nie wierzę ci!

- No dobrze, leżę na sterylnym łóżku hotelowym i wypłakuję oczy nad moim noszącym ślady wielokrotnego czytania egzemplarzem *Anny Kareniny*.

Rzuciła mu niepewne spojrzenie.

- Znów rozczarowanie? - spytał, patrząc jej w oczy.

- Wręcz przeciwnie, ale nadal ci nie wierzę.

- Chyba nie powiem ci, co czytam - rzekł, zatrzymując się przed ruchliwą drogą.

Spojrzała w jego błękitne oczy.

- To nie mów. Pewnie tekst na pudełku płatków śniadaniowych.

Doczekali się luki w sznurze przejeżdżających samochodów i przebiegłszy przez ulicę, dotarli do parku. Otto niósł w pysku swoją ulubioną, pomarańczową, piszczącą piłeczkę, która była źródłem dylematu, gdy pojawiała się potrzeba zaszczekania na innego psa. Sporo psów kręciło się po tej części parku, gdzie można je było spuścić ze smyczy: owczarki australijskie kelpie, labradory i małe, białe pieski nieokreślonej rasy, ale Otto skupiony był tylko na piłce. William patrzył, jak Lily ciska zabawkę. Jej piękne włosy kołysały się, gdy rzucała piłkę, policzki wkrótce zaróżowiły się od wysiłku. Od przystani wiał wiatr, przynosząc zapach wyschniętych wodorostów i oleju napędowego. Dobiegał ich stukot żaglówek, które obijały się burtami, rozkołysane falą spowodowaną przez przepływającą motorówkę.

- Chcesz mu porzucić? - zaproponowała, sapiąc lekko i podając Williamowi mokrą piłkę. Pytanie zadała tak naturalnie, jakby oferowała mu szklanek wody. Założyła, że zabawa obślinioną piłką sprawi mu równie dużą przyjemność jak jej, i myśl ta sprawiła, że William uśmiechnął się do siebie. Wyciągała tę piłkę w jego stronę, jakby miała w ręce złote jabłko. Rzucił na ziemię kretka, przydepnął go, po czym ostrożnie przejął zabawkę. Otto nie odrywał od niej wzroku. Nie było istotne, kto rzucał, ważne było, żeby ktoś to robił, i to szybko, bo czekania nie był w stanie znieść. William rzucił dalej niż Lily, więc Otto ruszył galopem z błyskiem determinacji w oku.

- Może tak biegać bez końca - powiedziała, patrząc, jak pies wraca do nich truchtem, triumfalnie dzierżąc piłkę w pysku.

- Chyba dobrze sobie radzisz bez Robbiego - rzucił William.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała, schylając się po aport. - Co mam według ciebie robić? Zaszyć się w łóżku i pielęgnować depresję? Pewnie, że bardzo się martwię, ale... Cisnęła piłkę i patrzyła, jak Otto pędzi za nią w dal.

- Ale co?

- Nie może jej znaleźć - zauważyła, obserwując, jak Otto węszy wkoło krzaków, rozpaczliwie próbując odszukać ukochany przedmiot. - Muszę mu pomóc. Dotarła do zarośli, z Williamem tuż za plecami, i na czworakach zajrzała w głąb krzewów. Miała na sobie jasnoniebieskie dzinsy i ulubiony sweter w stylu lat sześćdziesiątych w odcieniu kobaltu, ozdobiony koralikami. Przeciskając się przez krzaki, zaplątała się, i koraliki utkwiły w bezlistnych gałązkach.

- Moja bluzka - pisnęła. - Utknęłam!

Otto biegał wkoło i szczekał, a William przykucnął i zajrzał w głąb zarośli.

- Nie ruszaj się, spróbuję cię wyplątać - obiecał, wczołgując się dalej w krzewy, odłamując gałęzie i odsuwając liście sprzed oczu. Otto szalał, podekscytowany zajściem.

Lily, wciąż na czworakach, czekała bez ruchu. -Uwolnisz mnie bez szkody dla koralików?

- Postaram się, ale wiesz, ta bluzka nie jest najwłaściwsza do przedzierania się przez krzaki.

Wywróciła oczami i zapewniła:

- Następnym razem będę rozsądniejsza.

Kucając obok niej, odłamywał drobne gałązki i wy-supływał je ze swetra. Czuła ciepło jego palców, muskających jej plecy w miejscu, gdzie ubranie podjechało do góry, ukazując kilka centymetrów gołego ciała.

- Lily, wiesz, gdzie jest Robbie?

- Co!?! - krzyknęła, rzucając się do tyłu i wplątując w krzewy również włosy.

- Nie ruszaj się, pogarszasz tylko sprawę! - Delikatnie rozpoczął uwalnianie blond kosmyków. - Au, boli, zostaw! - Już prawie gotowe.

- Co to za pytanie? Gdybym wiedziała, byłabym tam z nim.

- Naprawdę?

- Tak wyglądają metody tajnych służb? Zwabić cel w krzaki, a potem przesłuchać, kiedy się zapłacze?

- Nie przesłuchuję cię.

- Nie, sugerujesz tylko, że nie jestem z tobą szczerą. Myślisz, że ja i Robbie uknuliśmy to wszystko, tak? A ja go kryję? - Nie ruszaj się.

Oddech Williama omiótł jej szyję, kiedy mężczyzna nachylił się, by wyplątać koraliki przy dekolcie.

- Dobrze, teraz wyczołgaj się powoli.

Wycofała się z zarośli i skoczyła na równe nogi, badając stan swetra. Za chwilę spomiędzy krzewów wyłonił się William z piłką w ręce i stanął obok niej. Sięgnął, aby wyjąć z jej włosów drobną gałązkę, ale ze złością odepchnęła jego dłoń.



- Nie jestem podstępna, Williamie. Kiedy znaleźliśmy tę przeklętą książkę i zdaliśmy sobie sprawę, na co trafiliśmy, od razu powiedziałam, żeby oddać ją władzom. Wiedziałam, że nas to przerasta.

Otto podskakiwał, czekając na dalszy ciąg zabawy, ale Lily miała już dość.

- Muszę się napić, chodźmy do domu.

Z mozołem wspięli się z powrotem na wzgórze, ciągnąc na smyczy opornego Otto, który nie krył zawodu z powodu tak rychłego zakończenia zabawy. Dotarli do księgarni i Lily otworzyła, ale William cofnął się od drzwi i wyjął kluczyki do samochodu.

Odwróciła się do niego, spojrzała na jego twarz i burzę czarnych włosów i spytała:

- Zjadłbyś ze mną kolację?

- Powinienem już iść, ale dziękuję.

- Oj, daj spokój, co czeka na ciebie w hotelu, poza egzemplarzem *Anny Kareniny* i obsługą serwującą rybę na parze w holenderskim sosie z kawałkiem tarty jabłkowej?

Uśmiechnął się do niej, lecz nadal się wahał.

- Nie każ się prosić, nie znoszę jeść sama. Będą tylko tosty i możesz sobie pójść, jak tylko skończysz. Nie jestem przecież podejrzaną!

- Nie jesteś. To miło z twojej strony, że mnie zapraszasz.

- Strasznie miło, jak mawiacie wy, Anglicy - dokuczała, odpinając smycz.

William wszedł za nią na górę, zadowolony, że nie będzie musiał jeść sam przed ekranem komputera. Nie podejrzewał, żeby Lily wiedziała, gdzie przebywa Robbie, więc o fraternizacji nie mogło być mowy. I jak sama zauważyła, nie była podejrzana, a być może całkiem nieświadomie wyjawia jakiś fakt, który naprowadzi go na miejsce pobytu Robbiego. Sama może nie zdawać sobie sprawy z tego, ile wie. Był jednak świadom, iż musi wyznaczyć sobie nieprzekraczalną granicę w postępowaniu z nią - nie mogło być żadnych nieporozumień.

Poszukiwania literackie zachowa dla siebie, bo zresztą zaspokajał tylko ciekawość na temat poezji rosyjskiej. Tak w ramach pożywki dla myśli, której dostarczał sobie, gdy leżał w gorącej wodzie, aby nie zastanawiać się, co ona robi w tej samej chwili, albo, co gorsza, nie rozważać, jak korzystnie byłoby, gdyby Robbie już nigdy nie wrócił.

## **ROZDZIAŁ 5**

Lily wbiła jajka do miseczki i podała Williamowi do otwarcia butelkę czerwonego wina. Nalał trunku do dwóch kieliszków i spytał:

- Czy wszyscy w okolicy znają Robbiego?

- Rob rozsiewa czar, uwielbia pogaduszki. To wino pochodzi z jego specjalnej kolekcji - przyznała, wyjmując z lodówki szynkę i ser. - Jeśli zwiął, to możemy pić bez wyrzutów sumienia, a jeśli nie, to... cóż, jakoś mu to wynagrodzę.

Usiadł przy stole z kieliszkiem w dłoni, patrząc, jak dziewczyna rwie na kawałki sałatę i układa ją w misce.

- Zjemy z omletem sałatę zieloną jak wzgórza Anglii -zapowiedziała, rzucając mu z ukosa łobuzerskie spojrzenie.

- Nie przyszło ci na myśl, że może masz za dużo wolnego czasu? Zdaje się, że żyjesz w bardzo ciekawym, lecz własnym, świecie.

- Ciekawe, co miał oznaczać ten eufemizm. - Zaśmiała się. - Mam bogate życie wewnętrzne, a do tego silny kręgosłup. Ale pomimo pracy w księgarni siedem dni w tygodniu nie potrafię być sama. Demony atakują, zagnieżdżają się pod sufitem i pluja z góry na moją psychikę.

Podniosła wzrok znad blatu, gdzie kroїła drobno cebulę, i przyłapała go na studiowaniu portretu jej i Rob-biego.

- Więc Robbie na ogół krąży gdzieś w okolicy? Zmieszała sałatę z cebulą, skropiła oliwą z oliwek

i octem, postawiła całość na stole i sięgnęła po kieliszek z winem.

- Hm, jak by to powiedzieć? Czasem sam warzy sobie gdzieś piwo, ale zawsze wraca do domu, by je wypić.

- Jestem ci wdzięczny za gościnę - rzekł. - Siedzę przy jego stole, piję jego wino...

Przewróciła omlet na drugą stronę, odczekała minutę, po czym zsunęła go na talerz i zaczęła smażyć następny.

- Sam by cię zaprosił, uwielbia gości, wino powinno lać się strumieniami. Byłby zachwycony, mając za partnera do rozmowy kogoś z twoją aurą tajemniczości.

Zaciągnąłby cię do pubu, przedstawił jako swojego najlepszego kumpla, a potem spilibyście się w sztok, jak nakazuje australijska tradycja, kiedy jakiś gość przypadnie drugiemu do gustu. A wreszcie skończylibyście razem w rynsztoku. Nic tak nie zbliża.

William roześmiał się.

- Może by i tak było, ale chyba za wiele przypisujesz mojej pracy. Większość zawodów to dziewięćdziesiąt procent harówki i dziesięć procent wrażeń.

- Zrozum - powiedziała, wbijając widelec w omlet -jeśli siedzisz cały dzień w księgarni, wszystko inne wydaje ci się ekscytujące, nawet życie śmieciarza. Pomyśl o tym, co on widzi każdego dnia. Resztki życia ludzi, fizyczny trop prowadzący do wnętrza ich dusz.

Ostatnie słowa wypowiedziała z zamkniętymi oczami. Pokręcił głową.

- A co jeśli śmieciarz nie jest ciekaw innych ludzi

l postrzega swoją pracę jako przerzucanie gnoju. Niektórym niewiele trzeba do szczęścia.

- Sama nie wiem - odparła, odsuwając od siebie talerz.

- Dlaczego nie lubisz być sama? Popatrzyła na niego zakłopotana.

- W porządku, nie musisz mnie niańczyć. Możesz wyjść, jeśli tylko masz na to ochotę.

- Tego nie powiedziałem. - A potem miękkim tonem dodał: - Lubię być z tobą, Lily.

- Świetnie, to zjesz dokładkę sałaty. Nałożył sobie jeszcze porcję, a ona spytała:

- Przeglądałeś księgę, której szukasz?

- Nie oryginał, rzecz jasna, ale mam kopię, więc wiem, na co poluję.

- Masz ją ze sobą? Bo ja nie miałam okazji jej zobaczyć. Robbie powiedział, że ryciny są dla mnie zbyt wyuzdane.

William roześmiał się.

- Mam ją w samochodzie, jeśli chcesz sama ocenić.

- Poproszę.

Lily wrzuciła naczynia do zlewu, pozmywa później. Umyła ręce, poprawiła włosy i zajęła miejsce na kanapie,

podkuliła nogi i włączyła stojącą lampę. William wrócił na górę i usiadł przy niej.

- Czuję się tak, jakbyś miał zamiar przeczytać mi książkę przeznaczoną tylko dla starszych dzieci.

Dostrzegła w jego oczach pytanie.

- Dzieciństwo pod kloszem. Pokaż, co tam masz.

- Lily, wedle dzisiejszych standardów te obrazy są bardzo łagodne, większość nastolatków widziała dużo gorsze sceny w internecie.

- No dobrze. - Skinęła głową. - Otwieraj.

- Te rysunki to kopie fresków i rzeźb odnalezionych w Pompejach. Zaszokowały Europę, kiedy w dziewiętnastym wieku obejrzano je po raz pierwszy.

- Dobrze, już dobrze, pokaż wreszcie! - Niecierpliwiła się, zaglądając mu przez ramię do książki.

- Nie zemdlejesz? Nie spłoniesz rumieńcem? -upewniał się, nie dając wyrwać sobie tekstu. Przyjrzała się jego błękitnym oczom, lśniącym w świetle lampy, i zarostowi, który pojawił się na brodzie pod koniec dnia i którego mogłaby dotknąć, tak był blisko.

- Jestem odporna na szok. Otworzył księgę na pierwszej stronie.

- O matko! - wykrzyknęła Lily, zakrywając usta dłonią. Potem roześmiała się i przyjrzała z bliska. - W internecie chyba nie ma satyrów. - Książka była tak duża, że Lily musiała usiąść tuż obok Williama i trzymać połowę tomu na kolanach. Starła się zignorować to, że ich uda się stykają.

- Może nie autentycznych.

- Satyr pieprzący kozła, co?

- Czasem myślę, że przypisy autora są ciekawsze od samych rycin. Był jednocześnie zafascynowany i zgorszony. Spójrz tutaj, pisze: „działająca na zmysły pasja i silne zadowolenie na twarzy satyra”.

Lily pokiwała głową i przewróciła stronę. William był zaskakującym człowiekiem. Myślała najpierw, że jest zwykłym najemnikiem, ale za każdym razem gdy go spotykała, budził w niej coraz większe zainteresowanie.

Przewracał strony, z których spoglądały na nią fauny, satyrowie, hermafrodyty, a wszyscy z ogromnymi erekcjami. Towarzyszyły im pary nowożeńców w trakcie nocy poślubnych, a także puchary oraz rzeźby mężczyzn ze wzwodem, aż wreszcie skwitowała:

- Sami mężczyźni!

- Oczywiście. To było zdominowane przez mężczyzn społeczeństwo militarne.

- Hmm - mruknęła, zaglądając na kolejną stronę.

- Przestrzeń kobiet ograniczana była do gospodarstwa domowego, a one same definiowane poprzez potrzeby seksualne mężczyzn.

- Brzmi znajomo - wyszeptała.

- Słucham?

- Ten jest piękny - powiedziała Lily, przewracając kolejną kartę książki i nie reagując na jego pytanie. - „Pocałunek fauna”.

- Sprawdźmy, co pisze Fanin - zasugerował William i przeczytał: „Faun rzuca ją na ziemię, jego wargi napotyka usta nimfy, a jego dłoń skrada się po jej bujnym biuście”.

Lily oderwała wzrok od obrazu tylko na chwilę, by zerknąć na Williama.

- Czytaj dalej.
- Fanin pisze więc: „Kobieta, daleka od gniewu, zdaje się mocno odurzona, a jej niecierpliwa żądza zwłokę jego beszta...”
- Nie wiem, czemu Robbie nie chciał, żeby to zobaczyła. Może te kozły są rzeczywiście trochę gorszące, ale poza tym...
- Rzymianie celebrowali seksualność, nie chowali jej ze wstydem, tak jak czyni to nasza kultura.
- To by mu się podobało.
- Robbiemu?

Przytaknęła i zamknęła książkę.

- Tęsknisz za nim?

Zdawała się zaskoczona pytaniem i dłuższą chwilę zajęło jej znalezienie odpowiedzi.

Wiedział, że nie powinien był pytać, to przecież było bez znaczenia. Podążył spojrzeniem za jej wzrokiem, wbitym w ich wspólną fotografię.

- Sebastian zrobił to zdjęcie przed wyjazdem do Anglii. Zorganizowaliśmy pożegnalny piknik w parku. To były dobre czasy... Nieźle się wtedy bawiliśmy.

Nie czekając na dalsze słowa, William wstał i oznajmił:

- Muszę iść. Dziękuję za kolację, jestem zobowiązany.
- Nie uciekaj jeszcze - zaproponowała, patrząc na niego. - Muszę zaproponować ci kawę.
- Żadnej kawy, dziękuję.



Zawahała się przez chwilę.

- Odprowadzę cię, skoro musisz jechać. - Wstała i przeciągnęła się, po czym westchnęła i powtórzyła jego pytanie:

- A więc, czy tęsknię?

- Obawiam się, że naprawdę muszę już iść - powtórzył.

- Oczywiście, że tęsknię i martwię się o niego, i to bardzo.

Nie skomentował jej słów. Zeszła na dół i człapiąc po podłodze bosymi stopami, mijała rzędy książek i obwieszane mapami ściany, a William w milczeniu podążał za nią.

Otworzył drzwi i wyszedł w zimne powietrze nocy. Lily zadrżała.

- Dobrej nocy, Lily, raz jeszcze dziękuję.

- Nie musisz zawsze być taki oficjalny - powiedziała, gryząc paznokieć.

Przez twarz przemknął mu cień uśmiechu. Pożegnał się. Patrzyła, jak wsiada do samochodu, czując huczącą w głębi burzę uczuć. Pragnęła całusa na dobranoc, przytulenia, a może nawet jeszcze jednego, dłuższego pocałunku. Zamknęła jednak drzwi na klucz i poszła na górę, do łóżka.

## ROZDZIAŁ 6

W poniedziałek gotowa była zadzwonić na policję. Zamiast to uczynić, pojechała zobaczyć się z Sebastianem. Nie była już w stanie sama znosić stresu wywołanego zniknięciem Robbiego, więc wyprowadziła z garażu zabytkowego citroena i wybrała się do starego znajomego, który handlował antycznymi meblami i zarabiał na życie, sprowadzając dla klientów przeróżne wiekowe przedmioty.

Wchodząc do jego galerii, minęła szczupłą, młodą kobietę opuszczającą właśnie lokal z uśmiechem na ustach. Zastała Sebastiana siedzącego z nogami na biurku i z grubym cygarem w zębach. W oczy rzucały się jego podarte dżinsy i pionierki, a całości *image u* dopełniał otaczający go zapach terpentyny.

- A, Lii, ślicznotko! Widziałaś dziewczynę, która właśnie wychodziła?  
Skinęła głową.

- Już trzy razy przychodziła pytać o krzesło z epoki królowej Anny. Ale podejrzewam, że tak naprawdę bywa tu ze względu na mnie. Jak myślisz?

- Z całą pewnością, Seb. Przy ilości zwierzęcego seksapilu, jaką dysponujesz, dziwię się, że w galerii nie kłębi się tłum ponętnych pań domagających się twej uwagi.

Roześmiał się.

- Też się dziwię. I co, znalazłaś w końcu Robbiego? Albo on ciebie?

- Co takiego?

Zapomniała, że dzwoniła do Sebastiana zaraz po zniknięciu Robbiego. Mężczyźni znali się jeszcze ze szkolnej ławy, obaj byli bogatymi dzieciakami w ekskluzywnych, prywatnych szkołach, obaj wozili się BMW, gdy tylko dostali prawo jazdy, ostro imprezowali i wielokrotnie zmuszali rodziców do wpłacania za nich kaucji w areszcie. Potem Sebastian przeszedł przez długi szereg związków, a Robbie stworzył dom z Lily.

- Śmierdzi tu - skrytykowała Lily, siadając na obitym jedwabiem klęczniku. - Jak możesz palić to świństwo?

- Nadaje galerii aromatu, aurę przepychu... a tego właśnie oczekuje klient. Ale - zauważył, wstając głośno i uderzając dłońmi w blat - nadeszła pora lunchu, więc, skoro nalegasz, zapraszam cię.

- Nie jestem głodna.

- A ja tak, więc w drogę.

Z nabożną uwagą zgasił cygaro i wetknął je do kieszeni koszuli, po czym udali się w górę ulicy do jednego z pubów. Siedząc nad zwęglonym nieco stekiem, grillowanymi grzybami i kieliszkiem wina Shiraz, Lily

opowiedziała Sebastianowi wszystko, co się dotąd wydarzyło. Kiedy wspomniała o pierwszej wizycie Williama, zmarszczył brwi i odłożył widelec. Patrzył na nią bez słowa niemal przez minutę, po czym się upewnił:

- William Isyanov, czarne włosy, angielski akcent, aura grozy? Ten Isyanov?
- Seb, on jest uroczy, zupełnie niegroźny i bardzo miły.
- Bez obrazy, Lily, kochanie, ale jesteś doprawdy soczystą sztuką.
- I dlatego jest dla mnie uprzejmy? - Pokręciła głową ze wstrętem. - Sebastianie, jesteś obleśny. Nie wszyscy faceci myślą przyrodzeniem.

Przyjrzał się jej znad kieliszka wina.

- Powiem ci, moja śliczna perełko kobiecości, że jeśli węszy tu Isyanov, to znaczy, że Robbie znalazł się w bardzo głębokim łajnie.
- Wiem, że jest w tarapatach, a William nie chce, żebym dzwoniła na policję ani w ogóle do nikogo. Mało brakuje, żebym zwariowała z nerwów. Nie kontaktował się z nikim, ani ze mną, ani z rodzicami, ani z tobą.
- Hm - mruknął, wkładając do ust kęs steku i żując z namysłem. - Ja też jeszcze nie dzwoniłbym na policję.

- A co wiesz na temat Isyanova? - spytała Lily, siląc się na niedbały ton.

Sebastian zawahał się, po czym wypił łyk wina.

- Pracuje dla londyńskiej firmy o nazwie Weston, a to wredne sukinsyny, możesz mi wierzyć. Jeśli tropi jakiś przedmiot, to z pewnością jest to coś bardzo wartościowego, oni nie pracują za Bóg zapłać. Słyszałem, że Isyanov zatrudnia najbardziej psychopatycznych zbirów

w branży, żeby odzyskać to, co się klientowi mniej lub bardziej prawowicie należy.

- Czyli sam nie wyłamuje palców?

Sebastian wzruszył ramionami i ponownie zaatakował stek. Lily patrzyła, jak różowe mięso rozrywa się pod dotknięciem noża.

- Mam nadzieję, że nie. Pewnie kilka wyłamał, ale raczej się tym nie zajmuje. Stoi z boku i patrzy, jak inni robią, co trzeba.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Pamiętasz, że pracowałem dla domu aukcyjnego Sotheby's w Londynie - wyjaśnił. - I, kochana, tam, gdzie jest kasa, jest i wojna, walka dobra ze złem. Wszystkie istoty z dołu łańcucha pokarmowego przyciąga wizja wielkiego pieniądza. Tacy jak Isyanov działają tak, żeby bogactwo zostało w rękach bogaczy.

- Co mam robić?

- Uważaj na siebie, ale żyj codzienną rutyną. Robbie w końcu się pojawi.

Lily zupełnie straciła apetyt i teraz bawiła się jedzeniem.

- Myślisz, że nic mu nie będzie?

Milczał przez chwilę, a potem odsunął od siebie talerz i westchnął.

- Przez to, co zrobił, Robbie wdepnął w przerażający świat. Nie wiem, czy da sobie radę z facetami, którzy spędzają życie, zawodowo wychytując takich jak on. Ma jaja, to trzeba mu przyznać, ale trzymajmy kciuki, żeby wystarczyły w przypadku tego wyskoku. -

Przerwał i przez chwilę patrzył przed siebie bez słowa. - Trochę mnie to martwi.

Lily miała w palcach serwetkę.

- A jeśli nie jest wystarczająco twardy? Sebastian wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, Lii.

Wyszli z pubu i Sebastian odpalił połówkę cygara, które zachował wcześniej. Kiedy wrócili do jego galerii, obrócił się do niej i zapytał:

- Naprawdę obchodzi cię los Roberta? Zamrugła szybko i odwróciła wzrok w stronę samochodów sunących w dół ulicy Queen.

- Wiesz, że nie jest cię wart. Już nie.

- Jeśli coś mu grozi, muszę mu pomóc.

- Nic mu się od ciebie nie należy. Wystaw jego graty za drzwi i żyj dalej. To może być akurat wygodny moment, żeby zakończyć...

- Wygodny moment? Seb! Jak możesz tak mówić? To twój najlepszy przyjaciel. Zdaję sobie sprawę, jaki jest. Rozumiem, czego mi nie mówisz. Chyba... Ale...

Sebastian objął ją i mocno przytulił.

- Dawaj mi znać, co i jak, maleńka, i uważaj na tego Isyanova, to bezwzględny człowiek.

Firma Weston odpisała na jej mejla, potwierdzając tożsamość Williama i dodając, że ma nieskazitelną reputację, a zadanie w Australii wykonuje na zlecenie. Wstrząsnęło nią jednak to, co opowiadał Sebastian. Isyanov odwiedził jej dom, byli sam na sam, ale nie dostrzegła żadnych oznak bezwzględności.

Powściągliwy i z rezerwą - tak, ale w końcu to Anglik. Był grzeczny, delikatny i skupiony na wykonywanej pracy, ale nie czuła żadnego zagrożenia. Może mężczyźni patrzą z innej perspektywy.

Lily obudzili hałasujący sąsiedzi, którzy wracali w nocy do domu. Ich stłumione chichoty przypomniały jej o tym, że kiedyś ona i Robbie też umieli się tak dobrze bawić. Usiadła i podciągnęła koc pod brodę. Gdzie on się, do diabła, podziewał? Wiedziała, że gdyby to ona zaginęła, Robbie odnalazłby ją bez względu na wszystko. A ona co? Posłuchała rady faceta, którego ledwo знаła, i nie zawiadomiła policji. Z drugiej strony i tak pewnie nic by nie zrobili. Umieściliby jego nazwisko na liście osób zaginionych i zamknęli sprawę. Lily znów się położyła i zaczęła wpatrywać w puste miejsce obok siebie. Firma Weston ręczyła za Williama, a on szukał jej chłopaka. Tak jej się przynajmniej wydawało. Sebastian radził jej nie dzwonić na policję, ale co, jeśli ciało Robbiego zostanie wyłowione z zatoki z karteczką z napisem „Za długo zwlekaliście”? Jak wytłumaczy to jego rodzicom?

Podniosła telefon i spojrzała na zegar. Była prawie trzecia nad ranem. Odłożyła słuchawkę, ale po chwili znów wzięła ją do ręki i wykręciła numer.

Odebrał telefon szorstkim tonem, co zbiło ją z tropu, zważywszy na jej roztrzęsienie.

- To ja, Lily.

- Gdzie jesteś?

Słysząc było, że go zbudziła.

- W domu. Robbiego nadal nie ma, dzwonię na policję. Może być ranny, sama nie wiem.

Minął tydzień, już dłużej nie mogę!

- Czekaj, nic nie rób, zaraz tam będę! Do nikogo już nie dzwoń, dobrze? Zaczekaj na mnie. Kwadrans później stał na progu. Dochodziła trzecia rano i była mu wdzięczna, że przybył tak szybko. Gdyby zwlekał, spanikowałyby i zaczęła jeździć po szpitalach w poszukiwaniu Robbiego.

- Wejź na górę - powiedziała, prowadząc go przez spowitą mrokiem księgarnię.

Pragnęła otuchy, chciała, żeby przytulił ją i powiedział, że wszystko będzie dobrze, ale on zdawał się celowo do niej nie zbliżać. Miała na sobie bladozielony, jedwabny szlafroczek przypominający kimono, obsypany pąsowymi piwoniami. Siedząc na kanapie, przesuwiała palec po materiale, kreśląc kształty kwiatów.

- Co ja mam zrobić? Muszę zadzwonić na policję, bo co jeśli on... on... - nie potrafiła wypowiedzieć zdania do końca.

William zajął miejsce przy stole. Przejechał dłonią po ciemnym zaroście na brodzie.

- Czy już kiedyś tak się zachował?

- Jak? Czy zniknął?

- Tak, czy wyjeżdżał bez wyjaśnień. Czy mógłby mieć kochankę?

Zaskoczona pytaniem, spojrzała na niego zraniona.

- Skąd ten pomysł?

- Czyli może mieć kogoś? - Westchnął.



- Może leżeć nieprzytomny w szpitalu albo... na dnie przepaści, albo jeszcze gdzieś indziej! - Otarła łzę i wbiła wzrok w podłogę.

- Napijmy się herbaty.

Lily pociągnęła nosem i ścisnęła mocniej pasek szlafroka.

- Cholerni Anglicy, wydaje się wam, że filiżanka herbatki rozwiąże każdy problem - mruzczała pod nosem, mijając go i wchodząc do kuchni. - Od razu mówię, że tym razem nie rozwiąże.

- Ważne, żebyśmy nie zawiadamiali policji. Muszę założyć, że zniknięcie ma związek albo z inną kobietą, albo z książką, jedno z dwojga.

Czajnik zaczął gwizdać, ale ona wzięła się pod boki i spojrzała wprost na niego.

- Założyć? Musisz założyć istnienie kochanki!? - Jej głos przeszedł w krzyk. - Ta sprawa to twoja praca, ale też moje życie! I Robbiego!

Wstał i zrobił krok w jej stronę, ona jednak nie przerywała tyrady.

- Jesteś gotów przeczołgać się przez jego zwłoki, żeby tylko dostać książkę w swoje ręce, odebrać czek i zniknąć. Jak śmiesz czynić jakiegokolwiek spekulacje na temat naszego życia?

Dla wzmocnienia efektu uniosła ramiona i w tej chwili pasek zsunął się z jej bioder, a szlafroczek rozchylił się szeroko.

Cofnął się o krok, podniósł ręce do góry, jak gdyby ktoś mierzył do niego z karabinu, i nie odrywał wzroku od jej oczu. Lily wydała stłumiony okrzyk. Nie patrząc przed siebie i popychając Williama lekko, wybiegła do

sypialni. Drzwi trzasnęły i dało się słyszeć, jak dziewczyna płacze w poduszkę. Otto, wstrząśnięty odgłosem jej szlochów, zaczął skomleć i próbował wedrzeć się do pokoju przez cienką szparę pod drzwiami.

William stał w kuchni wpatrzony w drzwi sypialni. Najwyraźniej nerwy Lily puszczały pod ciężarem stresu i był na siebie zły, gdyż po części czuł się za to odpowiedzialny. Wspomnienie jej białych piersi o bladych sutkach nie pozwalało mu się skupić. Słyszał, jak szlocha za drzwiami. To nie on powinien ją pocieszać. Przeczesał włosy palcami, niepewny, co robić. Potrzebowała teraz rodziców czy bliskiej przyjaciółki, ale nie miała nikogo, bo sam nalegał, by zachowała dyskrecję.

Zrobił krok w kierunku drzwi. Otto popatrzył na niego, a jego wzrok mówił: „No dalej, stary, jesteście jej potrzebni!”. Spojrzenie Williama powędrowało na porysowany blat sosnowego stołu, gdzie spoczywał otwarty opasły tom: książka z przepisami na dzemy. Przewrócił stronę, po czym znów spojrzał na drzwi. Robbie był skończonym idiotą, jeśli uciekł do innej.

William nie mógł jednak przyjąć, że tak właśnie się stało, i nie powinien był wspominać o tym przy Lily. W tej branży nie wolno niczego zakładać. Robbie mógł nie żyć. Być może zginął, dzierżąc w ramionach nieszczęsną księgę w obronie swego prawa do niej.

Mogli go zabić, podczas gdy on, William, uczył się na pamięć wierszy i wpatrywał w lilie wodne.

Otworzył drzwi sypialni i poprosił:

- Lily, pozwól mi wyjawić ci trochę więcej o całej sprawie.

- Wyjdź, nic mnie to nie obchodzi! - dobiegł z poduszki jej głos. - Idź sobie.

Nie ruszył się od drzwi i patrząc na jej skuloną postać, zaczął tłumaczyć: - Ja...

Przewróciła się na bok, ukazując zalaną łzami twarz na tle jasnych włosów rozsypanych po poduszce.

- Nie ma żadnego „ja”, to tylko twoja praca - powiedziała, patrząc na niego. Światło padające na jego wydatne kości policzkowe nadawało mu wygląd prowadzącego przesłuchanie funkcjonariusza KGB, co jeszcze bardziej wytrąciło ją z równowagi.

- Ta książka była własnością pewnego biznesmena z Sycylii. Miał sporą kolekcję, całą erotykę klasyczną. Została rozkradziona, prawdopodobnie na zlecenie, a następnie podzielona przez komórki, które przy pomocy pośredników miały rozprowadzić dzieła w różnych krajach. Nasza księga trafiła do Nairobi, skąd najpewniej odebrałby ją kolejny zainteresowany. Z tym że zanim do tego doszło, niespodziewanie zjawił się Robbie.

Prawnicy wspomnianego Sycylijczyka skontaktowali się z firmą Weston w Londynie.

Twierdzą, że szef nie chce żadnego rozgłosu, wzmianek w gazetach ani policji. Nie zależy mu na niczym z wyjątkiem odzyskania książki. A ten gość na ogół dostaje to, czego chce.

Owinąwszy szlafrok mocno wokół talii, starała się usiąść, nie spuszczając z Williama szeroko otwartych oczu. Oddech miała wciąż urywany od płaczu.

- Nie mogę podać ci nazwiska właściciela, ale zapewniam cię, że nie jest miłym facetem, a na Sycylii ma ogromną władzę.

- Chcesz powiedzieć, że jest z mafii? - wyszeptała. - Ta cała historia z każdą chwilą staje się coraz dziwniejsza... Przecież to śmieszne!

- Oni wcale nie są zabawni, możesz mi wierzyć. A ja nie powiedziałem, że facet jest mafiosem, choć sama potrafisz dodać dwa do dwóch.

Nagle przysłoniła twarz ręką.

- Ty też pracujesz dla mafii?

- Nie, nie tak szybko! Ja pracuję dla Weston, których z kolei wynajęła legalnie działająca firma prawnicza Studio Legale Andreano w Rzymie w celu dyskretnego odzyskania książki. Dyskrecja jest tu pojęciem kluczowym. Jeśli o sprawie dowie się policja, zawiadomią władze we Włoszech, a oni z kolei zarekwirują dzieło z rąk Weston lub moich, kiedy tylko je odzyskamy, gdyż figuruje na liście obiektów skradzionych z muzeum archeologicznego w Neapolu.

- Ale dlaczego mafii zależy na starych drukach? Nie powinni przechadzać się ulicami, patrząc spode łba i wlokąc pięści po ziemi?

- Na twoim miejscu natychmiast przestałbym używać tego słowa. A dzieła sztuki, współczesne czy antyczne, często służą jako element wymiany bądź dodatkowego zabezpieczenia w świecie przestępczości zorganizowanej, gdy zbyt trudno jest wyprać pieniądze.

- Och - jęknęła, znów zakrywając usta dłonią. Poczowała, że w jej życiu właśnie pojawił się powiew wrażeń,

O którym zawsze marzyła, ale był stanowczo zbyt silny, jak na jej potrzeby.

- To co z tą filiżanką herbaty? - spytał, zerkając w stronę kuchni.

Zdała sobie sprawę, że szlafrok podsunął się jej do połowy uda. Popatrzyła na Williama. Tak, najlepiej będzie opuścić sypialnię.

- Idź zaparzyć, a ja włożę coś cieplejszego. Odnotowała ulgę w jego spojrzeniu, gdy zamykał

drzwi. Rozglądając się wokół za dzinsami i koszulką, starała się przetrwać to, co właśnie usłyszała. Nie chciało jej się wierzyć, że przestępcy na skalę międzynarodową wsunęli brudne macki w jej spokojne życie. Usłyszała gwizd czajnika i Williama tłukącego się po kuchni, więc otworzyła drzwi. Przeczesała włosy i zawołała:

- Przykro mi, nie mam dzbanuszkę, są tylko torebki! Przyniósł herbatę do stołu, a ona spojrzała na niego

1 spytała:

- To co robimy? Jak znajdziemy Robbiego?

- Żałuję, że nie pokazaliście mi książki. Wzruszyła ramionami i zatopiła wzrok w herbacie.

- Robbie powiedział, że możesz nie być tym, za kogo się podajesz, i że powinniśmy cię najpierw sprawdzić.

- I zrobiliście to? - Tak.

Nic nie odrzekł, przez chwilę siedzieli więc w milczeniu.

- Ktokolwiek ukradł kolekcję tego faceta, popełnił przerażająco głupi błąd. Gość nie brzydzi się zabijaniem, a nienawidzi, jak ktoś robi z niego idiotę. Honor i zemsta są nierozłącznie związane ze światem, do którego należy,

więc jeśli dzieła się nie znajdą niezwłocznie i po cichu, tak żeby nikt się nie zorientował, on stanie się żądny krwi. Krwi, która pomoże mu zachować twarz, rozumiesz?

- Krwi Robbiego, tak?

- Być może, nawet jeśli w posiadanie skradzionych dzieł wszedł bezwiednie. A policja niewiele może zdziałać. Miałem nadzieję, że uda mi się z nim porozmawiać, zanim wykona jakiś ruch związany z książką. Teraz, rzecz jasna, muszę go odnaleźć, zanim zrobią to inni.

- Inni?

- Wartość zguby przekracza dwadzieścia milionów dolarów. Są tacy, którzy pragną jej tak bardzo, że są gotowi zabić. Albo jeszcze inni, którzy nie chcą, aby trafiła z powrotem w ręce mojego klienta.

Lily padła na krzesło i schowała twarz w dłoniach.

- To jakiś koszmar. Zawsze wystrzegaliśmy się fałszywek, podróbek, zwracaliśmy uwagę na akty własności i wszelkie dokumenty. I nagle spotyka nas coś takiego!

- Gdybyście wystawili ją na sprzedaż i wieść o niej by się rozeszła, a na pewno by się tak stało, ty i Robert zmarlibyście pewnie od przedawkowania heroiny, zginęli w wypadku samochodowym lub po prostu zniknęli. Spojrzała na niego z przerażeniem.

- To co my teraz zrobimy?

- Najlepiej nic. Dzwoniłaś już do kogoś?

- Tak, do jego rodziców i trzech najlepszych kumpli. Nikt nie wie, gdzie jest Robbie. Nie robiłam z tego afery. Sebastian jest trochę zorientowany w sytuacji i Suzy też, odrobinę.

- Kim jest Sebastian?

Oparła głowę na rękach i wymamrotała:

- Przyjacielem.

- Lily, musisz być dzielna - powiedział łagodnym tonem.

- Jestem kochającym komfort tchórzem. Chcę tylko, żeby wszyscy zostawili mnie w spokoju z moimi książkami, dzemem i kilkoma ładnymi sukienkami. - Popatrzyła na niego i przetarła oczy dłonią. - Ty idź i rozwiąż to wszystko, sprowadź Robbiego do domu, a mi pozwól odkurzać opasłe tomiska, dobrze?

- To tak nie działa - rzekł, dopijając herbatę. - Chodź na dół, zamkniesz za mną.

Przeszli przez księgarnię, a ona całą drogę podziwiała jego opiętą dzinsami pupę i czarne włosy opadające falą na bok, jak u bohatera byronicznego. W powietrzu wyczuła delikatny zapach goździków. Zawstydziała się swoich myśli. Robbie lada chwila mógł lec na dnie oceanu, a ona miała grzeszne myśli o mężczyźnie, który był w stanie go ocalić.

Gdy stanęli przy drzwiach, rzekła:

- Więc tak naprawdę pracujesz dla bandziorów, choć w nieco okrężny sposób...

Odwrócił wzrok i spojrzał w głąb ulicy.

- Pracuję dla Weston.

## **ROZDZIAŁ 7**

Kolejnych kilka dni strasznie się wlokło. Lily wielokrotnie sprawdzała pocztę, upewniała się, że komórka jest w pełni naładowana i co rano z niecierpliwością wyczekiwała listonosza. Jednak ani Robbie, ani William nie wysłali jej żadnej wiadomości. W czwartkowe popołudnie była już tak zdenerwowana, że nie mogła pracować. Otto potrzebował spaceru. Ona zresztą też. Już miała wyłączyć komputer, ale postanowiła sprawdzić jeszcze stan konta bankowego, żeby zobaczyć, czy wpłynęła należność za gazety „Spectator”, które niedawno sprzedała. Oczekiwany przelew dotarł, ale ku swojemu zdziwieniu ujrzała, że to jedyna kwota, jaką posiada. Kliknęła na rachunek hipoteczny, niezmiennie bezlitośnie obciążony, po czym wróciła na konto, gdzie na ogół trzymali dziesięć tysięcy na zakup towaru.

Pieniądzy nie było. Sprawdziła historię transakcji i kalendarz. Wszystko wybrano we wtorkową noc, wtedy, gdy zniknął Robbie.



Ręce jej drżały, kiedy wstukiwała numer banku, aby spytać, czy nie zaszła pomyłka. Nie, podjęto całą kwotę, a na formularzu znajdowały się oba wymagane podpisy, jego i jej. Ogarnął ją lęk, który skradał się za nią przez ostatnie dwa tygodnie, a teraz dopadł i wziął ją we władanie. Wybiegła do magazynu i zwymiotowała. Trzymając się ściany, osunęła się na podłogę. Sytuację natychmiast wykorzystał Otto, który wiecznie czyhał na nią z językiem - zjawił się teraz i dokładnie wylizał jej twarz. Przytuliła go i zaczęła wypłakiwać żal w szorstką sierść.

- Co się dzieje, Otto? Co on najlepszego zrobił? - Otto wysliznął się z jej objęć i poddał się nagłej chęci wylizania sobie odbytu. - Nie waż się już nigdy mnie lizać, brudny psie! - krzyknęła, chowając twarz w dłoniach.

Otto potruchtał wesoło do szklanych drzwi frontowych, za którymi ujrzał swojego przyjaciela, specjalistę w odzyskiwaniu piłek. William stał tam już chwilę, próbując rozszyfrować, co się dzieje, a teraz zastukał w szybę i zawołał do Lily. Pies wrócił do niej, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz, nie wszystko stracone, przyszedł drapacz brzuchów! Poleż jeszcze trochę i obróć się na plecy, to może i ty załapiesz się na pieściznę!”.

Lily ujrzała twarz Williama w drzwiach, zaczęła więc wstawać. Najpierw oparła się na dłoniach i kolanach, a potem przeszła na czworakach do biurka, podciągając się do pozycji pionowej. Chwiejnym krokiem dotarła do drzwi i wpuściła go do środka.

- Lily, co się stało? Wszystko w porządku?

- To pytanie jest chyba zbędne, prawda? Czy wyglądam, jakby było w porządku? A gdybyś jednak potrzebował odpowiedzi, to nie, nie jest.

Podeszła do biurka, schowała twarz w dłoniach i znów wybuchnęła płaczem. Czuła, że stoi obok niej. Normalnym, ludzkim odruchem byłoby pocieszenie, poklepanie po plecach, podanie szklanki wody czy przytulenie. Ale on tylko stał i w milczeniu przyglądał się ekranowi. Potrąciła myszkę ręką i komputer ponownie wyświetlił jej puste konto. Pochylił się nad nią i uważnie spojrzał na rachunek. Podniosła troszkę głowę, wciągając woń palonych goździków i silny, odurzający zapach męskiego potu. Potarła oczy, gdy kucnął przy niej, tak że jej twarz była na równi z jego.

- To wasze wspólne konto?

- Tak. To wszystko, co posiadaliśmy, poza udziałami w tym domu i interesem. Cała nasza gotówka.

Zacisnęła mocno usta, starając powstrzymać się od płaczu.

- Dlaczego mi to robi? - Zamknęła oczy.

- Nie możesz być pewna, że to jego sprawka.

Gdy uniosła powieki, ujrzała jego twarz blisko swojej. Wciąż patrzył w ekran.

- Ktoś podrobił mój podpis. Kto, jeśli nie Robbie?

- Niekoniecznie on. Każdy mógł podpisać się za ciebie, jeśli tylko miał na to ochotę.

- Ale dlaczego ktoś miałby tego chcieć? Po co grabić marnych dziesięć tysięcy, skoro jest się w posiadaniu bezcennej księgi, a nieszczęsnego księgarza posłało się na dno oceanu?

Wstał i odparł:

- Tego właśnie staram się dowiedzieć.

- Dla mnie to koniec. Nie mogę...

- Chodźmy na górę, zrobię ci drinka.

Siedziała jednak nadal bez ruchu, nie mając sił kiwnąć nawet palcem. Kucnął znów przy niej i wziął ją za rękę. Powoli potrząsnęła głową.

- To sprawka Robbiego, nikogo innego. To on, wiem, że tak było. Uciekł z książką i wszystkimi naszymi oszczędnościami, a mnie zostawił tu samą, żebym sprzątała jego bałagan.

Tym razem William nie zaprzeczył jej słowom. Bez słowa wstała, przeszła obok niego i pomału wspięła się na schody, po czym zniknęła w głębi sypialni, zamykając za sobą drzwi.

William nadal wpatrywał się w komputer. Robbie zwiął. Zabrał księgę, wszystkie pieniądze i zostawił dziewczynę, żeby sama dała sobie radę. Idiota to mało powiedziane. Oczywiście nie mógł wiedzieć, kto ruszy jego tropem, ale jeśli wydawało mu się, że William stanowił problem, to grubo się mylił.

Zerknął na schody i zamknął drzwi. Jak mógłby zostawić ją samą po odkryciu tak strasznej zdrady? Istniała szansa, że się mylą i że ktoś inny wyczyścił konto, ale, jak przekonał się już wielokrotnie, najprostsze wytłumaczenia na ogół były prawdziwe. Nie znał Lily wystarczająco dobrze, żeby mieć pewność, iż pozostawiona sama sobie nie zrobi niczego niemądrego, czegoś, czego nie dałoby się później łatwo odkręcić. I tak naprawdę wcale nie chciał zostawiać jej samej, więc wszedł po schodach i usiadł na kanapie.

William i Otto popatrzyli po sobie.

Pies raczej lubił tego *homo sapiens*. Może poda mu wieczorny posiłek, o którym pani najwyraźniej zapomniała.

William sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął ołówek oraz mały szkicownik, mniej więcej rozmiarów paczki papierosów. Rozejrzał się po pokoju i wybrał za model stary, pęknięty dzban stojący na regale. Zaczął rysować.

Lily leżała na niepościelonym łóżku, patrząc w przestrzeń, nie czując nic. Robbie był egoistą, przedkładał siebie ponad wszystko, zdradzał ją, ale nigdy nie dopuścił się czegoś podobnego. Zawsze dbał o to, żeby naprawiać swoje błędy, chronił ją przed nimi, lał łzy w przypływie skruchy, gdy widział ją płaczącą. Przeleżała tak kilka godzin, słysząc, jak Otto węszy pod drzwiami. Nie ruszyła się, nawet gdy zapadał wieczór i mrok wypełniał sypialnię.

Kiedy się zbudziła, była już północ. Usiadła na łóżku, przetarła oczy i rozejrzała się wokół, szybko odzyskując poczucie rzeczywistości, gdy prawda zalała ją nową falą goryczy.

Poszła do toalety, po czym otworzyła drzwi do kuchni. Na kanapie siedział William z ołówkiem w dłoni, wpatrzony w notes. Podniósł na nią wzrok.

- Co ty tu robisz? - spytała.

- Chciałem się upewnić, że nic ci nie będzie. Przysiadła się do niego.

- Zostałeś, żeby wyciągnąć mi głowę z piekarnika?

- Coś w tym rodzaju.

Lily zamknęła oczy i pozwoliła głowie opaść na oparcie sofy.

- Nie musiałeś tego robić - westchnęła. - Ale najwyraźniej twoja matka również nadała ci imię na cześć kwiatu... Jest taka odmiana goździka, nazywa się „słodki William”. Drobne, różowe kwiatki, o ile się nie mylę.

Roześmiał się sceptycznie i wrócił do szkicowania.

- Rodzice nazwali mnie Ilja Aleksiejewicz. Zapadło milczenie. Po chwili zapytał:

- Filizankę herbaty?

- To strasznie miłe z twojej strony - odparła Lily. Patrzyła, jak nastawia wodę, chłonąc spokój jego

wyważonych ruchów. Odwrócił się i zobaczył, że go obserwuje.

- Jest ktoś, do kogo mogłabyś zadzwonić albo u kogo mogłabyś się zatrzymać? Ktoś, kto zapewniłby ci wsparcie?

- Pewnie Sebastian, ale nie, nie chcę mieszać w to żadnych znajomych. Nie mam rodziny poza siostrą, ale nie zniosę litości. - Litości?

- Tak, właśnie. Jeśli Robbie rzeczywiście to zrobił, dowiem się i wtedy go zabiję, ale nie będę obnosić się z moim nieszczęściem. - Twardzielka.

- Mam poduszkę i Otta, dam sobie radę - zapewniła, przywołując na twarz mało przekonujący uśmiech.

Lily zsunęła się niżej na kanapie i patrzyła, jak William kroi chleb i wkłada kromki do tosterka, sięga po

dwa kubki, wyciąga mleko. Woda w czajniku szumiała, a on szukał masła i noża.

- Na jaki dżem masz ochotę? - spytał.
- Coś ciemnego i ponurego. Niech będzie śliwka.
- Gdzie trzymasz karmę Otta?

Pies uniósł głowę na dźwięk swego imienia. Ja? Mówią coś o mnie?

- Pod zlewem.

Sięgnął tam i wyjął paczkę suchej karmy, na widok której Otto schylił łeb i westchnął ciężko. William potrząsnął głową.

- Nie przepada za tym.
- Bądź twardy, jeśli jest głodny, to zje. Wiem, że wolałby sznycla ze śmietaną i ziemniaki puree, ale na mojej zmianie nie ma na to szans.

Zjadła tosty, wypila herbatę i poczuła się odrobinę lepiej. Patrzyła, jak William sprząta ze stołu i zmywa naczynia.

- Co piszesz? - zapytała, zerkając na zamknięty notatnik. - Robisz notatki na temat sprawy?
- Nie piszę, tylko rysuję. Rzucam palenie, a kreteki to wcale nie jest dobry sposób.

Szkicowanie mnie odpręża.

- Samouk?
- Nie rysuję z wyobraźni. Podoba mi się dyscyplina, jaką narzuca szkicowanie rzeczywistości. Forma i linia, te rzeczy - powiedział, siadając przy niej. - Dużo czasu spędzam w powietrzu, a ciężko mi się czyta w samolocie, więc rysuję tył fotela przede mną, tackę z jedzeniem, przejście. Wyzwanie polega na właściwym złapaniu perspektywy.

Chciała zajrzeć do szkicownika, ale nie zaproponował jej tego. Może miał w nim jeszcze jakieś sprosne rysunki.

- Parzenie herbaty, szkice, pewnie jeszcze bez proszenia wynosisz śmieci. Pani Isyanov to szczęściara.

- Dlaczego myślisz, że jestem żonaty? Wzruszyła ramionami i patrzyła, jak bierze do rąk ołówki i notes.

- Wiesz, odchodziłam od niego trzy razy - wyznała, przymykając znów oczy i czując, jak kojąco wpływa na nią odgłos prowadzonego po papierze ołówka. - Pierwszy raz odeszłam tak po prostu, bez dyskusji, bez niczego.

- Gdzie pojechałaś?

- Na północ, do siostry. Wyszła za kolegę ze studiów, ciągnęło ją do batów do zaganiaania krów i zapasów w błocie, a on został wielkim hodowcą bydła i przeprowadzili się na pustkowiu. Robbie mnie wytropił i nakłonił do powrotu do domu. Nie musiał się specjalnie wysilać, bo nie mogłam się doczekać, aż opuszczę ten zakomarzony krajobraz, w którym nie było nawet szans na przyzwoite espresso. A następne dwa razy... cóż, zawsze mnie znajdował..

- Dlaczego odchodziłaś?

Lily nie od razu odpowiedziała. Przestał rysować i zerknął na nią.

- Co jest tematem obecnego rysunku? - spytała.

- Tamten porcelanowy pies. Więc dlaczego go zostawiałaś?

- Nie jestem tak niewinna, jak sugerowałoby moje imię - rzekła, przytulając do siebie poduszkę.

- Jak to, odchodziłaś do innych facetów? - spytał William z niedowierzaniem.

-Nie, nigdy nie dopuściłam się zdrady. Ale są... w związku bywają sprawy, które działają bardziej destrukcyjnie niż niewierność.

Nic na to nie odparł, wpatrzony w porcelanową figurkę, a jego ręce przesuwają się po kartce. Lily walczyła z pokusą, żeby oprzeć głowę na jego ramieniu i siedzieć tak po prostu, podczas gdy on szkicował. Miała nawet ochotę zaproponować mu, aby położył się przy niej, odsuwając gdzieś na bok notatnik, Robbiego i pieniądze. Chciała poleżeć przy nim w ciemności, by poczuć bliskość drugiego człowieka i trochę ciepła, aby zyskać wrażenie, że nie jest sama.

Nie śmiała jednak wyjawic swoich myśli, z obawy, że źle by ją zrozumiał, więc siedzieli w przytulnej ciszy przez kolejne pół godziny, ona z przymkniętymi oczami, on przerzucając kartki notesu w poszukiwaniu miejsca na nowy szkic. Czuła ciepły zapach jego skóry. Jak by zareagował, gdyby jednak spytała? Byłby zbulwersowany i natychmiast by wyszedł? Zaciągnąłby ją do sypialni i rzucił się na nią? Czy powiedziałby łagodnie, że to nie najlepszy pomysł, i napiliby się jeszcze po filiżance herbaty?

Wstała, przeciągnęła się i przeszła z powrotem do sypialni, gdzie położyła się na łóżku, w pełni ubrana.

William stanął w drzwiach. Spojrzała na niego, ale się nie odezwała. Widziała, jak mocno zaciska dłonie w kieszeniach.



Patrzył, jak leży w łóżku, odwrócona na bok. Koszulka podsunęła jej się powyżej talii. Przełknął ślinę. Gdyby poprosiła, żeby położył się obok niej, nie wiedziałby, co zrobić. Wiedział, czego pragnie, ale było to zupełnie sprzeczne z tym, jak powinien się zachować. Wolał nie sprawdzać, czy oparłby się pokusie.

Wydaje się, że jesteś już w lepszym stanie, więc będę się zbierał - powiedział.

- Williamie?

- Tak? - spytał łagodnie.

Nie prosź mnie o to, proszę, tylko nie to.

- Paszport Robbiego też zniknął.

Wyjął ręce z kieszeni i z ulgą przeczesał włosy palcami.

- Kiedy to odkryłaś?

- Dziś po południu, jak szukałam czegoś w szufladzie biurka. Sam zdecydował, że wyjedzie, wcale nie załatwili go żadni płatni zabójcy.

- Zejdź na dół, zamkniesz za mną.

Zanim ruszył do wyjścia, sprawdził jeszcze zamki w drzwiach od magazynu i z tyłu domu.

- Powinnaś je wymienić. Nie wiemy na pewno, co stało się z Robertem, ale jeśli ktoś go dopadł, ma też jego klucze.

Westchnęła i rzekła:

- Nie ma tu niczego, co miałoby wartość dla osoby, która wzięła księgę. Nie będą przecież szukać pierwszych wydań Patricka Whitea.

- Jesteś ty - powiedział, patrząc na nią.

Wyprostowała się i odparła:

- To najmilsza rzecz, jaką usłyszałam od bardzo dawna. Zapraszam ponownie, panie Isyanov.

Zwrócił się do niej bez uśmiechu:

- Lily, w tej branży dzieją się różne dziwne rzeczy i chociaż wszystko wskazuje na to, że Robbie czmychnął, nie jest to wcale pewne i z takim założeniem musimy działać dalej.

## **ROZDZIAŁ 8**

Lily po pełnym emocji poranku w banku błąkała się po galerii handlowej. Pokazano jej czek, za pomocą którego wybrano pieniądze, i wyraźnie widziała, że jej podpis został podrobiony. Jak to możliwe, że oni tego nie dostrzegli? Zażądała, by podano jej, kto był świadkiem podpisywania dokumentu, lecz osobę, którą jej wskazano, widziała po raz pierwszy w życiu. Nie mogła uwierzyć, że tak prosto można było usunąć jej grunt spod nóg, pomimo wszystkich istniejących zabezpieczeń. Nie miała wyjścia, jak tylko pogłębić dług na koncie hipotecznym. Postarała się również o nową kartę kredytową, z której korzystać mogła tylko ona sama. Wezwała także kierownika oddziału i zażądała, aby powiadomiono ją bezzwłocznie, gdyby ktoś choćby zerknął na któryś z jej rachunków. Włokąc się między sklepami, potrącana przez kupujących, postanowiła nie iść jeszcze do domu. Po co wracać i siedzieć w mauzoleum? Gdyby była taka możliwość,

a kierownik w banku zapewnił ją, że jej nie ma, jako że księgarnia nie była w pełni jej własnością, sprzedałaby cały interes i miałaby go z głowy. Sama nie da rady prowadzić firmy, a nieobecność Robbiego przedłużała się coraz bardziej. Niewiele sklepów w tej części galerii darzyła sympatią, a zresztą i tak nie miała pieniędzy, pozostawało jej więc jedynie oglądanie towarów, a najlepiej do tego nadawała się księgarnia.

Przyciągnął ją parter ogromnej sieciowej księgarni. Zaczęła rozglądać się po wnętrzu, czekając, aż coś wzbudzi jej zainteresowanie. Zatrzymała się na dłużej przy regale z poradnikami, zastanawiając się, czy znajdzie zestaw wskazówek dla porzuconych handlarek antykwarycznych. Gryząc kciuk i przeglądając z apatią tytuły, podniosła oczy i nagle wzrok jej padł na Williama, stojącego w rogu z pakunkiem w dłoni, rozmawiającego przez telefon. Poczowała przyływ adrenaliny, gdy serce zabiło jej mocniej na widok jego przystojnej, pociągłej twarzy. Był pogrążony w konwersacji, co chwilę kiwał głową i wpatrywał się w jeden punkt na wykładzinie.

Czy powinna do niego podejść? Jak bardzo zawodowa jest ich relacja? Czy potraktowałby ją jak wyrwaną z kontekstu, a zatem chłodno i bez zainteresowania? Zawsze to on przychodził do niej, zjawiał się w sklepie przygotowany na to, że ją zobaczy. Nie zniosłaby zdawkowego powitania, spojrzenia bez odrobiny ciepła i obietnicy, że zobaczą się za kilka dni.

Sięgnęła na oślep po pierwszą lepszą książkę. Wpatrzyła się w tekst i oczy wezbrały jej łzami, gdy zdała sobie sprawę, jak niepoważnie się zachowuje. Gdy

pociągając nosem i ocierając oczy rękawem, z powrotem podniosła wzrok, okazało się, że William już sobie poszedł. Odłożyła poradnik, nie wiedząc, czego dotyczył. Odwróciła się w stronę regału, stając tak blisko niego, by ukryć przed ludźmi twarz, dopóki nie udało jej się powstrzymać łez.

William spacerował ulicami, rozważając następny krok. Nie miał w mieście zbyt wielu kontaktów, więc wahał się co do źródeł informacji, do których powinien sięgnąć. Cały ranek spędził na telefonowaniu, badając grunt i co jakiś czas przywołując nazwę Weston, żeby otworzyć bardziej odporne drzwi. Teraz pozostawało mu czekać, aż odbyte rozmowy przyniosą rezultaty.

Przechodząc przez centrum handlowe, mijając sklepy, z których żaden nie wzbudzał jego zainteresowania, trafił na księgarnię. Sądząc po wyglądzie, należała do dużej sieci. Zdecydował się sprawdzić, jaki mają wybór poezji. Może w dziale klasyki znajdzie coś ciekawego.

Dziewczyna za ladą z niezadowoleniem zmierzyła go wzrokiem. Wyjaśniła, że jest nowa, a komputer szwankuje, więc będzie musiała kogoś spytać. Poezja znajdowała się gdzieś dalej. Grzecznie jej podziękował i skierował się we wskazaną stronę. Wpadły mu w ręce utwory Teda Hughesa, wybór poezji. Hughes chodził za nim już od paru lat, więc postanowił stawić mu czoła w związku z brakiem jakiegokolwiek wydania twórczości poetów rosyjskich. Strzępki informacji o wierszach Hughesa błąkały mu się po głowie. Dużo

seksu, czy coś takiego. I dwie martwe żony, obie ofiary samobójstw. Zapłacił za książkę i już miał wychodzić, gdy zadzwonił mu telefon.

- Hej, ślicznotko, mam dla ciebie niespodziankę!

- Cześć - odpowiedziała. - Co to jest? Kapsułka cyjanku? - Przeniosła wzrok z ekranu komputera na Sebastiana. Właśnie wysyłała do stałych klientów mejle z obietnicami rabatów. Była gotowa obiecać wszystko, byle sprzedaż ruszyła.

- Dalej żadnych wieści od Robbiego?

- Żadnych. Gdzie ta moja niespodzianka? - spytała, zaglądając mu za plecy.

Przyciągnął sobie krzesło i powiedział:

- Prawdopodobnie właśnie wysiada z samolotu na lotnisku Sydney.

Serce jej zamarło.

- Robbie wraca?

- Nie, to znaczy, nie wiem. Mówię o parze Włochów: emeryci, ale zapaleni kolekcjonerzy sztuki, a ja mam pewien przedmiot, na który mają chrapkę. Natomiast ona, *signora* de Pasquale, jest zagorzałą wielbicielką książek kucharskich i wszelkich tekstów związanych ze sztuką kulinarną.

Lily oparła się w fotelu i wlepiła w niego wzrok.

- I co zamierzasz? Przyprować ich tutaj?

- Wysprzątaj księgarnię na błysk, zrób się na bóstwo i wyłóż na wystawę najlepszy towar, a jutro lub pojutrze będziemy u ciebie.

- Sebastianie, jesteś aniołem! - wykrzyknęła i pochyliła się w jego stronę, by cmoknąć go w policzek. - Mam nadzieję, że zrobią gigantyczne zakupy, bo chcę wyprzedać sklep.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Robbie mnie zostawił. Spójrz, spójrz na to. - Kliknęła, aby pokazać mu puste konto. - Było tu dziesięć tysięcy, a on podrobił mój podpis i zabrał wszystko, książkę i paszport też. Sebastianowi na chwilę odebrało mowę.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobił... - Skrzywił się.

- Ja też nie, ale wszystko na to wskazuje.

- On cię kocha, jestem o tym przekonany. Nie rzuci cię. Ale wiem też, że jesteś dla niego za dobra.

Lily wyłączyła komputer i wstała. Przyjaciel przytulił ją, a ona przywarła do niego.

Zbierało jej się na płacz.

- Daj spokój, Lii, wszystko będzie dobrze - pocieszał, gładząc ją po plecach.

Dziewczyna odsunęła się i zauważyła Williama, który stał na ulicy i obserwował ich przez szybę: Lily w wyblakłej, muślinowej sukience i bursztynowych koralach i Sebastiana patrzącego teraz w ślad za jej spojrzeniem. Wyglądali jak króliki przyłapane *in flagranti* na polu kapusty.

- Napijmy się kawy - rzuciła, wytrącona z równowagi.

William wszedł do środka z kamienną twarzą.

- Cześć - przywitała go Lily nerwowo. Przyjrzał się Sebastianowi bardzo uważnie, po czym spytał:

- Czy my się znamy?

Mężczyzna przełknął ślinę i wyciągnął dłoń.

- Sebastian Holden Symes, swojego czasu pracownik Sotheby's w Londynie. Mogliśmy wpaść na siebie przy jakiejś okazji.

William uścisnął mu dłoń, lecz nic nie powiedział.

- Kawy, yyy... Williamie? - zaproponowała Lily, coraz bardziej zdenerwowana jego milczeniem.

- Kawy - potwierdził Sebastian, podejmując decyzję za wszystkich.

Lily krzątała się w kuchni, podczas gdy mężczyźni siedzieli przy stole w ciszy. Wiedziała, że Sebastian będzie żałował, że został na kawie, ale było już za późno.

- Jesteś przyjacielem Roberta? - pytał William.

- Tak - padła zgodna odpowiedź Sebastiana i Lily. Mężczyzna zakaszłał i dodał: - Jak również przyjacielem Lily. William lekko skinął głową.

- Co wiesz o zaginięciu Robbiego?

Pytany wzruszył ramionami i rozpostarł dłonie, mówiąc:

- Nic. Lily właśnie mi o tym powiedziała.

- Nie wydaje ci się to dziwne?

Sebastian niespokojnie poprawił się na krześle.

- Nie chcę się w to mieszać.

Lily postawiła ich filiżanki na stole i poszła po kawę dla siebie. Gdy wróciła do pokoju, Sebastian zdążył pochłonąć swoją jednym haustem i pospiesznie zbierał się do wyjścia.

- Więc... - zaczął - przyprowadzę tych klientów tak, jak się umawialiśmy, zgoda?



- Tak, bardzo proszę. Mówią po angielsku? - zaniepokoiła się, stawiając na stole cukierniczkę.

- Pewnie, kochana, to tylko my Australijczycy jesteśmy monojęzyczni. Mam rację, Williamie?

- Skąd przyjechali?

- Z Włoch. Naciskali mnie, żebym wskazał im szanujące się księgarnie ze starymi dziełami. Z tego, co wiem, to para emerytów.

Lily wróciła do ekspresu i załadowała miarkę kawy.

- Daj znać, kiedy będziecie. Przygotuję się porządnie, a Otto będzie zamknięty w ogródku. Antykwariusz chłodno pożegnał się z Williamem, a Lily odprowadziła go do wyjścia.

- Nie musisz uciekać, on jest łagodny jak koteczek, naprawdę. Wykonuje tylko swoją pracę.

- To samo mówili o Stalinie. Zadzwoń później - pożegnał ją, pocałował w policzek i ruszył w górę ulicy.

Odwróciła się, by wejść do środka, i natknęła się na Williama, który zszedł na dół i obserwował, jak żegna się z Sebastianem.

- Jakieś wieści? - spytała, przekręcając klucz w drzwiach.

- Wyjechał z kraju. Bilet kupił ktoś inny.

Lily pokiwała powoli głową ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Przeszkadzałoby ci, gdybym wpadł, kiedy będzie tu ta włoska para? - zapytał.

- Oczywiście, że nie, a dlaczego?

- Znam włoski, może na coś bym się przydał.
  - Och, jesteś kochany! - Posłała mu uśmiech. - Niezależnie od tego, co mówi Sebastian.
  - A co takiego mówi?
  - Ach, nic szczególnego - zaczęła się wycofywać. -Przyrównuje cię do krzyżówki Torquemady z Brudnym Harrym.
  - Hm, ciekawe połączenie.
- Ale Lily przestała słuchać. Deski podłogi znów przykuły jej wzrok.
- Sebastian ma rację.
  - W jakiej sprawie? - zirytował się.
  - Wygodnego zerwania. Czysto, bez dyskusji. Może to właśnie cel Robbiego. Nie rozumiem tylko, dlaczego wybrał taki właśnie sposób - wyjaśniła łamiącym się głosem. - Może tak będzie lepiej. Podeszła z powrotem do biurka i siadła, zgarbiona, przed komputerem.
  - Chyba powinnaś wyrwać się stąd na parę godzin -powiedział William, rozglądając się wokół. - Pozwolisz, że zabiorę cię na kolację?
- Jej twarz natychmiast rozświetlił uśmiech.
- Ależ naturalnie, z radością!
- Czekał, aż wyłączy komputer, ale ona już błagała o czas na prysznic i przebranie się.
- Proszę! Nigdy nie wychodzę na miasto - powiedziała, splatając dłonie, i nie czekając na przyzwolenie, popędziła na górę włączyć wodę.

Nie miał tego w planach. Oczywiście mógł spędzić całą noc, wpatrując się w wielkie, szare oczy Lily i rozmarzonym głosem recytować trzy wiersze, których nauczył się na pamięć co do joty.

Miała jednak rację, gdy drwiła, że dla niego to tylko zlecenie. Dla niego była to praca, dla niej - życie, i tych dwóch odrębnych światów nie powinno się mieszać. Pomimo antypatii, no dobrze - zazdrości, którą czuł w stosunku do Sebastiana, musiał przyznać, że to on jest jej przyjacielem, w związku z czym powinien być tym, który udziela jej wsparcia.

Odkrył, że Robbie opuścił Australię, bez wątpienia z księgą pod pachą. Gdy dowie się, jaki dokładnie był cel jego podróży, wyruszy jego śladem. Ale jeszcze nie teraz. Chciał, aby Lily miała kogoś przy sobie.

Kogoś, ale nie Sebastiana.

Siedział i czekał na nią. Lily najwyraźniej cierpiała męki niezdecydowania albo zapadła w trans pod prysznicem. Wstał i przechadzając się po księgarni, zauważył podniszczony tomik poezji Roberta Browninga. No, to nazwisko brzmiało znajomo. Wziął książkę do ręki i przerzucił strony, mrucząc pod nosem tytuły wierszy, szukając czegoś, co by go zainteresowało, na przykład... wiersza o miłości.

Lily zbiegła na dół wystrojona w brązową, klasyczną suknię w stylu lat sześćdziesiątych, ozdobioną cekinami, przylegającą do ciała i wydekoltowaną. Robbie podarował jej tę kreację po solowej wyprawie po towar do Capetown. Wyglądała olśniewająco, jej oczy błyszczały

jak cekiny na sukni. Rzucił na nią jedno spojrzenie, po czym wrócił do przeglądania tomiku poezji.

- Weź go sobie - powiedziała, niedbale całując Williama w policzek.

Szybko podniósł na nią wzrok. Zakładała kolczyki i uśmiechała się do niego.

- To takie ekscytujące.

- Cóż, nie planowałem wyjścia do opery.

Lily roześmiała się i pogładziła go po ramieniu.

- Każde miejsce będzie dla mnie pełne wrażeń, możemy nawet iść do pubu czy kawiarni przy końcu ulicy, jest mi to obojętne.

Nie skomentował jej sukienki, a była to jedna z ulubionych kreacji Robbiego. Może preferował współczesną modę? Minimalista i asceta, poza pierwszym dniem, kiedy go widziała, zawsze miał na sobie drogie, choć proste ubrania, utrzymane w kolorystyce czerni i granatu. Ale dzisiejszego wieczora miała ochotę na odrobinę szaleństwa, a to zasługiwało na mnóstwo mieniących się cekinów.

Schowwał książkę do wewnętrznej kieszeni marynarki, a kiedy Lily już odwracała się, by zamknąć za nimi drzwi wejściowe, zadzwoniła jego komórka.

- Odbiorę na zewnątrz - rzucił, tym samym sugerując, że sprawa jest prywatna.

Wróciła do środka i próbowała zdecydować, co robić, jednocześnie zerkając na niego przez szybę. Rozmawiał dalej, wsiadając do wypożyczonego samochodu i coś notując.

Lily nie chciała się gapić, ale zależało jej, żeby się pospieszył. W końcu poszła na górę do łazienki, by sprawdzić makijaż. Zdjęła kolczyki.

Sięgnęła po pilota, włączyła telewizor, po czym usiadła na łóżku i zrzuciła z nóg szpilki. Obejrzała wydanie wiadomości o dziewiętnastej. Gdy pan pogodynek objaśniał, dokąd zmierza jaki front i czego widzowie powinni się spodziewać, zamknęła drzwi do sypialni i zdjęła suknię w cekiny.

Czy na podłodze leżało coś, co mogłaby włożyć? Może jakieś ubrania z poprzedniego dnia, brudne i w drodze do prania? A może przekopie kosz na brudną bieliznę i wyciągnie coś sprzed kilku dni? Bo z pewnością nigdzie się już nie wybiera.

Podniosła z podłogi spodnie, włożyła je, a następnie sięgnęła po koszulkę z szafy, nie zważając, co wpada jej w rękę. Zmyła makijaż, kiedy program informacyjny o dziewiętnastej trzydzieści dobiegał końca. Wsunęła stopy w puchate kapcie, po czym padła na łóżko i leżąc na plecach z głową odwróconą w stronę ekranu, oglądała telewizję.

W połowie programu naukowego usłyszała pukanie

1 po chwili William powoli uchylił drzwi.

- Mówią właśnie o rozprzestrzenianiu się epidemii wśród trzody chlewnej w Belgii, naprawdę pasjonujące - powiedziała, nie odrywając oczu od ekranu.

- Przepraszam, Lily, ale to był ważny telefon.

- Nie, proszę, nie przepraszaj. Niczego nie jesteś mi winien, Williamie. Rób, czego wymaga twoja praca - rzuciła, nadal patrząc w ekran.

- Obraziłaś się? - spytał.

- Ja się nie obrażam - powiedziała ze śmiechem, podnosząc się do pozycji siedzącej. - Mówię poważnie, rób, co do ciebie należy. Nasze relacje są przecież

czysto zawodowe, prawda? Nie jesteś mi winien kolacji ani wielkiego wyjścia na miasto. Oparł się o framugę drzwi, nie przekraczając niewidzialnej linii - obiecał sobie, że tego nie uczyni.

To prawda, ich stosunki miały charakter czysto zawodowy, ale to stwierdzenie płynące z jej ust sprawiło mu przykrość. Chciał poudawać, tylko przez ten jeden wieczór, że jednak jest inaczej.

- Musisz jeść, ja również, więc chodźmy coś upolować.

Lily usiadła, wzdychając.

- Jasne. Daj mi chwilę.

Ubrana w bardziej praktyczny strój, Lily przemierzała u boku Williama boczne uliczki miasta. Kiedy zawędrowali już bardzo daleko od domu, weszli wreszcie do małej chińskiej restauracji, w której niejednokrotnie bywała z Robbiem. Wzdłuż ścian, obwieszonych papierowymi menu w języku chińskim, ustawiono kwadratowe stoliki, a na każdym z nich stała butelka sosu sojowego.

Telefon Williama zaczął dzwonić w chwili, gdy podszedł do nich kelner. Wyłowił komórkę z kieszeni i wstał, rzucając:

- To zajmie minutę.

- Wybrać coś dla ciebie?

Zamówiła dwie zupy z pierożkami i obserwowała, jak

William przechadza się na zewnątrz. Zastanawiała się, czy chodziło o kolejne zlecenie. W swojej pracy musiał zachowywać dyskrecję. Wrócił akurat w chwili, gdy na stole pojawiły się dwie spore porcje parującego, aromatycznego rosółu z kurczaka z małutkimi kapustami bok choy i pierożkami z nadzieniem krewetkowym. Podano również miseczkę czerwonej pasty chili oraz pałeczki i łyżki do zupy.

- Lubisz chili? - spytał.

- Mhm - przytaknęła, dodając pełną łyżkę do zupy. -Ty nie?

Pokręcił głową i zdjął kurtkę. Pod nią miał sportową bluzę z długimi rękawami.

- Czerń na nocne akcje? - Uśmiechnęła się szeroko. -Czy twarz też zdarza ci się malować na czarno?

Napił się rosółu, patrząc na nią przez unoszącą się parę.

- Pracuję w branży artystycznej, muszę się dopasować. Wydaje mi się, że postrzegasz moją pracę jako coś wielce zabawnego.

- Przepraszam, wcale się z ciebie nie śmieję.

- Mam wrażenie, że tu, w Australii, macie niewielu kolekcjonerów sztuki i raptem kilka bezcennych kolekcji, więc nie jesteś przyzwyczajona do zawodu takiego, jak mój. Uwierz mi, w Europie czy Stanach Zjednoczonych to, co robię, nie wywołuje u nikogo najmniejszego zdziwienia.

- Pewnie masz rację. - Wzruszyła ramionami. - Milionerów nie spotyka się tu na każdym kroku, a ci, którzy już tu mieszkają, inwestują raczej w kucyki do polo albo kasyna.

Nieokrzesany z nas naród.

Przez chwilę nie mogła dać sobie rady z pierożkiem, był za gorący, żeby włożyć go w całości do ust, a nie potrafiła przekroić go pałeczką. W efekcie jej starań pierożek rozpadł się i spoczął na dnie naczynia.

- Wypij najpierw rosół.

- Tak radzą sobie kulturalni Anglicy?

- Nie, Chińczycy - odparł z uśmiechem.

Do restauracji wpadła grupa młodych, śmiali się i przekrzykiwali. Zajęli kilka stolików blisko nich i zestawili je w jeden wspólny stół.

- Lily, chcę cię o coś spytać.

Kolejna seria pytań i odpowiedzi. Nie mogła zapominać, że on bezustannie jest w pracy. Starając się nie okazać rozczarowania, walczyła z ostatnim pierożkiem, patrząc, jak ten też rozpada się na kawałki, i rozważając, jak by tu włożyć go do ust z zachowaniem stosownej elegancji.

- Co tylko zechcesz, ale najpierw ty pozwól sobie zadać jedno osobiste pytanie.

Odłożył pałeczki, położył ręce na stole i popatrzył na nią defensywnie.

- Jak trafiłeś do tej branży?

Pokiwał głową i patrząc w dół na talerz zupy, odparł:

- To smutna historia upadku, a zaczęła się, kiedy byłem studentem sztuk pięknych.

- W Londynie?

Przytaknął, po czym rozejrzał się po sąsiednich stolikach.

- Natychmiast po zdobyciu tytułu magistra wziąłem się do pisania doktoratu i uczelnia zatrudniła mnie na pięć lat jako wykładowcę.



- To robi wrażenie - powiedziała. - Dobra robota! - Jadła już ostatni kęs pierożka, podczas gdy on kontynuował opowieść.

- Rzeczywiście, robi wrażenie, tylko że był to zatruty kielich. Po paru latach Akademię Sztuk Pięknych przekształcono w twór typu superkierunek: sztuki piękne, historia, angielski i architektura razem wzięte. Wykładowcy mieli się znać na wszystkim. Naszym zadaniem miało być pomaganie w nauce, prowadzenie modułów, które miały dodatkowo trafiać do internetu. Pojawiała się coraz większa liczba studentów zagranicznych, którzy płacili czesne, i byliśmy zmuszeni stale upraszczać zajęcia. Uczelnia potrzebowała środków, więc nie mogli sobie pozwolić na oblanie kogokolwiek. Podczas egzaminów można już było korzystać z książek, a młodzi nadal dostawali niedostateczne. Ja z kolei miałem przykazane, by ich przepuszczać. Wreszcie doszło do tego, że wszystkie materiały znalazły się w sieci, a kadra zajmowała się ułatwianiem studentom życia. Kampus zburzono na życzenie magnata centrów handlowych. Musiał ustąpić miejsca kolejnym sklepom. - Lily słuchała z otwartymi ustami, kręcąc głową z niedowierzaniem, zbulwersowana jego opowieścią. Odsunął miseczkę i ciągnął dalej. - Najśmieszniejsze jest to, że ten biznesmen jest największym kolekcjonerem sztuki w Anglii. - Postukał pałeczką w stół i odłożył ją. - Nie mogłem już wytrzymać, więc zrezygnowałem z posady, nim upłynęło pięć lat umowy, i poszedłem pracować dla firmy Weston w dziale zarządzania kolekcjami i nabywania dzieł. Kiedyś wmieszałem się w akcję odzyskiwania pewnego obiektu i ogromnie mi się to spodobało. Oglądałem

świat sztuki z różnych perspektyw, na poziomie fundamentów, brutalności i pieniądza. Niebotyczne kwoty, bezbrzeżna chciwość i żądza posiadania działały jak lekarstwo na wszelki idealizm, jaki jeszcze we mnie pozostawał. A w branży odzyskiwania dzieł patrzono z przymrużeniem oka na metody, jakie się stosowało. Zaczęło mnie to wciągać, chyba nawet za bardzo. Obawiam się, że w pracy odreagowywałem swój gniew. Ale to jest moje ostatnie zadanie.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Nie chcę tak dłużej żyć. - Wzruszył ramionami. - Nie podoba mi się wpływ, jaki ma na mnie ta praca, i muszę się wypłatać, zanim będzie za późno.

Lily milczała przez chwilę, a on jej się przyglądał.

- Zaskoczona? Pokręciła głową.

- O co ty chciałeś spytać?

Ludzie przy sąsiednich stolikach wybuchnęli nagle śmiechem, zagłuszając wszystkie konwersacje w niewielkiej restauracji. Lily zerknęła na nich, zazdroszcząc im świetnego nastroju i swobody, z jaką rozmawiali.

William obserwował, jak ogląda wybuch wesołości.

- Co stało się z twoimi rodzicami?

- Nie o to chciałeś mnie spytać. Uśmiechnął się.

- Nie, ale i tak opowiedz.

Spojrzała na gładką skórę jego szyi, a potem z powrotem na swoją miseczkę.

- Tata zmarł na zawał serca, kiedy miałam dwa latka. Po prostu nagle go zabrakło. Miał wrodzoną wadę serca, której nikt wcześniej nie odkrył. Mama odeszła parę lat

później po przegranej walce z rakiem płuc, była nałogową palaczką. Oboje byli lekarzami, wyobrażasz sobie? Róża i ja wychowywałyśmy się same, bo mama wiecznie pracowała, żebyśmy miały z czego żyć. Potem siostra wyszła za swojego hodowcę bydła Cody ego, a ja nadal jestem tutaj. Róży nie zależało na spadku, bo i tak ocieka pieniędzmi z wołowiny, że się tak wyrażę, więc włożyłam wszystko w nasz dom w Paddington.

- Dom jest twój?

- Tak, właśnie dlatego że tyle w niego włożyłam, mogę go sprzedać, kiedy tylko zechcę. Ale antykwariat, cóż, to już wspólne przedsięwzięcie.

- To dobrze - skwitował. - To znaczy...

- Jaka była dziedzina, w której się specjalizowałaś? I tytuł doktoratu? - przerwała Lily.

Nie uśmiechało jej się schodzenie znów na temat Robbiego. Zjawił się kelner z kolejnym czajniczkiem jaśminowej herbaty. Przez restaurację przeniesiono wielki tort jarzący się od świeczek. Gdy stanął na sąsiednim stoliku, grupa ludzi zaczęła śpiewać, a jedna z dziewcząt, wyraźnie zakłopotana, zakryła twarz dłońmi. Trzeba było poczekać, aż hałas ucichnie. Lily poczuła ukłucie zazdrości. Zdarzały jej się takie imprezy urodzinowe. Pamiętała, że też czuła się wtedy zawstydzona, ale były to dobre wspomnienia, warte przywoływania w smutniejszych chwilach.

William nalał jej herbaty.

- Wiem, że masz nadzieję usłyszeć „rosyjskie malarstwo portretowe okresu romantyzmu”, ale niestety muszę cię rozczarować. Był to Bauhaus, niemiecki modernizm międzywojenny.

- Jakoś mnie to nie dziwi. Twoje nazwisko mnie zmyliło, przywiodło na myśl głęboką, rosyjską duszę, ale zimny, upraszczający Bauhaus lepiej pasuje. Powinnam była od razu zgadnąć.

- Czyli cię nie zawiodłem?

- Tego nie powiedziałam. Ale jestem przekonana, że byłeś źródłem rozczarowania dla wielu kobiet wykazujących skłonności do romantyzmu, jak ja.

Roześmiał się, widząc powagę na jej twarzy.

- Ależ potrafisz być arogancka! Pewnie miałaś na myśli kobiety o podobnym do twojego zamiłowaniu do popadania w przesadną romantyczność.

- Może i tak - odparła, patrząc wprost na niego. - Na pewno nie zawodzisz pań opanowanych i logicznie myślących.

- Obawiam się, że będziesz musiała spytać je sama. Nie rozdaję ankiet ewaluacyjnych.

- Cóż, ja osobiście uwielbiam dekoracje, im bardziej obfite i figlarne, tym lepiej. Nie pasuje to do kobiety biznesu. Ale dajcie mi słodziutkie edwardiańskie jedwabie i aksamity oraz przepyszną biżuterię tamtych czasów, a będę skakać w górę z radości.

Oparłszy się wygodnie, upiła łyk herbaty. Oboje zerknęli na urodzinowy stół. Wyglądało na to, że właśnie trwa konkurs całowania, w którym solenizantka wskazuje zwycięzcę.

- Nie przepadam za słodkościami, oczywiście z wyjątkiem twoich dżemów - wyznał William.

- To nie kwestia gustu, tylko chromosomów. Wybuchnął śmiechem i potrząsnął głową. Przeczekali kolejną serię krzyków przy stoliku obok.

- Wygląda na to, że oceniasz ludzi po ich nazwiskach i dyplomach.
  - Tak? No dobrze, to co ja studiowałam?
  - Hm, może sztuki plastyczne? - Zmrużył oczy i przyjrzał jej się uważnie. - Albo literaturę angielską?
  - Widzisz? Działa! Literaturę angielską. Czyje pisarstwo pasjonowało mnie najbardziej?
  - Powieściopisarek z epoki króla Edwarda. Lily wyprostowała się i prychnęła triumfalnie.
  - Jeszcze jeden strzał?
  - D.H. Lawrence?
  - Ostatnia szansa.
  - Thomas Hardy i duża paczka chusteczek.
  - Nie, pociągali mnie powieściopisarze przez duże „P”, z czasów, kiedy sztuka pisarska miała jakieś znaczenie. Ci, którzy mieli dumny styl: Saul Bellów, William Styron, Philip Roth. Wszyscy byli Amerykanami, więc, jak widzisz - oświadczyła, popijając z czarki jaśminową herbatę - jestem kobietą zagadką.
- Uśmiechnął się, nie podnosząc wzroku znad herbaty.
- Owiana tajemnicą! Tego się nie spodziewałem... Norman Mailer i aksamitne majtki.
  - Nigdy nie porywałam się na nic większego, a już na pewno nie rozważałam kariery akademickiej - dodała.
  - Rozumiem cię. Ja odszedłem od tego wszystkiego, porzucając doktorat, pracę wykładowcy. Nic mnie nie przekona do ponownego wdepnięcia w świat uczelni wyższych. A Robbie?
- Jego imię zważyło się na stół z hukiem i legło pomiędzy nimi.

- Wyrzucili go z prawa, teraz gra na giełdzie. A jeśli chodzi o nasz interes, to ja zawsze wiem, czego szukać, kiedy wybieramy się na polowanie na towar, on z kolei wkracza, gdy trzeba oczarować handlarzy, zagadać klientów, sfinalizować transakcję. Potem ja rozprawiam się z papierami, wysyłam książki.

William milczał.

- Życie nigdy nie układa się zgodnie z naszymi wyobrażeniami - podsumowała. - Zbierajmy się, muszę wracać, Otto czeka.

## ROZDZIAŁ 9

Nadszedł dzień, w którym zjawić się miała para bogatych włoskich kolekcjonerów, i Lily długo przekopywała szafę, by wreszcie wyłonić się z niej ze swym jedynym kostiumem w ręce, strojem w najbledszym odcieniu szarości, noszonym z okazji pogrzebów kolejnych członków niezwykle licznej rodziny Robbiego, podczas wizyt w banku oraz w tych wszystkich sytuacjach, kiedy Lily musiała ukryć swoją miłość do bohemy.

Księgarnia została odkurzona, podłogi wypastowane, a najdroższy towar wystawiony tam, gdzie rzucał się w oczy. Sprawdziła dzbanek do kawy w magazynie i zamówiła u Marcela ciasto czekoladowo-śliwkowe, które po namyśle uznała jednak za zbyt ciężkie jak na włoskie gusta, popędziła więc do Rosy po ostatnią świeżutką panettone.

Wyszczotkowała włosy, aż stały się błyszczące, założyła kolczyki z szarymi perełkami, po czym rzuciła suszone ucho wieprzowe na podwórko dla Otta

i z przeprosinami na ustach zamknęła go na zewnątrz.

Zjawił się William. Rozejrzawszy się po wnętrzu, ocenił:

- Lokal robi świetne wrażenie. Zmarszczyła brwi i spytała:

- W przeciwieństwie do tego, jak wygląda na co dzień?

Nie czekając na odpowiedź, pognęła z powrotem do magazynu, gdzie próbowała wybrać jakieś filiżanki i łyżeczki. Poszedł za nią i usiadł przy stole.

- Jak myślisz, czego szukają?

- Sebastian mówił, że ją interesują stare książki kucharskie. Mam ich mnóstwo, może sobie kupić wszystkie, jeśli tylko jej się spodobają. Tak naprawdę nie obchodzi mnie, co wybiorą, ale potrzebuję przyływu środków.

Otworzyły się drzwi wejściowe, więc wyjrżeli z magazynu.

- O Boże, to oni! - szepnęła. - Ale jest jeszcze wcześniej, poza tym z Sebastianem przyszło dwóch facetów!

William nie odezwał się, lecz jego oblicze pociemniało. Rzuciła mu szybkie spojrzenie, po czym wyszła przywitać się z Sebastianem.

- Oto i ona! Lily Trevennen, pozwól, że przedstawię: Carlo de Pasquale i Geraldo Caprioli.

Obaj mężczyźni, ubrani elegancko w cienkie swetry i marynarki, przywitali się z nią serdecznie, podczas gdy Sebastian z trudem tłumił podekscytowanie. Włosi stwierdzili, że chcieliby samodzielnie przejrzeć zbiory księgarni, a porozmawiać dopiero w drugiej kolejności.



Doskonała robota, Sebastianie. Doprowadziłeś ich do niej jak po sznurku. Kiedy tylko przekroczyli próg, cel ich wizyty stał się dla Williama jasny. Nie pracowali dla firmy zajmującej się sztuką, z biurem w eleganckiej dzielnicy i znakomitą reputacją. Gołym okiem widać było, że nie są też parą emerytów kolekcjonujących stare książki. Byli z tej samej branży, co jego klient, i było wielce prawdopodobne, że pracowali dla kogoś, kto chciał wyrównać z nim jakieś rachunki.

Sebastian delikatnie popchnął Lily do magazynu, z nieukrywaną przykrością stwierdzając, że siedzi tam William.

- Co on tu robi, do cholery?

- Znam włoski, pomyślałem, że mogę się przydać. Sebastian popatrzył na niego wrogo.

- To dwaj mężczyźni - zwróciła uwagę Lily. - I to młodzi. Zapowiadałeś parę starszków lubujących się w książkach kucharskich.

- Tak napisali, a dla mnie mejle to jedyne źródło informacji. - Wzruszył ramionami. - Nie wiemy, czy któryś z nich nie lubi być nazywany *signora*.

- I zjawiliście się przed czasem.

- Co jest, nie chcesz niczego sprzedać? Nalegali, żeby od razu tutaj przyjechać.

- Czy mogę z nimi porozmawiać? - spytał William.

- Nie - padła jednogłośnie odpowiedź Lily i Sebastiana. Oboje rzucili mu groźne spojrzenie.

- Odstraszysz ich - wysyczał Seb. - Nie mają ochoty oglądać rosyjskich gangsterów.

- Sebastianie, nie bądź niegrzeczny!
  - W porządku, Lily - uspokoił ją William. - Ale jestem pewien, że widok gangstera nie jest im obcy.
  - Co chcesz przez to powiedzieć?
  - Przyjrzyj im się. Uważasz, że wyglądają na ludzi, którzy przelecieliby pół świata, żeby obejrzeć twoją księgarnię?
- Oczy Lily zrobiły się okrągłe niczym spodki, a dłoń powędrowała do ust.
- Nie myślisz chyba...
  - Bzdury, co on może wiedzieć - wyszeptał Sebastian. - Chodźmy się trochę przypodobać, zrób użytek z tych swoich boskich oczu.
  - Idź, zaraz do was dołączę.
- Stała z książką w dłoni tuż obok Williama i udawała, że przegląda strony, podczas gdy w rzeczywistości obserwowała przybyszy.
- Skąd wiesz, że kłamią na temat swojej tożsamości? - spytała szeptem.
  - Potężne ramiona i barki, nie czują się swobodnie w tego typu ubraniach, badają wzrokiem zamki, drzwi, okna, schody. Po książki sięgają wtedy, kiedy czują na sobie twoje spojrzenie. I popatrz na ich postawę.
  - Sytuacja jest poważna, prawda? - spytała słabym głosem.
  - Tak, ale nie bój się, nic ci się nie stanie. Idź z nimi porozmawiać, staraj się zachowywać naturalnie. Jeśli wyczują twój strach, zorientują się, że trafili pod właściwy adres.
- Lily wzięła sobie do serca jego radę i ku zdumieniu Sebastiana nagle stała się niebywale wylewna i rozmowna.

Proponowała kawę, zdejmowała z półek coraz to nowe książki i wymachiwała nimi na wszystkie strony. Jeden z mężczyzn, który wydawał się dowódcą duetu, przerwał jej pytaniem, czy sama prowadzi antykwariat.

Już zaczynała opowiadać o Robbiem, kiedy z magazynu wyłonił się William i przywitał się z gośćmi po włosku. Atmosfera natychmiast uległa zmianie, lecz w nieokreślony sposób, jak przy spotkaniu trzech psów na spacerze: sprawy mogły potoczyć się rozmaicie. Nastąpiła błyskawiczna konwersacja zakończona kilkoma uprzejmymi skinieniami głowy, wymianą spojrzeń i potrząśnięciem dłońmi. Potem mężczyźni wyszli.

- Mam pierwsze wydanie pani Beetson... - powiedziała Lily żałośnie. - I oryginalne zapiski rolnicze sadowników z osiemnastego wieku.

Drzwi zamknęły się za przybyszami. Wszyscy troje stali w milczeniu.

- To był spektakularny sukces, nie ma co... - przełamał ciszę Sebastian, zwracając się do Williama. - Kupiliby coś, gdybyś się nie wtrącił.

- Tak ci się wydaje? - odgryzł się William.

- Co im powiedziałaś? - chciała wiedzieć Lily.

- Że jesteś właścicielką księgarni i prowadzisz ją sama. A my z Sebastianem jesteśmy twoimi przyjaciółmi, którzy od czasu do czasu wpadają ci pomóc.

Sebastian prychnął z obrzydzeniem.

- Ja powiedziałem im prawdę, że współwłaścicielem antykwariatu jest jej życiowy partner Robbie Schwartz-man, który wyjechał akurat kupować książki.

Lily stała pomiędzy nimi, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. Jakaś kobieta weszła z ulicy, żeby trochę pomyszkować, ale wyczuła panujące w księgarni napięcie i zerkając nerwowo na całą trójkę, szybko wyszła. Lily miała ochotę pobiec za nią.

William wlepił w Sebastiana wściekłe spojrzenie.

- Ależ jesteś sprytny. Teraz wiedzą, że dobrze trafili, bo nasze wersje nie były zgodne.

- To ty skłamałeś! Skąd miałem wiedzieć? - obruszył się Sebastian. - Staram się tylko pomóc...

- Już dobrze, Seb - powiedziała Lily, dotykając jego dłoni. - Doceniam to, co zrobiłeś. -

Sebastian rzucił jej zranione spojrzenie. William stał, wsparty pod boki, i kręcił głową.

- Wcale nie jest dobrze. Jakikolwiek jeszcze pytania o księgarnię, Lily czy Robbiego...

Gdyby ktokolwiek wypytywał o cokolwiek, nie mówisz nic. Nie chodzi tylko o księgę, ale w tę grę wmieszali się bardzo nieprzyjemni zawodnicy. Lily, Robert albo oboje mogą się znaleźć w poważnym niebezpieczeństwie.

William wypowiedział te słowa z taką siłą, że Lily pomyślała, że zaraz zacznie podkreślać ogrom zagrożenia szturchaniem palcem w klatkę piersiową Sebastiana. Ten oczywiście nie pozwoliłby sobie na takie upokorzenie i popchnąłby Williama, tak że w końcu musiałyby ostudzić ich zapał zimnym strumieniem ze szlauchu.

- Chodzi mi o to, żeby jak najmniej na ten temat wspominać, więc nie omawiaj tego z nikim, rozumiesz?

- A skąd ty wiedziałeś, że książka jest tutaj? - szydził Seb. - To ty narażasz Lily, dość słyszałem o metodach, które stosujesz!

- Czy moglibyśmy... - zaczęła Lily, ale nie zwrócili na nią uwagi.

- Nie naraziłem jej na niebezpieczeństwo - warknął William. - Zapewniam cię, że jest w lepszych rękach będąc ze mną, niż z kimkolwiek innym. A trafiłem tu, zaczynając od Nairobi. Stamtąd poszło już gładko. Zacierałem swoje ślady, żeby nikt nie mógł mnie wytropić, a teraz ty praktycznie ogłaszasz światu, że to właściwe miejsce.

Lily wskazała na drzwi do magazynu.

- Może trochę...

- To nie moja wina - powiedział Sebastian. - Jestem natomiast przekonany, że Robbie będzie zachwycony wieścią o tym, jak bezpieczna jest Lily w twoich troskliwych rękach. Nadeszła kolej Lily, żeby zwrócić na Sebastiana groźne spojrzenie.

- W razie gdybyś nie zauważył, przypominam, że to Robbie odszedł. Uciekł, zostawiając mnie z tym bałaganem, więc nie odstawiaj teraz wiernego kumpla. - Nie poprzestała na tym, tupiąc nogą i krzycząc: - Jestem bez grosza, a zbiry z mafii nachodzą moją księgarnię i dom! Gdzie jest Robbie, żeby mnie przed tym wszystkim chronić?

Wyszła do magazynu i zamknęła za sobą drzwi, zostawiając mężczyzn samych, mierzących się wzrokiem i oczekujących, że ten drugi ustąpi i sobie pójdzie.

Wreszcie Sebastian rzucił krótkie „pieprzyć to” i opuścił sklep.

Lily siedziała przy stole, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Mogli przynajmniej coś kupić.
- Gdyby tu wrócili, zadzwoń do mnie! - zawołał William, podchodząc do drzwi.
- Wychodzisz? Skinął głową.
- Do zobaczenia wkrótce.
- Jasne - rzuciła, wracając do patrzenia w próżnię. -Cześć.

Jego kontakty miały swoje kontakty i tak drzwi zaczęły się wreszcie powoli otwierać. Na terenie Australii nie popełniono przestępstwa, gdyż Robbie wszedł w posiadanie księgi całkiem legalnie. William nie chciał mieszać w sprawę policji, nawet nieoficjalnie. Do ustalenia celu podróży Robbiego potrzebna była jakaś cenna informacja, a teraz znał już tożsamość i zamiary dwóch Włochów, którzy zjawili się w księgarni Lily. Mając więc towar na wymianę, pozostawało znaleźć kogoś, kto byłby nim zainteresowany.

Podejrzewał, że wie o takiej osobie.

Czekał w pubie na Broadwayu, zaciskając palce na skrawku papieru, który miał w kieszeni. Był tam czwarty wiersz. Recytował go pod nosem - w wannie, wędrując ulicami i czekając, aż zjawi się jego kontakt.

Głośny huk na dole zbudził Lily. Otworzyła oczy i uniosła głowę z poduszki, żeby lepiej słyszeć. Coś się tam działo. Pewnie Otto stara się dostać do środka. Zostawiła go wczoraj na podwórku, a wiedział, że pani jest

w domu. Teraz pewnie chciał zająć swoją miejscówkę w koszu w sypialni i pozatruwać trochę powietrze swoimi nocnymi wyziewami.

Usiadła, włożyła szlafroczek i przeszła cichutko, na bosaka, do salonu, a stamtąd do kuchni, gdzie przez tylne okno wyjrzała na podwórze. Serce skoczyło jej do gardła.

Otto leżał wyciągnięty w budzie. Widziała, że śpi błogo, nieświadom zagrożenia czyhającego na członka jego stada. Ach, ty beznadziejny psie! Lecz jeśli nie Otto hałasował na dole, to kto? Poczowała, że zaczyna szczełukać zębami ze strachu. Dotąd myślała, że tak się tylko mówi, najwyraźniej jednak nie.

Przełknęła głośno ślinę i rozejrzała się za jakąś kryjówką. Skrytka na miotły była za mała. Do piekarnika też się nie zmieści, choćby starała się z całych sił. Łazienka miała mocny, solidny zamek, tam się zabarykaduje. Przeszła na paluszkach przez salon, słysząc szelest papierów na dole.

Dalekie to może od bohaterstwa, ale zamknie się w łazience i zadzwoni po Williama.

Płacili mu za ryzyko oszpecenia czy wydłubania oczu, niech więc on radzi sobie z sytuacją. Wzięła telefon, bezszelestnie wśliznęła się do łazienki i przekręciła klucz. Była druga czterdzieści nad ranem, kiedy wybierała numer Williama.

W tle słycać było hałas, musiał być w pubie lub na przyjęciu. Hej, niby dlaczego miałby nie wychodzić na miasto, żeby się rozerwać? Tylko dlatego że ona była sama w domu, a piętro niżej grasował seryjny zabójca ostrzący nóż?

- To ja, Lily - wyszeptała.
  - Co tam?
  - Ktoś jest na dole. Boję się, zamknęłam się w łazience.
  - Czy to Robbie?
  - Sądzisz, że powinnam iść zapytać? - zniecierpliwiła się spokojem w jego głosie. Powinien rzucić telefon i bez tchu pędzić jej na ratunek.
  - Nie. Będę tam za minutę, nie wychodź z łazienki. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze, wysilając słuch, aby wychwycić najcichszy dźwięk. Proszę, nie skrzywdź Otta. O niczym innym nie mogła myśleć. I nie podpalaj budynku. I błagam, niech cię nie najdzie nagle potrzeba skorzystania z toalety. Miała spięte mięśnie, a po policzkach ciekły jej łzy. Nie zrób nic mojemu pieskowi, mojemu kochanemu misiowi Ottusiowi. I nie ruszaj kolekcji koszul nocnych z epoki wiktoriańskiej ani torebek obszytych koralikami z lat trzydziestych i, jakbyś mógł, to zdecydowanie nie dotykaj starych, złotych wiszących kolczyków ani ciężkiego toczzonego łańcuszka ze złota, ani sukni z cekinami w stylu lat sześćdziesiątych, ani ukochanej niebieskiej bluzki, spoczywającej obecnie na podłodze w sypialni. Może udałoby jej się wyskoczyć i porwać tę jedną rzecz, a potem schronić się z powrotem w łazience? A, wara też od miedzianej patelni do smażenia dżemów i od...
  - Lily?
- Uchyliła drzwi i wyjrzała przez szparę. To William! Z ulgą rzuciła się ku niemu. Nie odepchnął jej, lecz przycisnął do siebie, jedną ręką tuląc jej głowę do swojej piersi, drugą obejmując jej talię. Zadrżała w jego ramionach.



- Chyba będziesz musiała poprosić Suzy, żeby wystawiła na sprzedaż kilka grubych, wełnianych piżam.

Popatrzyła na niego i jęknęła:

- Otto!

- Gdzie on jest?

Ale ona pędziła już na dół po schodach w rozwianym szlafrocuku, a potem przez totalny chaos i morze porzrzucanych kartek w księgarni do magazynu, w którym poopróżniano pudła, rzucając ich zawartość byle gdzie. Tylne drzwi stały otworem i Lily rzuciła się biegiem w stronę budy, wołając psa. Ani drgnął.

- Otto, maleńki, odezwij się do mnie - błagała drżącym głosem. - No dalej, dzielniuchu, wstawaj! Dołączył do niej William. Kucnął przy psie i przyłożył mu dłoń do pyska. Lily otarła łzy, wciąż patrząc na leżącego w bezruchu psa, po czym wyciągnęła rękę i zaczęła nim potrząsać. Nagle otworzył jedno oko, ziewnął, puścił bąka i zwinął się z powrotem w kłębek, wzdychając ciężko. Lily przysiadła na piętach.

- Żyje. Martwe psy nie pierdzą.

- Musieli nakarmić go jakimś środkiem nasennym. Nic mu nie będzie.

- Kto to był?

- Jak mniemam, włoscy przyjaciele Sebastiana. Podszedłem od tyłu i przelazłem przez tamten płot. Tylne drzwi były otwarte i widać było błyskające latarki, ale potem uciekli frontem. Pójdę sprawdzić i jeśli mi się uda, pozamykam drzwi na klucz.

Dotknęła jego ramienia.

- Proszę, nie zgrywaj bohatera.

Uśmiechnął się do niej cierpko.

- Nie będę wystawiał się na kule przeznaczone dla twojego chłopaka. - Nagle dobiegło ich głośne trzaśnięcie i odgłos czegoś z hukiem spadającego na ziemię.

- Zostań tu - polecił i wszedł do domu przez tylne drzwi.

Nie trzeba jej było tego powtarzać. Najchętniej wyciągnęłaby Otto z budy i sama wcisnęła się tam, chowając za lnianą zasłonką z nadrukiem, którą zawiesiła mu dla uszanowania jego prywatności.

- William? - zawołała cichutko, podchodząc do drzwi i zaglądając do środka. Drzwi prowadzące do wnętrza księgarni były zatrzaśnięte i William badał zamek. Weszła do pomieszczenia, trzęsąc się z zimna w cienkim szlafrocuku.

- Muszę włożyć coś cieplejszego.

- Trzeba będzie obejść od frontu, żeby...

Wtem huknęły drzwi prowadzące na podwórko. Lily wydała stłumiony okrzyk. William podbiegł do drzwi i spróbował je otworzyć, ale zadziałał zatrzask, więc ani drgnęły. Ze złością szarpał klamkę, przeklinając. - Klucz - rzucił krótko.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie mam go przy sobie. Byłam w łóżku i...

- Co za idiotyczny sposób prowadzenia firmy! - krzyknął, przeczesując włosy palcami obu rąk. Cofnęła się o krok, usta zakrywając dłonią i mrugając szybko, by zatrzymać łzy. - Nie wrzeszcz na mnie. - Wiedziałem, że to potencjalna pułapka, kiedy ostatnio oglądałem te zamki.

Łzy polały jej się po dłoni.

- Przykro mi - wychlipała, ogarniając wzrokiem chaos wokół. Pudła książek porozrzucane były po całym pokoju, uniemożliwiając swobodne poruszanie się, szafki pod zlewem pootwierano, a ich zawartość wywleczono na podłogę.

- Zdaje się, że zostaniemy tu do rana - oznajmił, trzymając ręce na biodrach. - O której otwiera Suzy?

- Nie masz przy sobie broni? - spytała, wycierając oczy w rękaw szlafroka. - Możesz chyba przestrzelić zamki czy coś w tym rodzaju?

Podszedł z powrotem do drzwi i zbadał je.

- Nie wiem, skąd ci się biorą te pomysły. W życiu nie strzelałem do żadnego zamka, zresztą w przypadku tych drzwi i tak by to raczej nie pomogło. Poza tym nie mam przy sobie pistoletu.

Przyglądała mu się, obejmując się ramionami i podskakując w miejscu, żeby choć trochę się rozgrzać. Robienie pajacyków w szlafrocжку nie wchodziło w grę.

- Musieliście sobie z Robbiem zdawać sprawę, że coś takiego może się zdarzyć.

-Teoretycznie wiedzieliśmy, że to możliwe... -Opuściła ręce. - Ale jakoś nigdy się tym nie zajęliśmy... Wiesz, jak to jest.

- Wiem - przytaknął. - Czasami jest się świadomym czegoś, ale się to ignoruje, dopóki to coś samo nam się nie przypomni.

- Brzmisz jak doradca prezydenta wypowiadający się na temat wojny.

Usiadł przy stole i zaśmiał się, lecz bez cienia wesołości. Byli uwięzieni w magazynie w zimną noc, bez koców i drogi wyjścia aż do następnego dnia.

- Co zrobimy?
- Będziemy czekać do rana, nic innego nam nie pozostaje.
- Nie mogę czekać, zamarznię tu! - powiedziała, szcękając zębami. - Coś musi dać się zrobić! Zerknął na nią i wzruszył ramionami. Rzeczywiście będzie im bardzo zimno, chyba że przytulą się do siebie. - Która godzina? - spytała.
- Nie wiem. Korzystam z zegarka w komórce, a zostawiłem ją w środku. Siedział przy stole z rękami w kieszeniach dzinsów. Lily zajęła miejsce naprzeciwko. Magazyn nie miał okien, nie było w nim też telefonu. Stał tu komputer, ale niepodłączony do internetu. Dopiero mieli się tym zająć.
- Lily poczuła, jak narasta w niej panika, chciała rzucić się do drzwi, walić w nie pięściami, płakać, wrzeszczeć: „Wypuście mnie stąd, jestem głodna!”. William musiałby ją potrząsnąć albo uderzyć ją w policzek, żeby się uspokoiła, a ona padłaby wtedy, wyczerpana atakiem hysterii. Obudziłaby się dopiero o poranku i mogliby wyjść. Oparła głowę na rękach. William przymknął oczy.
- Nie masz ze sobą szkicownika? - wymamrotała.
- Został w samochodzie.
- Aha. Położę się - oznajmiła, wstając i rozglądając się wokół w poszukiwaniu jakiegoś przytulnego zakamarka.
- Podłoga jest lodowata.
- To co sugerujesz? Mam przynieść koc i gorącą czekoladę?
- Jarzeniówki dawały ostre światło i zaproponowała, żeby je zgasić. Wzruszył ramionami, więc nacisnęła wyłącznik, położyła się pod ścianą i zamknęła oczy.

Po chwili otworzyła je jednak. Światło z księgarni sączyło się przez szparę w drzwiach, wypełniając część pokoju słabą poświatą, tylko kąty pozostawiając w ponurym mroku. William położył się na plecach pod stołem, podłożywszy ręce pod głowę. Widziała, że wpatruje się w ciemność. To będzie długa noc. Skoro miała tkwić uwięziona w pomieszczeniu z mężczyzną, dlaczego nie mógł jej się trafić dowcipny gawędziarz albo ktoś, kto potrafiłby recytować z pamięci jakieś wiersze lub chociaż ulubione dialogi filmowe? Albo nawet ktoś, kto miałby ochotę zagrać w dwadzieścia pytań, państwa miasta czy okręty - na pewno znalazłaby długopisy i papier.

Spotkanie poszło dobrze. Do tego stopnia, że spędził w pubie kilka ładnych godzin w towarzystwie innego tropiciela informacji, wymieniając się z nim wiedzą. Facetowi nie spieszyło się do domu, bo właśnie był w trakcie rozwodu, więc namówił Williama, żeby zjedli razem kolację, a potem wyskoczyli do klubu. To był przyjemny wieczór, antidotum na samotne włóczenie się po Sydney.

Martwił się o Lily, przeczuwając, że może się zdarzyć coś nieprzyjemnego. Była jednak bezpieczna - przerażona i w szoku, ale niezagrożona. Teraz będą tkwili w tym pomieszczeniu aż do rana, a ona miała na sobie tylko jedwabny szlafroczek. Kiedy padła mu w ramiona, wyskakując z łazienki, przytulił ją mocno, tak mocno, że czuł nacisk jej piersi i bioder na swoim ciele, jej ciepło,

zapach włosów. A teraz byli sami i to się jeszcze przez pewien czas nie zmieni. Gdyby tylko udało mu się zasnąć i spać aż do chwili, gdy zostaną odkryci, nic nie mogłoby się wydarzyć.

- Opowiesz mi jakąś historyjkę? - spytała. - Historię pełną wrażeń, wiesz, rozbijanie szajki przemytników dzieł sztuki, coś w tym stylu.

- Historyjkę.

- Tak, no wiesz, narracja: początek, środek i zakończenie. I żeby byli ciekawi bohaterowie.

- Hmm, niech pomyślę. - Milczał przez dłuższą chwilę, po czym zaczął opowiadać.

- Był raz bóg, pełen namiętności i wigoru, który nie przebierał w środkach, by dostać się na szczyt. Pewnego upalnego wieczoru przechadzał się po spowitej mrokiem świątyni zbudowanej ku jego czci. Sprawdził żywiczne pochodnie, które paliły się w żelaznych obręczach wzdłuż filarów, obejrzał szczątki byka, złożonego mu w ofierze, aby mógł się posilić, poprawił knoty w lampach i spojrzął na świat śmiertelników. Trzeba ci wiedzieć, że bóg ten miał wszystko, czego dusza zapagnie: wysoko postawionych przyjaciół, którzy robili wszystko, czego zażądał, oraz piękną i mądrą żonę, a dzieci, które spłodził, odnosiły sukcesy.

- Czy to opowieść o magnacie prasowym?

- Ciii. Był tak potężny, że w końcu uwierzył, iż może mieć wszystko, czego zapagnie. Na ogół chodziło o kobiety, bo był to bóg o ludzkich i bardzo cielesnych upodobaniach.

Lily, wsłuchana w jego aksamitny głos, wyobrażała sobie opisywanego boga: gęste, falujące włosy i uda umięśnione jak u piłkarza drużyny AC Milan.

- W co był ubrany? - zaciekało ją.

- Co takiego?

- W co był ubrany?

- W listek figowy.

- Jak się nosi listek figowy?

- Przyklejony na gumie do żucia. A teraz daj mi skończyć. Tak więc bóg sprawdził czary z olejkami i nagle dostrzegł...

- Piękną dziewczę! To zupełnie tak jak ty - wpadła mu w słowo. - Bohater nigdy nie trafia wzrokiem na dziewczynę szpetną albo, powiedzmy, na intrygującą formację skalną.

- Jest bogiem! Ma półbogów od zauważania tych innych rzeczy. Tak więc jego wzrok pada na nią, siedzącą cicho na jakiejś purpurowej, aksamitnej draperii nad rzeką, i myśli sobie: „Hmm, niezła sztuka”. Wie, że gdyby zstąpił na ziemię i ukazał jej się we własnej postaci, jako główny bóg niebios, to oślepiłaby ją jego świetność, więc musi się jakoś przebrać.

- Niech zgadnę, co się wydarzy... Zamieni się w łabędzia, tak?

- Prosiłaś o historyjkę, nie znam ich zbyt wiele. Jak tak, to sama powiedz, co się teraz stanie.

- Łabędź przyleciał i ją przeleciał, ona zaszła w ciążę i urodziła bandę dzieci, sprawiających same kłopoty. Jedną z pociech była Helena Trojańska.

- Jakżeż elokwentnie opowiadasz.

- Tę znam, opowiedz mi taką, której jeszcze nie słyszałam.

- Skąd mam wiedzieć, co znasz, a czego nie? - zakończył dyskusję.

Powinna była wysłuchać do końca, pozwolić mu spuentować opowieść, bo teraz pewnie się obrazi.

- Idę spać - poinformował.

Spędzasz godziny, ucząc się na pamięć poezji, a ona prosi o historyjkę. Nie zamierzał recytować wiersza, dopóki o niego nie poprosi. Widział ją w półmroku, bladozielonkawą postać, jak wierci się, rozgląda wokół, owija ciasno szlafroczkim. Powinien zaoferować, że ją ogrzeje, ale biorąc pod uwagę, że spowijał ją tylko cieniutki, jedwabisty materiał, byłoby to dla niego zbyt duże wyzwanie. Nie dałby rady. Odwrócił się na bok, tak aby leżeć plecami do niej. Była bezbronna, samotna, a jednak związana z innym mężczyzną. Nie było go tu, żeby zapewnić jej ciepło, ale czy nie rości sobie już do niej żadnych praw? W istocie nie chodziło jednak o prawa Robbiego, lecz o to, że go kochała, a on, William, nie powinien się w to mieszać.

Lily zastanawiała się, jak on może spać w takich warunkach. Temperatura powietrza spadała gwałtownie, bezustannie burczało jej w brzuchu, a na dodatek wkrótce będzie musiała się wysikać. Brak jedzenia i fatalne towarzystwo były jeszcze do zniesienia, ale wypełniający się pęcherz wybija się na



pierwszy plan zmartwień przez najbliższych kilka godzin.

Popatrzyła na jego plecy. Nie poruszył się od jakiegoś czasu. Cichutko wymówiła jego imię. Może spał? Mężczyźni tak potrafią. W jednej chwili normalnie funkcjonują, minutę później smacznie chrapią. Kobiety natomiast wiercą się, po kilka razy przewracają z boku na bok, zastanawiając się, czy aby na pewno wyłączyły żelazko.

Był tajemniczym człowiekiem. Patrzyła, jak jego tors wznosił się i opadał równomiernie, gdy spał. Czy ktoś czekał na niego w Londynie? Na pewno, taki mężczyzna musi kogoś mieć. Zwinęła się w ciasny kłębek, starając się zatrzymać ciepło, i oparła twarz na rękach. Faceci bez przerwy ją nękali, a ona wypracowała sobie listę sposobów na odprawianie ich, od uprzejmego zbywania po obrzucanie błotem ich samych i tej ich bezczelności. Przez ostatnie lata w ogóle unikała kontaktów z mężczyznami, bo kochała Robbiego. A teraz żyła oczekiwaniem na odwiedziny Williama, uwielbiała jego poczucie humoru, chłodną powściągliwość i smukłą sylwetkę.

Spróbowała wetknąć szlafroczek pod stopy, ale efekt jej wysiłków okazał się żałosny. Żyła oczekiwaniem, bo była samotna i nieszczęśliwa. Była jak kociak, który -raz pogłaskany - idzie za człowiekiem, pragnąc kolejnej pieszczoty. I kolejnej...

Noc ciągnęła się w nieskończoność. Niemal żadne dźwięki nie docierały z zewnątrz. Do ich uszu dobiegał jedynie leciutki warkot i pomruk miasta, od czasu do czasu rozdzierany odległym wyciem syreny ambulansu.

Ale zimno. Tak bardzo zimno. Popłakując cicho ze smutku, zerknęła znów na Williama. Pograżony we śnie, oddychał głęboko i miarowo. Może nie zauważy, jeśli skorzysta trochę z temperatury jego ciała. Mogłaby się zbliżyć i nawet go nie dotykając, zyskać odrobinę ciepła.

Usiadła i jeszcze raz przyjrzała mu się uważnie, po czym podpełzła do niego bezszelestnie. Najpierw lepiej się upewnić. Wyciągnęła palec i delikatnie dotknęła jego łopatki. Ani drgnął. Po chwili powiedział:

- Połóż się przy mnie, Lily, ogrzeję cię.

Jego głos zadźwięczał miękko i czule w otaczającej ich ciszy i niósł ze sobą obietnicę ciepłych ramion, pokrzepiających uścisków, a może nawet głaskania po plecach, które ma właściwości kojące. Zmarznięta na kość i nadal chlipiąc cichutko, rozwinęła się z kłębuszka i zwrócona do niego plecami, wtuliła się w jego ciepło. Okrył ją ramieniem, a ona przycisnęła je do siebie jak pluszowego misia pocieszyciela.

## ROZDZIAŁ 10

- Jak myślisz, która może być godzina? - spytała Lily, wysysając z jego ciała każdy gram ciepła.

- Nie wiem - szepnął z ustami przy jej szyi. Ciężar jego ramienia przynosił jej ulgę. Czowała mocny,

wilgotny zapach goździków. Znowu palił.

Tylną stronę nóg i plecy już zagrzała o jego ciepłą klatkę piersiową i uda. Gdyby się teraz odwróciła, aby wtulić się w niego przednią częścią ciała, byłaby w tarapatach, co mogła śmiało stwierdzić po ucisku czegoś twardego na swoim pośladku. Jeśli nie zwróci na to uwagi, może zniknie. Skoro jest dżentelmenem, może skieruje myśli ku królowej.

Światło nadal sączyło się przez szparę pod drzwiami. Postanowił, że podłoga pod stołem będzie najlepszym miejscem na nocleg. Było tu jak w prostokątnej jaskini, która chroniła ich przed pobożowiskiem książek i pudeł porozrzucanych po magazynie.

Przesunął rękę, tak że jego dłoń spoczęła delikatnie na jej ramieniu. Czowała ciepło jego oddechu we włosach i na szyi oraz narastającą twardość napierającą na pośladki. Odsuwał się od niej, starając się zminimalizować kontakt swoich bioder i jej pupy, ale nie było to łatwe. Przeciwnie, było bardzo trudne, i zastanawiała się, czy on jest w stanie myśleć o czymkolwiek innym. Ona nie potrafiła.

Instykt podpowiadał jej, by odwrócić się i objąć go. Pragnęła tego od chwili, gdy odpowiedział na jej uśmiech, wtedy na ulicy, zanim jeszcze dowiedziała się, kim jest i jaką rolę odegra w jej życiu. Hamowała się z całych sił, powtarzając w myślach: „W magazynie-pułapce. Rozgrzewamy się. Nic więcej. W magazynie-pułapce. Rozgrzewamy się. Nic więcej. W magazynie...”.

Wyśliznęła się spod jego ramienia i obróciła ku niemu. Chwycił jej twarz w rękę, przesunął po niej dłońmi. W półmroku widziała jego źrenice, szerokie i czarne, i usłyszała, jak szepcze jej imię. Podniosła głowę i pocałowała go, drapiąc policzek jego zarostem. Ręka Williama powędrowała ku jej piersi. Jedwabny szlafroczek rozchylił się, gdy podciągała jego koszulę, wdychając hipnotyczny zapach jego potu, niepomna zimnej podłogi pod sobą.

I nagle znalazł się w niej, jednym, gorączkowym ruchem, wbrew wszelkiej logice, która miała go powstrzymać. Pocałunki Lily były wygłodniałe, a palce badały całe jego ciało, usta, plecy, ramiona, skórę gorącą i białą. Sześć lat życia z Robbiem sprawiło, że dotyk nieznanego przyniósł szok, ale jej żądza była silniejsza od wszelkich oporów. Dysząc i nie zwracając uwagi na

zimno ani na nogę stołu wpijającą się jej w udo, trzymała go w ramionach, a jego usta zakrywały jej wargi, aż urywanym głosem wykrzyczał jej imię. Drżąc, zanurzył twarz w jej szyi. Leżeli bez ruchu, przytuleni do siebie, nie mogąc zwolnić uścisku.

- Gdybyś była moja - rzekł wreszcie, dysząc jeszcze - nie zostawiłbym cię samej ani na minutę, nawet na sekundę. - Przytulił twarz do jej policzka, tak że czuli nawzajem ciepło skóry i trzepot rzęs.

- Myślałam, że znosisz mnie i moją głupotę ze względu na swoją pracę - szepnęła, patrząc na niego i odgarniając mu z twarzy czarną grzywkę.

Zsunął się z niej, lecz nie wypuszczał jej z ramion i leżeli tak, w milczeniu, na zimnej posadzce, ich ciała splecione mocno, jej głowa oparta na jego ramieniu.

- To nie powinno się dziać - powiedział, ale przyciskał ją nadal do siebie.

Lily wpatrywała się w jego twarz, mając nadzieję, że ciemność nigdy nie zrzędzie i że będą mogli leżeć tak razem, zamknięci w pokoju, a Robbie, książka, wszystkie problemy i ludzie należący do ich codzienności na długo zostaną za drzwiami. Przez głowę przemknęła jej nawet myśl, że może uda im się kochać raz jeszcze, tym razem bez pośpiechu, delikatnie, pomimo jego żalu.

Pozwoliła dłoni błądzić po jego ciele, przez ciemne włosy na piersi, twardego brzuch i bladą skórę.

Zwrócił się twarzą do niej, tak że ich nosy prawie się stykały, i poczuła, jak znów twardnieje od dotyku jej ud. Dotknął jej piersi, ciągnąc delikatnie za sutki, aż jego oddech przyspieszył. Patrząc w jej oczy, wszedł w nią

powoli, a ona, nie odrywając wzroku i przytrzymując się jego ramion, objęła go nogami wokół pasa.

- Moglibyśmy zostać tak na zawsze - wyszeptał. Te same oczy, które przywołały na jej twarz uśmiech

wtedy, na ulicy, teraz wpatrywały się w nią, jakby szukały jej za szarą tęczę. Nie umiała stwierdzić, co dokładnie chciał odkryć. Jak bardzo była podniecona? Czy była z nim, czy gdzieś indziej? Przesunęła językiem po jego wargach, a on wzmocnił uścisk i przestał się poruszać, czekając na nią. Nie miało znaczenia, czy dojdzie, czy nie, przynajmniej nie tym razem - pragnęła go bardziej niż zakończenia. Chciała, żeby został, jak sam powiedział, w niej na zawsze.

Sięgnął ręką w dół, pomiędzy nich, i poczuła delikatność jego dotyku. Wciąż patrzył na nią, a ona wiedziała, że jeśli tylko poruszy biodrami, choćby odrobinę, wywoła lawinę, której już nie powstrzyma, a która zakończy się błyskiem rozkoszy. Nie mogła się temu oprzeć. Poddała się, a potem krzyknęła i po raz pierwszy zamknęła oczy.

Leżeli razem, przykryci szlafrocikiem. Jakiś samochód przejechał, tłukąc się tylną alejką. Ciemny stół dawał im schronienie, zimna podłoga nie miała już znaczenia.

- Nie chcę, żeby nas znaleźli - powiedziała. Marzyła o tym, by zostać pod jedwabiem. Ich twarze blisko siebie, ciała nadal złączone...

- W końcu jednak nas odnajdą. Co wtedy?

- Pójdziemy na górę, do łóżka, i się zagrzejemy - zachichotała, delikatnie go całując.

Przez dłuższą chwilę nie usłyszała odpowiedzi. Jego ręce zsunęły się z jej ciała. Zmienił pozycję, puszczając ją wolno.

- Nie, nie możemy sobie więcej na to pozwolić - powiedział w końcu.

- Co takiego? Dlaczego?

Uniosła głowę, starając się dojrzeć jego twarz.

- Bo dla mnie to praca, a ty jesteś w tej chwili stanowczo zbyt bezbronna. Muszę zachować dystans. Nie mogę podejmować właściwych decyzji, jeśli moje myślenie ogranicza się do planu, jak rzucić cię na łóżko. Mógłbym nas oboje postawić w niebezpieczeństwie.

- Zachować dystans?

Usiadła tak gwałtownie, że omal nie uderzyła głową w blat. Odsunął się od niej, wyśliznął spod stołu, podniósł koszulę i próbował się w nią wbić.

- A poza kwestiami zawodowymi, to co z Robbiem? Co się stanie, kiedy znowu go zobaczysz? Opowiesz mu, o... to znaczy... właśnie, co właściwie zamierzasz mu powiedzieć? - Popatrzył na jej pochyloną głowę. - O tym?

Zamrugła i przeniosła wzrok na swoje nogi, wystające spod rozciągniętego na niej niczym przykrótka kołdra szlafrocza.

- To już się zdarzyło, Williamie. Stłukliśmy jajko godzinę temu i nie da się go z powrotem zamknąć w skorupce.

Wstał i zapiął koszulę.

- Przykro mi, nic z tego nie będzie.

Owinęła się ciasno szlafrokiem i przeczesła włosy palcami, podczas gdy on podszedł do drzwi i sprawdzał zamki, jakby istniała szansa, że samoczynnie się pootwierają. Kusił ją widok książek piętrzących się na stosie obok niej. Wielkie, ciężkie pociski. Mogła rzucić jeden

w jego głowę i sprawić, żeby ją zauważył, przypomnieć, że nadał tu jest.

Jak mężczyźni mogli usuwać wszystko na bok? Ciskać uczucia w kąt i wracać do naprawiania rzeczy albo, jak w tym przypadku, psucia ich?

William usiadł przy stole, a Lily unikała jego wzroku. Zniknął za wyzutym z emocji spojrzeniem, opanowany, trzymający wszystko pod kontrolą. Odwróciła się do niego plecami i zajęła segregowaniem książek i pakowaniem ich z powrotem do pudełek.

Rozejrzała się po zdewastowanym magazynie: stare księgi porozrzucane dokoła, szuflady z mapami pootwierane, ich cenna zawartość brutalnie wyciągnięta na wierzch, miejscami potargana. Poszukiwania przeprowadzono z niewiarygodną furją.

Na czworakach podeszła do tylnych drzwi i przykładając usta do szpary pod drzwiami, zawołała: „Otto, Otto!”. W szczelinie rozległ się odgłos węszenia i wyobraziła sobie, jak jego krótki ogonek merda radośnie. Wysunęła na zewnątrz palec i poczuła na nim ciepły język psa, skomlącego cichutko. Dzięki Bogu, żyje! Może i był tylko psem, ale zakochanym w swojej pani po uszy. Wystarczyło, że wypowiedziała jego imię, a on natychmiast pędził do niej, szczęśliwy, i siedział z nią, choćby do wieczora. Najwyraźniej to jedyny samiec zdolny do takiego przywiązania. Pozostali mieli lepsze rzeczy do roboty, jak zarabianie tryliardów dolarów na handlu kradzionymi dziełami sztuki czy zabawę w policjantów i złodziei.

- O, mój malutki Ottusiu - mówiła pieszczotliwie. - Mamusię zamknęli w tej pułapce, biegnij powiedzieć Suzy, no idź... Grzeczny piesek!



- Zrobi to? To znaczy, potrafi... Rzuciła mu cierpkie spojrzenie.

- To dwuletni sznaucer z obsesją na punkcie piszczących zabawek, nie Inspektor Rex.

Lily odwróciła się od drzwi i przyjrzała pomieszczeniu, bałaganowi i zniszczeniom oraz Williamowi, stojącemu pośrodku tego chaosu. Podniosła książkę i umieściła ją w pudle. Uklęknął i zaczął jej pomagać w sprzątaniu.

- Przestań - warknęła. - To nie twój problem.

Nie zaszczyliła go spojrzeniem, a on wycofał się do stołu, gdzie pozostał ze wzrokiem wbitym w przestrzeń i rękami w kieszeniach.

To była jedna z najgłupszych rzeczy, jakich się w życiu dopuścił. Lubił myśleć o sobie, że jest zdyscyplinowany, że w odróżnieniu od większości facetów nie jest pozbawionym samokontroli samcem, któremu trzeba wybaczyć, że myśli członkiem. Chciał być mężczyzną, który umie przewidywać konsekwencje swego postępowania i powstrzymywać popędy, nawet w sytuacji gdy między nogi wciska mu się krągła kobieca pupa. Ale nie, on zaproponował, że ją ogrzeje, bo wiedział, jakie to będzie przyjemne. Myślał, że na tym poprzestanie. Byłoby lepiej dla niej, gdyby zmarzła, ale uniknęła tej okropnej komplikacji.

Był w niej zakochany, i to od chwili, gdy poprosiła go o wiersz. Na tym właśnie polegał problem. Cały szkopuł w tym, że zapomniał, iż obiektywne sądy na ogół rozplýwały się w konfrontacji z miłością, a on tego uczucia

nie zaznał już od lat. Z tym że ona żyła z innym mężczyzną, stanowiła część układanki należącej w całości do jego pracy, a ponadto była obecnie bezbronna i całkiem sama. I co teraz o nim myśli? Nawet nie chce na niego spojrzeć. Jak zagwarantować sobie nienawiść kobiety? Kochać się z nią, najlepiej dwukrotnie, a potem powiedzieć: „Ups, wybacz, ale nie powinniśmy byli, udawajmy, że to się nigdy nie wydarzyło”.

- Przykro mi, Lily.

- Myślałam, że to już ustaliliśmy. I wiesz co? Mnie też jest przykro. Nie musisz się martwić, że coś takiego kiedykolwiek się powtórzy - powiedziała, wrzucając książkę do pudła. - Zrób to, po co przyjechałeś, i wynoś się.

Kolejna książka z hukiem znalazła się w pudle. Lily odwróciła się nagle i spojrzała na niego z gniewem.

- A właściwie to co ty robisz? Nie wspomniałeś ani słowem o postępach w pracy, jeśli w ogóle jakichś dokonałeś. Nie wydaje mi się, żebyśmy zbliżali się do odnalezienia mojego partnera.

Nie patrzył na nią, gdy odpowiadał.

- Przykładam ucho do ziemi i podążam tropem pewnych informacji.

- Jak sprytnie. I co dotąd odkryłeś? Księgi dalej nie ma, Robbiego ani widu, ani słychu, po moich oszczędnościach ani śladu, ty wzięłeś mnie na podłódze - jej głos nabierał mocy - i co zamierzasz zrobić z tym wszystkim?

- Rozumiem twoją złość, ale to musi tak wyglądać. Przynajmniej na razie.

Wrzuciła kolejne książki na rosnący stos w pudle, czerpiąc satysfakcję z głośnych uderzeń tomów o siebie, i warknęła:

- Nie odzywaj się do mnie.
- Posłuchaj, źle to rozegrałem. Ja...

Zza drzwi dobiegły ich dźwięki: dwa wyraźne głosy i szmery poruszających się ludzi. Lily zaczęła tłuc pięściami w drzwi.

William pociągnął ją za rękę.

- Nie wiesz, kto tam jest.
- Nie bądź śmieszny - odgryzła się. - Chyba za długo już pracujesz w swoim fachu.

Usłyszeli cichutkie stukanie w drzwi, a potem Suzy mówiącą coś szybko po wietnamsku.

- To Suzy i Tranh! - krzyknęła, po czym znów uderzyła pięścią w drzwi, wołając głośno.
- Lily, jesteś tam? Zadzwońłam już na policję, wytrzymaj jeszcze chwilę!

Wytrzymaj. Lily potrząsnęła głową i zawołała przez drzwi:

- Suzy, jestem tu i nic mi nie jest, przynajmniej fizycznie. Idź do sypialni i poszukaj klucza w wazoniku z króliczkiem. Przynieś go i otwórz mi!

Usłyszała kroki Suzy przemierzającej schody w górę i w dół, a potem drzwi stanęły otworem.

- Lily! Co tu się, u licha, stało? - spytała Suzy, przytulając ją do siebie.
- Rozejrzyj się, Suz, to się właśnie stało! Cześć, Tranh. Mąż Suzy, ubrany w garnitur i gotowy do dnia pracy

w biurze maklerskim, rozejrzał się, kręcąc głową. Zabrzęczał jego telefon, więc sprawdził wiadomość, po-

całował żonę, a potem i Lily i uciekł szybko do swoich obowiązków. William wyłonił się z magazynu, wywołując uśmiech na twarzy Suzy. Marszcząc nos i dając Lily kuksańca, przywitała się:

- Hej, Williamie.

- Cześć, Suzy.

- Jestem zmarznięta na kość i rozpaczliwie chce mi się sikać - wymamrotała Lily i przecisnąwszy się obok Suzy, popędziła na górę. Nie zamierzała zejść, dopóki był tam William.

- Zaczekam na policję! - zawołał do niej.

- Rób, co chcesz! - rzuciła ze szczytu schodów. - Udziel im wywiadu.

Suzy zmierzyła Williama wzrokiem i uniosła brwi.

- Wyglądasz, jakbyś potrzebował kawy, kochany. Zaraz wracam.

Lily z ulgą dopadła toalety. Następnie weszła pod prysznic i stanęła pod strumieniem gorącej wody, mydląc się i dając ukojenie zmarzniętemu ciału. Cholerny facet. Cholerny, cholerny, bezużyteczny samiec. Jak on śmiał? Nalała na dłoń szamponu i wmasowała go w skórę głowy. Praca przede wszystkim - czy to właśnie starał się jej powiedzieć? Ale przecież nie tarzała się z nim po podłodze z braku lepszego zajęcia. Włożyła w to serce i wiedziała, że on również. To wszystko nie wydarzyło się chyba tylko dlatego, że leżeli obok siebie? Z pewnością byli na tyle dorośli, aby...

Drzwi łazienki otworzyły się nagle i wydała okrzyk przerażenia.

- Jo tylko ja - odezwał się William. - Przyjechała policja, porozmawiam z nimi.

Odsunęła zasłonę od prysznicza, trzymając ją jednak strategicznie - dość się już napatrzył na jej ciało.

- Sama się z nimi zobaczę, kolego. Dom jest mój, antykwariat jest mój i mojego chłopaka, który zaginął. Twoim zadaniem jest odzyskanie książki dla koleśków z mafii, a że księgi już tu nie ma, to również możesz zniknąć.

Przez ułamek sekundy patrzył na nią z wściekłością, po czym wyrwał jej z dłoni zasłonę, zakręcił wodę, wszedł do brodzika i chwycił śliskie od mydła ciało, całując ją tak mocno, że poczuła ból. Popchnął ją na zimne kafelki. Odwróciła się od niego w gniewie. Odchylił jej twarz ku górze, ale zacisnęła powieki, odmawiając mu choćby spojrzenia.

- Jeszcze nie skończyliśmy - wyszeptał ostro, przybliżając swoją twarz do jej twarzy.

Położyła dłonie na jego piersi i odepchnęła go mocno, sycząc:

- Wynoś się! - Kilka sekund później dobiegł ich z dołu głos:

- Panno Trevennen?

Rzucili sobie złowrogie spojrzenia. Z satysfakcją zauważyła mokre plamy na jego koszuli.

- Powiedz im, że zaraz zejść.

William poszedł na dół, a ona, sapiąc, biegła po sypialni. Majtki, majtki, stanik, hmm... skarpetki nie...

Wskoczyła w parę niebieskich dżinsów, wsunęła kozaki na bose stopy, a na górę narzuciła prostą, białą bluzkę z długimi rękawami. Dopiero pędząc w dół po schodach, zorientowała się, że zapomniała biustonosza. Skrzyżowała ręce na piersi i stanęła przed dowodzącym

policjantem. Pozostali dwaj funkcjonariusze dokonywali oględzin całego parteru budynku.

- Spałam, kiedy usłyszałam hałas na dole. Byłam zbyt przerażona, żeby zejść.

Zadzwoiłam więc do... Williama i to on ich spłoszył.

Policjant zanotował wszystko skrzętnie i pytał dalej:

- Jakie stosunki łączą panią z panem Isyanovem?

- Yyy... przyjacielskie.

- Czy mieszka tu pani sama?

- Nie, z partnerem, Robbiem Schwartzmanem, który chwilowo jest nieobecny. Wyjechał... w interesach.

- Jakie to interesy?

- Prowadzimy antykwariat ze starymi książkami i mapami, musimy więc zdobywać towar, co czasem wymaga zamorskich podróży, do Anglii na przykład.

Przesłuchujący ją funkcjonariusz skinął głową. Poinformował o terminie, kiedy raport będzie gotów do przedłożenia agencji ubezpieczeniowej, i surowo zalecił założenie lepszych zamków oraz zgłaszanie wszelkich dalszych problemów. Nie traktowali jej sprawy priorytetowo i wątpiła, czy kiedykolwiek jeszcze się do niej odezwą. Spytali ją co prawda, czy ma jakieś podejrzenia co do tożsamości sprawców i celu ich wizyty, lecz odparła, że nie. Policja odjechała, a ona z przerażeniem patrzyła na gruzowisko, w które przemieniono jej księgarnię. Na ulicy panował poranny ruch. Ludzie zmierzający do przystanku autobusowego zaglądali do wnętrza księgarni, podczas gdy ona zajęła się wyszukiwaniem numerów do ślusarza i warsztatu szklarskiego.

William czekał w milczeniu, aż zostaną sami.

- Postąpiłaś słusznie, nie wspominając policji o zaginięciu Robbiego.

- Czyżby!?! - wrzasnęła. - Cieszę się, że to pochwalasz. Tylko co będzie, jeśli znajdą go zamordowanego i będą chcieli wiedzieć, dlaczego nie zgłosiłam zaginięcia?

Przypuszczam, że powinnam powiedzieć: „Och, pan Isyanov wolał nie narażać na szwank akcji odzyskiwania książki, więc pozwoliliśmy Robbiemu gnić”. Przeczesała palcami mokre, splątane włosy. - Nie mogę uwierzyć we własną głupotę. Powinnam wezwać ich tu z powrotem! Biorąc pod uwagę, ile ty już osiągnęłaś, wyłączając... - urwała.

Przechodzenie przez to od nowa nie miało sensu. William czekał tylko, aż skończy. - Po prostu idź już - powiedziała znużonym głosem. - Jak widzisz, mam dużo pracy.

Przebrnął przez pobojuwisko i wyszedł bez pożegnania.

Lily pobiegła na górę i położyła się na łóżku. Przykryła twarz poduszką i leżała w ciszy bez ruchu, myśląc o wszystkim, czym musiała się zająć. Wysprzątać księgarnię i magazyn, wziąć Otta do weterynarza na badania, wykupić sobie miejsce na cmentarzu i podciąć żyły.

Wstała z westchnieniem, ściągnęła bluzkę, założyła biustonosz i z powrotem się ubrała.

William leżał na hotelowym łóżku z twarzą wciśniętą w poduszkę. Przewracał się z boku na bok, zrzucał z siebie kołdrę, po czym z powrotem się przykrywał. Wzdrygał się na samo wspomnienie wyrazu jej twarzy, kiedy powiedział, że między nimi niczego nie będzie.

Kiedy się kochali, patrzyła na niego z taką czułością... Jednak kilka chwil później jej oczy zmieniły się w ostre, szare kamyki i czuł, że chciała rzucić je w niego, najlepiej w ogóle go ukamienować.

Uprawianie z nią seksu, niezależnie od tego, jak bardzo jej pragnął, było bardzo niewłaściwym ruchem. Zachował się jak skończony dureń, zapewniając ją już po fakcie, że to się nigdy więcej nie powtórzy. Stłuczonego jajka nie da się przelać z powrotem do skorupki - Lily miała rację, a oni narobili niezłego bałaganu na tej zimnej podłodze. Zaszyty w hermetycznym pokoju, nie miał szans na sen. Opuścił hotel i poszedł w dół ulicy Macquarie, a potem dalej przed siebie. Z rykiem silników mijały go autobusy, spaliny gryzły w gardło, ale szedł dalej, ulica za ulicą przez chińską dzielnicę aż do kampusu uniwersytetu. Wreszcie wybrał jedną z kawiarni, zamówił kawę i usiadł, przypatrując się przechodniom.

Może powinien zrezygnować z tego zadania. Napisze Thomasowi mejla albo zadzwoni do niego wieczorem. I tak miała to być jego ostatnia misja, więc czemu nie wypisze się ze sprawy od razu i nie przekaże jej komuś innemu?

Lily spędziła dzień na sprzątaniu. Na jej oko nic nie zginęło. Musiała złożyć wniosek o odszkodowanie za poniesione straty, a tych było sporo, szczególnie biorąc pod uwagę książki, które poważnie ucierpiały i tym samym znacząco straciły na wartości.

Wymieniono zamki, w okna i drzwi wstawiono nowe szyby. Otto nadal był



śpiący i apatyczny, ale pochłonał skrzydełko kurczaka, po czym udał się przekopywać śmietnik w poszukiwaniu jakichś kąsków, co było ewidentnym znakiem, że czuje się coraz lepiej.

Spał u jej stóp, podczas gdy ona odpisywała na pytania potencjalnych klientów. Było to jedyne działanie mogące uratować teraz jej interes. Umówiła się na kolejne spotkanie w banku, gawędziła z sąsiadami, którzy zaglądali do niej, dopytując się, czy wszystko w porządku. Wszyscy chcieli też wiedzieć, gdzie jest Robbie. Niech pytają, ile dusza zapragnie, ona sama też miała kilka wątpliwości do wyjaśnienia.

Co jeśli Robbie żyje i liczy na ratunek z jej strony? A ona w tym czasie kocha się z innym - z mężczyzną, którego mimo usilnych starań nie mogła wymazać z pamięci. Miał jej pomóc w odnalezieniu Roberta, albo przynajmniej księgi. Lily zapatrzyła się w monitor komputera. Zamrugła, żeby powstrzymać łzy, ale litery coraz bardziej rozmazywały jej się przed oczami.

Widziała przed sobą spojrzenie Williama, ciemnogramatowe niczym niebo, gdy zapada noc. Wszyscy mówili zawsze o czarnych nocach, ale tak naprawdę były w kolorze ciemnego granatu. Był z nią, czuła to. Ale potem zniknął, zostawiając za sobą jedynie słowa określające mianem błędu to, co się między nimi zdarzyło.

Łzy zaczęły kapać jej na dłoń. Księgarnia nadal przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpacz: książki porzucane wszędzie, papiery z biurka rozwleczone po podłodze, nawet jej ulubiony portret Jane Russel leżał na ziemi, brutalnie zerwany ze ściany.

Wszystko trzeba będzie posprzątać i poodkładać na właściwe miejsca, tak jakby nic się nie wydarzyło.

William odstawił filiżankę letniej kawy i zamówił kolejną. Kelnerka przyniosła ją do stolika w tej samej chwili, gdy zadzwonił jego telefon. William spojrzął na wyświetlacz.

To Thomas oddzwaniał z Londynu.

- Masz łup? - zapytał. -Nie.

- Potrzebujesz czegoś? -Nie.

- Słuchaj, stary, jestem okropnie zmęczony. O co chodzi?

- Pojawiły się komplikacje. Rozważam rezygnację. Thomas przez chwilę nie odpowiadał.

William wyobraził sobie jego minę.

- Nie da się tak, podpisałeś kontrakt. Zresztą nigdy nie zdarzały ci się żadne komplikacje, więc nie zaczynaj się nagle zachowywać jak pieprzona primadonna. Rozwiąż to jakoś.

Dobranoc.

## **ROZDZIAŁ 11**

Lily spędziła kolejnych kilka dni na doprowadzeniu księgarni do ładu. Bank przyznał jej większy kredyt, więc miała pieniądze na życie i na zapłacenie rachunków. Inny pomysł na pozbycie się kłopotów finansowych chwilowo nie przychodził jej do głowy. Znienawidziła porę, gdy trzeba było położyć się spać. Leżąc samotnie w olbrzymim łóżku, powtarzała po raz setny to, co powiedział jej wtedy, w magazynie: „Gdybyś była moja, nie zostawiłbym cię samej ani na minutę, nawet na sekundę”. To jego słowa, patrzyła wprost na niego, gdy je wypowiadał. Kiedy zamykała oczy, pojawiał się znów przy niej, szepcząc jej imię z ustami zanurzonymi we włosach.

Przechadzał się alejkami ogrodu botanicznego i zdawało mu się, że wszędzie wokół wyglądały na niego lilie. Te na długich łodyżkach, różowe lilie wielkanocne,

późne lilie wodne, odmiana o jasnożółtych kwiatach, nad którymi beztrosko krążyły ważki, lilie orientalne i azjatyckie, a wreszcie ognista lilia, wyjątkowy australijski kwiat o czerwonych, ciasno ułożonych płatkach i długiej łodydze. Wszędzie, gdzie zwrócił oczy, rosły lilie.

Wyjął szkicownik i usiadł w promieniach porannego słońca nad stawem z ibisami.

Rysując, pozwolił błądzić myślom. Nawet gdyby teraz zrezygnował z pracy, pozostawałaby kwestia Robbiego. Gdziekolwiek by był i jakichkolwiek niecznych czynów by się dopuścił, i tak był dla niej kimś ważnym. Mówiła o nim „mój partner” i domagała się wyjaśnień, dlaczego on, William, jeszcze tego „jej partnera” nie uratował. Jeśli jej partner idiota dałby się zabić, to też winiłaby jego, Williama. Była na niego zła za to, co zdarzyło się w magazynie, a gdyby Robbie przepadł, gniewałaby się jeszcze bardziej, co przekreśliłoby już wszelkie jego szanse.

Odłożył notes i przyglądał się, jak mewy dokuczają gołębiom przy kiosku. Trzeba się upewnić, że Robbie jest bezpieczny, i odzyskać cholerną księgę, lecz aby tego dokonać, musi dowiedzieć się, dlaczego księgarz uciekł, zostawiając dziewczynę samą.

Sześć lat wspólnego życia i nagle wychodzi bez słowa? Jest cudowna, więcej niż cudowna, ale musiało wydarzyć się coś, co sprowokowało go do odejścia. Był pewien, że Lily nie wie, gdzie ukrył się jej partner, ale jakiegoś klocka brakowało w tej układance.

Otto wyskoczył z kosza i pobiegł do wejścia, merdając ogonem z taką werwą, że zdawało się, iż całe jego ciało wije się z radości. Lily podniosła oczy znad odkurzanych właśnie książek i obdarzyła Williama zimnym spojrzeniem, po czym wróciła do zbiorów Dickensa. Zapukał ponownie i czekał, podparty pod boki, z niecierpliwością malującą się na twarzy. Widać było, że nie ruszy się z miejsca. Odłożyła ściereczkę, wytarła dłonie, podeszła do biurka i sięgnęła po chusteczkę, po czym wydmuchała nos. Dobrze, wpuści go, ale tylko po to, by poinformować go, że nie jest już mile widziany i że teraz policja przejmie sprawę. Rozkazała psu powrót do koszyka - koniec, Otto nie będzie decydował, co ona ma robić - i otworzyła drzwi.

- Czego chcesz?

Wyglądał przepysznie tego ranka. Co za szkoda, że miała ochotę rozerwać go na strzępy za pomocą tępego narzędzia. Zawahał się, jakby zaskoczyła go jej wrogość. Ale czego się spodziewał? Że ucieszy się na jego widok, odkładając ich źle obliczony moment bliskości do pudła z etykietą „Za trudne do rozwiązania”? Odsunęła się, robiąc mu miejsce, ale nie zamykała drzwi, bo przecież - jeśli decyzja miała należeć do niej - on właśnie wychodził.

- Lily, potrzebowiałem trochę czasu, żeby pomyśleć

O tobie i o mnie. O tym, co wydarzyło się między nami.

O tym, co się wydarzyło. A czy coś w ogóle było? Czy nie kazał jej o tym zapomnieć?

- Nie ma ciebie i mnie. Jest Robbie i ja. A ty osobno.

1 jest idiotka, taka jak ja, która szalenie żałuje tego, co zrobiła, ale nie ma ciebie i mnie.

- Lily, nie złość się - poprosił, zamykając drzwi. -Porozmawiajmy.
  - Słuchaj, jeśli nie zdobyłeś jakichś nowych informacji na temat mojego partnera, to nie mamy o czym rozmawiać. To, co się stało, było żalosną pomyłką. Impuls wyrwany spod kontroli, bliskość, okazja, nic poza tym.
- Patrzyli na siebie, czekając, kto pierwszy zamruga. Jego spojrzenie nabrało hardości, której wcześniej nie widziała. Przełknęła ślinę, po czym przeniosła wzrok na ulicę. A tam stała Esther, matka Robbiego, zaglądając przez szybę do środka.
- Uuu, Lily... - Kobieta machała ręką jak szalona. -To ja!
- William westchnął zniecierpliwiony. Lily rzuciła mu ostatnie spojrzenie i poszła wpuścić Esther.
- Miałaś wpaść po to zaproszenie na ślub Miriam! -powiedziała po wyczałowaniu Lily.
- Potem zwróciła się do Williama: - Ach, przepraszam, czy w czymś przeszkodziłam? Pewnie chce pan coś kupić, a ja przychodzę i gadam. Pójdę do magazynu zaparzyć kawę, dobrze?
- Też chętnie bym się napił - powiedział, wpatrując się w twarz Lily. - Jeśli, oczywiście, nie mają panie nic przeciwko.
  - Jeśli musisz - odburknęła, po czym dodała szeptem: - ale ostrzegam, nie uda ci się wcisnąć ani słowa.
  - Może więcej się dowiem, słuchając. Esther wyjrzała z magazynu.
  - Lily, nie mogę odkręcić słoika, a innej kawy tu nie ma.

- Wejdz na góre, Esther. A to jest William Isyanov, znajomy... nasz znajomy.

Kobieta z radością wyciągnęła rękę.

- Ach, przyjaciel Robbiego! Bardzo mi miło!

Lily ponuro poprowadziła na góre całą procesję. William usiadł przy stole, podczas gdy ona skierowała kroki prosto do kuchni, żeby włączyć ekspres.

- Miałam przynieść trochę tych ciasteczek, za którymi Robbie tak przepada, wiesz, tych kruchych, ale Maurie pożarł prawie wszystkie, a zjawianie się z sześcioma wydało mi się wręcz nieprzyzwoite i...

- Nie przejmuj się, Esther, nie jestem głodna. William też nie - zapewniła, zerkając na niego.

- Chyba nie rozchorujesz mi się znowu, co, *szepsele*? Czy Robbie dobrze się tobą opiekuje? Bo wyglądasz chudo!

- Tobie wszyscy wydają się zbyt szczupli - odparła Lily, stawiając na stole dwie filiżanki kawy. Esther zaczęła przeszukiwać torbę i wygrzebała z niej słodzik i kopertę.

- Tu mam to zaproszenie, o którym ci mówiłam. Miriam wychodzi za mąż! Wiesz, miałam nadzieję, że poprosi cię, żebyś była druhną, bo Robbie pękałby z dumy, gdybyś się wystroiła! Lily zacisnęła zęby, ale Esther, nieświadoma napięcia, opowiadała dalej.

Wyczerpawszy temat ślubu Miriam, zwróciła się do Williama:

- Chodziłeś z Robbiem do szkoły?

- Nie, Esther.

- Masz brytyjski akcent. Jesteś Brytyjczykiem?

- Owszem.

- Ach, więc Robbie poznał cię pewnie na jednej ze swoich wypraw do Londynu. Jeździ tam po towar i zabiera Lily, żeby miała jakieś wakacje. Musi się czasem wyrwać z księgarni, wiesz, specjalista tak zalecił, a Robbie zawsze go słucha. O mało bym nie zapomniała, gdzie jest Robbie?

William poderwał głowę i spojrzał ostro na Lily, gdy Esther wspomniała o specjalście. Lily unikała jego wzroku. Popijała kawę i miała ochotę kopnąć starszą panią w kostkę.

- Chwilowo go nie ma, ale jak tylko się zjawi, powiem mu, żeby się z tobą skontaktował. Esther oparła się na krześle i zmierzyła Lily wzrokiem.

- Chyba nie wygłupia się znowu, co?

Lily wzruszyła ramionami, nie patrząc w stronę żadnego ze swych gości.

- Jeśli znowu coś kombinuje, to daj tylko znać Mauriemu, a i ja nie pożałuję mu paru szczerych słów za to, że zostawia cię tu samą. Wie przecież, jaka jesteś kruchotka.

Odstawiła filiżankę z brzękiem, pochyliła się w stronę Lily i serdecznie uścisnęła jej dłoń.

- Muszę lecieć. Mam jeszcze zakupy na głowie. Muszę nabyć specjalną maść na palce u nóg, dla Mauriego. Wspaniale było cię poznać, Williamie.

Esther wstała i Lily odprowadziła ją do drzwi, poznając przy okazji całą historię wspomnianej maści oraz przyczynę, dla której lokalny aptekarz nie mógł jej zamówić.

Esther uściskała ją w końcu i zaprosiła:

- Przenieś się do nas, *szepsele*, jeśli poczujesz się samotna.



Pomachała jeszcze na do widzenia, prawie wybuchając płaczem. Esther była gadułą, ale miała wielkie serce. Podmuch wiatru przeleciał ulicą, niosąc z sobą liście i śmieci. Lily zadrżała i miała ochotę pobiec za odchodzącą kobietą, przytulić jej się do piersi i wrócić z nią do jej wielkiego domu, gdzie Esther zrobiłaby jej kawy z podwójną porcją mleka, nałożyłaby ciasta miodowego, przytuliła i zapewniła, że wszystko będzie dobrze. I obejrzałyby sobie *Dumę i uprzedzenie* na DVD, jak zawsze, i śmiałyby się do rozpuku z przygód pani Bennett i pana Collinsa.

Zamiast tego zamknęła drzwi i powlokła się na górę do Williama. Ze znużeniem usiadła, nadal na niego nie patrząc.

- No i? - spytała - Jakie wnioski wyciągnąłeś z tej pouczającej rozmowy?

- Że Esther bardzo cię lubi. Co znaczy słowo *szepsele*<sup>7</sup>.

- To jidysz, oznacza owieczkę. Jagniątko. Takie na rzeź. - Podniosła łyżeczkę, pobawiła się nią przez chwilę, popychając okruszek, po czym wyszła do kuchni i wyjęła z lodówki butelkę chardonnay. - Masz ochotę?

- Trochę za wcześnie, nie uważasz?

- Nie u mnie - odparła, przekręcając korkociąg. Nalała jeden kieliszek i zajęła z powrotem miejsce przy stole. - A więc, towarzyszu Isyanov, co teraz?

- Powiedz mi, co Robbie opowiedziałby o tobie? - spytał po chwili milczenia.

- O mnie?

- Tak, wyznałaś kiedyś, że nie jesteś bez winy w tym związku.

- Co to ma do rzeczy? Do czego potrzebne ci te wszystkie osobiste informacje? Policja na pewno nie miesza się w takie sprawy.

- To może mi pomóc w odnalezieniu go. Czy nie tego właśnie chcesz? - odpowiedział zimno. - A zapewniam cię, że pytania policji są bardziej niż osobiste, kiedy ktoś nagle znika bez śladu.

Lily wypła duży łyk wina, a potem kolejny, rzucając Williamowi wrogie spojrzenia, ostrożnie jednak, aby ich oczy nie spotykały się na zbyt długo.

- A o co chodziło Esther, gdy mówiła o twojej kruchości i o specjaliście?

Opróżniła kieliszek jednym haustem i odstawiła go na stół.

- Nic. Połowę czasu nie wie, o czym mówi.

- Masz problemy ze zdrowiem? Cukrzycę czy coś?

Lily walczyła z pokusą nalania sobie kolejnego kieliszka wina. Tak naprawdę jednak miała ochotę podnieść butelkę do ust i wypić ją do dna. Tę i może jeszcze jedną.

- Jestem jak ze stali - zapewniła, tłumiąc beknienie. - Esther ma zwidy.

Pochylił się ku niej.

- Mogę się dowiedzieć.

Ona również nachyliła się do niego, tak że ich twarze dzieliło tylko kilka centymetrów.

- Więc do dzieła! Oszczędź mi kłopotu. Mam dość zamętu w swoich prywatnych sprawach. A jak tam twoje życie osobiste? Masz jakieś w ogóle? Jakaś miłość? Co, Williamie?

Odchyliła się na krześle i z westchnieniem podniosła pusty kieliszek, sprawdzając, czy na pewno nic w nim już nie ma.

- Jeśli chcesz dowiedzieć się więcej o mnie i Rob-biem, wskakuj do łóżka, pokażę ci. Ach, nie, prawda, już mnie wzięłaś. Umożliwiło ci to dogłębne zrozumienie sytuacji? -

Kieliszek z głośnym brzękiem wylądował na stole. - Wynoś się, mam cię dosyć.

Wstał bez słowa, zszedł po schodach, minął półki dźwigające opasłe tomy w wiekowych, popękanych skórzanych oprawach, psi kosz i zarzucone papierami biurko, po czym opuścił jej dom.

Sześć lat awantur z Robbiem nauczyło ją, gdzie wbić ostrze.

Trzy brudne filiżanki po kawie i pusta butelka po winie stały nadal na stole.

Powiedział, że rozmyślał nad ich sytuacją, zanim naskoczyła na niego z całą swoją agresją.

Co miał zamiar powiedzieć?

Wzdychając, wzięła do rąk filiżanki. Teraz już nigdy się nie dowie.

Już od wielu dni trzymał się od niej z daleka i czuł, że go to zabija. Przeanalizował sytuację z każdej strony, szukając sposobu, aby być z Lily, ale ona chciała przecież tylko, żeby zniknął z jej życia. Nie było żadnych „nas”, jak wykrzyczała. Co jeszcze mówiła? Bliskość i impuls, które wymknęły się spod kontroli?

Sam się o to prosił, sam zmusił ją, żeby tak to potraktowała.

Spędził popołudnie z nowym znajomym, prywatnym detektywem, pił whiskey i telefonował w różne miejsca. Przed wieczorem zdołał namierzyć Robbiego, pozostawało pojechać i dopaść go.

Nie miał wiele do pakowania. Nigdy nie lubił taszczyć ze sobą zbyt wielu rzeczy. Wcisnął ubrania do torby i wyjął z niej tomik poezji Teda Hughesa. Zostawi to, w końcu i tak nie podobały mu się te wiersze. A Rosjanie? Cóż, czysta melancholia. Potargał przepisane przez siebie utwory i wyrzucił skrawki papieru do kosza. Poezja romantyczna to ostatnia rzecz, po którą powinno się sięgać w hotelowym pokoju.

Para szczerze wypełniała łazienkę, kiedy leżał w wannie, opierając głowę o jej brzeg. Z zamkniętymi oczami przypominał sobie noc spędzoną pod stołem. Wspominał, jak światło przenikające pod drzwiami powodowało grę cieni na jej twarzy, jej włosy jak blado-złoty szal i wilgoć widniejąca na podłodze, gdy zapinał koszulę. Zapinał pieprzoną koszulę. Oczyma wyobraźni widział, jak rozpakowuje książki, czyta notki na okładkach, włosy spadają jej na twarz, a deski podłogi zalane są słońcem. Otto leży w swoim koszu, podczas gdy chrapliwy śpiew Leonarda Cohena wypełnia antykwariat. Jej twarz rozjaśnia się radością, gdy go widzi, a on, dla tego promyka w jej oczach, chce wchodzić do księgarni i wychodzić z niej ciągle, bez końca, tylko po to, by łowić to spojrzenie.

Otworzył laptop, wyszukał połączenia z Sydney i zabukował lot w singapurskich liniach. Zanim wyjedzie, odwiedzi ją, by się pożegnać.

Strzelił korek od szampana i Sebastian napełnił cztery stojące na biurku kieliszki.

- Wypijmy za twoją świetlaną przyszłość w branży księgarskiej - zakaszłał przepraszająco.
- Mimo obecnego stanu...

Lily uniosła kieliszek bez przekonania. Był to dzień jej dwudziestych dziewiątych urodzin. Dni mijały, a ona nie miała żadnych wieści ani od Williama, ani od Robbiego i jej nastrój robił się coraz bardziej mroczny.

- Tak, za powodzenie - przyłączyła się do toastu Suzy. - I obfitą sprzedaż bielizny.
- *Oui*, a także wyrobów cukierniczych - dorzucił Marcel.

Marcel miał w dłoni butelkę cassis i dolał teraz odrobinę trunku do wszystkich kieliszków, nadając szampanowi kolor szkarłatu i nutkę czarnej porzeczki. Upiekł na tę okazję tacę pysznych, malutkich ciastek, które czworo przyjaciół podjadało beztrąsko, rozsiadłszy się w księgarni. Suzy podarowała Lily kremową jedwabną pizamę. Sama ubrana była w czarny atłasowy stanik i półhalkę do kompletu, a na nogach miała puchate sandały na wysokim obcasie. Siedziała na kolanach Sebastiana, podczas gdy Lily usadowiła się na biurku, na którym spoczywały również nogi Marcela, odziane we francuskie kaszmirowe skarpety.

- Książki, croissanty, koronki... Handlujemy luksusowym towarem, *non?*. - powiedział Marcel, dokonując degustacji własnoręcznie wykonanych ciastek z wysoko uniesioną brwią. Szampan szybko się skończył i wkrótce otwierali następną butelkę, plotkując o mieszkańcach osiedla.

Rozmowa zesłała na sprośności i nie od razu zauważyli, że ktoś uchylił drzwi.

- Toż to komisarz Mołotow - wymamrotał Sebastian, zakładając koszulę.

Lily podniosła wzrok, a jedwabna koszulka zsunęła jej się z jednej strony, ukazując białe ramię.

- Och, witaj, Williamie - powiedziała. Ręce miała zajęte, w jednej trzymała kieliszek z szampanem, a w drugiej ciastko orzechowe z wisienką. - Przyłączysz się do nas?

Sebastian zrobił kwaśną minę. Suzy sięgnęła po kieliszek, potykając się o swoje śmieszne pantofelki. William nie zamknął drzwi, wiatr poruszał kartkami otwartych książek.

- Przepraszam, zdaje się, że przeszkadzam, przyjdę kiedy indziej - powiedział i odwrócił się do wyjścia. -Wybaczcie.

- Właśnie, spadaj stąd - wyburczał Sebastian pod nosem. Lily zgromiła go wzrokiem.

- Nie, koniecznie zostań. Spróbujesz koktajlu kir royale? - zaprosił Marcel, nieświadom wrogości Sebastiana. - Jesteś przyjacielem Lily, widzę, jak wpadasz czasem do niej. -

Nalał szampana i uniósł ku niemu kieliszek. -Toast na cześć naszej solenizantki.

- Nie, dziękuję - odparł William, zamykając drzwi.

- Williamie, daj spokój, wypij z nami! - Lily wcisnęła mu kieliszek do ręki. - A tobie, Marcelku, dziękuję. Owszem, William jest moim przyjacielem. - Skwitowała to stwierdzenie ostrzegawczym spojrzeniem przymrużonych oczu posłanym Sebastianowi.

Obecność Williama przypomniła Lily o ciężarze sytuacji, w której się znajdowała. W towarzystwie przyjaciół i nad lampką szampana udało jej się zepchnąć okropieństwa rzeczywistości gdzieś w podświadomość. Teraz wszystko wróciło, spoglądając na nią z chłodem i kamienną twarzą.

Sebastian wypił szampana jednym haustem i wyszedł do magazynu, by wydobyć z lodówki kolejną butelkę. - Jeszcze rundkę?

William przyglądał mu się chłodno.

- Ja już dziękuję - zaprotestował Marcel. - Muszę przygotować masę na croissanty i brioszkę na jutro, albo wszyscy umrzemy z głodu! *Au revoir, mes amis.*

- Ja też muszę iść pozamykać i przyszykować się na powrót Tranha. Coś mi mówi, że nie miałby ochoty przychodzić tu po zalaną w trupa żonę.

- Och, a ja chciałem wam opowiedzieć o tym wosku - gderał Sebastian. - To fascynujący temat, ale jestem pewien, że pan Isyanov wie tyle o zadawaniu bólu, że moja opowieść wcale nie robi na nim wrażenia.

- Nie idźcie jeszcze, proszę, to moje urodziny - westchnęła Lily.

Sebastian uścisnął ją i wyszeptał:

- Wal pięścią w ścianę, jeśli wyciągnie elektrody. Suzy patrzyła na przemian na obu mężczyzn, nie

rozumiejąc wrogości wiszącej w powietrzu, a wreszcie chwiejnym krokiem podążyła za Sebastianem. William w milczeniu obserwował wychodzących gości. Lily podeszła do niego, zauważając, że odstawił drinka, nawet go nie spróbował. Umiał się bawić.

- W tym się śpi? - spytał.
- Nie, leniuchuje się - odparła, patrząc w dół i strzepując odrobinę migdałowej masy.
- Rozumiem.

Lily westchnęła i usiadła przy biurku, czekając na kolejną rundę osobistych pytań. Zaczęła przerzucać kartki pierwszej z brzegu książki, nie patrząc w stronę mężczyzny. Usiadł na krześle i pochylił się ku niej.

- Lily, ta sytuacja jest trudna dla nas obojga.
- Aha - mruknęła, rzucając mu nerwowe spojrzenie. - Trudne sytuacje to twoja specjalność.
- Dobrze wiesz, że nie to miałem na myśli - odrzekł, odchyłając się na oparcie.

Wzruszyła ramionami i rozejrzała się za swoim kieliszkiem.

- Dziś są moje urodziny, więc bądź miły, jeśli potrafisz.
- Wobec tego mam dla ciebie prezent - powiedział, przyglądając się jej uważnie. - Odkryłem, gdzie jest Robbie.

Otworzyła szeroko oczy i wpatrzyła się w niego zdumiona. - Żyje?

- Tak mi się wydaje, choć nie mam stuprocentowej pewności.

Omijając go wzrokiem, wpatrzyła się w pełne książek regały i oczy zaszyły jej łzami.

- Chcesz udać się ze mną na poszukiwania? Spojrzała mu w twarz, w te nieubłagane, niebieskie

oczy. Widziała wyraźnie, że jej odpowiedź znaczyć będzie dla niego więcej, niż powinna.

-Tak.

- Masz paszport?



Przytaknęła.

- Ale ani grosza przy duszy.

- Nie martw się, wliczymy to w koszty firmy Weston.

- Więc dokąd się udajemy?

- Do Włoch. Daję ci dwadzieścia cztery godziny, żeby znaleźć hotel dla Otta, spakować torbę i wymyślić, co z księgarnią.

- Włochy? Ale ja nie mam ubrań na taką podróż! I co on tam, do cholery, robi? - Na dwie sekundy zabrakło jej słów. - Co on, u licha, ma do roboty we Włoszech? Wyleguje się na plażach z *signorinami* i zajada risotto z truflami, kiedy ja pilnuję domowego ogniska? Zabiję go, potem wskreszę ze zmarłych i znów zamorduję. A wszystko to sprawi mi niewypowiedzianą przyjemność. - Wstała i uderzyła pięścią w blat biurka. - Wbiję mu w serce osikowy kołek, zatłukę na śmierć pierwszym wydaniem *Frankensteina*, wyrwę mu wnętrzności za pomocą...

- Lily, wiem tylko, że tam przebywa, ale może nie z własnej woli...

- Ale dlaczego!? - krzyczała. - Po co im zdradliwy włóczęga, dwulicowy idiota Robbie? Na Boga, Williamie, nie działałam w twojej branży, ale nawet ja wiem, że on jest bezwartościowy dla osób chcących odzyskać księgę. Nabył ją przez przypadek, był na szarym końcu łańcucha o wielu ogniwach. Gdybyś oznajmił, że przyплыw wyrzucił na przystani jego ciało, pozbawione narządów wewnętrznych, pomyślałabym, że tak, ma to jakiś sens, ale Robbie popijający campari z wodą gazowaną w neapolitańskiej willi, podczas gdy jakaś gibka Maria szykuje mu spaghetti? Cóż, wtedy - perorowała, tupiąc - musiałyby grubo się tłumaczyć.

Zmarszczyła brwi i maszerowała wzdłuż regałów, a jej atlasowa piżama mieniła się i przylegała kusząco do ciała. William przyglądał jej się, czekając, aż się uspokoi, ale nie przestawała mamrotać pod nosem różnych wariacji na temat „Śmierć Robbiemu”.

- O czym mówiła Esther? - spytał, starając się zwrócić na siebie jej uwagę. - Musisz mi powiedzieć, jeśli mamy razem podróżować.

Podniosła wzrok, patrząc z takim zdumieniem, jakby zdażyła zapomnieć o jego obecności.

- Martwisz się, że się załamie albo spróbuję się zabić? - odparła opryskliwie. - Nie cierpię na cukrzycę i, możesz być spokojny, nie jestem typem samobójczyni. Nie masz powodów do obaw.

Wznosiła marsz tam i z powrotem, ale zdała sobie sprawę, że William powinien wiedzieć. W lodówce chłodził się jeszcze dostarczony przez Sebastiana zapas szampana, więc zniknęła na chwilę w magazynie, chwyciła kolejną butelkę i postawiła ją przed Williamem na biurku.

- Nalej mi jeszcze, to ci opowiem. - Nappełnił jej kieliszek, a ona oparła głowę na dłoniach, zastanawiając się, od czego zacząć. - To bardzo proste. Nie, wcale nie, ale to było tak...

Mniej więcej rok po tym, jak poznałam Robbiego, u mojej matki wykryto raka płuc. Cztery miesiące po postawieniu diagnozy już nie żyła. Nic nie dało się zrobić, z rakiem płuc tak już jest. Potrzebowała środków uśmierzających ból, bo straszliwie cierpiała, odmawiała jednak pójścia do szpitala. Chciała zostać w domu, gdzie mogła doglądać swojego ogrodu, więc zatrudniłam pielęgniarkę. Razem troszczyłyśmy

się o mamę aż do końca. Róża właśnie wtedy urodziła dziecko i nie najlepiej radziła sobie z samą sobą, więc przyjeżdżała tylko w odwiedziny.

Patrzył na nią uważnie z malującą się w oczach ciekawością.

- To był okropnie ciężki okres, możesz sobie wyobrazić. Robbie i ja... cóż, oboje walczyliśmy ze stresem. Mama potrzebowała dużych dawek morfiny, no i - przerwała i spuściła wzrok - ja też sporo jej brałam.

Wyraz jego twarzy pozostał bez zmiany. Lily westchnęła i wbiła wzrok w blat, prostując dłońmi kartkę papieru.

- Troszkę dla niej, trochę dla mnie, porcja dla niej, porcja dla mnie, i tak w kółko. Była lekarką, więc wiedziała, co się dzieje, ale tak się już oddaliła od świata, że nie reagowała.

Po jej śmierci pograżyłam się w tym zupełnie. A Robbie...

- Co z nim?

Światło dnia gasło za oknami, a sklep wypełniał się szelestem popychanych przez wiatr liści. Nie zapalała lampy, więc siedzieli w półmroku, z butelką szampana na biurku.

- Robbie rwał włosy z głowy. Mógł zostawić mnie w szponach nałogu, ale starał się pomagać, jak tylko umiał. Byłam już wtedy uzależniona, musiałam mieć morfinę, coraz więcej i więcej, i płukanie żołądka przestało być dla mnie czymś niezwykłym.

Zgotowałam mu piekło na ziemi, ale był przy mnie, utrzymał mnie przy życiu. Radził sobie, sypiając z kim popadło. Ale jak mogłam się na niego złościć? Leżałam w łóżku otepiała, odmawiając jedzenia, wymiotując... Ocalił mi życie,

był dla mnie wszystkim, więc nie mogłam mieć mu za złe, że chciał uprawiać seks z jakąś szczęśliwą, zdrową kobietą.

William spojrział w dół na swoje dłonie, a ona nie umiała odczytać wyrazu jego twarzy - prawie gniew, lecz niezupełnie...

- Uważasz, że to obrzydliwe? Czy może twoje życie w roli śledczego chroni cię przed tak niskimi uczuciami? Pewnie nieraz coś takiego widziałeś i o tym słuchałeś. Cóż, ja nie ani Robbie...

- Jak długo to trwało?

- Dwa lata. Moi rodzice nie żyli, więc Esther i Maurie opłacili mi terapię w ośrodku dla narkomanów. Dużo czasu upłynęło, zanim przestało mnie ciągnąć do złego. Czasami, gdy bardzo się denerwuję, słyszę, jak demony pukają do moich drzwi. Tę firmę rozkręciliśmy, aby mieć na czym skupić uwagę. Stworzyliśmy ją razem. Tego, co zrobił teraz, spodziewałabym się trzy lata temu, ale nie teraz, kiedy wszystko tak dobrze się układało. Tak dużo osiągnęłam, skończyłam terapię i ani razu już nie sięgnęłam po narkotyki.

William nadal wbijał wzrok w dłonie, nie zdradzając żadnych emocji.

- Popchnęłam go aż na samą krawędź, ale on nigdy się nie poddał. Wiem, że mnie kocha. Nie było odpowiedzi.

Uderzyła dłonią w stół i powiedziała dobitnie:

- Nic tego nie zmieni, ani ty, ani książka. Podniósł wzrok, gdy rozległo się trzaśnięcie w blat,

lecz jego wzrok pozostawał beznamiętny i chłodny.

- Dlaczego nie odejdziesz, skoro cię zdradza?

- Sama ustawiam sobie kompas moralny, Williamie, i mój różni się od jego. - Podniosła do ust kieliszek, ale odstawiła go, nie upiwszy ani łyčka. Szampan był już kwaśny i pozbawiony bąbelków.

- Ustawiasz go na zależność i oszukiwanie samej siebie?

- Mogę szybko uświadomić ci, jak bardzo cię nienawidzę? - odwarknęła. - Da się tworzyć związek pomimo sprzecznych wizji i ideałów. W przypadku większości osób tak jest. Na pewno ty też tak działasz... Choć nie, ty może akurat nie.

Zamilkli oboje. Jakaś para minęła sklep, śmiejąc się głośno. Otto sapnął z koszyka.

- Nie chcę już o tym mówić. - Wstała i zebrała kieliszki z biurka.

Popatrzył jej w twarz.

- Kochasz go nadal?

Odstawiła naczynia i zaczęła znów przechadzać się między regałami. - Czy go kocham? Pytanie powinno raczej brzmieć, czy nasz związek jest mocny i kwitnący. Czy wiąże z nim swoją przyszłość? Czy powinnam poczuć ulgę, jeśli to rzeczywiście koniec? Skąd mam wziąć odpowiedzi?

Potarła twarz dłońmi i stanęła znów przy biurku.

- Ale czy go kochasz? - powoli pytanie.

- Teraz już nie wiem.

- Dlaczego?

- Przez ciebie - szepnęła.

Trwał bez ruchu, zacisnąwszy jedynie szczękę. Westchnęła głęboko, nie doczekawszy się odpowiedzi, po czym usiadła i dopiła wygazowanego szampana.

- Jeśli skończyliśmy, może już idź? Żadną siłą nie zbiore się na czas, jeśli będę tu siedzieć i opowiadać ci historię mojego życia.

Poprosił, żeby pojechała z nim, aby zapewnić jej bezpieczeństwo. I żeby była blisko, musiał to przyznać. Pomimo jej niewinności, pozostanie w Sydney oznaczałoby dla niej stan zagrożenia ze strony zbirów, którzy wiązali ją z Robbiem.

Tłumy płynęły ulicą Oxford późnym wieczorem, zmierzając do kina, restauracji czy nocnych klubów. Nie był w stanie prowadzić samochodu, nie mógł kierować i myśleć o niej jednocześnie. Zjechał w strefę dla wozów zaopatrzenia, zgasił silnik i wpatrzył się w drogę. Zabrzęczał telefon - miał wiadomość, a nawet trzy.

Nie zaskoczyło go to, co od niej usłyszał. Nietrudno było wpaść w nałóg. Ale to, czego dokonała, wyrwanie się ze szponów morfiny, było triumfem silnej woli. Z tym że nie była to jedynie jej wiktoria, ale również Robbiego i William rozumiał, co to oznacza.

Miała teraz lecieć z nim i wiedział, że nie może jej tknąć. Kiedy wszystko szczęśliwie się zakończy - książka zostanie zabezpieczona, Robbie odnaleziony cały i zdrowy, zadanie będzie wykonane - wtedy będzie mógł o nią zawalczyć. Do tego czasu ona zda sobie sprawę z ogromu zdrady Robbiego. Musiał tylko doprowadzić ją do niego, a potem stać z boku i patrzeć, jak Robbie wszystko psuje.

Z samego rana Lily pobiegła do drogerii, po czym pędem wróciła do domu z torbą pełną przyborów toaletowych. Zadzwoiła tam, gdzie musiała. Teraz na oślep wyciągała ubrania z szafy, rzucając je na łóżko. Cztery razy zagotowała wodę, zanim udało jej się wreszcie zaparzyć herbatę. Dwa pytania dudniły jej w głowie, kiedy przedzierała się przez poranek. W co się ubrać? I dlaczego poprosił, by z nim jechała? Chciała z nim lecieć, nie zniosłaby myśli, że odchodzi z jej życia. Podróż do Włoch, i to w pełni opłacona, cóż, kto nie miałby na to ochoty? Tylko po co ją zaprosił? I Robbie... Nie chciała o nim myśleć, jeszcze nie teraz.

## ROZDZIAŁ 12

Patrzyła na srebrzysty ocean, rozproszone wysepki i flotę tankowców, gdy samolot przygotowywał się do lądowania w Singapurze. Po jedenastu godzinach podróży mieli teraz przez sześć godzin czekać w Singapurze na następny, tym razem dwunastogodzinny lot do Rzymu. Mimo że nie cierpiała na klaustrofobię, to jednak nie znosiła długich przelotów - znudziły jej się już po drugiej wyprawie handlowej do Anglii.

William przespał większość drogi do Singapuru, nie dając się wciągnąć Lily w konwersację. Wypił dwie szklanki whiskey i zasnął. Lily oglądała filmy na ekraniku zamontowanym w oparciu fotela przed nią, bawiła się książką, jadła wszystko, co przed nią postawiono, i wpatrywała się w śpiącego towarzysza podróży.

Zabrała ze sobą egzemplarz *Pogardy* pióra Alberta Moravii, powieści o upadku miłości pomiędzy kobietą i mężczyzną. Teraz, gdy się nad tym zastanowiła, stwierdziła, że nie był to najlepszy wybór. Ale Moravia był



Włochem, a ona właśnie zmierzała, do jego ojczyzny. Schowała książkę do kieszeni fotela przed sobą i zajęła się mniej wymagającą intelektualnie rozrywką w postaci obserwowania pasażerów oraz spekulowania, kim mogą być i w jakim celu lecą do Rzymu.

Czas oczekiwania na lotnisku Changi dłużył się Lily tak, że sześć godzin ciągnęło się jak sześćdziesiąt. Kolejnych dwanaście godzin było niekończącym się piekłem niewygody.

William rysował w milczeniu, przerywając tylko po to, by napić się whiskey. Gdy skończyły mu się strony w notatniku, sięgnął do torby po następny. Lily kątem oka widziała jego poważną twarz.

- Szkicujesz ludzi? - spytała, odwracając się do niego.

-Nie.

- Co można rysować w samolocie, czego wcześniej jeszcze nie rysowałeś?

- To nie jest celem ćwiczenia - odparł, nie patrząc na nią.

- Mhm. A mogę zobaczyć? -Nie.

Gdy samolot przechylał się, szykując się do lądowania w Rzymie, a kapitan polecił załodze zająć miejsca siedzące, Lily wyciągnęła szyję w stronę okna, chłonąc widok plantacji truskawek rozciągających się wokół miasta i kopuły Bazyliki Świętego Piotra widniejącej w oddali. Z podekscytowaniem uściśnęła dłoń Williama, który patrzył w przestrzeń nieobecny wzrokiem, nie zauważając nawet okna.

Był wczesny ranek. Gdy odebrali już bagaż, William wybrał spośród wzburzonego tłumu taksówkarzy kierowcę, który zawiózł ich do centrum miasta. Poinformował ją, że wynajmą mieszkanie na tydzień, w którym to czasie on będzie prowadził swoje dochodzenie.

Mieszkanie będzie dyskretniejsze niż hotel, gdzie recepcjoniści stale obserwują, kiedy i z kim człowiek wchodzi i wychodzi. Taksówkarz wysadził ich w wąskiej uliczce w dzielnicy Trastevere i odjechał, zostawiając ich z bagażami na chodniku.

William wyjął z kieszeni sporych rozmiarów klucz. Poprowadził ją brukowaną drogą aż do drzwi. Otworzył je i wniósł torby na trzecie piętro, gdzie pokonali kolejne drzwi, prowadzące do maleńkiego mieszkania pełnego książek i starych druków.

- Właścicielka wykłada tu na uniwersytecie. Zawsze udostępnia mi lokal.

- Więc często bywasz w Rzymie? - spytała niewyspanym głosem.

-Tak.

Jakiż jestem rozmowny tego ranka. Zbyt jednak zmęczona, żeby się złościć, Lily szła za nim, gdy oprowadzał ją po mieszkaniu. Składało się z maleńkich klitek, a budynek, którego było częścią, powstał w siedemnastym wieku. Z przedpokoju wskazał pokój z dużym, dwuosobowym łóżkiem, przykrytym biało--niebieską narzutą. W pokoju znajdowało się okno wychodzące na brukowaną uliczkę i stary budynek po przeciwnej stronie.

- Twoje łóżko.

Sypialnia nie miała drzwi, jedynie otwór prowadzący do hallu, zasuwany kotarą dla zachowania prywatności. Spojrzała na niego i poszła za nim do salonu.

- Moje łóżko - rzekł, rzucając torbę na kanapę, odpowiadając tym samym na jej nieme pytanie o to, kto gdzie będzie spał. - Weź prysznic i prześpij się trochę, czeka nas dużo pracy.

Zamrugła szybko i zastosowała się do poleceń. Podłoga w łazience była pozbawiona odpływu. Brodzik miał odpływ, ale, jak całość mieszkania, z siedemnastego wieku, więc skorzystanie z prysznica wiązało się z wywołaniem potopu w kuchni. Jej przerażenie ustąpiło miejsca uldze, gdy William bez słowa rzucił kilka papierowych ręczników na kuchenną podłogę. Gdy wyszła owinięta ręcznikiem, siedział na sofie przed telewizorem. Akurat transmitowano mecz piłki nożnej, dźwięk był wyłączony, William rozmawiał przez telefon, szybko wyrzucając z siebie słowa.

O co tym facetom chodzi, zastanawiała się. Włączyć telewizor, ściszyć dźwięk i dzwonić. Po co im obraz na ekranie? Na nią nawet nie spojrzał, kiedy przeszła obok niego i zniknęła w sypialni.

Przymknęła okiennice, rozwiesiła ręcznik na metalowej ramie łóżka, po czym wśliznęła się, naga, pod cienką kołdrę, przyjmując rozkoszną, horyzontalną pozycję. Zamknęła oczy i aż westchnęła z zadowolenia. Tak, właśnie tak Bóg wyobrażał sobie, jak spać mają jego stworzenia.

Była już na granicy jawy i snu, tam, gdzie widzi się rzeczy najbardziej abstrakcyjne, lecz nagle ocknęła się i w momencie odzyskawszy pełnię świadomości,

ujrzała Williama stojącego naprzeciw podwójnego łóżka. Przyglądał jej się. Czyżby teraz zebrało mu się na rozmowy? Po trzydziestu godzinach podróży ma nagle ochotę pogawędzić?

Wiosna nadzwyczaj wczesnie zawitała do Rzymu, przynosząc ciepłe powietrze, więc Lily wystarczyło, że przykryła się cienką kołderką. Materiał przylegał do jej ciała, podkreślając krągłe kształty.

- Coś się stało? - spytała.

Był nagi od pasa w górę, miał na sobie tylko dżinsy. Spoglądał na nią, nie wypowiadając ani słowa, a ona, patrząc na jego nieogoloną brodę, czarne włosy na piersi i ciemne oczy o nieodgadnionym wyrazie, przesunęła się na skraj, robiąc dla niego miejsce.

- Chodź do łóżka - szepnęła. Odwrócił się jednak i wyszedł z pokoju. Powieki Lily drgnęły i zacisnęły się mocno.

Lily obudziła się w ciemnościach. Gdy oczy przyzwyczały się już do mroku, pomyślała, że jeśli uchyli okiennice, zorientuje się może, która jest godzina. Wyglądając na cichą ulicę, zobaczyła, że nadal panuje noc. Na zewnątrz nie było żywego ducha. Wszystkie okiennice były pozamykane. Na ulicy pod ścianami budynków pełno było zaparkowanych małych aut, a między nie wciśnięto jeszcze skutery. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie poodkładała swoje rzeczy - miała wrażenie, że część mózgu zostawiła w samolocie gdzieś nad Grecją. Zdjęła więc ręcznik z ramy łóżka, na palcach wyszła do przedpokoju i zajrzała do salonu.

Kanapa była rozłożona. Leżała na niej sterta koców, lecz Williama nie było. Zawołała go, myśląc, że poszedł może do kuchni lub łazienki, ale nie usłyszała odpowiedzi. Wyszła gdzieś i nie pozostawało jej nic, tylko na niego czekać.

Na półkach potężnego kredensu stały książki oraz miska z pomarańczami malinowymi. Lily leżała na kanapie. Włączyła stojącą na stole lampkę, która rozjaśniła pokój ciepłym światłem. Przerzucała strony tomu, który wybrała z obszernej kolekcji książek o sztuce. Pomimo ulewnego deszczu, którego szum dobiegał z zewnątrz, nie ochłodziło się, więc była boso i miała na sobie bla-doniebieską, bawełnianą sukienkę z czarną kokardką, która zbierała tkaninę pod biustem. Nie był to ubiór w stylu *vintage*, ale został wykonany ze starego materiału z szarym „tureckim” wzorem, mieniającym się srebrzyście.

Położyła książkę na swym zdobnym w srebrzące się ornamenty brzuchu i zerknęła na Williama. Siedział przy kwadratowym stole, wpatrując się w ekran laptopa ze zmarszczonym czołem. Pocierał brodę i od czasu do czasu naciskał jakiś klawisz.

Wrócił do mieszkania z łupem w postaci owoców i pieczywa zakupionych na leżącym po drugiej stronie Tybru Campo dei Fiori, targu pod gołym niebem, gdzie sprzedawano warzywa i kwiaty. Nie pytała, czy nie było go przez całą noc ani też dokąd się udał, a on nie podzielił się informacjami. Nie zaproponował też wyjścia, ale po prostu włączył komputer i pogрузzył się w pracy,

ledwo podnosząc wzrok, gdy postawiła obok niego miseczkę truskawek i kubek herbaty. Wiedziała, że czuje na sobie jej spojrzenie. Zerknął na nią chwilę wcześniej, lecz natychmiast przeniósł wzrok z powrotem na ekran. Ależ wesoła będzie ta wyprawa.

- Williamie?

- Mhm - mruknął, nie podnosząc oczu.

- W pewnych sprawach... nie byłam z tobą do końca szczerą.

Teraz doczekała się jego spojrzenia. Zwróciła ku niemu twarz, wciąż leżąc na kanapie ze skrzyżowanymi nogami i jasnymi włosami rozsypanymi po poduszce.

- Mów dalej.

- Powiedziałabym ci wcześniej, ale nie przyszło mi do głowy, że może to rzucić jakieś światło na tę sprawę... aż do teraz.

Czekał, patrząc na nią z napięciem. Zerknęła na niego, wygładzając sukienkę.

- I pewnie nie ma to związku ani znaczenia...

- Wszystko, co sobie przypomnisz, może być istotne. Wzięła głęboki oddech i zaczęła:

- Jakiś czas przed tym, jak się pojawiłeś, byliśmy z Robbiem na imprezie u Sebastiana. -

Spojrzała na paznokcie i zaczęła je skubać, a on nie spuszczał z niej wzroku. - Tak czy inaczej, wszyscy trochę wypiliśmy - westchnęła - jak to bywa przy takich okazjach. -

Czekała, aż coś powie, ale milczał. - Sebastian i ja przyjaźnimy się już od dłuższego czasu, w zasadzie tak długo, jak trwa mój związek z Robbiem. Na tej imprezie zobaczyłam Sebastiana, jak płakał, bo rzuciła go dziewczyna.

Ja z kolei właśnie odkryłam nowy podbój Robbiego i tak się to wszystko złożyło...

Dostrzegła błysk zaskoczenia w ciemnych oczach Williama i usiadła, zwróciwszy się twarzą w jego stronę. - Powiedz coś.

-Co?

- Nie osądzaj mnie, Williamie. Przez lata zadawaliśmy sobie z Robbiem bolesne ciosy i niejednokrotnie odchodziliśmy zranieni, ale potem wracaliśmy po jeszcze. To związek daleki od ideału.

- Więc przespałaś się z jego najlepszym przyjacielem.

- Nie! Źle mnie zrozumiałaś, wcale tak nie było. Nie uprawialiśmy seksu - wykrzyknęła - tylko namiętnie się pocałowaliśmy, czy też, powiedzmy, przytuliliśmy! Żadne z nas nigdy nie dopuściłoby, żeby zdarzyło się coś więcej! To była po prostu, sama nie wiem, smutna i głupia sytuacja. Oboje wtedy cierpieliśmy. Oczywiście Robbie nas nakrył i doznał sporego szoku.

- Mówiłaś, że nigdy nie karaliście się nawzajem?

- Tak, to dobrze brzmiało, gdy to wypowiadałam. -Wzruszyła ramionami. -I chciałabym, żeby było prawdą, ale nie jest.

William potrząsnął głową.

- Wiedziałem, że Sebastian coś kombinuje.

- Nie żartuj - zaprzeczyła. - Jest lojalny wobec Robbiego i tylko się mną opiekował.

- Za dużo czasu spędzasz w swoim wymyślanym świecie, Lily - rzucił. - Sebastian widocznie chciał dobrać się do ciebie na długo przed moim przybyciem.

Nigdy tak o tym nie pomyślała. Dlaczego Seb miałby jej pragnąć? Po tych wszystkich latach, przy całej ich wspólnej historii? William się pomylił. Spostrzegła jednak, że znika, odsuwa się w głąb siebie, a z dala od niej.

Postukał palcem w blat stołu.

- Jaki to ma wpływ na sprawę?

- Robbie był naprawdę zły, bardzo roztrzęsiony...

- No tak, jego dziewczyna i najlepszy przyjaciel... każdego by to ruszyło.

- Biedny, mały Robbie. Czy tak właśnie o nim myślisz? Nieszczęsny, przyprawili mu rogi.

Po tym jak wyciągnął ją z nałogu, utrzymał przy życiu, kupował ładne ubrania i, nie zapominajmy, rznął każdą laskę, na której zawiesił oko. Tak, biedny, mały Robercik - warknęła, odnotowując zdziwienie malujące się na jego twarzy. - Proszę bardzo, stawaj sobie po jego stronie. Przyda mu się wsparcie, kiedy wpadnie w moje ręce.

Uderzyła dłonią w stół i popatrzyła na niego groźnie.

- Nigdy go nie zdradziłam, z wyjątkiem naszej wspólnej pożałowania godnej pomyłki - wyszczała. - Ale wyobraź sobie, jak to jest, gdy ktoś zdradza cię nie raz, ale w kółko i wciąż. I to ktoś, kogo wszyscy wokół mają za świętego, bo przecież cię ocalił. - William otworzył usta, by się odezwać, ale ona jeszcze nie skończyła, perorowała dalej, machając mu palcem przed nosem i ignorując to, że być może chciał coś powiedzieć. - Cieszyłam się, że pocałowałam Sebastiana. Potrzebował miłości i dałam mu ją. Rozdawanie uczuć przychodzi mi bez trudu. A to dobry człowiek, ma na tyle odwagi, żeby szanować związek, w którym akurat się znajduję. Robbie tego nie potrafi, nigdy tego nie umiał. Wydaje



mu się, że jest kimś, bo pieprzy, co się poruszy wokół. Ale tak nie jest. - Łzy żałośnie wymknęły jej się spod powiek, choć bardzo starała się je powstrzymać. - Kiedy zobaczył nas razem, doznał szoku. Wydawało mu się, że zawsze będę przy nim, przywiązana długim wdzięczności. Cóż, nagle okazało się, że się mylił, i może śliczna, mydlana bańka prysła.

Tupiąc, podeszła do kanapy, podniosła z podłogi poduszkę i ukryła w niej twarz. Deszcze tłukł się o szyby, przez uchylone okno w kuchni wkradał się zapach stęchlizny i gotowania.

W mieszkaniu nieopodal, przy głośno nastawionym radiu, pracowała ekipa remontowa.

- Czy to właśnie ja zasługuję na twój gniew? - spytał cicho. - Lily nie odpowiedziała, nie podniosła nawet twarzy z poduszki. - Dlaczego nie odejdziesz?

- A dlaczego ludzie w ogóle trwają w destrukcyjnych związkach? Ja zostaję, bo jestem tchórzem. Bo on jest dla mnie jak płuco. Bez niego mogłabym...

Przerwała i położyła głowę na jaśku, policzkiem wtulając się w poszewkę z niebieskim wzorkiem. - Uratował mi życie wielokrotnie, a niewielu mężczyzn potrafiłoby się na to zdobyć. - Pragnęła, aby William podszedł do niej, przygarnął ją do siebie i tulił w silnych ramionach. Omijał ją jednak wzrokiem, wpatrując się w ścianę. Przełknęła łzy

- Nie zrozumiesz. Poza siostrą, którą widzę raz na trzy lata i garstką dziwacznych krewnych, których ledwo znam, nie mam nikogo. Ten dom w Paddington to wszystko, co posiadam. Robbie to wszystko, co mam. - Jej głos nabrał mocy: - I on mnie kocha.

William wreszcie na nią spojrzał.

- Tak bardzo cię kocha, że uciekł, zabierając ze sobą książkę i pieniądze? Tak bardzo cię kocha, że zostawił cię bez grosza na pastwę zbirów, którzy próbują go wytropić?

Pokiwała głową. William patrzył z niedowierzaniem.

- To ma sens. Gdyby mu na mnie nie zależało, nie chciałby mnie skrzywdzić. Cóż gorszego mógł mi zgotować niż ruinę finansową? Wszystkiego innego z wyjątkiem przemocy fizycznej już próbował, a kto wie, jeśli zostaniemy razem, może i na to przyjdzie czas.

- Powiedziałaś „jeśli zostaniemy razem” czy się przesłyszałem?

Nim zdążyła odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. William błyskawicznie wyszedł z pokoju, aby otworzyć. Próbowwała podsłuchać, co się dzieje, ale dobiegały ją jedynie pomruk męskich głosów mówiących po włosku, a potem trzaśnięcie drzwi. William wrócił do pokoju z dyskiem w dłoni.

- Co to jest? - spytała.

- Parę ciekawych nazwisk. Lista ostatnio aresztowanych osób, takie rzeczy.

- Czy to nie powinno być tajne?

Wsunął CD do laptopa, a kiedy urządzenie cichutko zamruczało i błysnęło światelkiem, wyjaśnił:

- Na tym polega przyjemność pracy we Włoszech: większość informacji ma swoją cenę. To bardziej niebezpieczny kraj niż Australia, ale i poziom korupcji jest tu wyższy.

- Jakże to pocieszające - mruknęła. - Pewnie będziesz teraz siedział i przekopywał się przez te nazwiska przez następnych kilka godzin?
- Wykonuję zadanie, nie przyjechałem tu buszować po sklepach z używaną odzieżą ani zachwycać się ruinami. Ale jeśli ty masz ochotę, droga wolna.
- Jeśli przyjechałeś do pracy, to po co zabierałeś mnie ze sobą?  
Zignorował jej pytanie.

## ROZDZIAŁ 13

Lily założyła jasny kardigan wyszywany koralikami i sandały na wysokim obcasie.

Wreszcie zgodził się, aby  
poszli coś zjeść.

Przyjrzał się jej cienkiej błękitnej sukience. - Zamierzasz tak wyjść?

- Brzmisz jak moja matka.

- To Rzym, a nie plaża Bondi.

Lily zamrugała i spojrzała na swój strój.

- Wszystko mam zasłonięte, spódnica nie jest za krótka, ramiona są zakryte, o co ci chodzi?

Nie martw się, możesz udawać, że mnie nie znasz.

-Lubujesz się w tych lekkich, jedwabistych rzeczach, co? - spytał, marszcząc czoło na widok jej obcasów.

- Cóż, może masz pod ręką burkę, w którą mogłabym wskoczyć? Czułbyś się lepiej w moim towarzystwie, gdybym się w niej schowała?

- Dobrze - zakończył dyskusję. - Chodźmy już.

Wyszli na zewnątrz. Poruszanie się w szpilkach po brukowanej ulicy nie należało do zadań łatwych, ale nie zamierzała poskarżyć się ani słowem, choćby miała skręcić sobie kostkę. Ekscytujące było przebywanie w nieznanym mieście, pomimo ponurego towarzystwa. Deszcz zmył chodniki i w końcu przestał padać. Zaciekawiona, rozglądała się wokół i niewiele brakowało, a dałaby się rozjechać przez skuter, potem następny i jeszcze jeden, aż wreszcie ktoś krzyknął do niej coś, jak przypuszczała, niezbyt przyzwoitego.

- Wywołasz sensację swoją jasną karnacją i włosami - ostrzegł William, krocząc przodem. Skutecznie parł przez uliczki i aleje pełne ludzi, którzy wylegli na zewnątrz po sjeście i teraz robili zakupy, jedli i oglądali rozstawione gdzieś stragany. Wreszcie dotarli do rzeki, przeszli na drugi brzeg po moście Garibaldiego i znów zanurzyli się w gęstwinę małych uliczek.

W pewnej chwili Lily zatrzymała się, aby przyjrzeć się ruinom wtulonym między nowoczesne sklepy, kobietom w stylowych strojach i mężczyznom w ubraniach, których nie uświadczysz na ulicach Sydney. Nagle zorientowała się, że nie ma przy niej Williama. Rozejrzała się i w ostatnim momencie uniknęła kolizji z kolejnym skuterem. Zatrzymała się przecież tylko na sekundkę, a on zniknął! Młody mężczyzna w szarym garniturze, elegancki i arogancki, podszedł do niej, mówiąc szybko po włosku. Nie rozumiała jego słów, ale podziwiała jego egzotyczną urodę. Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami, żeby wskazać na swoją beznadziejną, lecz jednocześnie zabawną sytuację, kiedy nagle

zmaterializował się przy niej William. Złapał ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Następnym razem trzymaj się blisko mnie - rzucił, puszczając jej dłoń.

- To nie idź tak szybko - broniła się, biorąc go z powrotem za rękę.

Starał jej się wyrwać, ale zmusiła go, by się zatrzymał.

- Williamie, proszę cię, rozchmurz się. Idziemy coś zjeść, a nie rozbijać szajkę przemytników. I trzymajmy się za rękę, to już się nie zgubię. Idź powoli i mów mi, gdzie jesteśmy.

Popatrzył na nią z gniewem, oddychając ciężko. Nie ruszyła się z miejsca, dopóki się nie uspokoił. Czekwała, aż pooddycha głęboko.

- Zabieram cię do Porto Ottavia, do restauracji pod Teatro di Marcello mieszczącej się w starej żydowskiej dzielnicy. Może być?

- Tak, pasuje, ale dlaczego właśnie tam?

- Ze względu na karczochy. Jest wiosna, Lily, a wiosną karczochy w Rzymie są wręcz obowiązkowe.

Szła teraz przy nim, dotykając jego ramienia. Zamknął jej dłoń mocno w swojej, a ona rozglądała się, odnotowując w pamięci miejsca, do których chciałaby wrócić w wolnym czasie.

Do Wielkanocy pozostawał tydzień, księżyc był prawie w pełni. Ogromny i złoty, wisiał nisko na niebie, sumiennie oświetlając okoliczne ruiny. Ulice pełne były restauracji z rozstawionymi na chodniku stolikami, przykrytymi białymi obrusami. William poprowadził ją do lokalu znajdującego się najbliżej ruin teatru. Kelner wskazał im stolik. W powietrzu unosiła

się delikatna mgiełka, mimo że noc była ciepła. Lily zsunęła kardigan z ramion, a jej jasna skóra aż lśniła w świetle księżyca.

- Cudownie - westchnęła. Zerknął na nią, po czym wrócił do przeglądania menu. - Nie mógłbyś być troszkę miłszy? Czy też jesteś zbulwersowany tym, co opowiedziałam ci po południu?

- Niełatwo zgorszyć kogoś pracującego w moim fachu. Słyszę wiele różnych historii. Lily zarzuciła włosami i ze złością patrzyła na jego głowę, pochyloną nad kartą. Miała ochotę kopnąć go pod stołem, zrobić coś, co wywołałoby jakąś reakcję, zburzyło to jego opanowanie.

- Jesteś taki zadowolony z siebie, prawda? Masz okazję poznać brudy wszystkich zawodników w grze, ale nikt nie zna twoich. A na pewno trochę tego jest.

- Cóż - odparł głosem sprawozdawcy BBC - na tym polega problem ofiar zbrodni. Tracą prywatność, spokój ducha i umysłu, że o dobrach materialnych nie wspomnę.

- Och, powinieneś się usłyszeć... - Odwróciła się na krześle w poszukiwaniu obsługi. - Potrzebuję drinka, i to szybko!

Kelner zjawił się jak za dotknięciem magicznej różdżki i William zamówił butelkę wina Tuscan Barolo oraz tajemniczo brzmiące *carciofi alla romana*, *linguine eon carciofi* oraz *porchetta* i *insalata*.

- Nie chciałeś tracić czasu na wysłuchanie, co ja miałabym ochotę zjeść? - spytała, nalewając sobie kieliszek wina. - Pewnie nie możesz się już doczekać, kiedy wrócimy do naszej kanciapy i będziesz mógł znowu zasiąść

przed monitorem. Co właściwie robisz? Grasz w jakąś gangsterską grę na komputerze?

- Cicho bądź! - rzucił.

Wbiła wzrok w kieliszek, tak bardzo chciało jej się płakać. Nie zaszczyił jej już ani słowem, siedział tylko z rękami w kieszeniach, wpatrzony w ruiny teatru. Starając się zapomnieć o tym, że spożywa kolację z robotem, Lily wreszcie podniosła wzrok i rozejrzała się wokół, zaskoczona liczbą obserwujących ją oczu.

- Dlaczego wszyscy się na mnie gapią? Zaśmiał się krótko i odparł:

- Jesteś piękną kobietą, Lily, a w świetle księżyca wyglądasz jeszcze bardziej uroczo.

W jego głosie nie było śladu czułości. Wypowiedział swoją kwestię, jakby stwierdzał fakt, że, na przykład, widzi pryszczę na jej twarzy.

- Nie znoszę tego. Nie rozumiem, dlaczego ludziom, mężczyznom, wydaje się, że mają prawo się gapić czy mówić mi, jak bardzo podoba im się kolor moich włosów. Jak gdyby mnie to obchodziło.

- Nie cieszą cię komplementy?

- Nie od obcych. Może to wariaci, prześladowcy, czy ja wiem. Myślisz, że łatwo jest ciągle radzić sobie z mężczyznami? Nie jest to proste, możesz mi wierzyć -zapewniła, pijąc łyk wina. - Mam swoje sposoby, ale jednak, choć wiem, że feministki udusiłyby mnie za to, co teraz powiem, czasem marzy mi się ta burka.

- No tak - powiedział. - Przypuszczam, że to może być męczące.

- Męczące? Bycie śledzoną przez kogoś, kto ma obsesję na punkcie blondynek? Jak gdybym była marką



papieru toaletowego albo... Kiedyś ktoś miał czelność zapytać, czy to mój naturalny kolor i jakie mam wobec tego włosy łonowe! Dasz wiarę?

- Wysoka cena, co?

- O, tak, to prawda. Oczywiście chciałabym, żeby mój ukochany uważał mnie za atrakcyjną, ale więcej nikt.

- Czyli mam ci nie prawić komplementów na temat twoich wielkich, szarych oczu?

- Nie, chyba że mnie kochasz.

Odstawiła kieliszek mocno na stół, aż szkło stuknęło o blat. William szybko odwrócił wzrok.

Gdy podano im zamówione dania, *carciofi alla romana* okazało się smażonym karczochem i chociaż trudno było go zjeść bez wybrudzenia się, był przepyszny. William pokazał Lily, jak pozbawić warzywo liści, tak że już po chwili sprawnie rozdzierała je zębami, wysysając z każdego ostatni gram delikatnego smaku. Po kilku kieliszkach wina William odprężył się nieco, więc postanowiła zaryzykować zadanie mu pytania.

- Opowiedz mi o swoich tragicznych związkach. Odłożył liść na stosik i oderwał kolejny.

- Z góry zakładasz dramaty. A może były to związki w pełni cywilizowane i wszystkie zakończyły się w sposób przyjacielski, kiedy uczucie się wypaliło?

- Mów o tych pełnych namiętności, Williamie, nie mogę się doczekać, by o tym posłuchać. Uśmiechnął się.

- Anglicy nie wiedzą, co to namiętność.

- Och, ale ty masz korzenie rosyjskie, nie mów, że w zakamarkach twojej przeszłości nie kryje się nutka tragizmu.

- Ja nie wierzę w dziedziczenie cech przynależnych danej kulturze. To się nazywa esencjalizm.

Jednym haustem dopiła wino.

- Co za różnica. No, puszczaj farbę, niech się dowiem o tych fascynujących, głębokich przeżyciach, których doświadczałeś.

Zaserwowano *linguine*, stos wyssanych liści usunięto. Lily posypała potrawę parmezanem i czekała na odpowiedź Williama.

- Cóż, Lily, miałem dziewczyny krótko- i długoterminowe. Ale żadnej, która rzuciłaby mnie na kolana.

Przyjrzała mu się ze współczuciem, po czym starannie przeniosła uwagę na spożywanie *linguine* w sposób w miarę porządkny, a nawet elegancki.

- Nie dlatego, że nie chciałem, ale po prostu nic takiego nigdy mi się nie przydarzyło. A w mojej branży, cóż, zaangażowanie i przyjęcie zobowiązań bywa trudne.

- Rozumiem, a na dodatek ty nie zwykłeś się rozluźniać. - Pokiwała głową. - Napijemy się jeszcze? Zamówił kolejną butelkę wina. Księżyc wspiął się wyżej na niebie, błędąc, gdy znalazł się nad ich głowami. - Opowiedz mi o swojej rodzinie. Uwielbiam historie rodzinne, może dlatego że praktycznie nie mam swojej.

- Miałaś przecież matkę, masz siostrę?

- Tak, ale w zasadzie zawsze byłam sama, dopóki nie poznałam Robbiego. Mama bez przerwy pracowała, pacjenci nie zostawiali jej ani minuty wolnego czasu. Choć była tylko internistką na przedmieściach, zawsze we wszystko bardzo się angażowała. A Róża, o kilka lat

starsza ode mnie, miała swoje grono przyjaciół i nie chciała, żeby włączyła się za nią młodsza siostra. Teraz ma męża i wychowuje trzech minimagnatów wołowiny, szczęśliwa jak pszczółka.

- Chciałabyś mieć to, co ona? - spytał William, popijając wino.

- Może nie dwadzieścia tysięcy sztuk bydła, ale oczyma wyobraźni zawsze widziałam siebie stojącą przy kuchence, mieszającą konfiturę, u moich stóp miot małych sznaucek, a na trawniku przed domem gromadka lnianowłosych dzieci, dokazująca z kochającym, odpowiedzialnym i ubóstwiającym je tatą.

- Brzmi strasznie!

-Williamie - spoważniała, patrząc mu prosto w twarz - to świat marzeń, gdzie przetwory się nie przypalają, szczenięta rodzą się już wytresowane i nikt nie potrzebuje prezerwatyw. Roześmiał się i odsunął talerz.

- Chyba większość ludzi marzy o czymś podobnym.

- No, nie rozklejamy się. Musisz mi opowiedzieć o swojej rodzinie. Dawaj!

Na stół wjechały porcje plastrów wieprzowiny pieczonej z koprem włoskim, a do tego chrupiąca zielona sałata.

- Moi rodzice, emigranci z lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, mieszkają w północnej części Londynu, wychowali czterech synów, spośród których ja jestem drugi w kolejności. Teraz prowadzą firmę importującą żywność i są oddanymi członkami społeczności rosyjskiej w Anglii.

- Proszę o imiona, osobowości, daj mi zakosztować ich życia.

Krojąc mięso, spełnił jej życzenie:

- Rodzice, Nadieżda i Aleksiej, uciekli ze Związku Radzieckiego, gdy mój starszy brat Kola był niemowlęciem, jeszcze w latach siedemdziesiątych. Wyemigrowali, bo nie należeli do partii i uznawani byli za niegodnych zaufania, ponieważ byli i nadal są bardzo religijni. Nie mogli zdobyć legitymacji partyjnych, a więc nie mieli dostępu do dobrej pracy, szkół dla dzieci ani samochodu, czy nawet pozwolenia na wyjazd z Moskwy. Oboje tkwili na Syberii jako potomkowie zesłańców. Uciekli przy pomocy kościoła amerykańskiego, który przemycił ich na Zachód. Ja przyszedłem na świat niedługo potem, a po mnie moi bracia, Jurij i Misza.

Spojrzenie zasłuchanej Lily nie opuszczało jego twarzy skrywającej się w cieniu przy nikłym świetle księżyca. Przerwał opowieść, żeby coś zjeść.

- Mów dalej! Powiedz mi, czym się zajmują twoi bracia.

- Kola wrócił do Moskwy, jest bardzo bogatym importerem towarów luksusowych do Rosji, co wzbudza odrazę u mego ojca. Jurij pracuje jako wysoki urzędnik w Barclays Bank w Londynie.

- Też ku obrzydzeniu taty? Skinął głową.

- Owszem. Misza natomiast uwikłał się w przestępczość zorganizowaną, nie jestem pewien gdzie, chyba w Polsce.

- Naprawdę? - Upiła wina, otwierając oczy szeroko ze zdumienia. - Wyobrażam sobie, co twój ojciec myśli o nim.

William przytaknął i ciągnął dalej.

- Kola ożenił się z wytworną kobietą o nieugiętym spojrzeniu, Rosjanką imieniem Natalia. Mają dwóch synów i kolejną pociechę w drodze. Jurij spędza czas na imprezach, wciągając nosem sowitą pensję. Żaden z nas nie jest wierzący, mimo lat indoktrynacji przez rosyjskich wyznawców prawosławia.

- Ale trafiłeś do świata sztuki, a to rzut beretem... Sztuka, religia i seks, jedyne rejony, gdzie można starać się o prawdziwą ekstazę.

- No tak, ale teraz pracuję na chleb pieściami, jak pozostali. Możesz wychować człowieka w Londynie i posłać go na uczelnię, by studiował historię sztuki, ale brutalny prostak żyje w nim nadal.

- Jesteś dla siebie za surowy.

- Mówiłaś o robieniu strasznych rzeczy pod wpływem nałogu. Ja dokonywałem ich bez żadnej wymówki.

- A twój ojciec? Jest dumny z synów?

- Nie, czuje do nas odrazę i ma powody. Rodzice nie tak wyobrażali sobie przyszłość dzieci, gdy ryzykowali życie, by się wydostać z sowieckiej Rosji. Podejrzewam jednak, choć nie mam jak tego zweryfikować, że przywiązanie mojego ojca do świętego Bazylego związane jest z przeszłością, którą wolałby wymazać z pamięci. Dorastał w Irkucku, na Syberii, a z tego, co wiem, to nie jest przyjemne miejsce. - Westchnął i zapatrzył się w kieliszek. - Czasem gdy się gołę, widzę w lustrze jego twarz.

Wyobrażenia podsunęła Lily obraz jej samej przemierzającej tajgę, obserwującej bandytów łowiących w przeręblach i białe tygrysy bezszelestnie skradające się przez śniegi. Jej oddech zamarzałyby i w postaci lodowych kryształków spadałyby na ziemię, po której sunęłyby renifery, ciągnąc wyściełane futrem sanie.

- Zamilkłaś nagle. Zaskoczona moim pochodzeniem?

Lily zamruwała.

- Nie, wcale nie. Tyle że to wszystko brzmi bardzo egzotycznie w porównaniu z moją młodością na przedmieściach.

- Ja też dorastałem na przedmieściach, nie w drewnianej dachy obwieszanej soplami.

Lily odsunęła krzesło od stołu i przeciągnęła się, wycierając usta serwetką.

- Wiesz, twój ojciec powinien być wdzięczny losowi. Czterej synowie, wszyscy żyją, mają pracę i tylko jeden trochę podejrzany... Mam na myśli Miszę, nie ciebie.

- Sądzę, że aby go zadowolić, musielibyśmy wszyscy zostać duchownymi.

Lily pokiwała głową.

- Ja też nie doczekałam się nigdy rodzicielskiej aprobaty. Chyba najbliższe jej były krytyczne uwagi Robbiego.

- A matka? Musiało ci być bardzo ciężko. Straciłaś ją w tak młodym wieku.

Lily przytaknęła i opuściła wzrok, dostrzegając na obrusie okruszki sera i plamy z oliwy.

- To prawda. Miałam wtedy dwadzieścia trzy lata i pod wieloma względami byłam jeszcze dzieckiem. Mama była moją kotwicą i nagle jej zabrakło. Była ostra,

ale bardzo kochająca. Nie miała gdzie lokować swojej miłości, poza papierosami, pacjentami, ogrodem i nami dwiema. Po śmierci taty nie miała już nikogo, a przynajmniej tak twierdziła.

William popatrzył na jej pochyloną głowę i powiedział:

- Musiała go bardzo kochać.
- Albo się bała.
- Czego?
- Zaangażowania. Znasz chyba to uczucie? Zmrużył oczy i rozejrzał się niecierpliwie.
- Może trudno ci to zrozumieć, biorąc pod uwagę fakt, że twoje życie osobiste i zawodowe to praktycznie jedno. Ale kiedy ja pracuję, to pracuję. Mój zawód i życie osobiste nie mają części wspólnych.

Lily dopiła wino i spojrzała na niego cierpko.

- Taki jesteś mądry, co? Zrobiłeś kiedyś coś irracjonalnego? Dałeś się ponieść ślepej żądzy, nie bacząc na konsekwencje? Wydajesz się taki spięty i wiecznie pod kontrolą...

Czy wiesz, co znaczy popełnić błąd? Znasz to uczucie?

Przyjrzał się jej, spowitej w światło księżyca, i odparł przez zaciśnięte zęby:

- Tak, i patrz, dokąd nas to doprowadziło.

Lily poczuła się, jakby ją uderzył. Walcząc o samokontrolę, udało jej się powstrzymać wybuch łez. Wieczne powietrze ochłodziło się, więc włożyła cieniutki kardigan, ale i tak drżała z zimna.

- Kawy? - zaproponował William.

- Nie, dziękuję.

Zapłacił i podeszli do ruin teatru. Spędzili chwilę, podziwiając przez barierki leżące, masywne kolumny i koty, które próbowały wydobyć z nagrzanym słońcem kamieni ostatki ciepła.

- Chodźmy do domu - powiedział.

Nie chciał jej zranić, a tylko uciszyć. To, na co naprawdę miał ochotę, musiało zostać zepchnięte głęboko w otchłań umysłu. Szła parę kroków za nim, z pochyloną głową, ukradkiem ocierając łzy, myśląc, że tego nie widzi. Czuł, że jest gorszym draniem niż Robbie. Plecie jej o swoich rodzicach, braciach, a tymczasem ona nie ma nikogo. A jedyny człowiek, na którego myślała, że może liczyć, zdradza ją na każdym kroku. Jeśli zdecyduje się zostać z Robertem, nigdy to się nie zmieni.

Wrócili do Via Arenula, a potem trasą wzdłuż rzeki, aż do mostu Sisto. Lily szła trochę z tyłu, marząc o tym, by zmienił się w kogoś innego, nawet Robbiego. Pan „Uprzykrzam-ci-życie-i-jestem-sztywniakiem” zaprosił ją do Włoch, chciał, żeby przyjechała. Tylko po co? Żeby mieć pod ręką kogoś, kto przypominałby mu o popełnionych błędach, tak aby drugi raz nie zdarzyła się podobna pomyłka? Gdyby tak popchnęła go teraz mocno, może udałoby się wrzucić go do rzeki?

Zwalniał, aby mogła go dogonić, ale nie chciała zrównać z nim kroku.

- Idziemy teraz inną drogą? - spytała, rozglądając się wkoło.



- Trochę inną, ale nie bój się, odległość jest taka sama jak do mostu, którym przechodziliśmy poprzednio. - Wziął ją za rękę, patrząc na nią łagodnie. - Przepraszam. Naprawdę było mu przykro. Powinna wyrwać mu się i go spoliczkować czy przyjąć fajkę pokoju? Wezbrane, mętne wody Tybru płynęły w dal pod nimi.

- Nie czuję strachu, gdy jestem z tobą. Gniew owszem - westchnęła, gdy ruszyli dalej.

- Nieodczuwanie lęku jest przyjemne, prawda? - Roześmiał się. - Choć może przesadnie optymistyczne.

Wzięła go pod ramię i wtuliła się w niego.

- Nie mam się czego obawiać, czyż nie? Z pewnością firma Weston szkoli pracowników w kung-fu.

- Musiałem być wtedy na zwolnieniu. Chodźmy tędy - zarządził i skręcili w prawo. Szli brukowaną aleją w świetle latarni, a wokół nich tętniło życiem miasto, ludzie śmiali się, spotykali z przyjaciółmi, popijali kawę i amaro z maleńkich kieliszków.

Dotarli do niedużego baru, gdzie nie było nawet miejsc do siedzenia. Śniadanie, kawę czy ciastka spożywało się na szybko, stojąc. Z barem połączona była lodziarnia.

- Chciałem ci to pokazać - powiedział. - Najlepsze *gelati* w całym Rzymie.

Wspiąwszy się na schodek, przyglądała się wachlarzowi smaków, po czym odwróciła się i ujrzała, jak uśmiecha się do niej.

- Mogę jednego?

Przytaknął, uśmiechając się nadal, a ona wskazała smaki, na które miała ochotę. William gawędził ze

sprzedawcą, gdy ten nakładał lody do wafelka. Wzięła olbrzymiego loda w obie dłonie. William skinął głową w stronę obsługującego ich mężczyzny.

- Chwalił właśnie mój gust w kwestii kobiet. Ale nie zdradzę ci, co jeszcze mówił.

- Trudno. Mmm, pyszne, spróbuj sam! - Wyjęła łyżeczkę z lodowej góry i podsunęła mu ją do ust. Pozwalał jej się karmić, a ona, chichocząc, nie kryła zadowolenia. - Uwielbiam dawać ludziom jeść!

- Doprawdy? - powiedział miękko, gdy stali blisko siebie w cieniu.

- Tak! No, proszę, jeszcze odrobinę!

Grupka ludzi minęła ich, śmiejąc się głośno i rozmawiając. Lily odsunęła się z drogi, biorąc Williama za rękę i oznajmiając:

- Tyle, więcej nie będzie, reszta należy do mnie!

- Ty prosiaczku!

- Obawiam się, że zasługuję na to miano! - posłała mu umorusany lodami uśmiech.

Otworzył przed nią ciężkie, dębowe drzwi, wbiegli na trzecie piętro i do mieszkania. Lily jęknęła i padła na kanapę.

- Za dużo zjadłam! Gdybym wiedziała, że będą *gelati*, hamowałabym się przy kolacji.

William usiadł przy stole, po czym otworzył i uruchomił laptop, który natychmiast zaczął mrużyć cicho. Patrzył w ekran, poruszając myszką i klikając tu i tam.

- Weston wie, komu powierzać zadania - padły z kanapy słowa Lily.

- Do usług przez całą dobę - wymamrotał.

Leżała na sofie, dopóki nie poczuła, że jej żołądek zaczął pracować normalnie, po czym wstała i mijając go, przeszła do łazienki. W drodze powrotnej, patrząc na jego profil, podświetlony na niebiesko przez komputer, aż przygryzła wargę, by zwalczyć chęć pocałowania go.

Różnił się od Robbiego. Rob wziąłby to za sygnał, że go pragnie, i rzuciłby ją na łóżko bez chwili wahania. W zasadzie większość gestów interpretował jako objaw żądzy kobiety w stosunku do niego, nawet jeśli dziewczyna wycierała nos. William nie był taki, choć czasami tego żałowała, tylko troszeczkę. Postanowiła zdobyć się na odważny krok, więc nachyliła się nad nim i pocałowała go delikatnie w policzek, szepcząc życzenie dobrej nocy.

Zamknął oczy, gdy musnęły go jej wargi, lecz poza tym nie było z jego strony reakcji. Zostawiła go w towarzystwie laptopa, przymknęła okiennice i udała się samotnie do łóżka. O poranku Williama nie było, nie zostawił też żadnej wiadomości. Mieli tylko jeden klucz do mieszkania, więc była zmuszona do pozostania w domu aż do jego powrotu. Przejrzała książki na półkach, zawartość szafek kuchennych, wyjrzała przez okno w sypialni, by sprawdzić, czy nie nadchodzi brukowaną uliczką, po czym wróciła do biblioteczki, a wreszcie - do kuchni.

Właścicielka mieszkania wyszła z niego, jak stała, zostawiając je do użytku Williamowi, zgodnie z intratnym

i długotrwałym porozumieniem zawartym z firmą We-ston. W związku z tym kuchnia była w pełni zaopatrzona. Lily znalazła wszystko, co było potrzebne, żeby usmażyć naleśniki. Przygotowała ciasto i nakryła do stołu, a potem usiadła na kanapie i sięgnęła po książkę. Było już prawie południe, a Williama ani śladu.

## **ROZDZIAŁ 14**

Gdy Lily obudziła się rano, Williama nie było. Nie zostawił żadnej wiadomości. Ponieważ mieli tylko jeden klucz, musiała zostać w mieszkaniu. Przeglądnęła książki na półkach i zawartość kuchennych szafek, a potem patrzyła na ulicę przez okno w sypialni, wyglądając jego powrotu. W kuchni znalazła wszystko, czego potrzebowała do przyrządzenia naleśników. Zrobiła ciasto i zastawiła stół, po czym wróciła na kanapę do swojej książki. Nastąpiło południe, a Williama nadal nie było. Lily zaczynała się martwić. O trzynastej zajęła znów pozycję obserwacyjną i wychylając się przez okno, dostrzegła wreszcie, jak William wyłania się zza rogu. Serce jej podskoczyło na widok jego smukłej sylwetki, idącej spokojnie, z rękami w kieszeniach i wzrokiem utkwionym w bruku uliczki, co jakiś czas ustępującej drogi skuterom. Zagwizdała, na co podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko. Odeszła od okna, ale serce nadal tłukło się mocno w jej piersi. Wzięła kilka

głębokich oddechów, dzięki czemu kiedy otworzyła drzwi, nie zwymyślała go, tylko powiedziała spokojnie:

- Zamierzałam na ciebie nakrzyczeć i zrzucić ci miskę zimnego spaghetti wprost na głowę!
- Lily, Lily, od dawna podejrzewałem, że oglądasz zbyt dużo telewizji... - Roześmiał się.
- Sophia Loren na pewno by tak zrobiła, gdyby jej mężczyzna wrócił do domu o pierwszej po południu.

Udał się do salonu, usiadł na kanapie i zamknął oczy, oparłszy głowę o ścianę. Lily kręciła się przy nim przez chwilę, rozpaczliwie pragnąc wypytać, gdzie był i co robił oraz czy mogliby już iść na zakupy. W końcu wyszła do kuchni, skąd zaczęło dobiegać pbrzękiwanie naczyń i patelni.

- Co tam robisz!?! - zawołał.
- Naleśniki dla ciebie - powiedziała, stając w progu.
- Dziękuję, ale...
- Ale co?
- Przyjechaliśmy tu, żeby odnaleźć twojego chłopaka, pamiętasz?

Lily zgarbiła się.

- No tak, jego. - Usiadła przy stole i oparła brodę na dłoni.
- To z jego powodu tu jesteśmy.
- Myślałam, że chodzi raczej o odzyskanie książki - powiedziała, skubiąc obrus.
- To dla mnie. A dla ciebie on.

Spojrzała na Williama, zbita z tropu jego odpowiedzią, ale wyraz jego twarzy nie zdradzał niczego.

- Tak czy inaczej, mężczyzna nie może prowadzić dochodzenia o pustym żołądku - zakomenderowała, wracając do kuchni. - Ciasto i tak już zrobiłam, więc nie masz wyboru, musisz zjeść. Zniknął pod prysznicem, podczas gdy ona zaczęła smażyć, pokroiła też cytryny i postawiła je na stole wraz z cukiernicą. Gdy grzebała w czeluściach szafek, udało jej się również znaleźć coś, co przypominało dżem, więc na stół trafiły jeszcze dwa słoiki.

- Siadaj! - zakomenderowała podenerwowana, gdy pojawił się znów w salonie.

- Co masz zamiar zrobić? - spytał, posłusznie zajmując miejsce przy stole.

- Nikt ci nigdy nie serwował naleśników? Trzeba jeść, kiedy są gorące.

Nałożyła mu na talerz jeden naleśnik i wróciła do kuchni, wołając stamtąd:

- Żadna z twoich pełnych pasji lisiczek, z którymi romansowałeś, nie gotowała dla ciebie? Wróciła do salonu z kolejnym naleśnikiem.

- A może byliście zbyt zajęci rzucaniem cytatów z Puszkina i pieprzeniem się bez opamiętania?

Śmiejąc się z niej, odparł:

- Kobiety, z którymi się wiązałem, wołały nie zbliżać się do kuchni, by przypadkiem ktoś nie zaczął ich wykorzystywać. A co do poezji, to wystarczały im ładne brytyjskie rymowanki.

Lily otworzyła oczy szeroko.

- Z kim ty się zadawałeś? To znaczy... Wykładałeś przecież na wydziale sztuk pięknych? Miałeś tam do dyspozycji tłum artystek, gorących, pełnych żądzy wy-znawczyń hedonizmu!

- Gdyby to były artystki... Ale sztuki piękne to historia, a więc same Fiony i Prudencje w naszymi naszyjnikach z pereł i tenisówkach.

Lily znów wyszła do kuchni i wróciła z kolejnymi dwoma naleśnikami, po jednym dla każdego.

- Nie mogę już, Lily, zlituj się.

- Jedz, do licha, zostało jeszcze z pół litra ciasta.

Odsunął talerz, ale spojrzała na niego przebiegle. Odkręciła jeden ze słoików dżemu, skosztowała zawartość - marny, ale trudno - posmarowała naleśnik, zwinęła go i pokroiła na małe kawałeczki.

- Nakarmię cię - kusila.

- Nie, naprawdę już nie mam ochoty. - Uśmiechnął się i lekko odsunął jej dłoń.

- No dalej, wiesz, że chcesz... - wyszeptała, otwierając szeroko oczy i pochylając się ku niemu. - Otwórz buzię, samolocik leci...

Wstał raptownie.

- To, czego chcę, się nie liczy.

Usiadła z powrotem i wpatrzyła się w naleśnik na swoim talerzu.

- Muszę się przespać. Jeśli chcesz wyjść, klucz jest na regale przy drzwiach. Teraz jest czas sjeisty, więc większość sklepów będzie zamknięta, jeśli liczyłaś na zakupy.

- Pójdę się przejść. Skinął głową.

- Położę się w twoim łóżku, dobrze? Uważaj na siebie i nie zgub się. Może na wszelki wypadek weź mój telefon, numer do mieszkania znajdziesz pod „Gabriella”.



Teraz ona kiwnęła głową bez słowa, zawiedziona, że nie pójdą razem, że upierał się, by ją odtrącić. Poszedł do sypialni, zaciągnął zasłonę, a ona została sama z całą kuchnią do wysprzątania i stosem niezjedzonych naleśników.

Tym razem wyszła na brukowaną uliczkę w sandałach na płaskiej podeszwie. Rozejrzała się, czy skądś nie nadjeżdża skuter, po czym ruszyła w stronę przeciwną niż rzeka. Nie miała pojęcia, na co natrafi, i nie ustalała sobie żadnego celu, poza spacerem i przebywaniem na powietrzu. Większość sklepów rzeczywiście była nieczynna, tak jak ją ostrzegął, i chociaż mijała kilka sklepików z biżuterią, nie była w nastroju na oglądanie wystaw.

Ją samą tak dziwiło własne zachowanie, że mało brakowało, a zatrzymałaby się, by sprawdzić sobie puls. Była w Rzymie i nie miała ochoty na zakupy? Pow<sup>T</sup>ód spał teraz spokojnie na Zatybrzu.

Pokonała rzekę, przechodząc przez most Mazzini, przerywając na parę chwil wędrówkę, by wychylić się przez poręcz i przyjrzeć się rzece. Nie mogła stać długo w jednym miejscu, gdyż w okamgnieniu zjawiliby się sprzedawcy torebek, namawiając ją do kupienia czegoś po nadzwyczaj atrakcyjnej cenie, biedacy zaczęliby ją błagać o jałmużnę albo narkomani i ich psie watahy zjawiliby się, napawając ją lękiem. Poszła więc dalej, zwiedzając uliczki w okolicy Palazzo Farnese. W końcu usiadła przy wystawionym na chodnik stoliku, zamówiła kawę i oddała się rozrywce obserwowania ludzi zza okularów przeciwsłonecznych.

Pewnego dnia wróci tu jako beztroska turystka, ale dziś nie mogła wczuć się w tę rolę. Było tak pięknie, ekscytująco i elegancko, świat wokół tętnił życiem, a tymczasem ona była sama, jej życie legło w gruzach, tonęła po uszy w długach, zdradzona przez partnera i coraz bardziej owładnięta niebezpiecznym uczuciem do kogoś, kto przebywał z nią jedynie przez wzgląd na swoją pracę.

Podano jej kawę. Mieszała ją apatycznie, ocierając ukradkiem, pod okularami, łzy żalu nad samą sobą. Ależ jest niemądra. Bywała już w gorszych tarapatach i miała na tyle siły, żeby wziąć się w garść, jak mawiała jej matka. W uszach dźwięczał jej głos mamy: „Do dzieła, Lily!” albo „Uszy do góry, a ręce do roboty!”, które to hasła padały na ogół, gdy Lily leżała wyciągnięta na blacie kuchennego stołu nad zadaniem domowym. I działały, jeśli problemem było wykonanie akweduktu z tektury i taśmy maskującej.

Dopiła kawę i stwierdziła, że czas wracać. Samotne przebywanie pośród tłumu obcych osób tylko pogorszyło jej samopoczucie.

Udało jej się trafić z powrotem do mieszkania. Gdy weszła, zauważyła, że zasłona sypialni jest nadal zaciągnięta. Zamknęła drzwi do przedpokoju, wybrała z półki wielki album malarstwa olejnego i rozłożyła się z nim na podłodze, przewracając niespiesznie strony, nucąc sobie i machając nogami. Komisarz nie patrzył, więc co jej tam.

Obrazy powoli zaczęły ją wciągać. Rozpoznawała wizerunki postaci z mitologii oraz dzieła angielskiego malarza Johna Williama Waterhousea. Pełne przepychu draperie przedstawiały historie Orfeusza, Kirke i Ulissesa. Była też biedaczka Ofelia z różowionymi od płaczu oczyma, z rękami pełnymi kwiecica, gotowa rzucić się do strumienia, by uciec od wszystkich strasznych mężczyzn swego życia.

Nie słyszała, jak William wychodzi z sypialni, i nie mogła wiedzieć, jak długo stał w progu, podziwiając ją, nucącą sobie przy wertowaniu albumu.

Jej ponętna pupa w różowej, jedwabnej bieliźnie była do połowy wystawiona na jego widok, gdy mruzczała do siebie jakąś melodię, przeglądając książkę. Musiał wyjść do przedpokoju, żeby się opanować. Nie będzie więcej seksu, dopóki nie upewni się, że jest jego. Tego będzie się trzymał.

Przestraszyła się, odwróciła i usiadła, po czym znów padła na ziemię, widząc jego poważną twarz. Wróciła do swojej książki, oglądając portret Kirke w czerwonej sukni. Zafascynowana, przyglądała się wysadzanemu klejnotami paskowi. Ach, gdyby dzisiaj można było się tak ubierać.

- Wyspałeś się? - spytała. Nie podnosząc oczu, czuła na sobie jego wzrok.

- Mogę się przyłączyć?

Popatrzyła na niego zdziwiona, a on uśmiechnął się. Koszulę miał pomiętą, a włosy w nieładzie. Przełknęła ślinę na jego widok, wyglądał na tak przepysznie

zaspanego. Oczywiście, że mógł się położyć przy niej na podłodze, kiedy tylko przyszłaby mu na to ochota. Powstrzymała się jednak przed rzuceniem żartu na temat ich dwojga i podłóg.

- Lubię oglądać obrazy.

- Moja podłoga jest twoją podłogą - rzekła, wykonując ręką zapraszający gest.

Ich ramiona dotknęły się, gdy przewróciła stronę.

- O, ten mi się podoba! - wskazała. - Gdy byłam nastolatką, miałam reprodukcję nad łóżkiem. Hylas i nimfy.

- Co w nim wyjątkowego?

- Czy to podchwytliwe pytanie od byłego wykładowcy? Bo stać mnie jedynie na spontaniczną, nieprzygotowaną odpowiedź, w dodatku skażoną kulturowo.

Patrzyła na niego nieco nieufnie. Jego twarz była tak blisko, że widziała pory jego skóry, czuła zapach snu. Ta intymność sprawiała, że zaczynała czuć się nieswojo. Pewnie za chwilę znów ją odepchnie.

- Nie szkodzi, nie pracuję już przecież na uczelni. Nie uważam, żeby to, czy coś nam się podoba, mogło być słuszne lub nie.

- Więc... podoba mi się, bo jest ładny. - Wciągnęła głośno powietrze i zakryła usta dłonią, udając przerażenie. - Nie mów nikomu, że to powiedziałam.

- Wezmę tę tajemnicę z sobą do grobu.

- Spójrz na ich słodkie twarzyczki - rzekła - i jasną cerę. Nie miały nic lepszego do roboty niż wplatać kwiaty we włosy i pływać wśród lilii wodnych.

- Takie życie cię pociąga?

- Kiedy ma się kilkanaście lat, wszystko, co pachnie nieróbstwem, wygląda zachęcająco. Ale tak naprawdę chodzi o estetykę, zawsze zachwycaly mnie te edward-diańskie obrazy. W soboty włóczyłyśmy się z koleżankami po targach staroci, kupowałyśmy stare sukienki i torebki. Popołudniami czytywałyśmy poezję i wyobrażałyśmy sobie, że nasze losy wręcz ociekają tragizmem. Tak naprawdę najsmutniejsze, co spotykało mnie w tamtym czasie, to zajęcia z wuefu albo powrót do domu od przyjaciółki na piechotę, bo akurat nie miał mnie kto podwieźć.

William przewrócił się na bok, podłożył rękę pod głowę i obserwował, jak dziewczyna przewraca kartki.

- Teraz czuję się jak ona, pani na Shalott - powiedziała, wskazując na ilustrację do wiersza Tennysona, przedstawiającą kobietę będącą o krok od samobójstwa. - Teraz ją rozumiem.

- Zabiła się z powodu nieodwzajemnionej miłości.

- Tak, do rycerza Lancelota.

- Jesteś romantyczką, Lily.

- A ty, Williamie? Kim jesteś?

Teraz on przeglądał książkę i przewracając kartki, zatrzymał się na wizerunku Ulissesa starającego się oprzeć głosom syren, lecz po chwili wrócił do Hylasa i jego niewinnie wyglądających nimf.

- Wiesz, że nimfy wciągnęły go w otchłań i utonął? Ten obraz przedstawia męski lęk.

- Nie zagłębiajmy się w to. - Okrasila swój protest uśmiechem. - Nie chcę, żebyś znowu zrobił się dla mnie okropny.

- Utopił się w zmysłowym świecie wielkich oczu i bielutkiej skóry.
- Ale widać po nim, że tego właśnie pragnął - wyszeptwała, patrząc na niego, a potem znów na obraz. -Chce rzucić się w wir dziewczęcych ciał.

William wstał.

- Plakat z reprodukcją świetnie się sprzedaje, jak zresztą większość jego obrazów - powiedział. - Wszystko wydaje się na nich takie nieskomplikowane.
- Mity takie są, czyż nie?
- Jakie?
- Proste.
- Nie wydaje mi się. Tak czy inaczej, wystarczy już tego.

Usłyszała, jak odkręca wodę w łazience, i wkrótce obłoki pary wypełniły maleńką kuchnię, przenikając nawet do salonu. Lily zamknęła książkę, zastanawiając się, co będzie dalej.

Kolejny posiłek, podczas którego będą mogli znów się torturować? A może wyjdzie sam, zostawiając ją z jej myślami, które kłębiły się posepnie niczym czarne chmury?

Zaczęła się już martwić, czy nie zemdlał pod prysznicem, więc zawołała do niego, stając na zalanej podłodze kuchni. Zakręcił wodę, wyszedł z ręcznikiem przewiązanym na biodrach i minął ją bez słowa. Zajrzała do łazienki i jej oczom ukazał się zatrważający obraz: ociekające wodą ściany, nasiąknięty papier toaletowy, wszędzie mokre ręczniki. Był seksowny i robił doskonałą herbatę, ale dzielenie z nim łazienki mogło okazać się traumatyczne.

Poszedł do pokoju i otworzył laptop. Lily wróciła do oglądania książki, aż wreszcie poczuła, że nie zniesie już ani sekundy ciszy. Podniosła wzrok, żeby go zagadnąć, i złapała go na obserwowaniu jej.

- Masz ochotę na filiżankę herbaty? - spytała.

- Ja zrobię.

- Nie, to ja zaproponowałam.

- Ja też mogę zrobić.

- Nie będę się czuła wykorzystana, obiecuję.

- Pewnie nawet byś tego nie zauważyła, biorąc pod uwagę, jak długo Robbie nadużywał twojej dobroci. Pewnie wydaje ci się to normalne.

Lily zamrugała szybko, próbując opanować zaskoczenie, jakie wywołały w niej te słowa. O co mu, do cholery, chodzi?

- Proszę, śmiało, osądzaj moje życie. - „Ty skończony łajdaku!”, chciała dodać. - I sam sobie zrób pieprzonej herbaty.

Wstała z podłogi i zajęła miejsce na kanapie, aby zmienić pozycję sugerującą uległość. Najlepiej byłoby stanąć teraz na stole, żeby móc popatrzeć na niego z góry, zamknąć laptop kopnięciem i zażądać przeprosin. William wrócił z kuchni z dwiema filiżankami herbaty. Postawił jedną z nich przed Lily, lecz zareagowała dopiero po chwili:

- Ile jestem ci winna za tę grzeczność? Westchnął ciężko, pokręcił głową i wpatrzył się w ekran.

- Co ty wiesz o wzajemnym dawaniu i braniu? - ciągnęła. - Spędzasz życie przytulony do pistoletu, na

litość boską. Co możesz wiedzieć o radości, jaką niesie sprawianie komuś przyjemności?

- Nie przypuszczaj, że wiesz cokolwiek o...

- Tobie też niech się nie wydaje, że coś o mnie wiesz.

Wracając do studiowania albumu, Lily kipiała i dusiła się ze złości. Przerzucała kartki z takim impetem, że kilka razy ściągnęła na siebie jego spojrzenie. Sam jednak też stukał w klawisze laptopa z większą siłą, niż było to konieczne, co odnotowała z niemałą satysfakcją.

Popołudnie upłynęło w milczeniu.

- Chcesz zjeść coś na mieście?

- Tak - odparła, próbując usiąść.

- Ubierz się, to czegoś poszukamy. Przypominał jej mrożony filet z łososia. Może po prostu jej nie lubi? Może uważa, że jest nieporadna, ma nierówno pod sufitem, przeszłość ćpunka, a do tego partnera babiarza? Może sądzi, że powinno się zmienić nazwę ulicy, przy której mieszka, z Oxford na ulicę Niskiej Moralności? Czyżby rzeczywiście preferował Fiony w opaskach na włosach i butach o rozsądnych, płaskich podeszwach, nawijające bez przerwy o Caravaggiu?

Tego wieczora założy coś specjalnego, a jego niech piekło pochłonie. Srebrnoszara suknia, podkreślająca talię, przezroczysta nad biustem, z długimi, prześwitującymi rękawami.

Bała się, że może wyglądać w niej zbyt ponuro, lecz odrobina makijażu mogła temu zaradzić. Uczesze włosy i założy błyszczące szpilki, zaraz mu pokaże! Może sobie mieć te swoje marne Fiony z głupimi żarcikami i płaskim obuwem. Rosyjska namiętność,



dobrze sobie! Na co liczyła? Jej wyobraźnia chwyciła piłkę i pognęła przed siebie, a tymczasem prawdziwa akcja rozgrywała się w drugim krańcu boiska.

Wkroczyła do salonu i z poczuła satysfakcję na widok jego reakcji. Zauważył, widziała to w jego oczach, choć jemu zdawało się, że dobrze się maskuje.

- Chodźmy.

Wyszli z mieszkania i podążyli brukowaną uliczką w stronę rzeki, planując znaleźć jakąś restaurację w pobliżu Campo dei Fiori. Ujął jej dłoń, ale wyrwała mu ją.

- Pozwól mi wziąć cię za rękę - poprosił z uśmiechem.

- Raz jesteś gorący, raz lodowaty. Ale dobrze, możesz trzymać mnie za rękę, oczywiście tylko przez wzgląd na bezpieczeństwo.

- Na wypadek, gdybym musiał wyciągać cię spod kół autobusu?

- Właśnie o to mi chodziło.

Lily zbierała po drodze pełne aprobaty spojrzenia, ale nie doczekała się komentarzy dzięki obecności potężnego mężczyzny przy boku. Może było to niesprawiedliwe, ale trudno, taka już kolej rzeczy.

Przemierzali ulice, mijając ludzi jedzących kolację i tłumy spacerowiczów.

Nagle usłyszeli, jak ktoś woła Williama.

Odwrócili się i ujrzeni Włocha, mniej więcej w wieku Isyanova, który teraz podszedł i uściskał go serdecznie, całując w oba policzki. Mężczyzna był przystojny i pięknie ubrany.

Musieli się dobrze znać, bo śmiali się i rozmawiali po włosku w zawrotnym tempie.

Znajomy został przedstawiony Lily jako Alessandro

Leonelli, ona jemu jako „przyjaciółka” Williama. Lily omal nie wybuchnęła śmiechem, gdy mężczyzna ucałował jej dłoń.

Jego żona Francesca nie wstała z miejsca, gdy zostali jej przedstawieni, lecz uśmiechnęła się przyjaźnie, przyglądając się ukradkiem sukience Lily. Ta czuła się jednak jak ostatnie bezguście przy szykownej Włoszce, która wyglądała, jakby właśnie zeszła z wybiegu. Lily wyglądała dobrze, Francesca - fenomenalnie. Chyba jednak trzeba będzie udać się na zakupy.

Francesca i Alessandro siedzieli z tuzinem znajomych przy kilku stolikach zsuniętych razem, by tworzyły jeden długi stół. Niektórzy z nich najwyraźniej znali Williama, bo podchodzili, całowali go w oba policzki i ściskali mu dłoń. Lily czuła się nieswojo, stojąc z boku, narażona na śmiałe spojrzenia mężczyzn i zaciekawione kobiet. Francesca podskoczyła nagle z miejsca, ucałowała Lily w policzki i poprowadziła do krzesła męża. - Zjecie z nami, prawda?

Lily spojrzała na Williama, który z kolei spytał ją, czy ma ochotę przyłączyć się do grupy. Jak mogłaby odmówić, skoro wszyscy wlepiali w nią spojrzenia, a Francesca trzymała nadal za rękę? Na szczęście jednak perspektywa pozostania z tymi ludźmi wydała jej się bardzo kusząca, tacy byli przystojni i weseli, a przynajmniej tacy się wydawali osobie patrzącej z boku. Woląła cieszyć się z nimi posiłkiem i przyjemną konwersacją, niż przerzucać złośliwościami z Williamem.

Okazało się, że William i Alessandro studiowali razem w Londynie i spotykali się nieraz, gdy William przyjeżdżał do Rzymu w interesach. Lily nie rozumiała,

czym dokładnie zajmował się Alessandro, ale miało to coś wspólnego z aukcjami dzieł sztuki i przynosiło ogromne zyski. Włoch poprosił o dostawienie dwóch krzeseł i nakryć, nalał im obojgu po lampce wina. Lily mogła zrelaksować się, patrząc na Campo, pełne ludzi i życia. Pomyśleć, że kiedyś wydawało jej się, że curry z kurczakiem przed *Inspektorem Reksem* na ekranie było szczytem wieczornych przyjemności.

Francesca nachyliła się do niej i spytała, jak długo zna Williama.

- Wydaje mi się, że to już wiele lat, ale tak naprawdę parę tygodni.

- Jesteście kochankami? - chciała wiedzieć Włoszka. Lily, zaskoczona tak bezpośrednim pytaniem, wyjąkała:

- Nie, przyjaciółmi. Czy może znajomymi z pracy.

- Pracujesz dla Weston? - Wydawała się zaskoczona.

- Nie. To skomplikowane. A ty? - zrewanżowała się Francesce.

Kobieta podniosła boską, malutką torebkę od Prądy, wartą pięć tysięcy euro, i wyjęła z niej zdjęcie dwóch pięknie ubranych maluchów.

- Uuu - powiedziała śpiewnie Lily. - Jak mają na imię?

- To bliźniaki, Massimo, ten po prawej, i Hugo. To moje zajęcie, są bardzo absorbujący.

- Jestem ich ojcem chrzestnym - wtrącił się William. - Jak na ironię.

Alessandro roześmiał się, ale Francesca powiedziała:

- Nie, Williamie, to aż zbyt wielkie szczęście, że mają właśnie ciebie.

Lily obserwowała Williama i Alessandro, pogrążonych w rozmowie. Siedzieli teraz blisko siebie, odsunięci nieco od reszty towarzystwa. Tymczasem na stole pojawiły się przystawki: świeżo grillowane sardynki, nadziewane kałamarnice i marynowane małże, oliwki oraz pieczywo.

Po chwili zaczął się ruch: towarzystwo zaczęło wstawać, gawędzić, przesiadać się. Młoda kobieta o lniano-blond włosach i w lekkiej, wełnianej sukience w tym samym kolorze przysunęła krzesło w pobliże Williama. Lily widziała wcześniej, jak kobieta skrupulatnie się z nim przywitała, całując go długo w oba policzki i ściskając mu dłoń.

Francesca zerknęła na Lily, gdy ta uważnie przyglądała się Blondynie. Pewnie majtki też miała w kolorze lnu. William podniósł wzrok na Lily, a ona szybko odwróciła spojrzenie, udając, że jest zajęta podziwianiem fasady Palazzo po przeciwnej stronie placu. Jaka niezwykła ta fasada, cała w wymyślnych zakrętach.

Następne na stół wjechały *orecchiette* z brokułami i Lily jęknęła w duchu, po czym zjadła tylko kilka kęsów. Lniane Majtki nie odstępowała Williama i zupełnie nie zwracając uwagi na stygnący przed nią makaron, tłumaczyła mu coś z zapalem, co oczywiście wymagało przysunięcia się jeszcze bliżej i dotykania jego ramienia.

Następnej potrawy - prostego dania złożonego z cielęciny zapiekanej z cytryną - Lily również skosztowała tylko odrobinę.

Francesca znów pochyliła się ku niej i spytała:

- Podoba ci się?

Lily z zaskoczenia omal nie wypluła mięsa. Popatrzyła na figlarną minę Franceski.

- Dlaczego pytasz?

- Bo zależy nam na jego szczęściu. Kiedy przyjeżdża do Rzymu, przedstawiam mu różne kobiety: piękne, wykształcone, oczywiście singielki. Nigdy nie wykazuje cienia zainteresowania. Twardy orzech do zgryzienia.

- Wiem, jest twardzielem i mnie również dostarczył paru zgryzot...

- Tak? - Francesca, zdziwiona, uniosła brwi. - Będzie trzeba użyć dziadka do orzechów.

Lily wzrokiem wskazała na Lniane Majtki, usiłującą zmonopolizować uwagę Williama. - Dobrze się znają? Francesca zmrużyła oczy.

- Przyjrzyj się jego twarzy. Wygląda na zainteresowanego? Nie. Ale Gianna nie lubi, gdy się jej odmawia. - Próbowала już wcześniej? - zapytała Lily. Obie z Francescą ukradkiem obserwowały rozwój sytuacji. - Równie dobrze mogłaby podrywać zimny głaz.

Lily wybuchnęła śmiechem na widok powagi na twarzy Włoszki, aż William, Gianna i Alessandro spojrzeli na plotkujące kobiety.

- Ale on nie jest chyba... - wyszeptała Lily. - To znaczy, no wiesz...

- Nie, nic z tych rzeczy! Jest po prostu wybredny jak kot, który żąda łososia, gdy zaserwujesz mu szprotki.

Lily zachichotała w kieliszek i uważnie przyjrzała się Giannie.

- Mówi do mnie tak: „Francesca, czekam na grom z jasnego nieba. Nie czuję go, kiedy je spotykam, są miłe,

ale...". Odręca ją. Tłumaczy mu, że pewnego dnia przeżyje szok, kiedy zorientuje się, że już za późno na jakikolwiek związek. Mężczyzna bez żony i dzieci z czasem staje się śmieszny. Więcej z nim utrapień niż pożytku.

- Ile lat ma William?

- Trzydzieści dwa - odparła.

Wedle standardów australijskich nie klasyfikował się jeszcze jako stary kawaler, ale może we Włoszech kalkulowało się inaczej.

Lily czuła ulgę, rozmawiając z kobietą. Zwierzenie się osobie, która nie tylko jej współczuła, ale działała również jako zagorzały sprzymierzeniec, przywróciło jej wiarę w to, że może William kiedyś znowu ujrzy w niej obiekt miłości. Francesca była do niej samej ogromnie podobna, uczuciowa i silna. Nie chciałyby mieć jej za wroga!

Rzuciła okiem na Williama i Alessandro, którzy wrócili do rozmowy na poważne tematy.

Wątpiła, żeby William żalił się właśnie przyjacielowi: „Tak bardzo ją kocham, lecz boję się, że przyniesie mi cierpienie”. Lub żeby Alessandro odpowiadał na to: „Musisz podążać za tym, co mówi ci serce. Płacz jest dozwolony, proszę, poczęstuj się *fazzoletto*”.

- Koniecznie odwiedźcie nas w Wielkanoc - powiedziała Francesca. Przyjdźcie do nas na lunch w Wielki Piątek. Pyszne jedzenie, dobre wino, przechadzka po ogrodach, zobaczycie sami.

- O czym rozmawiacie? - spytał Alessandro.

- Umawiamy się na zakupy - skłamała Francesca bez mrugnięcia okiem. - Zabiorę Lily we wszystkie najlepsze miejsca.

Lily przełknęła ślinę. Francesca wyglądała na osobę odwiedzającą sklepy, w których Lily nie byłoby stać nawet na jedną skarpetkę. Francesca zwróciła się do Alessandro, mówiąc szybko po włosku, po czym uśmiechnęła się do Lily porozumiewawczo, gdy jej mąż powtórzył zaproszenie na piątkowy lunch dla Lily i Williama.

On zdecyduje. Wielki Piątek był już za kilka dni, ale ona nie miała pojęcia, jakie miał plany, była tu przecież tylko na doczepkę. Cieszyła się na myśl o spędzeniu dnia u tych miłych ludzi. Z Francescą czuła się świetnie, a ponadto dzięki ich obecności towarzystwo Williama stałoby się nieco rozcieńczone. Odparł, że da im wcześniej znać, czy będą mogli przyjść.

Dalsza część posiłku - owoce, kawa, likiery - upłynęła w gwarze ogólnych rozmów. Lily upadła na duchu, gdyż William przez cały wieczór unikał jej wzroku, najwyraźniej gustując w trajkotaniu zadurzonej Gianny. Już ta zadba o to, żeby wielkanocny lunch z pociągającą za sznurki Francescą nie doszedł do skutku. Lily spędzi więc święta samotnie w mieszkaniu na Zatybrzu, oglądając głupie włoskie teleturnieje, podczas gdy on będzie przemykał przez miasto, bawiąc się w policjantów i złodziei.

Wreszcie wszyscy zaczęli się żegnać, obsypując pocałunkami, uściskami i obietnicami. Lily i William zagłębili się znów w labirynt uliczek, meandrując z powrotem w stronę rzeki.

- Gdzie pracuje Alessandro? - spytała.

- Jest właścicielem Leonelli, największego domu aukcyjnego w Rzymie. Odziedziczył go.

To tłumaczyło strój Franceski. Ach, wersja *vintage* stroju Włoszki byłaby skarbem. Musi poczekać, aż będzie miała siedemdziesiąt lat, żeby zdobyć coś takiego.

- Na ogół dzwonię do Alessandro, kiedy zjawiam się w Rzymie, ale tym razem tego nie zrobiłem - ciągnął William, gdy zbliżali się do mostu. Wziął ją za rękę na widok narkomanów, skulonych pod ścianą wraz ze swoimi psami.

- Dlaczego nie?

Wzruszył ramionami w odpowiedzi.

- Nie sądziłem, że będę miał czas się z nim spotkać.

- Oszust.

- Jak to? - Spojrzał na nią zdumiony.

- Nie chciałeś, żeby zobaczyli nas razem i zaczęli sobie wyobrażać Bóg wie co.

- Cóż, Francesca rzeczywiście uwielbia swatać ludzi. Ciągłe napuszcza na mnie jakieś kobiety, w nadziei że coś wreszcie zaskoczy. Niech Bóg ma w opiece tych jej bliźniaków, gdy osiągną wiek, w którym czas myśleć

O małżeństwie.

Lily nie odpowiedziała. Czuła się taka wyzuta z emocji. Przypomniały jej się święta poprzedniego roku. Razem z Robbiem wynajęli dom w Górach Błękitnych. Seb

1 Richard wpadli w odwiedziny ze swoimi dziewczynami i wszyscy razem szukali jajek wielkanocnych w salonie i pili o wiele za dużo. Robbie zamówił u kolegi Marcela czekoladowe jajo, które kryło złote kolczyki z granatami dla niej. Otarła łzę. Postarał się wówczas ze względu na poczucie winy za coś z kimś...

- Co tam, Liluszka, skąd ta ponura mina?



Zastanowiło ją, po co w ogóle zadaje sobie trud, żeby pytać. Dlaczego miałyby być radosna i rozmowna?

- Co znaczy „Liluszka”?

- Malutka Lily. To po prostu rosyjska forma zdrobnienia.

- Czyli tobie mogę mówić Williamuszka.

- Niezupełnie, ale za to twoje imię może brzmieć: Liliuszkaja, Liliadka, Liloczka, Lilienysz... wybierz sama! Ja byłbym Iliuszka.

- Więc „William” to twój kryptonim? Roześmiał się.

- Nie, „William” jest dla wygody Anglików.

Gdy wrócili do mieszkania, usiadł ze szkicownikiem w dłoni.

- To wszystko wkrótce się skończy, będziesz mogła wrócić do domu i...

Lily stanęła w drzwiach i spojrzała na niego. Na widok jego ciemnej głowy pochylonej nad notesem poczuła ukłucie w piersi.

- I co? - Nie doczekała się odpowiedzi. - Dobrze, to przecież nie twoje zmartwienie - dodała, udając się do sypialni. - Dobranoc. - Zaciągnęła zasłonę i przymknęła okiennice, po czym opadła na łóżko. Francesca była taka ciepła i zabawna, a ona teraz znów siedzi w czterech ścianach z człowiekiem-soplem.

Po chwili usłyszała, jak odbiera telefon. Mówił po włosku, więc nawet nie starała się słuchać. To pewnie Gianna dzwoni, by poprosić o porcję miłosnych igraszek w Inianej pościeli.

Zasłona odsunęła się nagle i William oznajmił:

- Muszę znowu wyjść.

Lily, która zapadała już w sen, spojrzała na niego z zaskoczeniem.

- Po co?

Wyszedł z pokoju, więc ruszyła za nim do salonu. Otworzył szafkę u dołu komody, uklęknął i sięgnął po coś w głębi, po czym wstał, trzymając w dłoni pistolet. Sprawdzał, czy jest nabity.

Lily zastygła na widok broni.

- Co zamierzasz z tym zrobić?

- Mam nadzieję, że nic. - Ponownie włożył rękę do szafki i wyjął coś, co, jak oceniła, musiało być magazynkiem. Podpiął go do broni i zatknął ją za pasek.

Obserwowała go z otwartymi ustami.

- Gdybym nie wrócił, weź te pieniądze - poinstruował, wręczając jej kopertę. - Wsiądź do pierwszego samolotu lecącego do Australii. Nie trać czasu na szukanie mnie czy dzwonienie na policję. Obiecujesz?

- Jak to, jeśli nie wrócisz? - spytała, a łzy same potoczyły jej się po twarzy. - Oczywiście, że wrócisz!

- Też mam taką nadzieję, ale w najgorszym razie, gdybym jednak nie pojawił się do rana, zrób, co mówię.

- Nie chcę, żebyś wychodził - uparła się, ocierając oczy. - Powiedz szefom w Weston, że nie udało ci się znaleźć tej głupiej książki, a Robbiego zostaw w tym, w co się wpakował.

- Nie mogę tego zrobić.

- Jasne, że możesz! Ta księga to nic - wyszeptała. -Nie jest tego warta.
- Lily, naprawdę wolałbym zostać tu z tobą i pozwolić, żebyś karmiła mnie dżemem łyżeczka po łyżeczce, ale nie mogę.
- Naprawdę? Nie mówisz tego tylko po to, żeby było mi lżej, gdy będę wiozła dwa ciała do Australii?
- Moje poleci do Anglii.
- Ach, no tak.
- Muszę już iść.

Odprowdziła go do drzwi z wyrazem rozpaczony w oczach, ale nie widział już tego, bo zbiegł po schodach, nie oglądając się za siebie. Drzwi budynku trzasnęły i już go nie było. Dobiegała dwudziesta trzecia, a ona do świtu miała siedzieć i zamartwiać się na śmierć.

## **ROZDZIAŁ 15**

O pierwszej chciało jej się krzyczeć, więc wstała, wyłączyła telewizor, umyła zęby, wśliznęła się do łóżka i wbiła wzrok w sufit. Cholerny Robbie, to wszystko jego wina. Gdyby William zginął z powodu jego egoizmu, zabiłaby Robbiego gołymi rękami. A jeśli już nie żył? Po co William ryzykuje życie? Dla kolekcji erotyków jakiegoś sycylijskiego mafijnego bossa?

Jakie wyjaśnienia złoży Mauriemu i Esther? A rodzice Williama? Ich także będzie musiała odwiedzić. Może udałoby jej się tu przechować ciało Robbiego, skoczyć do Anglii, a potem przetransportować zwłoki partnera z powrotem do Sydney. Idiotyczne byłoby wracanie do domu, a potem ponowny lot na północną półkulę. Choć przecież rodzice Williama albo jego bracia, z pewnością odebraliby ciało. Przesłałaby więc tylko kwiaty i list, opowiadając, jak miło... Co w zasadzie mogła napisać? Że pieprzyli się na podłodze w magazynie i że rozpaczliwie się w nim zakochała, ale że on był pogmatwany

i niepotrzebnie unosił się honorem, więc nic z tego nie wyszło?

Może on czuł się zbyt stłamszony, może powinni byli jednak wychować synów w Rosji? Czy też chronił jej żalosne życie swoim chwalebny, rycerskim poświęceniem? To brzmiało dobrze. A może ona po prostu nie była kobietą, w której mógłby zakochać się bez opamiętania.

Mózg Lily produkował coraz to nowe scenariusze i wizje. Spojrzała na zegar: pierwsza piętnaście. Wyjrzała przez okno, po czym wróciła do łóżka. Poszła do toalety, włożyła szlafroczek i włączyła telewizor. Po chwili zgasła go i znowu się położyła. Nie minęło kilka minut, a znów była na nogach. Tym razem skierowała się do jego torby, wyjęła z niej koszulkę, o której wiedziała, że nie mogła być wyprana, bo nie mieli gdzie prać, powąchała ją i wzięła ze sobą do łóżka.

Musiała zapaść w sen, bo gdy ponownie sprawdziła godzinę, zegar wskazywał za kwadrans trzecią. Nie żył. Ale co dla niego oznaczało „rano”? Można by uznać, że „rano” trwa do n: 59, a więc dotąd będzie czekała. Siedziała na kanapie spowita w mrok, z głową wspartą na rękach i żołądkiem ściśniętym ze strachu.

W pewnym momencie obijanie się po mieszkaniu z wyobraźnią pracującą na najwyższych obrotach stało się nie do zniesienia. Przebrała się w spódnice, włożyła buty i wyszła się przejść. Nie miała klucza, więc tylko przymknęła za sobą drzwi. Tak samo musiała postąpić w przypadku drzwi wejściowych do budynku, ale była

trzecia nad ranem, więc miała prawo przypuszczać, że nic złego się nie stanie. Na wąskiej uliczce nie było widać żywego ducha, okiennice mieszkań były pozamykane, samochody zaparkowane ciasno.

Nieobecność Williama, skontrastowana z natrętną obecnością właścicielki mieszkania, którą potęgowały porozstawiane wszędzie książki i bibeloty, stała się nie do wytrzymania. Wyjście na zewnątrz pozwoliło Lily odzyskać pewną równowagę. Lekka mgiełka wisiała w ciepłym powietrzu i dziewczyna zapragnęła przejść się nad rzeką. Przypomniała sobie jednak nocujących tam narkomanów z watahami psów i postanowiła nie ryzykować spaceru w tamtej okolicy. Nie przechodziła więc przez rzekę, przechadzała się jedynie brukowanymi uliczkami. Minęło pół godziny i nie spotkała nikogo, ale czuła się bardziej odprężona. Zdecydowała wrócić do mieszkania i spróbować zasnąć. William był dużym chłopcem, umiał o siebie zadbać i przecież przyznał kiedyś, że nigdy nie korzystał z broni, więc jego praca nie mogła nieść ze sobą aż tak wielkiego ryzyka.

William szedł brukowaną ulicą, trzymając się blisko witryn sklepowych, by nie być widocznym w świetle księżyca. Dokoła nie było żywego ducha, nie mógł mieć jednak absolutnej pewności, że nikt za nim nie podąża.

Wieczór zakończył się sukcesem. Spotkał się z ludźmi, którzy śledzili podział kolekcji erotyki. Kilka przysług i trochę podlizywania, a i on mógł już liczyć na pomoc w odpowiednim momencie.

Gdy tak szedł, myśli uciekały mu do niej, bladej i prześlicznej Lily, śpiącej w łóżku w mieszkaniu. Pragnął leżeć przy niej, wtulony w mlecznobiałe ciało, wdychając zapach jej włosów i słuchając, jak wyobraźnia podsuwa jej coraz to nowe, magiczne obrazy.

Podszedł do drzwi wejściowych i wyjął klucz. Drzwi okazały się jednak niezamknięte i otworzyły się lekko pod dotykiem. Serce zabiło mu szybciej i schody pokonał w parę sekund. Mieszkanie również nie było zamknięte na klucz. Wpadł do sypialni, ale była pusta. Zawołał.

W salonie, kuchni i łazience również jej nie było. Nie dostrzegł śladów walki czy nieporządku. Wrócił do sypialni. Na nieposłanym łóżku leżała jego koszula, wraz z jej szlafrocikiem. Podniósł go i zanurzył twarz w cienkiej tkaninie, wciągając w nozdrza jej zapach. Co się z nią stało? Jeśli została porwana, nigdy więcej jej nie ujrzy. Nikt jej już nie zobaczy.

Rzucił się znów do salonu, wyciągając komórkę, ale w tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe i wkroczyła do mieszkania, jakby wracała z porannego spaceru z psem.

Owładnęła nim furia, biorąc górę nad wszelką ulgą, którą w tej chwili poczuł, szalony gniew z powodu bałaganu, w którym tkwili, i myśli o tym, co mogło ją spotkać.

- Gdzie, kurwa, byłaś?

Drzwi budynku pozostawały otwarte. Tym martwiła się najbardziej - że świt zastanie ją pod bramą, skuloną jak włóczęgę. Wbiegła po schodach, czując ogarniającą

ją senność. Drzwi do mieszkania również były, dzięki Bogu, w takim stanie, w jakim je zostawiła. Pchnęła je, po czym już odwracała się, by je zamknąć, gdy nagle dostrzegła wysoką sylwetkę stojącą w mroku w końcu przedpokoju.

Jej ciało zaląła fala adrenaliny. Jak w koszmarze sennym chciała zacząć krzyczeć, ale z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

- Gdzie, kurwa, byłaś?

Chwilę zajęło Lily zorientowanie się, że pytanie zadał William, z tak śmiertelną powagą wypowiedziano te słowa.

-Wyszłam... Poszłam na spacer, nie mogłam się uspokoić, dopóki... Nie patrz tak na mnie.

- Podniosła dłonie do ust. Przełknęła ślinę, starając się nie wybuchnąć płaczem.

- To nie są wakacje, sytuacja jest bardzo poważna! -krzyczał. Zbliżył się do niej powoli, a każdy mięsień jego ciała był napięty jak struna.

Zakryła twarz dłońmi, nie mogąc znieść tego napadu złości.

- Po co tu jestem? Odpowiedz mi! Dlaczego mnie tu przywiozłeś?

- Bo jestem idiotą.

- Więc lecę do domu. Jutro. Nie obchodzi mnie, co stanie się z Robbiem.

Z twarzą raptem o kilka centymetrów od niej wycedził:

- Obchodzi cię to, to oczywiste. To dlatego się tu znalazłaś. Czy sześć lat można tak łatwo wymazać? Nadal ci na nim zależy, pomimo wszystkich...



- Nie zależy mi! - krzyknęła, cofając się. - I nie interesuje mnie też, jaki los spotka ciebie!  
- Ale pragniesz mnie, od chwili, gdy... - przerwał. Jeśli wspomni tamtą noc, nie będzie już odwrotu.

Oderwała dłonie od twarzy i wzięła głęboki oddech.

- Utrata Robbiego zaboli. Kochałam go. Ale ciebie? Raczej nie. Ledwo cię znam. Mieliliśmy jedną wpadkę, ale bez trudu wykreślę cię z pamięci. Jesteś dla mnie za zimny, nie umiesz nawet wyznać prawdy o przyczynie mojego przyjazdu. Nie potrafisz przyznać się nawet przed sobą.

Nawet nie drgnął, tylko stał bez ruchu, patrząc na nią, gdy wyrzucała z siebie słowa. Popchnęła go i pobiegła do sypialni, z impetem odsuwając zasłonę, prowokując go wzrokiem, aby podążył za nią. Lecz nie zrobił tego. Usłyszała tylko głośnie trzaśnięcie drzwiami - jedyny znak, że trafiła w sedno.

Padła na łóżko, bijąc pięścią w poduszkę. Odwróciła się na bok i trafiła ręką na koszulę Williama, w którą niedawno jeszcze wtulała się, szukając pocieszenia. Cisnęła nią o ścianę. Czy przyjdzie powiedzieć jej, co naprawdę do niej czuje? A może to, co rzeczywiście odczuwa, to narastająca frustracja jej zachowaniem i żal, że w ogóle wziął ją ze sobą?

Oto, kogo Sebastian nazwał twardym facetem.

Pojedzie do domu, ale jeszcze nie teraz, może za dzień lub dwa. Jest w końcu w Rzymie, Wiecznym Mieście, a jej życie rozbrzmiewa echem upadku metropolii, słysząc nawet najazd barbarzyńców. Musiała jednak zobaczyć coś więcej poza tym mieszkaniem i lodowatą miną Williama. Jeszcze dzień, a potem wyjedzie.

William przełknął łzy. Może rzeczywiście powinna wyjechać. Niech ona, Robbie i książka pójdą do diabła. Jak prosto byłoby zamknąć jej usta pocałunkiem i zaciągnąć ją do łóżka, jak oboje tego pragnęli. Gdyby nie osoba trzecia, zawsze brużdżąca w ich relacjach, byłby z nią teraz.

Lily raptownie otworzyła oczy. Spojrzała na siebie: była wciąż ubrana w spódnicę, którą włożyła na nocną przechadzkę. W mieszkaniu panował mrok, lecz wyraźnie dobiegały ją odgłosy czyichś prób dostania się do środka: ktoś popychał drzwi, naciskał klamkę, zaledwie kilka metrów od jej sypialni!

Zdezorientowana, czym prędzej usiadła i wyjrzała zza kotary odgradzającej sypialnię od korytarza. Odgłosy dobiegały z zewnątrz, tyle umiała stwierdzić. Na palcach dotarła do drzwi prowadzących do salonu i otworzyła je, słysząc już niewiele poza dudnieniem własnego serca.

William leżał na rozłożonej kanapie pośród płataniny poduszek i koców. Nie spał, lecz wpatrywał się w mrok.

Wyszeptała jego imię. Odwrócił się do niej i wtedy też to usłyszał. Podparł się na łokciu i wsłuchał się w odgłosy nocy. Znów dobiegł ich ten sam dźwięk, który zaniepokoił ją przed chwilą. Lily wbiła w Williama rozpaczliwe, przerażone spojrzenie. Wyjął pistolet z kieszeni rzuconej na łóżko marynarki.

- Błagam, nie otwieraj - jęknęła.

Zignorował ją i bezszelestnie podszedł do drzwi, po czym rzucił się na nie z pięściami, tłukąc z całych sił. Odgłosy natychmiast ucichły, a William przemknął do

sypialni, gdzie na milimetry uchylił okiennicę i wyjrzał na ulicę. Lily obserwowała go, stojąc w progu z rękami przyciśniętymi do piersi i dłońmi na ustach. Z westchnieniem ulgi odłożył broń na biurko.

- Widziałeś, kto to był?

- Mhm, ten, kogo się spodziewałem. Ci sami ludzie, którzy włamali się do ciebie.

Lily głośno wciągnęła powietrze.

- Nie przejmuj się - powiedział William. - Będą unikać starcia, więc nie musisz za bardzo się martwić. Nikt nie chce krwawej jatki rozsmarowanej po pierwszych stronach gazet.

Stał, ubrany w same dżinsy i nadal nie obdarowując jej ani jednym spojrzeniem, drapał się z namysłem po brodzie. Tak bardzo go w tej chwili pożądała, pragnęła poczuć dotyk jego skóry, ciepło ciała i bezpieczeństwo, jakie obiecywały jego ramiona, zamiast przeświadczenia, że spada w głęboką otchłań. Chwyciła go za ramiona, próbując zmusić, by na nią spojrział.

- Williamie, co robimy?

- Idź się przespać, porozmawiamy rano.

## ROZDZIAŁ 16

Światło wpadało przez szparę w okiennicy. To miał być jej ostatni dzień w Rzymie. Rozebrała się, zdjęła ręcznik z ramy łóżka, owinęła się nim i na palcach przeszła przez przedpokój, minęła posłanie Williama i skierowała się do łazienki.

Wziąwszy prysznic, owinęła się z powrotem ręcznikiem i wróciła do sypialni, świadoma tego, że William jej się przygląda, ale nie zaszczycając go ani słowem. Wyjęła z torby pogniecioną, lecz wciąż znośnie wyglądającą sukienkę na ramiączkach *a la* lata pięćdziesiąte z cytrynowo-żółtą górą bez pleców i długim, wąskim dołem. Wśliznęła się w nią i z trudem zapięła, po czym z powrotem przeszła przez przedpokój i salon, mijając jego łóżko krokiem modelki na wybiegu, i zamknęła się w łazience.

Zajęła się makijażem: nałożyła krem z filtrem, pomalowała usta i rzęsy, a potem wyszczotkowała włosy, aż stały się miękkie i błyszczące. Na koniec podkręciła je lekko. Przeszła znów obok leżącego w łóżku Williama

i zniknęła w sypialni, gdzie założyła bladoniebieskie sandały na koturnie, zupełnie nienadające się do przemierzania brukowanych dróg, ale co tam. Właśnie przekopywała walizkę w poszukiwaniu szala, gdy usłyszała nad sobą głos Williama.

- Dokąd się wybierasz?

- Wychodzę.

- Uważam, że powinnaś zostać tutaj.

- Rany, jak w *Rzymskich wakacjach...* z tym, że niezupełnie.

- Lily, zrobiło się naprawdę groźnie, czy nie mieści się to w twojej ślicznej główce? To, co działo się w Sydney: zabawy z Ottem, wspólne kolacje, to były wakacje, przynajmniej dla mnie. Żałuję, że... nieważne. Teraz to co innego i chcę, żebyś postępowała dokładnie zgodnie z moimi wskazówkami.

- Dokładnie. - Pokiwała głową. - Z tym że ja tu nie zostaję.

Założył ręce na piersi i podjął dyskusję:

- Co chcesz robić? Zakupy? Nie sądzę, żeby były warte ryzykowania dla nich życia.

- Nie. Nie chcę iść na zakupy. Chcę do domu. - Podniosła brodę w wyzywającym geście. -

Znajdę biuro podróży i kupię bilet na najbliższy lot do Sydney.

Jeśli William był zaskoczony, nie okazał tego.

- Wytrzymaj jeszcze jeden dzień, Lily. Tylko tyle potrzebuję.

Lily pokręciła głową.

- A ja potrzebuję...

- Muzea Watykańskie, tam idź. Są na tyle zatłoczone, że będziesz bezpieczna. I możesz pieszo wrócić do domu.

- Niech będzie. Jeden dzień dłużej.

Znalazła wreszcie szal i zarzuciła go na ramiona, a na głowę włożyła obszerny kapelusz.

- Nie znoszę piegów - rzekła i zdecydowanym krokiem ruszyła do drzwi, ciągnąc za sobą obłok zapachu Miss Dior.

- Chwileczkę, kiedy wrócisz?

- Jak się już napatrzę.

- Wróc przed szesnastą albo będę...

- Jaki? Bardzo zły?

Z tymi słowy opuściła mieszkanie.

Lily spacerowała niespiesznie wzdłuż rzeki aż do placu Świętego Piotra. Dystans do domu nie był duży i nie miała szans się zgubić. W ciepłym, wilgotnym powietrzu mocno czuć było zapach rzeki i spalin. Jej ostatni, jedyny dzień w Rzymie. Wróci tu jeszcze, gdy uporządkuje swoje życie, a wtedy poświęci temu niezwykłemu miastu tyle czasu, ile trzeba.

Wzdłuż starych murów Watykanu ciągnęła się kolejka. William ostrzegał ją, że muzeum odwiedzają tłumy, wiedziała więc, że jest blisko wejścia. Ogonek jak wąż zawijał za róg. Poszła wzdłuż niego, żeby zobaczyć, jak daleko sięga. Zerknęła za jeden róg, przeszła za następny, potem kolejny, i jeszcze jeden. Otworzyła usta ze zdumienia: to dopiero kolejka! Nigdy czegoś takiego nie widziała. Na całym jej osiedlu nie było tylu osób, co tutaj! Wróciła na koniec ogonka i stała cierpliwie, myśląc, co powiedziałyby Suzy na widok czegoś takiego.

Przed nią stali Japończycy, którzy uśmiechali się do niej grzecznie, z kolei miejsce za nią zajęli Amerykanie.

- Cześć, jestem Brad, a to Shelley, moja żona - powiedział młody mężczyzna przyjaźnie, jak gdyby stanie w kolejce było wymarzoną okazją do nawiązywania znajomości. -

Jesteśmy ze Stanów - dodał. Byli uroczy.

- Mam na imię Lily, pochodzę z Australii.

- Och, słyszałaś, Shelley? Lily jest z Australii. Pierwszy raz wyjechaliśmy z Ameryki.

Jesteśmy z Ohio. - A ja z Sydney. - Jak ci się podoba w Rzymie? - Cudne miasto.

Wyglądał, jakby jej odpowiedź zakłopotowała go nieco.

- Wiesz, że mają tu sjęstę? Zamykają wszystko na trzy godziny w środku dnia i mają gdzieś całą resztę świata. Naprawdę mnie to wkurza. Ciebie nie?

Przesunęli się kawałek do przodu i Lily odparła:

- Rzeczywiście trudno się do tego przyzwyczaić.

- Pewnie! - ciągnął Brad. - Nie dziwota, że ich gospodarka jest w recesji. Jeśli mój szef mówi mi: „zrób to”, to, kurczę, pracuję nawet w przerwie na lunch, żeby skończyć.

Cholera, tu nie ma konkretnej pory lunchu! Siedzenie w knajpie przez pół dnia na obiedzie złożonym z co najmniej trzech dań... Irytujące! - Wyszedł z kolejki, by zmierzyć wzrokiem czekających ludzi. - Jak myślisz, ile postoiimy?

- Pytałam kogoś z przodu - odparła Lily. - Mówią, że pewnie około dwóch godzin.

- O w mordę, kochanie, chcemy tu stać dwie godziny?

- Tak - padła zdecydowana odpowiedź Shelley. - No i chcę jeszcze zobaczyć Kaplicę Sykstyńską.

I tyle.

Znów przesunęli się kawałeczek, wachlując się ulotkami i klnąc na włoską kanalizację, niegrzecznych kelnerów oraz maleńkie porcje w restauracjach. W pewnym momencie kobiety odkryły wspólną pasję - przetwory. Brad, znudzony konwersacją pań, oddalił się i kupił dla nich colę, po czym wdał się w rozmowę z Amerykanami stojącymi za nimi na temat ostatnich rozgrywek futbolowych. Shelley opowiedziała Lily o przeróżnych jagodach dostępnych w Stanach, w większości rosnących tam od zarania dziejów, oraz o tym, jakie dzemy można było z nich zrobić. Lily słuchała z zazdrością.

Powoli przesuwali się do przodu, aż wreszcie w ich polu widzenia znalazła się brama wejściowa. Zamykano ją w samo południe i fala niepokoju przetoczyła się przez kolejkę, gdyż zegar tykał nieubłaganie. Shelley, Brad i Lily zamilkli. Byli zgrzani i zmęczeni i każde z nich wyobrażało sobie, czym innym mogłoby się w danej chwili zajmować.

Gdy japońska grupa przeszła przez bramę, nadeszła kolej Lily, ale cały jej entuzjazm zdążył już wyparować w czasie dwugodzinnego oczekiwania w upale. Mroczne, chłodne mieszkanie z książkami o sztuce i wygodną kanapą rysowało się jako wizja coraz bardziej kusząca, ale nie, była w Rzymie, a tu należało robić właśnie to, co ona w tej chwili, więc cokolwiek by się działo, nie wycofa się.

- Przepraszam bardzo, *signora*.

Lily odwróciła się. Dostrzegła jedynie starszego Włocha, tak pod pięćdziesiątkę, o dobrotliwym wyrazie twarzy.



Czekała, co będzie dalej. Poprosi o miejsce w kolejce? A może, by rozmieniła mu dziesięć euro?

- *Signora* Trevennen?

- Hmm, tak?

- Jestem przyjacielem *signore* Isyanova - rzekł z uśmiechem. - Rino Mettenzi. Przysłał mnie, bym panią odszukał.

- Odszukał? Mnie?

Brad zaczął im się przyglądać z zainteresowaniem, wachlując się zawzięcie ulotką informującą o katakumbach.

- *Si* - uśmiechnął się znowu.

Lily popatrzyła na mężczyznę spod zmarszczonych brwi. Wyczerpana upałem i z myślami płaczącymi jej się z braku snu, zdobyła się jedynie na słabe „Och”.

- Proszę ze mną, czeka na panią w kafejce.

- Sama nie wiem, to znaczy... - przerwała, drapiąc się w ramię. - Proszę powtórzyć, kim pan jest? Brad popijał colę z butelki i mierzył Włocha podejrzliwym spojrzeniem.

- Pracuję z *signore* Isyanovem, gdy przyjeżdża do Rzymu.

To brzmiało wiarygodnie.

- Ale dlaczego sam się nie zjawił? Co się stało?

- Ma pewien ważny przedmiot i nie chce spacerować z nim po mieście.

- Wszystko gra, Lily? Bo jeśli ten facet cię nęka, to... - ostrzegł Brad, prostując się i wypinając pierś.

- Nie, dzięki Brad. Wszystko w porządku, to znajomy mojego przyjaciela.

Może. Spojrzała raz jeszcze na Mettenziego. Ledwo funkcjonowała z powodu niewyspania i miała kłopoty z podjęciem decyzji.

- Czeka na mnie? W kawiarni?

- *Si, si*, kawaleczek stąd, niech pani idzie za mną, *signora*.

Lily niechętnie opuściła swoje miejsce i podążyła za Mettenzim, oglądając się jeszcze na kolejkę oraz gęstwinę samochodów i kafejek, specjalnie dla Amerykanów opatrzonych reklamami w języku angielskim. Brad i Shelley patrzyli, jak odchodzi, kręcąc głowami i komentując.

Wiedziała, co sobie myślą: dlaczego ktokolwiek miałby stać tyle czasu w kolejce, a potem, gdy nagroda była już na wyciągnięcie ręki, zrezygnować? Ale oni nie byli zamieszani w międzynarodową aferę z udziałem mafii, tak jak ona.

Lily kroczyła za Mettenzim, poprawiając szal, aby słońce nie muskało jej ramion. Nie widziała już, jak William szuka jej wśród tłumu, biegając wzdłuż kolejki.

Dwie przecznice dalej Lily spytała:

- Jesteśmy już prawie na miejscu?

- Tutaj - padła odpowiedź i mężczyzna pociągnął ją w boczną uliczkę.

Próbowała wyrwać rękę z jego uścisku, ale chwycił ją znowu, tak że jej kapelusz sfrunął na ziemię.

Ścisnęło ją w gardle i poczuła, że robi jej się niedobrze. Ten mężczyzna z pewnością nie był przyjacielem Williama.

Pociągnął ją dalej uliczką, przechodząc obok drzwi i starych puszek po farbie olejnej, w których marniały pelargonie, mijając brud na ziemi i zamknięte na głucho drzwi. Paru chłopców kopało piłkę w uliczce, lecz przerwali, aby rzucić kilkoma wyzwiskami i paroma niewyszukanymi gestami wyrazić, co sądzą o tym, że Lily właśnie przeciągana jest przez środek ich prowizorycznego boiska.

William miał adres Robbiego. Wystarczyło zdobyć samochód i wyłowić Lily z muzeum. Zerknął na zegarek. W wypożyczalni aut był stałym klientem. Gdyby załatwił tę sprawę szybko, pewnie udałoby mu się jeszcze wyrwać Lily z kolejki. Kiedy już wejdzie do muzeum, trudniej będzie ją znaleźć.

Odebrał samochód z Termini i przemknął przez zabójczy ruch uliczny. Nie powinien był puścić jej samej. Nie miał wątpliwości, że są śledzeni. Z tego, czego się dowiedział, pojawił się jeszcze jeden Sycylijczyk, który usłyszawszy o kradzieży kolekcji, chciał za wszelką cenę wejść w posiadanie księgi. Jeśli dzieło trafi w jego ręce, zanim dotrze do niego William, będzie to dla klienta Weston niepowetowana strata. Kto wie, do czego doprowadziłoby wówczas ratowanie urażonej dumy.

A Lily spacerowała sobie po mieście w swojej sukieneczce, bawiąc się w Audrey Hepburn. Musiał odnaleźć ją jak najszybciej.

Kretynka. Dlaczego zgodziła się iść z tym facetem?

0 mało nie posikała się ze strachu, gdy chwycił ją za ramię. Nie miała pojęcia, gdzie znajdują się William i Robbie. Gdyby wiedziała, gdzie szukać Robbiego, to jeszcze by tym zbirom pomogła, może nawet wymierzyłaby pierwszy cios. Nigdy nie wybaczy mu tego, co musi przez niego przechodzić.

- Puszczaj! - krzyczała. - Puść mnie albo... Zatrzymał się i popchnął ją w stronę ściany budynku.

- Nie obchodzi mnie, co zrobisz. Gdzie on jest?

- O kim mówisz?

- Do środka! - warknął.

Zobaczyła, jak otwierają się drzwi prowadzące do małej, brudnej klitki, w której stały jedynie podwójne łóżko i pojedynczy palnik z butlą gazową, a na ścianie wisiał krucyfiks. Zaskoczył ją zapach wypełniający pomieszczenie - powietrze przesiąknięte było słodką wonią pieprzu tureckiego. - Kto tu mieszka? - wydukała, zdając sobie sprawę, jak idiotyczne jest to pytanie, lecz była zbyt skołowana, by dopuścić do siebie powagę sytuacji. Nie mogła uwierzyć, że można żyć w takich warunkach, szczególnie w samym centrum zalanego turystami Rzymu. Mężczyzna zamknął drzwi i Lily poczuła, że jej czas dobiega końca. - *Signora*, gdzie pani mąż?

- Nie jestem mężatką.

- Myślisz, że obchodzi mnie, czy staliście przed ołtarzem, czy nie?

- Nie wiem. Pewnie nie, ale...

- Gdzie on jest?

Lily zacisnęła dłonie na torebce, zasłaniając nią pierś niczym tarczą. Zatrzymując oddech ze strachu, nie była w stanie wydać z siebie dźwięku. Potrafiła tylko myśleć o tym, co ten człowiek gotów jest zrobić, by osiągnąć swój cel, i czy powinna spróbować wrzeszczeć już teraz, czy może powstrzymać się do chwili, gdy sprawy zajdą jeszcze dalej. Czy ktoś w ogóle usłyszy jej krzyk?

Mężczyzna wyrzucił z siebie potok przekleństw, po czym rzucił jej prosto w twarz:

- Mów, gdzie jest Schwartzman! Natychmiast!

William zaczął od końca kolejki. Tu jej nie będzie, ale musiała zatrzymać się po kawę czy jedzenie, na pewno nie poszła prosto na koniec ogonka wijącego się do wejścia. Pytał ludzi, jak długo już czekają. Ścieśniali szyki, gdy z nimi rozmawiał, tak jakby mógł przypuścić atak na ich miejsca. Wyglądało na to, że oczekiwanie na wstęp trwało około dwóch godzin. Szedł wzdłuż stojących ludzi, wypatrując jej jasnych włosów, niebieskiego kapelusza. Im bliżej był wejścia, tym bardziej rosło jego zdenerwowanie. Zaczął wołać ją głośno, w nadziei że go usłyszy, nawet jeśli zawodził go wzrok - nie była wysoka, a w kolejce było mnóstwo krzepkich Niemców i niedźwiedziowatych Kanadyjczyków. Nagle, tuż przy wejściu do muzeum, podszedł do niego Amerykanin.

- Hej, jesteś znajomym Lily? Żółta sukienka, błękitny kapelusz, Australijka?

- Tak! - krzyknął William. - Szukam jej.

- Jestem Brad - przedstawił się, wyciągając rękę.

William, przez chwilę zmieszany, zawahał się, lecz zaraz uścisnął dłoń turysty.

- Jakiś Włoch, tak pod pięćdziesiątkę, zabrał ją,

O tam. My, to znaczy ja i moja żona Shelley, radziliśmy jej, żeby z nim nie szła, ale uspokajała nas, że to znajomy jej przyjaciela.

Williamowi serce omal nie stanęło z przerażenia.

- Pokaż mi, dokąd poszli. Błagam.

Brad nie zamierzał opuszczać cennego miejsca w kolejce, ale wychylił się i wskazał palcem w dół ulicy.

- Widziałem, że złapał ją za ramię i że poszli tamtą drogą, widzisz niebieskie BMW? Tamtędy.

William powiedział krótkie „dziękuję” i rzucił się biegiem.

- Wiesz! - krzyczał. Podniósł rękę, by ją uderzyć. Jej oczy rozszerzyły się ze strachu, gdy patrzyła mu w twarz. Nikt nigdy nie zastosował wobec niej przemocy fizycznej. Dlaczego trafiła nagle w sam środek tego koszmaru? Drzwi otworzyły się z hukiem. William chwycił mężczyznę za rękę, obrócił go i cisnął nim o ścianę. Gromadka małych, umorusanych chłopców stała w progu

1 kibicowała mu okrzykami.

Lily doznała szoku na widok podniesionej ręki Mattenziego. W życiu nikt jej nie uderzył i jej mózg uruchomił bezsensowne domysły o tym, co się wtedy czuje. Nagłe pojawienie się Williama w otoczeniu chóru greckiego złożonego z ulicznych dzieciaków zaburzyło surrealistyczną symetrię tego, co miało się wydarzyć.

Krzyknął po włosku do chłopców, na co chwycili Lily za ręce i wyprowadzili na ulicę, wiodąc z dala od zatechłej klitki. Posadzili ją na plastikowym krześle, po czym przeszukali jej torebkę, pozbawiając wszystkiego, co przedstawiało jakąś wartość. Potem rzucili się głaskać ją po dłoniach, jak dorośli mężczyźni, uspokajający delikatną kobietę. Kilku z nich dotknęło jej włosów, gładząc je i powtarzając „*Quanto sono bianci*” i „*Calma, calma, non ti preoccupare*”.

Byli to najśłodszy, najbardziej zarozumiali i pewni siebie chłopcy, jakich w życiu widziała, i oszołomiona ostatnimi wydarzeniami, pozwoliła im się o siebie zatroszczyć, świadoma, że razem stanowią obraz chudych, śniadych cherubinków doglądających wyczerpanej nimfy. Podnieśli krzyk, gdy William pojawił się u wylotu uliczki. Wyjął z kieszeni plik banknotów i wręczył chłopcom po dziesięć euro, każdemu z osobna dziękując. Później wyjaśnił jej, że honor mężczyzny jest czymś niezwykle istotnym dla tych dzieci.

Lily, osłabła z emocji, z trudem podniosła się z krzesła.

- Nie złość się na mnie, proszę, nie bądź zły. Chwycił ją za rękę i pociągnął w dół uliczki.

Potykała

się na swoich koturnach, ale William nie zwalniał kroku.

- Musimy stąd zniknąć, zanim dojdzie do siebie.

- Co mu zrobiłeś? - spytała.

- Wy tłumaczyłem, że był niegrzecznym chłopcem, a jak myślisz?

Upał i stres pozbawiły ją sił. Zatoczyła się nagle i oparła o mur, zamykając oczy. William zerknął w głąb ulicy, a potem na jej twarz. Była spocona i tak blada, że niemal przezroczysta.

- Lily, wiem, że to cię przeraziło, ale wyjaśnij mi, co cię opętało, żeby...
- Nie, proszę, nie... - Z trudem łapała powietrze. Otworzyła oczy. - On chciał mnie uderzyć. Ja... nikt... nigdy mnie nikt nie uderzył.

Wziął ją w ramiona i przytulił mocno. Nie mówiąc nic, stali tak, objęci, oparci o ścianę. Chwyliła materiał jego koszulki i przyłożyła go do warg, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

- Dzięki Bogu za Brada - odezwał się. - Czuli jego usta wtulone w swoje włosy, gdy mówił. - Biegałem wzdłuż kolejki, od początku do końca i z powrotem, wiedziałem, że nie mogłaś jeszcze wejść do środka. Zacząłem cię wołać i kiedy zbliżałem się do wejścia, z kolejki wyskoczył nagle Amerykanin, przedstawił się i powiedział, że jakiś Włoch zmusił cię do pójścia ze sobą.

Przełknęła ślinę i wyjaśniła:

- Powiedział, że czekasz na mnie w kawiarni.
- Domyśliłem się.
- Oddałabym mu. - Nabrała tchu, chwytając jego koszulkę tak mocno, że o mało mu jej nie zdarła. - Jak on śmiał? Jak on mógł chcieć mnie uderzyć? Kopnęłabym go, i to z całej siły, tam gdzie naprawdę boli.

Uścisk jego ramion stał się słabszy, uwolnił też ubranie z jej żelaznego chwytu.

- Z czego się śmiejesz? - spytała.
- Jesteś waleczna, Lilijko, ale nigdy im nie oddawaj. Zostaw. Jeśli zaczniesz się odgryzać, wpadną w szal.
- Co chcesz przez to powiedzieć!?! - krzyknęła. - Czy to się może powtórzyć? Bo jeśli tak, to jeszcze dziś wsiałam w samolot do Australii.



- Nic ci się nie stanie, jeśli będziesz trzymała się mnie, tak jak prosiłem.

- Nie, czegoś takiego na pewno nie zrobię drugi raz. - Ręce opadły jej wzdłuż ciała i potrząsnęła głową. - Nie obchodzi mnie, gdzie on jest, chcę jechać do domu. Ty zostań i zrób, co do ciebie należy.

Ujął jej dłoń i delikatnie odciągnął ją od ściany, po czym poprowadził uliczką do głównej drogi i otwartej, pełnej ludzi przestrzeni.

- Lily, będzie lepiej, jeśli zostaniesz ze mną - powiedział, gdy spiesznie szli przez tłum. - Oni nie przestaną, dopóki go nie znajdą, nieważne, gdzie spróbujesz się ukryć.

Stała jak wryta i patrzyła na niego z otwartymi ustami. Ponownie chwycił jej dłoń i pociągnął dalej.

- A ty myślałaś, że trzymam cię tu z miłości - dodał, patrząc przed siebie z wyrazem determinacji na twarzy.

Au, to zabolalo.

- Chyba miałam źle w głowie - mruknęła, czując się jak idiotka.

- Tak czy inaczej - stwierdził, przeprowadzając ją przez ulicę - ja wiem, gdzie on jest.

- Kto taki? - spytała, wyrywając rękę z jego dłoni.

- Robbie.

Imię partnera trafiło ją jak niespodziewany cios.

- Musimy natychmiast wyjechać z Rzymu. Chodź, mam samochód, wyjaśnię ci po drodze.

Posadził ją na przednim siedzeniu pachnącego nowością fiata croma, po czym smukłe, srebrne auto włączyło się w pełen chaosu ruch uliczny. Lily z przerażenia nie mogła wydusić z siebie ani słowa, ale wyglądało na

to, że kierowca wie, co robi. Krzyknęła krótko i mocno zacisnęła powieki.

- Nie jest tak strasznie! Trzeba tylko unikać kontaktu wzrokowego z innymi użytkownikami drogi i być odważnym, w końcu wpuszczają. To taki pokaz siły - tłumaczył. - Typowe dla południowców.

Opanowując mdłości, odważyła się otworzyć oczy i jej wzrok padł na wielkie tablice kierujące na autostradę.

- Wyjeżdżamy z Rzymu? Skinął głową.

- Spakowałeś moje rzeczy? -Tak.

- Wszystkie? Kosmetyki z łazienki też? - Tamten facet chciał ją uderzyć.

Kiwnął tylko głową. Wciągnął ich wir ogromnego ronda.

- Jest gdzieś na obrzeżach miasta?

Tym razem potrząsnął głową przecząco, pewnie prowadząc samochód przez ulice, a wreszcie ustawiając się do punktu pobierania opłat za przejazd biegnącą na północ autostradą. Znaki wskazywały drogę na Firenze.

- Florencja? Jedziemy do...

- Nie, do Lukki, na zachód od Florencji. Robbie przebywa na farmie pośród wzgórz okalających miasto.

W oczach Lily malowało się przerażenie. William zerknął na nią, po czym dodał gazu i włączyli się w wartki nurt samochodów pędzących autostradą.

- Więc żyje?

- Na razie tak.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chodzi o to, że ma na pieńku z ludźmi, którzy zdemolowali waszą księgarnię i próbowali włamać się do naszego mieszkania, więc chciałbym dotrzeć do niego, zanim oni to zrobią. Lily patrzyła przed siebie z otwartymi ustami. Rozejrzała się po wnętrzu samochodu, lecz przed oczami wciąż miała jeden obraz: mężczyznę, który zamierza się, by ją uderzyć.

- Mamy jakąś wodę w samochodzie? Zaprzeczył ruchem głowy.

- Zatrzymamy się później i kupimy.

Od razu jeszcze bardziej zachciało jej się pić.

- Jest okropnie gorąco. Nigdy nie kojarzyłam Europy z takim upałem.

William nie ciągnął rozmowy, lecz skupił się na prowadzeniu fiata z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, podczas gdy potężne ciężarówki mijały ich, pędząc sto czterdzieści.

- Kiedy tam dojedziemy? - spytała, zerkając na jego poważny profil.

- Za jakieś cztery, pięć godzin. Trochę później, jeśli będziemy robić postoje.

Lily patrzyła na świat migający za szybą: pola czerwonych maków, wioski przycupnięte na niewysokich wzgórzach, TIR-y z Niemiec, Francji i Hiszpanii dudniące i wprawiające fiata w turbulencje. Tamten facet chciał ją uderzyć.

- W porządku? - Na chwilę oderwał wzrok od kierownicy.

Odpowiedziała słabym kiwnięciem głowy, lecz nie odwzajemniła spojrzenia.

Pokonywali tunel za tunelem. Gdy włoscy inżynierowie trafiali na wzgórze, przekopywali się przez nie. Nie wokół wzniesienia czy nad nim, ale prosto przez nie, pokazując siłę, z jaką dążyli do celu.

Fale strachu rozbijały się w głowie Lily, wywołując kipieli myśli, z którą nie mogła sobie poradzić. Zamierzył się na nią. Urządziła sobie wakacje od Robbiego, zwolnienie z ich toksycznego związku, urlop od obowiązków, które niosło ze sobą prowadzenie księgarni i kłopotów finansowych. A na dodatek w duchu rozwijała wakacyjny romans z Williamem. Podniósł rękę nad jej głową, uderzyłby ją w twarz.

Może William miał słuszość, trzymając ją na dystans, bo przecież ta chwila musiała nadejść: moment, w którym stanie twarzą w twarz z Robbiem. Będzie trzeba spojrzeć w lustro ich wspólnego życia.

William zjechał na parking przy rozległym kompleksie stacji benzynowych, warsztatów samochodowych i budynków, gdzie mogli kupić coś do jedzenia lub nawet spożyć ciepły posiłek i skorzystać z toalety. Zgasił silnik i pochylił się w stronę Lily, wyciągając ku niej dłoń i delikatnie obracając jej twarz do siebie.

- Nie jest w porządku, prawda? - spytał. Odwróciła głowę. Było jej tak niedobrze, że aż trząsał

jej się głos, gdy odpowiadała:

- Jest gorąco. Przegrzałam się w kolejce do muzeum, to wszystko.

Tamten chciał ją skrzywdzić. Sprawić jej ból.

Wysiadł, obszedł samochód i otworzył drzwiczki z jej strony. Wziął ją za rękę i podążyła za nim jak lunatyczka, przez asfalt, po schodach, do tętniącego życiem

wnętrza restauracji. Przyjrzał się jej uważnie i odgarnął jej włosy z twarzy.

- Chciał mnie uderzyć.
- Ale tego nie zrobił, maleńka, nie zrobił - powiedział, przytulając ją do siebie.
- Zamierzył się na mnie.
- Ale nie uderzył. -Ale...
- Nie oddalaj się ode mnie, a nikt cię nie skrzywdzi.
- A jeśli ciebie nie będzie w pobliżu?
- W ten sposób możemy gdybać w nieskończoność. Poczekaj tu na mnie - powiedział. -  
Zaraz wrócę, przyniosę ci wody.

Lily nie chciała tkwić w tym gąszczu ludzi i dźwięków, przepchnęła się więc przez sklep pełen czekolady, serów, salami, książek, butelek wina i torebek słodczy. Tamten chciał ją uderzyć. Szła powoli, niewidzącym spojrzeniem wodząc po półkach, i miała wrażenie, że spada gdzieś w dół lub że zaraz się przewróci. Ludzie gapili się na nią, wszyscy wbijali w nią wzrok, a ona nie miała siły odezwać się do kogokolwiek. Sięgnęła po butelkę dzinu, zapłaciła i wróciła do samochodu.

Usadowiła się na swoim siedzeniu, odkręciła butelkę i pociągnęła duży łyk. Tętno jej szalało, narastało w niej poczucie, że spada w jakąś otchłań, więc kolejny raz uniosła flaszeczkę do ust. I jeszcze raz.

Nagle drzwiczki otworzyły się, tak że omal nie wypadła.

## **ROZDZIAŁ 17**

William wyrwał jej z ręki butelkę i odstawił na ziemię, gdzie po chwili się potoczyła, a resztką dżinu wylała się na asfalt. Bez słowa poprawił ją w fotelu, po czym zajął miejsce kierowcy i włączył się w ruch na autostradzie. Nie oszczędzał silnika, a dłonie z całych sił zacisnął na kierownicy. Reflektory włączyły się same, gdy zaczął zapadać zmrok. Pędzili na północ - Lily popadła w ośpienie, z zamkniętymi oczami, wydychając opary alkoholu, William natomiast patrzył trzeźwo szeroko otwartymi oczami na jezdnię. Minęli zjazd na Florencję, skręcili na zachód, a potem Pistoia i Montecatini mignęły tylko w oddali.

Wreszcie zjechał z autostrady na boczną drogę.

Zerknął na Lily. Siedziała z głową opartą o szybę, na jej białej szyi lśniły krople potu, a ręce zwisały luźno wzdłuż ciała, jak gdyby po prostu się poddała. Zacisnął zęby, wbijając wzrok w tylne światła jadącej przed

nimi ciężarówce. Gdyby jej nie znalazł, gdyby Brad nie zauważył, dokąd ciągnął ją nieznajomy... To mogło skończyć się o wiele gorzej. Drań, którego posłali po nią, pewnie jakiś szumowina zgarnięty z Neapolu, nie powinien był dopuścić się przemocy. To było więcej, niż mogła znieść: on, Robbie, upał, odosobnienie.

Była silniejsza, niż przypuszczała - pokonanie nałogu narkotykowego wymagało mocnego charakteru i wytrwałości. On sam wpędził ją jednak w sytuację, w której brakowało jej wsparcia, została porwana i zaatakowana, a teraz miała stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, który przez sześć lat trzymał ją w garści. To musiało się tak skończyć.

Przynajmniej część winy leżała po stronie Robbiego. Oczywiście on, William, nie powinien był jej z sobą przywozić, szczególnie że jedyne, co mu wychodziło, to krzyczenie na nią, utrzymywanie na dystans i narażanie na niebezpieczeństwo, przed którym miał ją chronić.

Przejechał jeszcze kilometr, po czym zjechał na pobocze przy starannie zaoranym polu z rowem zarośniętym wysoką trawą i czerwonymi makami.

Lily drgnęła i uniosła głowę. Otworzył przed nią drzwiczki i pomógł jej wstać, ale padła na kolana i zwymiotowała. Wypiła sporo dzinu na pusty żołądek, więc klęczała teraz w makach, dysząc i szlochając, podczas gdy William szukał dla niej wody. Przytrzymał butelkę przy jej ustach, odgarniając włosy spadające jej na twarz. Za każdym razem, gdy zamykała powieki, świat wirował przed oczami.

- Nie chcę go widzieć. Nie zmuszaj mnie, proszę. Uderzy mnie.

- Nikt nie zrobi ci krzywdy, nie pozwolę na to.

Rozpląkała się, po czym znów zwymiotowała. William przyciągnął ją do siebie, tak że była przytulona do niego plecami, jej głowa spoczęła na jego piersi, a on objął ją mocno ramionami, przytulając policzek do jej włosów.

Usiedli przy samochodzie. Drzwi pasażera zostały otwarte, światła awaryjne migwały rytmicznie, cichutko klikając. Lily próbowała zamknąć oczy i nie zwymiotować, a William wpatrywał się w kobierzec maków i jaskrów, powoli tracących barwy w zapadającym mroku.

Żadne z nich nie zauważyło mercedesa nadjeżdżającego od strony autostrady. Żółte reflektory zwolniły na ich wysokości.

- Lily, idziemy.

- Nie, ja...

- Już - ponaglił, pomagając jej wstać. Mercedes zatrzymał się sto metrów przed nimi. Dwaj mężczyźni w skórzanych kurtkach i eleganckich butach wysiedli i ruszyli w ich stronę.

- Wsiadaj do samochodu! - rozkazał William, wpychając ją do środka. - Pozamykaj drzwi! Przywitał się z przybyszami, ale nikt nie wyciągnął ręki. Lily odczytała to jako zły znak, ale jej myśli nadal tonęły w dżinie. Może byli okolicznymi rolnikami, niezadowolonymi z faktu, że ktoś wałęsa im się po skraju pola. Z tym że nie wyglądali na farmerów. Pomimo



ciepła wieczoru czuła chłód i mdłości, sięgnęła więc na tylne siedzenie po coś do ubrania i trafiła na marynarkę Williama. Przeciągnęła ją na przód i okryła się nią. Mogła już zamknąć oczy, nie kręciło jej się w głowie, więc przymknęła powieki i czekała, aż William rozwiąże problem.

Gdy znów otworzyła oczy, problem zdążył zmienić skalę wielkości: jeden z mężczyzn celował do Williama z pistoletu. Krzyknęła krótko, po czym natychmiast zakryła usta dłonią, walcząc z wrzaskiem cisnącym jej się do gardła. Znow zrobiło jej się niedobrze. Otworzyła szybko drzwiczki i zwymiotowała na trawę, po czym osunęła się na ziemię, zwracając resztki wody, które miała jeszcze w żołądku. Dysząc i nie podnosząc wzroku, usłyszała szybką rozmowę w języku włoskim, po czym spojrzała w górę i ujrzała nad sobą wszystkich trzech mężczyzn.

- *E incinta* - mówił William, klękając przy niej. Nadal do niego celowali. - *Ha bisogno di un medico.*

- Powiedziałem im, że jesteś w ciąży i potrzebujesz lekarza - wyszeptał jej do ucha.

Skinęła głową. Propozycja wizyty u lekarza brzmiała cudownie: kojące dłonie, szklanka chłodnej wody, recepta na ulżenie w cierpieniu. Pomógł jej wstać, a ona rzuciła spojrzenie pełne wyższości dwóm nieznanym. Trzymając się za płaski brzuch, wygięła usta w pod-kówkę, po czym zrobiła żalowaną minę.

- *Mi scusi, signora* - Jeden z mężczyzn wzruszył ramionami i machnął pistoletem w stronę mercedesa.

- Musimy iść z nimi do ich samochodu. -Ale...

- Rób, co mówię, dobrze? Chcą nam tylko zadać kilka pytań na osobności, nie ma powodu do paniki. Nie przesadzaj z grą aktorską i niech ci się nie wydaje, że nie znają angielskiego, prawdopodobnie władają nim perfekcyjnie.

Rozejrzała się, drżąc ze zdenerwowania. Pistolet Williama był w kieszeni. Może uda się go mu podać.

- Marynarka! Potrzebuję marynarki z przedniego siedzenia! - Sięgnęła do fiata, nie zważając na wycelowaną w siebie broń. William przemówił znów szybko do mężczyzn, a ona wyprostowała się, walcząc ze zbyt obszernym okryciem. William usiadł z przodu mercedesa, a Lily zajęła miejsce z tyłu, obok mężczyzny trzymającego pistolet. Facet z Bronią, jak nazwała go w myślach, w przeciwieństwie do Faceta Bez. Poza spowodowaniem upojenia dżin zaostrzył jej głód. Miała nadzieję, że ktoś zaserwuje przekąski, podczas gdy William będzie przesłuchiwany. Wyobraziła sobie, że zostaną zabrani do willi, w której umieszczą ją w salonie ze stertą czasopism, talerzem ciastek i dużą butelką wody, podczas gdy mężczyźni odbywać będą poważną rozmowę, przypuszczalnie na tarasie.

Jeśli to oni próbowali włamać się do mieszkania, to William zapewniał ją przecież, że nie chcą rozlewu krwi. Chyba wiedział, co mówi. Broń jednak potrafiła wyprowadzić z równowagi, niezależnie od okoliczności. Zerknęła na Faceta z Bronią, ale ten patrzył przed siebie. Zasłoniła usta dłonią, by stłumić beknięcie.

Facet z Bronią powiedział coś i William spytał ją, czy wszystko w porządku.

- Nie wymiotuj w samochodzie, dobrze? A gdybyś już naprawdę nie mogła się powstrzymać, za wszelką cenę postaraj się nie zapaprać jego butów.

Lily wyraziła zrozumienie oraz zgodę cichym mruknięciem i zerknęła znów na Faceta z Bronią, czując niemal żal, że w żołądku nie zostało już nic, co mogłaby wypluć na to jego lśniące skórzane obuwie. Najlepiej byłoby, gdyby wystarczyło jeszcze na zabrudzenie skrojonych na miarę spodni. Niestety, żołądek miała doszczętnie oczyszczony, więc wyglądała tylko przez okno, patrząc, jak oddalają się bitą drogą od autostrady, pogrążając się w mroku pól.

Samochód zatrzymał się wreszcie przed opuszczonym gospodarstwem. Facet z Bronią wysiadł, a za nim podążył William. Facet Bez nie ruszył się z kierownicy.

- Nie zostawiaj mnie tu! - pisnęła, widząc, że William wysiada.

Nie odpowiedział jej. Wraz z Facetem z Bronią zniknęli w niszczącym kamiennym budynku, prawdopodobnie służącym niegdyś jako obora. Siedziała w ciemnym samochodzie, a Facet Bez gapił się przed siebie i palił papierosa.

- *Scusi?* - zaryzykowała. - *Mi scusi?*

- *Si?*

- *Ach, non fuma, per favore. Bambini* u mnie w brzuchu.

Wzruszył ramionami i otworzył drzwi, po czym wysiadł, aby wypalić do końca na zewnątrz. Konwersacja Faceta z Bronią z Williamem trwała okropnie długo - może było wiele kwestii spornych? Chciała powiedzieć im wprost: „Robbie ją ma, idźcie, weźcie ją sobie! I przy-

łóźcie mu ode mnie!". Ale to William posiadał wiedzę o miejscu pobytu Robbiego, nie ona, a zdecydowanie nie chciała, żeby William doznał jakiegokolwiek uszczerbku na życiu lub zdrowiu z powodu chciwości Robbiego.

Według zegarka na desce rozdzielczej minęło pół godziny. Otworzyła okno, żeby pomówić z Facetem Bez, który odpalał papierosa od papierosa.

- *Mi scusi? Mi scusi? – Si?*

- Hm, yyy... *acqua, per favore*<sup>7</sup>.

- *Non, non ce acqua.*

Szorstka odpowiedź, pomyślała w duchu, mógł się chociaż rozejrzeć za jakimś kranem.

- *Mi scusi? Mi scusi? – Si?*

Przyszła pora na nieco wstydliwą prośbę, ale wiedziała, że nie odmówi ciężarnej.

- Mmm... potrzebuję... *toiletta... pipi.*

Facet Bez żałował pewnie, że to nie on przeprowadza przesłuchanie w oborze. Wydał z siebie poirytowane westchnienie i otworzył jej drzwiczki. Starła się obdarzyć go najwdzięczniejszym uśmiechem, jaki potrafiła wywołać dla nałogowo palącego mafiosa porywacza. Musiała również utrzymać wizerunek skrzywdzonej ciężarnej, który miał podkreślić niewygodę, na jaką została narażona, a także zadbać o minę mówiącą jasno, że rolą niewinnych kobiet męczennic tego świata jest znoszenie masy bólu zadawanego im przez mężczyzn. Niech się drań poczuje członkiem tej brudnej, samczej bandy, szczególnie że sam pewnie z tuzin razy zapłodnił swą biedną żonę.

Pomachała ręką wkoło i wzruszyła ramionami.

Facet niecierpliwym gestem wskazał na krzaki rosnące pod ścianą budynku. Brak wyrozumiałości z jego strony tylko potwierdzał jej przypuszczenia o jego chmarze dzieci. Lily oddaliła się w mrok, zeszła do rowu, a potem przedostała się w pobliże krzewów. Facet Bez obserwował ją pilnie, i kucając, pomachała ręką, dając mu do zrozumienia, żeby odwrócił wzrok. Przyklękła w ciemnościach i zaczęła szybko myśleć. Z obory dobiegały niepokojące odgłosy, jakby uderzenia. Naraz dobiegł ją potok włoskiego, płynący tempem i tonem, które sugerowały, że Facet z Bronią stracił cierpliwość. Obawiała się, że celem uderzeń, które słyszała, może być ukochany William.

Głód powodował, że kręciło jej się w głowie, była też roztrzęsiona i wciąż nieco pijana z powodu dzinu, ale wiedziała na pewno, że w marynarce, którą ma na sobie, znajduje się pistolet Williama i że nie ma w niej telefonu.

Zeszłej nocy po raz pierwszy na żywo widziała broń i przeczuwała, że wycelowanie w kogoś, bez wiedzy, co się robi dalej, mogło mieć konsekwencje dość nieprzyjemne. Lecz im więcej ciosów słyszała, tym silniejszy stawał się jej gniew. Wsunęła dłoń do kieszeni kurtki i poczuła pod palcami chłodny metal pistoletu. Nie miała pojęcia, czy jest naładowany, nie chciała też nikogo zabić, tylko sprawić, by zostawiono ich w spokoju. To wszystko wina Robbiego. William mógł zginąć, a Rob sprzeda książkę i cała sprawa spłynie po nim jak po kaczce. A to powodowało, że aż kipiała ze złości.

- *Signora?* - zawołał Facet Bez.

- *Si, już... pipi!* - odkrzyknęła, zerkając w stronę auta przez gałęzie krzewów. Nadszedł czas, by podjąć *decyzję*. Widziała dość filmów, by wiedzieć, co może zadziałać, a co skazane jest na niepowodzenie. Robbie pasjami oglądał filmy akcji, przygodowe i thrillery, które ona najczęściej przesypiała. Na szczęście nie wszystkie.

Jej ulubionym był film *Thelma i Louise*. Siadała w łóżku, wiwatując i kibicując bohaterkom na całe gardło, a Robbie kulił się i rzucał jej zaniepokojone spojrzenia. *Thelma i Louise* zamknęły policjanta w bagażniku - ona robi to samo.

Wyjęła pistolet i wyprostowała się, ukrywając broń pod spódnicą, po czym przeszła przez rów i wróciła z powrotem do samochodu spokojnym krokiem. Facet Bez wskazał ręką tylne drzwiczki, licząc na to, że wsiądzie do auta, lecz nagle w jej dłoni zmaterializował się pistolet, a w jej głosie zadźwięczała stal:

- *No, signore.*

Oczy rozwarły mu się szeroko ze zdumienia, podniósł ręce do góry, po czym z ust wyrwał mu się krótki śmiech. Zawsze niewłaściwy ruch, pomyślała Lily. Mężczyzna, który wyśmiewa kobietę z bronią w ręku? Proszę przypomnieć sobie podobny przypadek w *Thelmie i Louise*.

- *Bastardol* - wycodziła przez zęby. Wciąż mierząc do niego, pochyliła się do wnętrza samochodu i wyjęła kluczyki ze stacyjki.

Znów zabrzmiał jego śmiech.

- *Signora, perfavore.*

- Nie traktuj mnie jak dziecko, stary! - ostrzegła, wskazując jednocześnie bagażnik samochodu. Całe

szczęście, że to nie coupe, bo co by wtedy zrobiła? Otworzyła bagażnik kluczykiem i rozkazała krótko:

- Wsiadaj!

Pokręcił głową, a na usta wypłynął mu cwany uśmieszek.

- Do środka, *per favore* - powtórzyła. Uśmiechnął się ponownie, czerpiąc przyjemność z widoku potarganej kobiety, która wymachuje bronią i prosi grzecznie, by dał się uwięzić. Patrzył na nią z wyraźnym pożądaniami, niemal nie spuszczać wzroku z jej piersi.

Spróbowała spojrzeć na siebie jego oczami: woniejąca dzinem blondynka w sukience z falbankami i spluwą w dłoni. Wystarczy, żeby kilku frajerów zaczęło się ślinić.

- Jesteś odrażający - rzuciła wzdychną, po czym podeszła do niego i powiedziała spokojnie: - Cóż, chyba będę musiała przemówić językiem, który oboje rozumiemy - i wycelowawszy prosto w jego krocze, powtórzyła raz jeszcze: - Wsiadaj, *pronto*.

- *Puttana!* - wyrzucił z siebie, ale wspiął się do bagażnika. Zatrzasnęła klapę, po czym oparła się o nią, by mieć pewność, że jest dobrze zamknięta. Potem na palcach podkraśla się do drzwi obory i zajrzała do środka. Ujrzała Williama opartego o ścianę, z twarzą całą we krwi, i Faceta z Bronią szykującego się do kolejnego ciosu.

Z tym że Włoch nie wziął pod uwagę filmowej pasji Robbiego. Skąd mógł też wiedzieć, że życie Lily ukształtowane było przez amerykańską telewizję i że chociaż pochodziła ze społeczeństwa, któremu obca była broń, słyszała o wszystkich skutecznych posunięciach. Większość australijskich dzieciaków znała je na wyrywki,

a echo filmowych tekstów dolatywało z placów zabaw i rozbrzmiewało wśród eukaliptusów.

Kolejnym poważnym błędem Faceta z Bronią było odłożenie pistoletu na odwrócone do góry nogami wiadro. Lily przekradła się za jego plecami, cały czas w nie celując, podczas gdy on wrzeszczał na Williama. Podniosła broń oprawcy. Czuła się jak bohater z Dzikiego Zachodu, jak Jesse James albo ten, który tak świetnie jeździł konno... Oglądała ten film po szkole, ale imię wyleciało jej z głowy... Tak czy inaczej, była teraz uzbrojona w dwa pistolety i mimo powagi sytuacji, mimo serca, które o mało nie wyskoczyło jej z piersi, i wyschniętego, ściśniętego gardła całkiem dobrze się bawiła. Chciała jeszcze obrócić pistoletami na palcach, tak jak robili to kowboje, ale mogłoby się to źle skończyć.

Tylko co miała powiedzieć? „Pocałuj się na do widzenia, dupku”? Czy może: „Jeszcze tu wrócę”? Czuła, że czas działać, więc najpoważniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć, zarządziła: - Rączki do góry, kolego!

Facet z Bronią odwrócił się z miną tak wstrząśniętą, że miała ochotę roześmiać się z podniecenia. William szybko przejął jeden z pistoletów, choć wcale nie spieszyła się do rozstania z arsenałem.

- Gdzie ten drugi?

- W bagażniku.

Trzymał Faceta z Bronią na muszce. Na twarzy Włocha malowało się teraz znużenie.

- Poszukaj jakiegoś sznura!

Potykając się w ciemnościach i wpadając na urządzenia rolnicze, czuła się rozczarowana, że objął



dowodzenie. Walka podobała jej się bardziej niż prowadzenie księgarni i rozumiała już, dlaczego on sam wybrał taki fach. Powinna jednak dostać szansę pokierowania akcją, a on mógł szukać liny. Szczególnie, że nigdzie nie było ani skrawka.

- Idź na zewnątrz i przestrel opony w samochodzie! Proszę, użyj ich broni!

Wymienili się pistoletami. Podeszła do wozu w ciemnościach, przejęta powierzonym jej zadaniem. Zawsze cieszyła się dobrą koordynacją oko-ręka, mimo waga-rowania na wuefie, więc powinna sobie poradzić. Za pierwszym razem chybiła, wywołując natychmiast głośne dudnienie ze strony więźnia w bagażniku. Po siedmiu strzałach w żadnej z opon nie było powietrza.

Wróciła do Williama. Kazał jej pilnować Faceta z Bronią, podczas gdy on ściągał mu koszulę i targał ją na strzepy, by z pasków materiału zrobić więzy i knebel. Zdjął też mężczyźnie spodnie i rzucił je do góry, tak że zawisły na jednej z krokwi. Zatknął pistolet za pas i zwrócił się do Lily:

- Jesteś Amazonką - powiedział i pocałował ją w policzek, najmocniej jak potrafił.

Ach, więc tylko tyle trzeba było zrobić, by zasłużyć na pocałunek. Przechytrzyć i obezwładnić dwóch mafijnych zbirów. Bułka z masłem, dlaczego wcześniej na to nie wpadła? Lily pokazała Facetowi z Bronią język i zanurzyła się z Williamem w mrok nocy.

- Twoja twarz! Co on ci zrobił? - krzyknęła, próbując przyjrzeć się Williamowi w świetle księżycy.

- Nie martw się o to teraz, choć głowa rzeczywiście mi pęka - odparł, delikatnie badając twarz

palcami. - Chodź, musimy się stąd jak najszybciej wydostać.

Porzucili drogę i szli wzdłuż pola, kryjąc się w rowie, ilekroć na horyzoncie pojawiała się światło reflektorów. Dystans był większy, niż Lily sądziła, i teraz, gdy nie napędzała jej już adrenalina, wyczerpanie i nudności powróciły ze zdwojoną siłą. William się zataczał. Lily stanęła i pociągnęła go na ziemię.

- Zatrzymajmy się na chwilę.

- Nie możemy, ktoś zainteresuje się autem.

- Ich kluczyki wyrzuciłam w pole - wysapała.

- Nie wiem, jak ci się odwdzięczę za to, co tam zrobiłaś. Jeszcze jeden cios i straciłbym przytomność, a może nie tylko to. - Możesz podziękować w mniej oficjalny sposób - rzuciła, mając nadzieję na więcej pocałunków. - Źle wyglądasz, połóż się na chwilę.

Padł na świeżo zaoraną ziemię. Po chwili zdała sobie sprawę, że nie śpi, lecz jest nieprzytomny. Na skraju pola stał mały cementowy cokolik, stary i z zaciekami od deszczu. Na nim, w maleńkiej rzeźbionej grocie, widniała postać Matki Boskiej, zapatrzonej w dalekie pola. U jej stóp leżał bukiecik jaskrów i fioletowego wonnego groszku. Lily spojrzała na nią i spytała:

- Co mi radzisz?

Figurka nie oderwała jednak wzroku od pól, skupiona na zapewnieniu pomyślnych plonów.

- William - szepnęła Lily, pochylając się tuż nad jego zakrwawioną twarzą. - Williamie, obudź się. To nie jest dobre miejsce na tracenie przytomności. Tamci mogą przyjść w każdej chwili. - Potrząsnęła nim

lekkie. - A w tej ziemi mieszkają pewnie miliardy robali, chyba nie chcesz, żeby wlażyły ci do ran.

Nie drgnął jednak. Lily usiadła. Jak mogła liczyć na to, że najlogiczniejsze nawet argumenty poskutkują w przypadku człowieka, który zemdlął? Wstała i rozejrzała się wokół, ale wszędzie widziała tylko nieprzeniknioną ciemność. Okryła Williama marynarką, wyłowiła kluczyki z jego kieszeni i pobiegła bosą po ciężkiej, czarnej ziemi w poszukiwaniu zaparkowanego przy drodze samochodu.

Sapiąc z wysiłku, dobiegła do auta, otworzyła je i wpadła do środka. Przyzwyczajonej do lewostronnego ruchu Lily wszystko w samochodzie wydawało się zamontowane na odwrót. Zapaliła silnik, poszarpała się wśród zgrzytów i chrzęstu ze skrzynią biegów, po czym ruszyła pomału drogą, wypatrując cokoliku z figurką.

Gdy ją dostrzegła, zaparkowała i pobiegła do Williama. Wciąż był nieprzytomny. Popędziła z powrotem do samochodu, znalazła jego komórkę pod fotelem kierowcy, ale bateria była rozładowana. Chwyciła butelkę wody, przetrząsnęła torebkę w poszukiwaniu szala i zapadając się w miękkiej glebie, dopadła leżącej postaci. Siadając na ziemi, zwilżyła kawałek tkaniny i delikatnie wycierała mu twarz, nie przestając do niego mówić. - Lepiej się obudź, stary. Nie możesz mnie zostawić samej z całym tym bałaganem. Nie zaciągnę cię do samochodu, więc lepiej się ocknij!

Szybko pojęła, że nie obejdzie się bez szwów, antybiotyku, a pewnie i rezonansu magnetycznego. Mamrotała do siebie:

- Przybywajcie na włoskie wakacje! Posiedzicie w polu z naszą przewodniczką Lily Trevennen, gdy ona będzie ocierać krew z twarzy nieprzytomnego przystojniaka, popijecie dżinu, zwymiotujecie go, a na deser zakosztujecie lokalnej specjalności: zbirów z pistoletami!

Nic więcej nie mogła zrobić - nie zostawi go przecież w polu, żeby uciąć sobie drzemkę w samochodzie. Owinęła mu rany koszulką, by nie dostały się do nich ziemia i piasek, okryła go marynarką i zwinęła się w kłębek przy jego boku, uważając, żeby nie utrudnić mu oddychania, po czym zapadła w kamienny sen.

## **ROZDZIAŁ 18**

William potrząsnął nią, żeby się obudziła. Otworzyła oczy i ujrzała jego twarz, całą w zakrzepłej krwi, podbite oko oraz zakrwawioną koszulkę. O mało nie wrzasnęła. Podniosła głowę i rozejrzała się wokół, omiatając wzrokiem pole wyłaniające się z mroku i ciężkiej mgły w promieniach wschodzącego słońca.

- Co my tu robimy? - spytała płaczliwie.

- Chodźmy! - rzucił, siadając i podpierając głowę rękami.

- Czujesz się na siłach? - upewniła się. - Kilka godzin temu straciłeś przytomność.

Lily również usiadła i położyła mu dłoń na plecach, głaszcząc go lekko. Podniósł na nią wzrok.

- Tak, chyba tak, ale musimy jak najszybciej się stąd wydostać. - Wstał i się zatoczył. Lily chwyciła go pod ramię i przejęła część ciężaru jego ciała, potykając się lekko. Po chwili wziął głęboki oddech i stanął o własnych siłach.

- O, nie! - powiedział nagle.

- Co? Co znowu? - zaniepokoiła się Lily. Tylko nie kolejni mafijni gangsterzy, błagała w myślach, będąc już na skraju wyczerpania.

- Twoja śliczna sukienka... Całkiem zniszczona... -Wyciągnął niepewnie rękę, by dotknąć jej szyi.

- Zauważyłeś? - nie dowierzała Lily.

Patrzyła na niego z otwartymi ustami, przekonana, że ciosy, które otrzymał, były naprawdę bardzo mocne: tak wielkie pęknięcie w lodowej skorupie nie powstałoby od byle czego.

- Oczywiście, że tak. Pięknie ci we wszystkim, a najpiękniej, jak nie masz na sobie nic. Z tymi słowy padł z powrotem na ziemię i zamknął oczy.

- Mówisz przemile rzeczy, Williamie, ale chyba naprawdę powinniśmy już iść.

Przeżywała właśnie najdziwniejszą sytuację w życiu.

Pomogła mu usiąść, a potem wstać i wspólnie, chwiejąc się i tonąc w świeżo zaoranej glebie, dotarli wreszcie do drogi. Lily niosła swoje buty, oba pistolety oraz marynarkę i pomagała iść wspartemu na jej ramieniu Williamowi. Poranne słońce lśniło w szybach auta. William zatrzymał się, wziął od niej broń Włochów i wrzucił ją do pobliskiego rowu. Lily oparła się o maskę.

- Tu zaparkowaliśmy samochód? - spytał William, rozglądając się wokół z konsternacją.

- Nie, zostawiłam cię na chwilę i przestawiłam go tutaj, może niezbyt delikatnie się z nim obchodząc, ale w końcu jest z wypożyczalni.

- Wytarłaś mi też twarz.

- Cóż, córka lekarza nie mogła zostawić cię na pastwę bakterii.

Objął ją i przytulił mocno, nie mówiąc nic. Jej twarz wciśnięta była w zakrwawioną koszulkę, ale co tam, była wdzięczna za każdy przejaw uczucia z jego strony.

- Lekarza, a potem pokój hotelowy z wanną, proszę, proszę! - błagała, zamykając oczy.

- Nie, musimy jechać po Robbiego. - Wyjął jej z ręki kluczyki.

- Teraz? - Spojrzała na niego z wyrzutem. Piękna z nich była para: ubłoceni od stóp do głów,

w różnym stopniu zakrwawieni, jedno z ewidentnym wstrząsem mózgu, drugie na kacu, a oboje spragnieni dobrych paru godzin snu.

- Dlaczego nie pozwolimy ludziom, którym zależy na książce, odnaleźć jej? Czemu musimy dotrzeć tam pierwsi?

- Po prostu musimy.

- Daj te kluczyki! - zakomenderowała. - Nie możesz prowadzić. - Nie zareagował, więc chwyciła się pod boki i powtórzyła: - No, kotku, oddawaj.

Oddał je bez walki.

- Potrafisz tym jeździć?

- Tu się jakoś dotoczyłam, prawda? - zauważyła, porywając kluczyki z jego ręki. - Umiem prowadzić samochód z ręczną skrzynią biegów, gorzej z tym że wszystko zamontowali z lewej strony. Ale nie martw się, na pewno wykupiłeś ubezpieczenie. A więc - wróciła do poprzedniego tematu, otwierając drzwiczki - dlaczego koniecznie musimy być tam pierwsi?

- Bo zrobią z niego miazgę - odparł. - Niespecjalnie mi to przeszkadza, ale może lepiej, żeby udało ci się z nim pożegnać. Jeśli oczywiście to zamierzasz zrobić.

Lily spojrzała na niego ze zdumieniem.

- I po to właśnie ciągnąłeś mnie całą tę drogę?

- Mhm - mruknął, opierając się o samochód z przymkniętymi oczami. - Częściowo po to, by pilnować twego bezpieczeństwa, ale po części po to, by dać ci szansę na pożegnanie. - Padł na fotel pasażera. - Słodko z mojej strony, czyż nie?

Lily zmusiła biegi do współpracy, przełamując ich wyrażony zgrzytem bunt, i zawróciła na polnej drodze. Gdy doszła do czwórki, a przed maską rozciągała się szeroka, prosta droga, wróciła do rozmowy:

- Ale co z twoją pracą? Coś takiego jest na pewno...

- Niezgodne z regulaminem? Tak, absolutnie niedopuszczalne.

Zbliżali się do przemysłowych dzielnic Lukki, mijali stare budynki i przedmieścia, a żołądek Lily bulgotaniem i burczeniem usilnie przypominał o swoich potrzebach.

- Muszę coś zjeść - powiedziała. - Fatalnie się czuję.

- To pewnie kac.

- A zatem trzeba mi cukru, węglowodanów, grubej pajdy razowego chleba, opieczonego, posmarowanego masłem i z wielką porcją dżemu brzoskwiniowo-migdałowego. Niech będą dwie pajdy.

William zaśmiał się ponuro.

- Może twój chłopak czymś cię poczęstuje - zasugerował.



Zjechała z drogi, dostrzegłszy mały bar z otwartymi na oścież drzwiami. William natychmiast wyprostował się w fotelu, lecz zaraz się rozluźnił, orientując się w przyczynie jej manewru. Wygrzebał z kieszeni kilka euro i podał je Lily.

Rzuciła mu wymowne spojrzenie o treści: „Czyś ty zwariował?”.

- Ja? Popatrz na mnie, wysil swoje jedno zdrowe oko i przyjrzyj się: ulubiona sukienka w poplamionych krwią strzępach, a ciało jakbym orała pole na kolanach i gołymi rękami, a ty chcesz, żebym tam weszła?

Pokręcił głową.

- No to spójrz na mnie: równie brudny i nie tylko pochlapany, ale wręcz skąpany we krwi, na dodatek własnej. Sam siebie nie poznaję. A jeśli w dodatku moja twarz wygląda tak strasznie, jak boli, to będę upierał się przy tym, że jednak ty masz szansę wyrzucić na tutejszej obsłudze lepsze wrażenie.

Wyjrzała przez okno. Bar nie wyglądał na taki, w którym pracowałyby zbyt wiele szczególnie sumiennych osób. Jakiś staruszek ospale przesuwiał miotłą po popękany chodniczku, wzdłuż którego ustawiono rząd plastikowych krzeseł, na których sadowili się właśnie mężczyźni z kartami do gry.

- Ale ty jesteś mężczyzną! Zobaczą twoją twarz i pomyślą: „O, przerażający gość, dajmy mu, czego chce, i to szybko”. Ale jeśli wejść ja, wyglądając, jakbym spędziła noc w polu, obsługując drużynę piłkarską, to mogą...

- Mogą co?

- Być niegrzeczni? -I...?

- Nie znoszę tego.
- Przecież nie zrozumiesz, co mówią.
- Już ja się domyślę. Ale właśnie strzeliłeś sobie samobójczą bramkę: twoja znajomość włoskiego oznacza, że idziesz ty!

Westchnął ciężko i otworzył drzwiczki, a ona wcisnęła mu w dłoń kilka monet, które wcześniej jej wręczył.

Patrzyła, jak wchodzi frontowymi drzwiami. Wyglądał okropnie: biała niegdyś koszulka brudna od ziemi, spuchnięta twarz ze śladami zaschniętej krwi, dżinsy czarne. Może rzeczywiście ona powinna była pójść. Naprawdę musiał się umyć, zanim w rany wda się zakażenie, pomyślała, kręcąc głową. Wrócił kilka minut później, dzierżąc dwie bułki.

Wsiadł do samochodu i ostrożnie masując sobie kark, wręczył jej jedną.

- Z czym są?
- Niestety nie z dżemem, jeśli na to liczyłaś.

Lily zajrzała do kanapki, w którą wciśnięto plasterek niezbyt świeżego sera, po czym stwierdziła:

- Lepiej nie wiedzieć. Następnie wgrzyła się w bułkę z zapalem osoby, która od tygodnia nie miała nic w ustach.

Zapaliła silnik, wycofała auto na drogę, po czym ruszyła przed siebie, prowadząc jedną ręką, a w drugiej trzymając nadgryzioną kanapkę. Okazało się jednak, że aby trzymać kierownicę, zmieniać biegi i spożywać jednocześnie, musiałyby mieć jeszcze jedną rękę, więc wsadziła bułkę do ust, wywołując kaskadę okruszków, które wpadły jej za dekollet.

Wrzuciła trójkę, wydobywając ze

skrzyni misterny dźwięk, po czym zerknęła na Williama, oczekując z jego strony typowej męskiej krytyki. Oczy miał jednak zamknięte, twarz bladozieloną, a na jego kolanach spoczywała kanapka, z której odgryzł raptem jeden kęs.

Lily zjechała na pobocze i zgasiła silnik.

- William? - Pogładziła dłonią nieporaniony policzek.

- Zaraz dojdę do siebie - powiedział ledwo słyszalnym szeptem.

Rozejrzała się po nieciekawym krajobrazie przemysłu lekkiego i pokręciła głową.

- By użyć wyszukanych słów mojej matki: „nie bądź śmieszny”. Muszę znaleźć szpital, i to szybko. - Rozejrzała się po okolicy, jakby liczyła na to, że SOR sam się przed nią zmaterializuje.

- Nie, musimy najpierw odszukać Robbiego, zanim oni to zrobią.

- Niczego im przecież nie powiedziałaś, prawda?

- Nie, ale...

- No, to wszystko jasne.

Wiedziała, że musi czuć się fatalnie, skoro zarzucił dyskusję. Spojrzała z nadzieją na GPS na przedniej szybie. On będzie zorientowany. Jak elektroniczna wyrocznia wyjawi jej lokalizację szpitala lub przynajmniej wskaże, jak dotrzeć dokądś, gdzie będzie mogła spytać

O drogę. Sięgnęła do skrytki po folder z wypożyczalni

1 odnalazła instrukcję obsługi urządzenia, napisaną taką angielszczyzną, że chyba wolałaby czytać po chińsku. Na szczęście jednak Lily miała talent do obsługi wszelkich gadżetów oraz doświadczenie zdobyte w domu

pozbawionym męskiej ręki - ktoś musiał przyjąć na siebie rolę łamacza elektronicznych szyfrów. Naprawiała więc usterki w komputerach, radziła sobie z telefonami komórkowymi, rozpracowywała ustawienia odtwarzaczy DVD, więc teraz uruchomienie nawigacji nie zajęło jej wiele czasu i wkrótce z urządzenia popłynął kojący brytyjski akcent. Wstukała miasto Lukka i na ekranie pojawiła się mapka. Zażądała lokalizacji szpitala i już plan miasta odwracał się, a głos przepowiadał drogę niczym Sybilla w swej pieczarze.

Straciła kontakt z Williamem, który siedział z zamkniętymi oczami. Napędzana adrenaliną, katując sprzęgło i biegi, odnalazła wreszcie szpital. O tej porze ruch na drodze był niewielki - podobnych doświadczeń w Rzymie zdecydowanie woląaby uniknąć. Ospedale Generale Provinciale znajdował się nieopodal średniowiecznych murów miasta, należących do historycznego centrum Lukki. Lily z ulgą zaparkowała. Pogłaskała Williama po bladym jak ściana policzku.

- No, skarbie, idziemy do środka, musimy cię połatać.

Nie drgnął nawet, więc poczuła wzbierającą w sercu panikę.

- William! - wyrzuciła z siebie.

Uniósł powieki, więc wysiadła, obiegła samochód i pomogła mu wysiąść. Wsparł się na niej i poszli do głównego wejścia, skąd jednak odesłano ich, kierując na szpitalny oddział ratunkowy. Ach, ci Włosi przesadzali czasem z formalnościami: człowiek mdleje, zalany krwią, a tu każą im chodzić naokoło w poszukiwaniu właściwego oddziału. Gdy pojawili się w drzwiach

oddziału ratunkowego, pielęgniarka dyżurna natychmiast wezwała wsparcie. Zapanowało nagłe poruszenie, rozbrzmiały głosy wykrzykujące niezrozumiałe dla niej słowa, a potem William i jego paszport, który dotąd trzymała w torebce, zostali porwani z jej rąk. Lily usiadła na krześle, drżąca i wyczerpana z sił.

William dostał pojedynczy pokój, z pewnością na koszt firmy Weston. Ściany pomalowano na jasny błękit, na podłodze leżała dobrana kolorystycznie wykładzina, nawet koc był w tym samym odcieniu niebieskiego. William leżał w łóżku podniesionym wysoko nad podłogę, z opatrunkiem na oczyszczonej twarzy i pod kroplówką. Patrzył przez białe rolety na rozciągające się w dali przedmieścia.

- Witaj - powiedziała łagodnie, podchodząc do łóżka i ujmując jego dłoń. Była ciepła, a jego policzki nabrały koloru. Spojrzała na ciemne włosy rozrzucone na poduszce. - Wyglądasz o wiele lepiej.

- I czuję się lepiej. Wypałem się i naprawili mi twarz. Miałem wstrząśnienie mózgu, ale lekkie.

Nic nie mówiła, tylko trzymała go za rękę. Mijały sekundy, a oni siedzieli, wpatrzeni w siebie.

- Wyglądasz pięknie jak Leda na obrazie Leonarda da Vinci, masz taką słodką buzię. Otworzyła usta ze zdziwienia.

- Miałeś wstrząs mózgu, zdaje się, że pomieszanie zmysłów jest jednym z objawów.

- Ma takie maleńkie dzieci u swych stóp, wykluwają się z jajek.

Lily popatrzyła na niego ze zważeniem i usiadła na krześle przy łóżku.

- Wynajęłam nam pokój w hotelu w centrum miasta. Też spędziłam większość dnia w łóżku, no i w wannie. Przyniosłam ci ołówek i szkicownik. Nie zaglądałam do środka.

- Jesteś taka śliczna - wymamrotał znów.

- Williamie, zaczynam przypuszczać, że trzeba tobą wstrząsnąć przed użyciem.

Moglibyśmy stworzyć szczęśliwy związek, gdyby ktoś okładał cię pistoletem każdego ranka. Zdaje się, że urazy mózgu wydobywają z twego wnętrza to, co najlepsze.

- Przykro mi Lily, to było dla ciebie straszne doświadczenie, ale wkrótce będzie po wszystkim. - Wyjrzał znowu przez okno. - Niestety.

- O co chodzi? - spytała, zaintrygowana nowym, nostalgicznym Williamem.

- Jutro dotrzemy do Robbiego - odparł. - A ja wszystko zrobiłem źle.

Lily wstała i zbliżyła się do łóżka.

- Jutro nie będziesz w stanie go ścigać.

- Będę. Jutro jedziemy, niezależnie od wszystkiego. Usłyszeli pukanie do drzwi, a po chwili do pokoju

wkroczyła pulchna kobieta z uśmiechem od ucha do ucha, dźwigając tacę z posiłkiem i kiwając głową, jakby chciała zaznaczyć, że jedzenie będzie rajem dla podniebienia.

Postawiła tackę na stole i wyszła. Lily przysunęła stolik na kółkach do łóżka. William usiadł prosto. Był nagi od pasa w górę, gdyż szpital nie zapewniał ubrań ani ręczników. Nie potrafiła oprzeć się pokusie zerkania na jego klatkę piersiową.

- Nie zdawałem sobie sprawy, jaki jestem głodny -powiedział. - Jedzenie i sen mają niezwykle regenerujące działanie.

Lily zdjęła pokrywkę z posiłku. Znajdowali się w prywatnym skrzydle szpitala, ale nawet jak na tę okoliczność jedzenie wyglądało zadziwiająco dobrze: toskańska zupa fasolowa, frittata ze szpinakiem, pieczywo i jabłko, zestaw lepszy od tego, który ona znalazła w trattorii w turystycznej strefie Lukki. Przepłaciła za porcję rozmiękłego makaronu z czerwonym sosem, którego smaku nie udało jej się zidentyfikować, a w dodatku za chleb i wodę obowiązywała dodatkowa opłata.

- A ty już jadłaś? - spytał, uśmiechając się do niej szeroko, gdy zapatrzyła się na jego danie.

- Tak, oczywiście, choć nie tak smacznie jak ty. William ujął jej dłoń i przyjrzał się jej.

- Jesteś taką zaradną kobietą: z bronią w ręku pokonujesz bandytów, znajdujesz szpitale...

- Już dobrze, dobrze - przerwała mu, biorąc do ręki łyżkę. - Bez GPS-u nadal błądzilibyśmy po mieście, ja wrzeszczałabym histerycznie, a ty wykrwawiałbyś się na śmierć.

- Już jestem zdrowy. Lily parsknęła.

- Po utracie przytomności i wstrząsie mózgu? Nie jesteś zdrowy. Widzę, że będę musiała cię pilnować. A teraz jedz.

Przełknął trochę zupy i odłożył łyżkę.

- Nie jestem zbyt głodny, ty ją zjedz. Lily zmarszczyła brwi i podniosła łyżkę.

- Wcinaj.

Nabierała łyżkę zupy z fasolą oraz warzywami i przystawiała mu ją do ust, uśmiechając się za każdym razem, gdy przełknął.

- To jakiś twój fetysz - zauważył, przyglądając się jej twarzy, gdy nakładała jedzenie.
- Wiem, to takie moje dziwactwo. Chyba potrzebuję mnóstwa dzidziusiów - szepnęła, skupiając się na tym, by nie uронić ani kropli z zawartości łyżki. Gdy jadł, spytała:
- Dlaczego powiedziałeś, że wszystko zrobiłeś źle? - Ponownie napełniła łyżkę.
- Miałem poczekać, żeby zobaczyć, w którą stronę pójdiesz, gdy wreszcie zobaczysz Robbiego. - Lily błyskawicznie przeniosła wzrok na jego twarz, a łyżka zawisła w powietrzu. - Gdybym miał choć trochę rozumu, pracowałbym nad tym, żebyś to mnie wybrała.

Lily zamrugnęła i się zawahała. Nakarmiła go resztką zupy, a on przyglądał się jej uważnie. Odłożyła talerz na bok.

- Naprawdę mocno ci przyłożyli - stwierdziła, krojąc frittate na drobne kawałki.
- Cały dzień leżę tu, nie myśląc o niczym innym.
- Wiesz, że nie mówiłam poważnie, kiedy w Rzymie powiedziałam ci, że nie obchodzi mnie, co się z tobą stanie - powiedziała, nabijając na widelec kawałek frit-taty.
- Wiem - odparł cicho. Włożyła mu jedzenie do ust.
- Dobrze, wysoka zawartość białka.

Przesunęła go odrobinę i przysiadła na skraju łóżka, zsuwając buty. Miała na sobie ostatnią czystą kreację - czerwoną sukienkę na ramiączkach w stylu lat



pięćdziesiątych, z wcięciem w talii i rozszerzanym dołem, który zawirował wokół jej kolan, gdy podniosła nogi na łóżko.

- No, dalej, maleńkie kawałeczki - prosiła, wkładając mu je do ust. - Jeszcze troszkę i kończymy.

- Nie, już nie chcę.

Popatrzyła na niego przez chwilę, odsunęła stolik z tacą i zeskoczyła na podłogę.

Przeszukała torebkę i wydobyła z niej tabliczkę ciemnej włoskiej czekolady.

- Zasłużyłeś na deser - stwierdziła i wspięła się z powrotem na posłanie. Odłamała kosteczkę i włożyła mu do ust. - To takie intymne, nie sądzisz? - szepnęła mu do ucha, gdy czekolada roztopiała mu się na języku.

- Mmm - wymruczał, nie podnosząc powiek. - Wymaga zaufania.

Lily odłamała kolejną kosteczkę i pochyliła nad nim twarz. Jej włosy musnęły jego skórę, aż jego oddech przyspieszył.

- Usta są takie zmysłowe - powiedziała szeptem, kładąc mu na języku następny kawałek czekolady.

Potem uklęknęła, przełożyła przez niego nogę i usiadła na nim okrakiem. Jego dłonie powędrowały w górę jej ciała, a gdy odnalazł zamek od sukienki, powoli zaczął zsuwać go w dół. Ich spojrzenia spotkały się i powiedziała: - Wyłapują każdy niuans.

Teraz sobie włożyła do ust kostkę czekolady, pochyliła się i pocałowała go, a słodycz rozlała się między ich wargami i językami. Zamek błyskawicznie zjechał w dół, a w ślad za nim zsunęły się ramiączka sukienki, ukazując piersi Lily. Przejechał palcem wzdłuż błękitnej linii

żyły, rysującej się od jej gardła aż po białą skórę biustu, wyczuwając delikatne drżenie pulsu.

Lily odłamała jeszcze kosteczkę, położyła ją nad sutkiem i wyszeptała:

- Weź ją.

Ujął w usta czekoladę i pierś, a Lily uklękła lekko, odchyliła kołdrę, zsunęła figi i usiadła na nim powoli, czując, jak wchodzi w nią głęboko.

Należał do niej. Ocaliła go.

## ROZDZIAŁ 19

Leżała z ręką przełożoną przez jego pierś i twarzą wtuloną w jego szyję. Unikała w ten sposób dotykania sińców.

- Czy pielęgniarki nie powinny wpadać tu co chwilę?

- To włoski szpital. - Przesunął jej rękę i obrócił się delikatnie, tak by patrzeć jej w twarz, opierając obolałą głowę o poduszkę i prostując przedramię z kroplówką. Czowała zapach szwów.

- Dlaczego akurat tutaj? Czemu wybrał Lukkę? Dlaczego w ogóle Włochy?

William westchnął. Nie miał ochoty rozmawiać o Robbiem.

- Podejrzewam, że spodziewał się znaleźć tu większą liczbę kupców albo miał już nagrany kontakt. Szczerze mówiąc, nie wiem, bo logicznym wyborem byłyby Stany Zjednoczone.

Jutro spytasz go sama.

Lily zamknęła oczy.

- Dlaczego chcesz o nim rozmawiać właśnie teraz?

Odpowiedziała, nie podnosząc powiek:

- To przez niego tu jesteśmy, czyż nie?

Milczał przez chwilę, patrząc na jej twarz spoczywającą o parę centymetrów od jego własnej, chłonąc widok jej jasnych rzęs na tle białej cery.

- Spójrz na mnie, Lily, posłuchaj. Otworzyła oczy.

- „Pamiętam nagle zachwycenie / Niespodziewanie cię ujrzałem / Jak nieuchwytne przywidzenie / Jak piękne bóstwa doskonałe”.

Westchnęła i uśmiechnęła się do niego, czule odgarniając kosmyk włosów z pokierszowanego czoła.

- Więc jednak znasz Puszkina, jestem pod wrażeniem. Powiedz jeszcze, że nauczyłeś się tych wersów z małego, podniszczonego tomiku poezji, gdy siedziałeś, wyprostowany, na werandzie letniej dachy rodziców.

- Chciałbym powiedzieć, że tak właśnie było, ale wyszukałem ten wiersz w internecie i zapamiętałem go specjalnie dla ciebie. Miał wywrzeć na tobie wrażenie. -Położył palec na jej ustach. -I musiał to być właśnie ten utwór. Pamiętasz pierwszy raz, kiedy cię zobaczyłem? Szłaś ulicą i uśmiechnęłaś się do mnie. To było jak promyk słońca, który zaświecił tylko dla mnie, nikt inny nie miał tyle szczęścia.

- Jesteś pewien, że nie patrzyłeś na blond włosy i cycki?

- Nic na to nie poradzę, jestem samcem, już tak nas zaprogramowano. Ale to było coś o wiele ważniejszego. Byłaś w białej bluzce i wyglądałaś jak Grace Kelly, śmiejąca się z czegoś razem ze swoim sznaucerem. A potem

uśmiechem włączyłaś także mnie we wspólny żart i wszyscy troje byliśmy razem, a reszta świata nie istniała. Pomyślałem wtedy: oto kobieta, za którą oddałbym życie.

Lily westchnęła i pocałowała go delikatnie w jeden z siniaków.

- Kiedy wróciłem do mieszkania, wtedy w Rzymie, myślałem, że stało się coś odwrotnego, że to ty zginęłaś, i to przez moją bezmyślność. Byłem na siebie wściekły.

- Teraz już mamy to z głowy. - Zamknęła oczy.

- Co takiego?

- W sumie nieźle się bawiłam - stwierdziła, patrząc mu w oczy. - Gdybym wiedziała, że ci faceci to takie mięczaki, nigdy nie pozwoliłabym im zniszczyć księgarni!

William roześmiał się, ale zaraz jęknął z bólu.

- Nie rozśmieszaj mnie, głowa mi pęka.

Światło na zewnątrz już nikło. Lily zapięła sukienkę, poprawiła pościel i przyniosła mu szklanekę wody.

- Bądź ostrożna, wychodząc stąd. Idź prosto do hotelu i nie wychodź z pokoju.

- Czy oni nie przyjdą tu po ciebie? No wiesz, nie powinieneś mieć ochrony, policjanta pod drzwiami?

Roześmiał się znów, pocałował jej włosy i odparł:

- Nie, to nic osobistego, Lily, to czysty biznes, jak mawiał Don Corleone. Wysłano ich po książkę. Gdyby pisana nam była śmierć, posłani za nami ludzie byłiby bardzo różni od tych. - Jak różni?

- Nieprzyjemnie różni.

- Czyli ci faceci byli z działu odzyskiwania, jak ty.

- Tak jakby. Ja nigdy nie działałem tak jak oni, ale też nie podejrzewam, by oni byli rozczarowanymi wykładowcami akademickimi, motywowanymi latami tłumionego gniewu.

Pocałowali się na do widzenia. Wychodziła już, gdy zawołał jej imię. Odwróciła się, by popatrzeć na niego w przyćmionym, niebieskim świetle szpitalnej salki: szkicownik przy boku, taca wciąż obok łóżka, cień padający na jego twarz. Posłała mu jeszcze uśmiech i zniknęła w mroku korytarza.

Po powrocie do pokoju hotelowego Lily nie potrafiła się wyciszyć. Ostatni tydzień był wyczerpujący, ale myśli krążące wokół Williama i Robbiego nie pozwalały jej zasnąć. Otworzyła okno i oparła się o parapet, wyglądając w dół na piazza, średniowieczne mury i ciągnące się za nimi czubki drzew.

Powietrze, nieruchome i duszne, wydało jej się brudne i czuła je w gardle, suche i zakurzone. Wielkanocny księżyc wisiał nisko na niebie, a echo co jakiś czas przynosiło warkot skutera pędzącego wąską uliczką.

Nie było dnia, w którym William nie wypychałby z jej serca Robbiego. Tego samego serca, którym Robbie tak beztrąsko poniewierał. To prawda, ona też kilka razy wytarła buty w jego serce, ale to był już definitywny koniec. Był to fakt równie oczywisty jak to, że następnego dnia wszędzie słońce. A będzie to dzień, w którym stanie twarzą w twarz z Robbiem. Odwróciła się od okna, by przynieść sobie szklankę wody, po czym znów wyjrzała, popijając powoli chłodny płyn.

Jej pierwsze spotkanie z Robbiem miało miejsce, gdy pracowała w księgarni należącej do sieci sklepów sprzedających bestsellery i najnowsze literackie hity. Przychodził dzień po dniu, pytając o książki, których nie mieli w ofercie i których - jak dobrze wiedział - nie miał szans u nich dostać. Świetnie się bawili, gdy ona udawała, że naprawdę szuka ich w komputerze, podczas gdy on żartował, powoli, acz skutecznie, drażąc szczelinę w jej oporze. Pojawiał się codziennie, nie wiedziała nigdy, o której przyjdzie godzinie, ale mogła być pewna, że się zjawi. Wreszcie poddała się i przyjęła zaproszenie na kolację. Pierwszy spędzony wspólnie rok, ten przed chorobą jej matki, był wyjątkowy. Zafascynowani sobą, spędzali każdą wolną chwilę w łóżku lub spacerując za rękę, ob-ściskując się na parkowych trawnikach i zwiedzając razem antykwariaty. Lily zamknęła okno. Przeszukała torbę, wydobywając z niej przepocone i ubłocone ubrania. Ciut czystsza niż pozostałe stroje czerwona sukienka będzie musiała jej posłużyć także następnego dnia. Robbie kupił ją dla niej na pchlim targu w Paryżu, zapewne by zatuszować poczucie winy. Strzepnęła ją, powiesiła na krześle i wśliznęła się do łóżka. Robbie doskonale wiedział, co ona kocha, w co lubi się ubierać, a w czym nie położyłaby się nawet do trumny. Wiedział, jakimi kłamstwami ją częstować, i mógł liczyć na to, że nie będzie zadawała pytań z obawy przed tym, co mogłaby usłyszeć. I te kobiety, które przychodziły do księgarni, pytając o niego. Jego łzy i skrucha, a potem kochanka, która rzuciła się na Lily z pięściami. Szepty wśród przyjaciół

i litość, którą czuli, równie bolesna jak same zdrady. Litość, której nie mogła zdzierżyć. Wspomnienie tamtych lat wypłynęło na powierzchnię. Stres związany ze śmiercią matki, napięcie, które rozbiło ich związek w pył. Jego pierwsza zdrada. Pogrzeb. Opróżnianie domu matki i odkrycie sporej porcji morfiny, którą dla siebie ukryła. Brak snu i jedzenia, męki bólu głowy. Robbie sprząający po niej, gdy zataczała się po domu, goniąc halucynacje, błagający lekarzy, by nie przepisywali jej więcej morfiny. Lily wstała z łóżka i znów otworzyła okno, daremnie próbując wychwycić najłżejszy chociaż powiew powietrza. Promienie księżycy wlewały się do pokoju, wywołując z kątów cienie. Poprawiła poduszki i położyła się znów, patrząc w niebo. Pościel, lepka od potu, marszczyła się i przyklejała do ciała przy każdym ruchu. Nie mogła spać, nie mogła przestać myśleć o wydarzeniach popołudnia. Zakochiwała się w Williamie od pierwszego uśmiechu na ulicy przed księgarnią. Ale co on myśli o kłamstwach, którymi karmili się z Robbiem? Jak może zrozumieć, co trzymało ich razem? I jak pojąć, jaką farsę zrobili z miłości? William patrzył na rolety i błysk świateł na zewnątrz. Wszystko zrobił źle. Kochał ją i powinien był powtarzać jej to codziennie przez ostatni miesiąc. Strategia wycofania się, nienaciskania jej, pozostawienia jej obiektywnego wyboru nie przyniesie dobrych skutków. Kochał ją całym sercem, w którym nigdy nie znajdzie się miejsce



dla innej. Tylko że Robbie znów okręci ją sobie wokół palca, kiedy tylko się do niego zbliżą.

Przyjrzał się wkłutej w ramię rurce. Zaczął wyciągać ją powoli, aż wysunęła się całkiem. Spadła na ziemię, pomалу kapał z niej jakiś płyn. Krew trysnęła, gdy wyjął sobie wenflon, więc przyłożył do ręki rąbek prześcieradła i mocno przycisnął. Następnie niepewnie zsunął się z łóżka, czekając, aż ustaną zawroty głowy.

Czuł na palcach jej zapach. Zamknął oczy i wciągnął powietrze. Tę woń mógłby wciągać w nozdrza do końca swoich dni. Powinien być tej nocy przy niej, tuląc ją mocno.

Wydawała z siebie rozkoszne jęki i westchnienia, tak że musiał zakryć jej usta dłonią, żeby cały szpital nie zorientował się, co wyprawiają.

Przyniosła mu jego torbę, więc ostrożnie pokonał drogę do szafki, wyjął bagaż i usiadł na podłodze. Ubieranie się na siedząco miało uchronić go przed upadkiem.

Założenie butów wymagało nie lada wysiłku, ale w końcu udało mu się usiąść na krześle.

Zajął się szukaniem komórki i karty do pokoju hotelowego, którą wręczyła mu podczas wizyty. Wezwie taksówkę, wypisze się ze szpitala na własne żądanie i pojedzie do niej.

Szedł opustoszałym korytarzem, krocząc uważnie po błękitnym linoleum, trzymając się ściany, by nie upaść. Którędy do rejestracji lub dyżurki pielęgniarek? Mijał salę za salą, wózki ze stertami białych prześcieradeł i wózki inwalidzkie stłoczone we wnęce holu. Czuł dudnienie w głowie i obawę, że jeśli zaraz nie usiądzie, to pożegna się z obiadem, którym tak troskliwie nakarmiła go Lily.

Gdy się ocknął, był z powrotem w swoim pokoju, z podpiętą kroplówką i pochylającą się nad łóżkiem pielęgniarzką o ostrym spojrzeniu i jeszcze ostrzejszym języku. Oskarżała go właśnie, że celowo stara się przysporzyć im więcej pracy. Znaleźli go leżącego na brzuchu pośród wózków. Gdy spytał o telefon i kartę hotelową, rzuciła mu je na koldrę z wyrazem wstrętu na twarzy i wyszła dziarsko w swych butach na grubej podeszwie.

Telefon wymagał naładowania, a pielęgniarzka nie reagowała na dzwonek. Więc to by było na tyle. Kobieta ostrzegła go, że jeśli znów wytnie im podobny numer, to zostawią go tam, gdzie upadnie.

William czekał na Lily przy głównym wejściu do szpitala. Świeży bandaż lśnił w porannym słońcu. Zaparkowała fiata i wysiadła, by przytulić go na powitanie. Pocałował ją mocno, obejmując ramionami i przytulając do siebie.

- Czujesz się na siłach, by zobaczyć się z Robbiem? Skinęła głową. Już było czuć upał wstającego dnia.

Trudno było złapać oddech, a gorąc wypełniał ciasne uliczki, alejki i maleńkie pokoiki, wdzierał się w kamienne mury budynków. Przepocona sukienka ocierała Lily skórę.

William sięgnął, by wyjąć jej z ręki kluczyki, ale cofnęła się o krok, szeroko otwierając oczy z przerażenia.

- Chyba żartujesz! Twoja jazda absolutnie nie wchodzi w grę.

- Nic mi nie jest.

Rzuciła mu ociekające sceptycyzmem spojrzenie, po

czym wbiła się w fotel kierowcy, zanim zdążył do niego dotrzeć. Wsiadł z drugiej strony i uśmiechnął się do niej, a ona pochyliła się, by ich usta się spotkały. Podał jej adres kryjówki Robbiego, który natychmiast wstukała w GPS.

Rozpoczęli powolny wjazd na wzgórze Matraia, mijając Villa Reale i inne domy z okazałymi ogrodami. W każdy inny dzień Lily nalegałaby na zwiedzenie wszystkiego. Droga wiała się i meandrowała, ale mocny brytyjski głos wiódł ich bez zajaknięcia. Pozostawili w tyle wille oraz parki i wspinali się coraz wyżej, wjeżdżając w sady - kasztanowce, figowce i drzewka cytrynowe rozproszone po zboczach wzgórz wraz z rozsypanymi wśród wysokich traw czerwonymi makami i błękitnymi kwiatami ogórecznika. Gdzieś tam błyskały bielą irysy. Serpentyńny zdawały się nie mieć końca, co stanowiło nie lada wyzwanie dla Lily i jej umiejętności posługiwania się biegami. W dole widać było równinę i otoczone murem miasto, a dalej na wschód - smog Florencji. Siedzący w fotelu pasażera William nie otwierał oczu.

- Dlaczego jesteś tak zdeterminowany, by to zrobić? - spytała. Jego powieki pozostawały zamknięte, a skóra była bledsza niż zwykle.

- Mówiłem ci - odparł. - Chcę zastać Robbiego przy życiu. Nie obchodzi mnie jego los, ale twoje uczucia leżą mi na sercu. Jeśli ktoś zrobi mu krzywdę, a ty obarczysz winą mnie, nie będę miał u ciebie żadnych szans.

Lily ścisnęło się serce, ale nie odrywała oczu od drogi.

- Ale zależy ci też na odzyskaniu książki, prawda?

- Mnie osobiście nie, ale za to mi płacą.

Poirytowanym ruchem ściągnął z głowy bandaż i rzucił go pod nogi. Lily ze zgrzytem zmieniała biegi, od czasu do czasu doprowadzając do zgaśnięcia silnika. Nie komentował. To w nim kochała - Robbie zaczynał swoje kazania już w chwili, gdy wkładała kluczyk do stacyjki: „delikatnie”, „za ostro to robisz”... Może William nie siedziałby tak spokojnie, gdyby był właścicielem auta. Zapaliła silnik i jechała dalej.

- Twierdziłeś, że ci faceci nie chcą krwawej jatki, a tymczasem spójrz na swoją twarz! Zabiliby cię, gdybym ich nie powstrzymała.

William popatrzył na nią nieuszkodzonym okiem.

- Nie, to nie była krwawa jatka, możesz mi wierzyć. A ja nie jestem wart popełnienia zabójstwa, chcieli tylko wyciągnąć ze mnie lokalizację kryjówki Robbiego.

Na szczycie wzniesienia teren stał się bardziej płaski. Minęli mur okalający cmentarz i kobietę krzątającą się przy jego bramie. Droga zmieniła się z asfaltowej w gruntową, wzdłuż niej rosły cieniste jesiony i dęby. William poprosił, by zwolniła, zawróciła i zaparkowała przy cmentarzu.

- Resztę drogi pokonamy pieszo - zarządził.

- W taki skwar?

- To niedaleko, a wolę go nie alarmować. Szybkim krokiem ruszyli przed siebie. Lily szła nieco

z tyłu, zaciskając palce na torebce, której pozostawienia w pojeździe stanowczo odmówiła. Starła się nie tracić panowania nad sobą: wzrok wbiła w plecy Williama, próbując skupić się na zagnieceniach jego koszuli, plamach potu, zagnieceniach, plamach potu. Dotarli do krzaka lawendy posadzonego przy podjeździe

wysypanym białym żwirem i obsadzonym leszczyną. Na końcu dróżki wznosił się dwupiętrowy dom z kamienia, z tarasem ozdobionym donicami czerwonych pelargonii. Rozciągał się stąd nieziemski wprost widok na równiny Toskanii.

W ogrodzie poniżej znajdował się duży basen, wokół którego, na drewnianej platformie, rozstawiono leżaki. A któż to spacerował nad brzegiem basenu, zbierając liście, ubrany w kąpielówki i okulary przeciwsłoneczne Ray-Ban? Robbie.

Widząc go, Lily omal nie zachwiała się na nogach. Szła za Williamem przez trawnik, omijając żwir, by nie zachręścił im pod stopami. Dostrzegł jednak ich cienie i podniósł wzrok, po czym zdjął okulary i patrzył z niedowierzaniem. Odłożył siatkę do zbierania liści i ruszył w ich stronę, lśniąc w słońcu spoconym torse. Zbliżył się, na jego twarz wypłynął radosny uśmiech, ostatnich parę kroków pokonał już biegiem. Zarzucił Lily ramiona na szyję i przytulił ją z całych sił, lekko przy tym kołysząc. William obserwował powitanie z pochmurną miną.

- Odnalazłaś mnie, kochanie, miałem nadzieję, że ci się uda! - Pocałował ją, nie wypuszczając z ramion. Potem odwrócił się do Williama i zagwizdał.

- Ona ci to zrobiła? - spytał. Trzymał teraz Lily za rękę, zaznaczając swoją własność.

- Nie śmieć się, Robbie - ostrzegła, wyrywając dłoń. - Już po ciebie idą.

- Wszystko nam się ułoży, kwiatuszku, więc nie złość się już, musiałem tak to załatwić.

Zacisnęła zęby i nic nie odpowiedziała. Robbie zerknął w stronę Williama.

- Ciekawe, że się zjawiasz, Isyanov. I to z moją dziewczyną.

William nic nie odrzekł, cisza nieco zbiła Robbiego z tropu.

- Może kawy? Właśnie miałem zaparzyć. Wejdźcie.

- Robbie - powiedziała Lily spokojnie - książka, księga Fanina, oddaj mu ją.

- Pomówmy o tym w środku, zapraszam.

Lily wzrokiem porozumiała się z Williamem. Wzruszył ramionami, więc weszli za Robbiem do wnętrza domu. Parter zajmowało jedno duże pomieszczenie o niskim suficie z biegnącymi wzdłuż belkami. W rogu znajdował się aneks kuchenny, a w głębi dostrzegła komplet mebli wypoczynkowych ustawionych przed telewizorem, stół i dwa krzesła. Tu z okien również roztaczał się przepiękny widok.

Robbie podszedł do kuchenki i nalał wody do kafe-terki, nasypał kawy i postawił na ogniu.

- Książka należy do nas i mam już na nią kupca, pewnie właśnie zmierza w tę stronę.

Będziemy tak bogaci, że kupisz Ottusiowi budę ze szczerego złota, a do tego wszystkie wyszywane cekinami kiecki, o jakich tylko zamarzysz.

- Nie jest nasza, jej miejsce jest w muzeum i powinniśmy byli ją oddać, tak jak od razu sugerowałam.

- Zejdź na ziemię, dziecińko.

- To raczej ty zejdziesz na ziemię, i to szybko - warknęła.

Wpił nienawidzące spojrzenie w Williama, zdając się jej już nie zauważać, lecz po chwili znów zwrócił się do niej:

- Tęskniłem za tobą, kochanie.
- I z tej tęsknoty zabrałeś wszystkie nasze oszczędności, podrobiłeś mój podpis i wyjechałeś bez słowa, tak, kłamco?
- Nie mogłem nic powiedzieć. Wiedziałem, że on będzie wszędzie węszył - bronił się, ruchem głowy wskazując Williama.
- Nie wciskaj mi bzdur, Robbie. Zgarnąłeś złote jajo, a mnie wepchnąłeś w finansową przepaść, mając szczerze gdzieś to, czy przeżyję upadek.
- Wróciłbym po ciebie, jak już wszystko by się ułożyło.
- Nie zrobiłbyś tego - wycedziła.
- Lily, jesteśmy razem, ty i ja, na zawsze. Istniejesz dla mnie tylko ty, nieważne, co robiłem w przeszłości.

William nadal nie wypowiedział ani słowa. Kawa zawrzała na kuchence. Robbie nalał smolistego płynu do trzech filiżanek.

- Po co w ogóle brałaś go ze sobą? - spytał Robbie. -Hm? Zabawiałaś się z nim, co? Przeniósł wzrok z Lily na Williama i z powrotem, po czym gwizdnął.
- Tak, igrałaś sobie, prawda? Najpierw Sebastian, teraz on.
- Sebastian nie ma z tym nic wspólnego.
- Ach, nie? Trafiam na najbliższego przyjaciela rznącego cię ostro, ale to już nieistotne, tak? Zdradzasz mnie z najlepszym kumplem i wydaje ci się, że mnie to nie zabolii?
- Nie uprawialiśmy seksu, nie może to do ciebie dotrzeć?

- Jeszcze minuta, a doszlibyście do tego!
  - Robbie, skończ z tą hipokryzją, robisz z siebie idiotę. Mam wymienić wszystkie twoje kochanki?
  - A on!?! - krzyknął Robbie, wskazując na popijającego kawę Williama. Stał w milczeniu i czekał.
  - Wiesz, jaka ona jest? Powiedzieć ci, co? Chce się zabić, ma pojebane w głowie, nie powinna zażywać nawet aspiryny. Mam w rękawie kilka historii, o tak, i jak je usłyszysz, nie będzie już takim słodkim niewiniątkiem. Mówić dalej, Lily? Więc nie chrzań mi tu o hipokryzji!
  - Oddaj mi książkę.
  - Jeśli byłem ci niewierny, to dlatego że sama pchnęłaś mnie ku zdradzie. Odpychałaś mnie od siebie, za każdym razem gdy brałaś do ust używkę inną niż kawa. I nie mydl mi oczu bajeczką o biednej, bezbronnej sierotce, bezbronności w tobie za grosz! Cierpiałem przez ciebie, i to bardzo, nigdy nie chciałem...
- Smukła, pełna wdzięku postać pojawiła się nagle na schodach, przecierając oczy. Czarne włosy miała w nieładzie, a ubrana była w brzoskwiniową haleczkę, którą Lily natychmiast rozpoznała jako jeden z wzorów Suzy.
- Co tu się dzieje, Robbie?
  - Kelnerka z kawiarni na rogu - jęknęła Lily. - Na Boga, chłopie, nie masz ani krzty gustu?
  - O co jej chodzi? - spytała zaskoczona nastolatka.
  - Mów, co chcesz. Sama z kim przychodzisz? Zbir z rosyjskiej mafii! Gust? Dobre sobie!



Lily czuła, jak serce wali jej w piersi. Miarka się przebrała. Skoczyła za plecy Williama i zanim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać, wyciągnęła jego broń i wymierzyła ją prosto w Robbiego.

## ROZDZIAŁ 20

- Co to ma być!?! - krzyknął przestraszony. Graciella wrzasnęła.
- Zamknij się! - rzuciła Lily w jej stronę. - Właśnie zaparzyłaś swoje ostatnie macchiato, Graciella.

Dziewczyna jęknęła, szukając wzrokiem wsparcia u Robbiego, ten jednak gapił się oniemiały na Lily.

- Odłóż to - usłyszała przy sobie spokojny głos Williama.
- Nie - odparła stanowczo, celując prosto w głowę Robbiego.
- Powiedz Gracielli, gdzie jest książka, i niech przyniesie ją Williamowi. Żadnych kłamstw, bo pociągnę za spust. Ostatnio posmakowałam w strzelaniu, ale za celność nie mogę jeszcze ręczyć: mogłabym odstrzelić ci jądra. Jakby ci się to podobało, Robbie?
- Weź z szafy na piętrze czarną torbę, tę od laptopa, i przynieś ją tu! - polecił Gracielli niskim głosem. Rzuciła się, skamłając, na górę.

- Nie wiesz, w co się pakujesz.

- Wiem aż za dobrze i żałuję, że tak to wygląda. Choć nie, w zasadzie się cieszę. Nie chcę cię i nie potrzebuję, słyszysz?

- Świetnie, cieszę się twoim szczęściem. Niech ktoś inny po tobie sprząta.

Lily zatrzęsała się ze złości, mrużąc oczy i mierząc do niego. Odbezpieczyła broń.

- Lily, proszę, odłóż pistolet - powtórzył William.

- Od trzech lat jestem czysta - wycodziła przez zęby. - Słyszysz? Trzy lata. Jak długo chcesz mnie karać? Przez trzy lata zerznąłeś więcej kobiet, niż mogłabym spamiętać, a ja ani razu cię nie zdradziłam, bez względu na to, jak mnie traktowałeś, więc przestań mnie terroryzować.

- Noga ci się jeszcze powinie, jestem tego pewien.

- Zamknij się! - rozkazał William.

- Ach, chcesz się nią zaopiekować, tak? Powodzenia, stary.

Wróciła Graciella. Niosąc torbę i wciąż płacząc, podała ją Williamowi. Sprawdził zawartość i skinął głową do Lily. Stała nadal, trzymając Robbiego na muszce i słuchając szlochów Gracielli.

- Nie bój się, mała - pocieszyła dziewczynę Lily - nie zastrzelę cię, żartowałam tylko z tym ostatnim macchiatto.

- Mówił, że wyrzuciłaś go na bruk - wyszlochała Graciella, lejąc łzy na jedwabną haleczkę.

- To w jego stylu. I pewnie twierdził, że w ogóle go nie rozumiem.

Dziewczyna przytaknęła i wytarła dłonią nos, rzucając Robbiemu żalosne spojrzenie.

Niecierpliwie potrząsnął głową i skrzyżował ręce na piersi.

- Powinnaś być w domu z matką - powiedziała Lily. Graciella pokiwała głową i wybuchnęła jeszcze mocniej zalała się łzami.
  - Jesteś nic niewartym bydlakiem, Robbie.
  - Lily, chodźmy już - ponaglił William.
  - Och, jeszcze tylko jedno - przypomniała sobie Lily. - Graciella, w mojej torebce znajdziesz kopertę. Wyjmij ją, proszę, otwórz i wyłóż zawartość na stół.
- Graciella zrobiła, co jej kazano, a Lily poleciła Robbiemu czytać. Wziął do ręki kartki papieru, rzucił na nie okiem i cisnął z powrotem na blat.
- Bzdury! - krzyknął. - Nie wiesz, co robisz. Zostaw wszystko tak, jak jest, niedługo spojrzysz na to z innej perspektywy.
  - Podpisz to. -Nie.
  - Robbie, ukradłeś wszystkie nasze oszczędności i zostawiłeś mnie w długach.
  - To twoje długi: dom zapisany jest na ciebie.
  - Ale firma nie, więc przepisz ją na mnie. Po sprzedaży dostaniesz swoją połowę zysku, jeśli coś z tego zostanie, i będziemy kwita. Spakuję twoje rzeczy, łącznie z plazmą i samochodem, i zostawię ci je u rodziców. Ja biorę Otta, to nie podlega dyskusji.
- Zmrużył oczy i spojrzał na Williama.
- To on cię do tego namówił? Wpełził nam do łóżka, a teraz chce przejąć interesy? I pewnie jeszcze bawi się z naszym psem?
  - Może cię to zdziwi, ale ma własną dobrze płatną pracę i nie jest mu potrzebny twój zakichany antykwariat. Więc podpisz.

Robbie złożył podpis, podał dokument Lily, a ona zwinęła go jedną ręką i wetknęła za dekolt.

- Ach, i jeszcze jedno - nie kończyła Lily. - Wsadź tę dziewczynę w samolot do domu. Ma trzech braci, którzy chętnie dowiedzą się, z kim spędza czas.

Robbie otworzył szerzej oczy i zwrócił się do Gracielli:

- Nie wspominałaś, że masz trzech braci.

- Nie pytałeś.

- Cóż, Lii, miło cię było znów zobaczyć. - Robbie odwrócił się do Williama. - A ty naciesz się nią, stary, świetne cycki.

Lily zamachnęła się bronią w przypływie gniewu, lecz nagle drzwi otwały się z hukiem i gdy obróciła się, by zobaczyć, co się dzieje, pistolet wystrzelił. Ze wszystkich gardeł wydobył się krzyk i wszyscy padli na podłogę, gdyż z zewnątrz odpowiedziano ogniem.

Graciella nie przestawała wrzeszczeć, dopóki Robbie nie zakrył jej ust dłonią.

- Oddaj mi to! - powiedział William, wyrywając broń z zastygłych z przerażenia rąk Lily.

Podczołgał się do drzwi i zatrzaskał je z całych sił. Drzwi były podwójne, oba skrzydła wykonano z ciężkiego drewna dębowego.

- Jest jeszcze jakieś wejście na parterze? - spytał Robbiego. Ten potrząsnął przecząco głową, blady jak ściana.

- Dobra, na razie nie wstawajcie z podłogi! - zakomenderował William, sięgając do kieszeni po telefon. Odbył krótką rozmowę po włosku.

- Kto tam jest?

- Pewnie nasi znajomi z przedwczoraj albo ci, którzy śledzili nas w Rzymie. Możliwe, że są już lekko zdesperowani.

Z zewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk, za to temperatura w pokoju rosła, gdy tak siedzieli bez słowa, w zupełnej ciszy. Lily czuła się zaskakująco spokojna i opanowana. Gdyby dranie przekroczyły próg, powaliłaby ich dobrze wymierzonym kopnięciem, zastosowała jujitsu i tak zwymyślała, że uciekliby gdzie pieprz rośnie. Robbie siedział przy Gracielli i usiłując ją uspokoić, tulił i całował raz po razie.

William zatknął ścierkę do naczyń na kij od miotły, po czym wsunął ją w światło okna, wywołując grad kul i kaskadę szkła wsypującego się do środka.

Graciella była już bliska hysterii i Lily podczołgała się do niej, usiadła obok dziewczyny i gładząc jej dłoń, uspokajała:

- Wszystko będzie w porządku, nie bój się, on nas z tego wyciągnie - mówiła, patrząc na Williama.

- A przynajmniej taką masz nadzieję - syknął Robbie nad głową Gracielli.

Ta, słysząc to, znów zanosła się niekontrolowanym płaczem. Lily z naganą spojrzała na Robbiego.

- Nie, naprawdę nas stąd wydostanie - poprawił się. - Wie, co robi, przynajmniej on jeden.

- Zdobądź dla niej trochę wody, Robbie - poleciła Lily. Popatrzył na nią, jakby straciła rozum, ale przeszedł

na czworakach do lodówki, wyciągnął butelkę i podczołgał się z powrotem do nich.

- Napij się, dobrze ci to zrobi - poradziła Lily i Graciella, czkając, upiła łyk wody.

- Przynieś jeszcze coś słodkiego. -Co?
- Podniesienie poziomu cukru we krwi zawsze pomaga w przypadku rozstrojenia nerwowego - nauczyła Lily, łowiąc delikatny uśmiech Williama.
- Dalej, Robbie.

Dystans do szafki pokonał jak komandos, sunąc i tarzając się po zasypanej odłamkami szkła podłodze, po czym wrócił z tabliczką czekolady z orzechami.

Lily zaśmiała się, nawet Graciella uśmiechnęła się przez łzy.

W dolinie rozległy się kolejne strzały i dało się słyszeć krzyki kilku osób. Lily przytuliła Graciellę do siebie i wyszeptała:

- To pewnie policja, nie martw się.

Mniej więcej dziesięć minut później zadzwonił telefon Williama. Odebrał i rozpromienił się, po czym wstał i otworzył drzwi. Wyglądając na zewnątrz, Lily ujrzała pół tuzina policjantów przechadzających się dumnie po białym, żwirowym podjeździe. Cały, pełen dramatyzmu incydent był jak z filmu z dobrze przygotowaną scenerią: funkcjonariusze w granatowych mundurach z mosiężnymi guzikami, bładoniebieskie alfa romeo zaparkowane rzędem przed domem, wciąż błyskające kogutami w ostrym kwietniowym słońcu.

William wyszedł do nich i popłynął potok słów, było mnóstwo gestykulacji, zapalania papierosów, zadeptywania ich. Notesy i pióra poszły w ruch. Gdy Lily i Graciella odważyły się opuścić dom, wszystkie spojrzenia skierowały się na nie. Plecy prostowały się, uśmiechy i grzeczne powitania „*buongiorno*” padały

ze wszystkich stron, a oczy mężczyzn nie mogły się oderwać od pięknych świadków. William gdzieś zniknął. Lily rozejrzała się, szukając go wzrokiem, ale podszedł do niej kapitan i spytał, czy mówi po włosku. Odpowiedziała za nią Graciella i później do końca służyła za tłumaczkę. Paniom zbadano paszporty, a za chwilę pojawił się także Robbie ze swoim. William wyszedł z budynku z książką. Wyjął ją z torby i rozłożył na masce jednego z wozów policyjnych. Kapitan włożył rękawiczki i z przejęciem otworzył księgę na chybił trafił.

- *Mamma mia!* - wykrzyknął i roześmiał się, gdyż rycina, którą miał przed oczami, przedstawiała satyrę odbywającego stosunek z kozłem. Pozostali policjanci zebrali się wokół. Ze śmiechem przepychali się, by rzucić okiem na działające na wyobraźnię ilustracje. Lily nie rozumiała, co mówią, ale mogła się domyślić, patrząc na spłonioną Graciellę.

Wreszcie kapitan schował księgę, a William podszedł do Lily.

- Eskortują nas teraz razem z księgą do Lukki i tam zastanowią się, jak dalej poprowadzić sprawę.

- Co czeka Robbiego? - spytała, patrząc na niego, jak stał oparty o ścianę, czując, że książka i kobieta wymykają się z jego życia.

- Nic, nie ukradł dzieła. Powiedziałem policji, że właśnie zwracał mi je, gdy na progu zjawili się mafiosi. Są już w drodze do aresztu w Lukce.

Robbie podszedł do nich powolnym krokiem i ignorując Williama, objął Lily, szepcząc:

- Znajdę cię, kwiatuszku, nic się nie martw.



Odepchnęła go i podążyła drogą za Williamem, mijając wozy policyjne. Poczekali, aż jeden z radiowozów wjedzie przed nich, i ruszyli, mając za sobą jeszcze dwa pojazdy, mrugające kogutami, lecz na szczęście bez włączonych syren.

- Jak się czujesz? Głowa cała? - spytała.

- Boli, ale wszystko w porządku.

Lily wyciągnęła rękę i pogładziła go po udzie.

- Jesteś pewien, że nie chcesz, żebym siadła za kierownicą?

- Nie, dam radę.

Gdy zjechali na równinę, upał jeszcze się wzmógł, a pyszne, zielone ogrody wśród wzgórz ustąpiły miejsca przedmiejskim ulicom i supermarketom. Przejechali za radiowozem przez bramy średniowiecznego miasta i po chwili dotarli do komisariatu.

- Williamie, to co Robbie powiedział o mnie... o mojej przeszłości...

- Każdy ma jakąś przeszłość.

- No dobrze, o moim uzależnieniu od morfiny, jeśli mam się trzymać konkretów. Nie przeszkadza ci to?

Nie odpowiedział, skupiony na znalezieniu miejsca do zaparkowania. Zgasił silnik i stwierdził po chwili:

- To może trochę potrwać.

Lily wzruszyła ramionami. Nie mogła naciskać, żeby omawiał z nią w tej chwili sprawy sercowe. Miał na sobie maskę pracownika Weston. Ale czy miało to jakieś znaczenie? Gdy to wszystko się skończy, może będą mogli być razem? Zająła miejsce w holu, podczas gdy on zniknął w jednym z pokoi w towarzystwie policjantów.

Patrzyła w podłogę, by uniknąć nawiązywania kontaktu wzrokowego z funkcjonariuszami, którzy zdawali wychylać się zza wszystkich biurków i rogów. Jakiś młody mężczyzna zaproponował jej szklankę wody, za co była mu bardzo wdzięczna, ale poza tym siedziała nieruchomo, powieki opadały jej pod naporem upalnego powietrza, a potrzeba snu rysowała się jako główny priorytet. Wreszcie zasnęła z rozchyłonymi ustami i głową opartą o ścianę. William obudził ją, potrząsając za ramię. Wręczył jej kluczyki.

- Idź przespać się w samochodzie, to może zająć wieczność.

Przetarła oczy.

- Pojadę do hotelu.

Zsunęła z siebie sukienkę, która dawno straciła już świeżość, i weszła do łazienki.

Wystarczy prysznic, nie musi wylegiwać się w wannie z bąbelkami. Szybki, praktyczny prysznic.

Umyła włosy i splukała poranny pot, modląc się, by zapowiadany deszcz się pospieszył. Kolejny upalny dzień w czerwonej sukience i przestanie nadawać się do kontaktu z ludźmi. Uwielbiała tę sukienkę i oczyma wyobraźni widziała, jak przechadza się w niej po Rzymie, na oczach ciemne okulary, a przy boku boski William. Śmiała się z jego żartu, rzuconego mimochodem, a on obejmował ją w pasie i pieścił jej włosy. Cóż, teraz mogła się wybrać w swojej kreacji jedynie na poszukiwanie pralni samoobsługowej i baru, gdzie sprzedaliby jej kawę z mlekiem.

Kłopot w tym, że nigdzie we Włoszech nie widziała ani jednej pralni.

Było już późne popołudnie, a Williama ani śladu, więc ubrała się i wyszła w duszny skwar piazzы. Historyczne centrum Lukki otoczone było średniowiecznymi fortyfikacjami o szerokości jednopasmowej ulicy. Z murów można było zobaczyć wzgórze albo spojrzeć w dół na miasto. Można też było odpocząć w cieniu jednego z wiekowych jesionów.

Ludzie zażywali wieczornej *passeggiaty*, turyści jeździli na rowerach, a po trawnikach biegały roześmiane dzieci. Od kamiennych murów czuć było lekki chłód, więc weszła na ścieżkę i włączyła się w nurt spacerowiczów.

Ileż satysfakcji przyniosło jej spotkanie z Robbiem. Już po wszystkim. Postraszyła go nawet bronią, rzucając mu w twarz zdania, o które sama by się nie podejrzewała. Nie, wcale nie było lepiej. Skoncentrował się na niej, ale tylko dlatego że miała broń.

Powinna...

Musiała odskoczyć z drogi dwóm krzyczącym wniebogłosy, zanoszącym się śmiechem dziewczynom, pędzącym na tandemie, nad którym najwyraźniej straciły kontrolę.

Patrzyła, jak łapały równowagę, po czym poszła dalej, uśmiechając się do siebie.

Powietrze było tu świeższe i gdyby tylko był przy niej William, chwilę można by uznać za idealną.

Idącej powoli średniowiecznymi uliczkami spowitymi zmierzchem Lily wszystko wokół wydawało się niezwykle piękne: nierówny bruk, donice poustawiane na murach, pełne stokrotek, azalii i bratków, rozwarte okiennice na tle białych ścian budynków. Nawet kurz

pod stopami wydawał się pełen uroku. Weszła do hotelu i recepcjonista od razu zwrócił na nią uwagę.

- *Signora Isyanov?*

Zaskoczona, podniosła na niego wzrok. Prawie zaprzeczyła, ale powstrzymała się, postanawiając nie komplikować spraw.

- *Si.*

- Pani mąż, on dzwoni i mówi, że późno w pracy z *polizia* i kolacja bez niego.

- *Grazie* - rzuciła krótko, udając, że spodziewała się takiego obrotu sprawy. Musi pamiętać, żeby porządnie zamknąć drzwi, czekając na powrót Williama. Tylko kiedy to nastąpi?

## ROZDZIAŁ 21

Zbudziło ją pukanie do drzwi. Było natarczywe: kilka stuknięć, przerwa, znów pukanie. Usiadła, przetarła twarz dłonią i wyjrzała przez okno. Był już ranek, światło sączyło się przez okiennice. William spał obok niej, ale był ubrany, jak gdyby padł natychmiast po powrocie do pokoju.

- Williamie... drzwi.

Spał na brzuchu, z twarzą ukrytą w poduszce.

- Ktoś puka do drzwi. Zostań tu, otworzę.

- Cholera - westchnął i przewrócił się na bok. - Ja pójdę, to pewnie jeszcze policja. -  
Chwiejnym krokiem poszedł otwierać.

Lily spostrzegła ślady krwi na poduszce. Ten człowiek potrzebował odpoczynku.

- Cześć, chcę się widzieć z Lily.

Zapanowała chwila ciszy. Lily zastygła, rozpoznając głos Robbiego. Błyskawicznie usiadła i zaczęła nasłuchiwać.

- Jak nas znalazłeś? - usłyszała głos Williama.
  - Kumple w policji dali mi namiar. A teraz odsuń się, bo chcę porozmawiać ze swoją dziewczyną.
  - Nie chce cię widzieć.
  - Może jednak mnie przepuścisz? Wolałbym sam z nią pomówić.
- Ze swego miejsca Lily nie widziała żadnego z mężczyzn, ale mogła wyobrazić sobie mowę ich ciał. Serce zabiło jej wściekle, gdy usłyszała, jak Robbie woła:
- Lily! Poczekam na ciebie na dole!
- William zatrzasnął drzwi i wrócił do pokoju. Stał przed łóżkiem i spojrzał na nią zdrowym okiem. Lily zerwała się, wciągnęła poplamioną czerwoną sukienkę, założyła bieliznę i poprosiła, by zasunął jej zamek.
- Schodzisz się z nim zobaczyć? - spytał, nie ruszając się z miejsca. - Wystarczy, że gwizdnie na ciebie, a ty biegniesz? Tak to działa?
  - Muszę to zrobić. Muszę z nim porozmawiać, zachować się rozsądnie. On i ja...
  - Nie mam ochoty na rozsądek. Owinie cię wokół małego palca.
  - Nie - zapewniła, podchodząc do niego ostrożnie, próbując złożyć pocałunek na jego poranionej twarzy. - Nie wiem, gdzie ucałować, nie chcę, żeby cię zabolalo.
- Złapał ją za przegub.
- To nie idź tam.
- Spojrzała na niego z zaskoczeniem, po czym pocałowała dłoń trzymającą ją w nadgarstku, szepcząc:
- Puść, porozmawiamy, jak wrócę.

Chwyliła za szczotkę, uczesała włosy, wsunęła stopy w płaskie sandały, po czym wyszukała w torebce szminkę i zaczęła nakładać ją na usta.

- Nie idź, nie rób tego.

- Muszę, muszę całe swoje życie wyplątać z jego sieci.

- Nie, wcale nie musisz, przynajmniej nie teraz. Mówił spokojnym tonem, jakby chciał przekonać

samobójcę, by zrezygnował ze skoku. W jego głosie brzmiała nuta rozpacz.

Niemniej jednak podeszła do drzwi, oparła się o nie i wyjaśniła:

- Mam wobec niego pewne zobowiązania, Williamie. Niedługo wrócę, możemy wtedy zjeść śniadanie. - Szarpnęła drzwi i wyszła.

Zbiegła po schodach i ujrzała Robbiego czekającego w holu. Dołączyła do niego i rzekła lodowato: - Czego chcesz?

Spróbował ją pocałować, ale odsunęła się.

- Chodźmy na kawę.

- Jest Wielkanoc, wszystko będzie pozamykane.

- Znam jedno miejsce, pokażę ci.

Wziął ją za rękę i wyciągnął na zalaną słońcem *plazę*. Dopiero dziewiąta rano, a upał był nie do wytrzymania. Lily wyrwała dłoń z jego uścisku i starała się zachować dystans.

Przeszli przez plac i zniknęli w bocznej alejce. Zdawał się dobrze orientować w labiryncie uliczek, skręcał śmiało to w jednym, to w drugim kierunku, aż wreszcie dotarli do okrągłego Piazza Anfiteatro. Robbie poprowadził ją do kawiarni, porozmawiał z mężczyzną stojącym za barem, wymienili

kilka dowcipów, po czym zabrał ją do stolika wystawionego na tylne podwórko.

- Nie chcę siedzieć na zewnątrz - zaprotestowała Lily. - Nie posmarowałam się kremem z filtrem.

- Ach, tak, liliowobiała cera Lily... Jak szybko człowiek zapomina.

Wróciwszy do chłodnego mroku kawiarni, wybrali stół i usiedli.

- Wyglądasz pysznie, jak zwykle, moja śmietanko.

- Chyba zakończyliśmy już etap czułości, nieprawdaż? I proszę ciastko do kawy.

Podano kawę i Lily zamówiła croissanta z marmoladą.

- Lily, tak strasznie mi przykro. - Ujął jej dłoń. - Nie kłamałem mówiąc, że zrobiłem to wszystko dla nas. Chciałem sprzedać księgę tutaj, zarobić fortunę i zapewnić nam luksusy już do końca życia.

- A Graciella?

- Och, znasz moje słabości, Lii. Było miło, ale to tylko na czas pobytu tutaj. Miała ochotę na odrobinę wakacji.

- Ma dopiero siedemnaście lat, nie miałeś prawa wciągać jej w swoje brudne plany.

- Brudne? Nie mówiłabyś tak, gdybym wrócił do domu, przywożąc ci dwadzieścia milionów. A zrobiłbym to, gdyby ten palant Isyanov nie spaprał całej akcji. Miałem już nagrzanego kupca, umówiłem się z nim tuż po świętach.

Lily upiła łyk kawy i oderwała kawałek croissanta, czując, że jej cierpliwość jest właśnie naciągana niczym gumka recepturka i że istnieje obawa, że zaraz trzaśnie, prosto w jego twarz.



- Ten palant, jak mówisz, był przy mnie w sposób, w który ciebie nie miałam nigdy.  
- A jak długo go znasz? Nie wydaje mi się, żeby zrobił dla ciebie tyle co ja. I ja cię kocham, dobrze o tym wiesz.

- Z tym że, Robbie - rzekła, pochylając się w jego stronę i otwierając szeroko oczy - ty nie traktujesz ludzi, których darzysz miłością, tak jak mnie.

Dokończył kawę jednym haustem i pokazał kelnerowi na migi, żeby przyniósł mu jeszcze jedną.

- Odtąd będę się zachowywał inaczej, obiecuję.

Lily nie mogła się powstrzymać: oparła się na krzesło i roześmiała, a gdy ujrzała na jego twarzy zranione spojrzenie, śmiała się jeszcze głośniejsz. - Nie oszukuj się, Rob, dobrze wiesz, że nigdy się nie zmienisz.

- Mylisz się. Zawsze podziwiałem to, jak się pozbierałaś, jak pomyślnie przeszłaś terapię: po prostu uparłaś się i osiągnęłaś cel. Nigdy się przed tobą nie przyznałem, ale zawsze wiedziałem, że jesteś silniejsza ode mnie, dużo silniejsza. I mam świadomość, jaki niesamowity szczęściarz ze mnie, że cię mam, ale nie potrafiłem się powstrzymać.

Lily słuchała z otwartymi ustami. Nigdy nie rozmawiał z nią w ten sposób. Zawsze dawał do zrozumienia, że jest słaba, nigdy nie powiedział, że jej potrzebuje.

Odchylił się w tył i oznajmił:

- Nazywam się Robert Schwartzman i jestem seksoholikiem. Co ty na to?

- Chyba wymaga to trochę więcej wysiłku - prychnęła.

- Pójdę się leczyć, przejdę terapię, pokonam to, przysięgam ci, Lily. Kiedy cię wczoraj ujrzałem, serce

o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Oto ona, moja piękna Lilijka, idzie ku mnie po tych wszystkich tygodniach rozłąki. A teraz patrzę, jak odchodzisz z Isyanovem... -Ukrył twarz w dłoniach. Z trudem powstrzymała się przed odruchową reakcją wyciągnięcia do niego ręki.

- Całą noc nie spałem. Przed oczami przebiegały mi wszystkie nasze wspólne lata, te straszne i te cudowne. Nasz dom, nasz synuś Otto i cały ten wysiłek, który włożyliśmy w rozkręcenie firmy. A jaką mieliśmy frajdę, podróżując po towar!

Lily westchnęła. Była skrajnie wyczerpana wszystkim, co się wydarzyło, i tym, co działo się nadal.

Oznajmiła mu, że to koniec, ale wiedziała, że wcale to do niego nie dotarło. Nie pojmie tego, dopóki nie rozdzieli swoich spraw, nie tylko w sferze uczuć, lecz również tej praktycznej.

- Spójrz na mnie, maleńka - poprosił, podnosząc jej brodę. - Isyanov słucha cię, bo mu za to zapłacono. Dostanie niemałą sumkę za wytropienie książki, która sama wpadła nam w ręce, a tobą interesował się, dlatego że mogłaś doprowadzić go do mnie.

Odepchnęła jego dłoń i założyła ręce na piersi.

- To obrzydliwe insynuacje. A Graciella? Jak mogłeś potraktować tak młodą dziewczynę, skoro mowa o wykorzystywaniu ludzi. Jak mogłeś się tak zachować?

- Już wszystko załatwione: wsadziłem ją w autobus do Rzymu, polecą stamtąd do domu i będzie dobrze.

- Czasem potrafisz być potworem! Ma siedemnaście lat, ty ją tu przywiozłeś, powinieneś sam odstawić ją do matki.

- Nie przesadzaj, nic jej nie jest. - Po czym wstał, proponując: - Chodźmy się przejść. Stary, niereformowalny Robbie: zmienić temat albo wyjść. Teraz znowu przydałby się jej pistolet, żeby zmusić go do koncentracji. Nie wstawiała, więc i on usiadł z powrotem.
  - No co? Będziesz mi prawila kazania?
  - Ach, więc wystarczy, że ty powiedziałaś, co ci leżało na sercu, a moimi problemami nie jesteś już zainteresowany? Niestety, wysłuchasz ich.
- Jego twarz przybrała wyraz znudzenia, z odcieniem „żadnych-kazań-proszę”. Zerknął na kelnera, po czym wyjrzał przez otwarte drzwi na zalaną słońcem piazzę. Widziała wyraźnie, że nie ma ochoty stawić czoła zarzutom pod swoim adresem, ale nie odpuściła.
- Za każdym razem, kiedy spałeś z inną kobietą, coś pomiędzy nami umierało...
  - Słuchaj, już to przerabialiśmy.
  - Umierało - ciągnęła - aż wreszcie umarło całkiem. Ty to zabiłeś, a ja stałam z założonymi rękami, pozwalając, by tak się stało. Ponoszę winę tak jak i ty, z tym że ja za tchórzostwo, ty za nieuczciwość. A teraz odpuśćmy już sobie, bo mnie zupełnie już nie zależy.
  - Nie mogłem nic na to poradzić! Właśnie ty powinnaś zrozumieć, jak to jest cierpieć z powodu uzależnienia!
  - Rozumiem aż za dobrze, ale ja już od trzech lat nie mam tego problemu. Muszę wreszcie zostawić to za sobą. Przykro mi, naprawdę, ale nie uświadamiałam sobie nawet, jak bardzo się od siebie odsunęliśmy, dopóki nie ujrzałam cię wczoraj nad basenem. Poczułam, że jest

mi zupełnie obojętne, co zrobiłeś i co tobą powodowało. Już mnie nie interesujesz.

- A Isyanov tak?

- To bez znaczenia.

Robbie stukał nerwowo w blat stolika, rozglądając się wokół.

- Wykorzystał cię, dobrze o tym wiesz. Cierpiąca kobieta, zobaczmy, co możemy z niej wyciągnąć. Dla niego to tylko robota, nic więcej. Odzyskał książkę, więc więcej go nie zobaczysz. Nie chcę sprawić ci przykrości, ale musisz wiedzieć, że pocieszanie zbolących kobiet to premia towarzysząca wykonywanym zadaniom.

Lily patrzyła na niego, nie przyjmując do wiadomości jego słów. Mylił się, była tego pewna.

- Skończy się łzami, zobaczysz. Twoimi, oczywiście. To agent, do tego wredny, a Bóg jeden wie, co on naprawdę myśli o twoim problemie.

Wstała, poprawiając sukienkę.

- Już się z tym „problemem” nie borykam.

- Kocham cię i nie poddam się bez walki - oznajmił, patrząc na nią wyzywająco.

- Opowiadasz bzdury, Robbie.

- Dlaczego? Przecież nigdy nie spisałem cię na straty?

- Muszę iść, na razie.

- Do zobaczenia wkrótce! - zawołał za nią, gdy wychodziła.

Gdy opuszczała kawiarnię, była jedenasta dwadzieścia, ale trafienie z powrotem do hotelu okazało się trudniejsze, niż przypuszczała. Nie pamiętała jego nazwy

i po chwili błędzenia zorientowała się, że zatacza kręgi w labiryncie średniowiecznych uliczek. Stawała się coraz bardziej zdenerwowana: obiecała Williamowi, że wróci na śniadanie, a tymczasem dzwony katedry wybijały właśnie południe.

W holu komisariatu rozbrzmiewały kroki. Wielkanoc oznaczała wolne dla większości funkcjonariuszy, ale policjanci, którzy uczestniczyli w akcji na farmie, krzatali się na miejscu, paląc, odbierając telefony, dyskutując, czy też czekając z nogami na biurkach. William siedział w gabinecie kapitana, podczas gdy ten raz po raz do kogoś telefonował, namierzając ludzi, którzy udali się na świąteczny urlop, czekając, aż oddzwonią ci, których nie zastał, i wypełniając formularze.

Głowa mu pękała, szwy go cisnęły, siniaki były bolesne. Czekał na Lily, aż wróci ze spotkania z Robbiem, ale nie nadeszła, a policja wezwała go na komisariat. Mówiła, że wróci na śniadanie, lecz czuł w kościach, że tak się nie stanie.

Obserwował uważnie jej spotkanie z Robbiem. Czekał tylko, czy pojawi się rysa, jakieś pęknięcie, które umożliwi Robbiemu wślizgnięcie się z powrotem w jej życie. Gdyby tylko udało mu się zakończyć sprawy tutaj i wrócić do niej, zobaczyć jej twarz, dotknąć jej i dowiedzieć się, jak się czuje... Ale było już tak późno... Jeśli Robbie się postara, wkupi się z powrotem w jej łaski bez większych trudności.

Upał i bezustanna gadanina policjantów szargały mu nerwy. Nie miał przy sobie kreteków, a wyjęcie

szkicownika w tym kipiącym testosteronem tłumie podkopałoby jego wiarygodność lub miało jeszcze gorsze konsekwencje. Nagle od strony dyżurki dobiegł go znajomy głos: ktoś o australijskim akcencie starał się być zrozumiany przez Włochów. To Robbie, pytał o niego.

Wstał, czując, jak ból rozsadza mu głowę, i walcząc z mdłościami, przemierzył korytarz.

- Robbie! - zawołał i oparł się o ścianę.

Robbie odwrócił się, zaskoczony, i podszedł do niego.

- Wyglądasz o wiele gorzej niż rano.

- Czego chcesz? - spytał ze znużeniem William.

- Podziękować, że tak ładnie zająłeś się dla mnie Lily.

- Dla ciebie?

- Jasne. Ma pewne, nazwijmy to, kłopoty, zauważyłeś pewnie wczoraj.

- Opowiedziała mi o wszystkim jeszcze w Sydney i wydaje mi się, że tamten etap został już daleko za nią.

Robbie przygładził włosy ręką.

- Tak twierdzi, ale w rzeczywistości już od dawna sobie nie radzi. Więc dzięki za wszystko, możesz ją już zostawić w spokoju.

William wyprostował się, odrywając się od ściany.

- Chyba powinienem usłyszeć to od niej, nie sądzisz?

- Jeśli tego właśnie chcesz. - Robbie wzruszył ramionami. - Ale wiesz, ona kocha mnie, a ja ją, spotkamy się w Sydney, w domu, i spróbujemy zacząć wszystko od nowa.

William nie przerywał, więc Robbie ciągnął dalej:

- Pobierzemy się, ja pewnie wrócę na studia prawnicze. Tak więc... - Wyciągnął dłoń w kierunku rywala. - Raz jeszcze dzięki, już sobie poradzimy bez ciebie.

- Nie wierzę ci.

- Nie musisz. Ale jeśli wydaje ci się, że możesz wtargnąć w nasze życie i w ledwie kilka miesięcy uwieść moją dziewczynę, to grubo mylisz się co do niej.

- Twoją dziewczynę? Z tego, co słyszałem, dziewczyn masz na pęczki.

Robbie udawał, że nie słyszy.

- Lily może być chwilowo skołowana, może nawet przespała się z tobą, ale zrobiła to tylko po to, by odegrać się na mnie.

- Okłamujesz ją i...

- Lily należy do mnie! - krzyknął Robbie. - Utrzymałem ją przy życiu, nie pozwoliłem, by się stoczyła. Żyje tylko dzięki mnie i masz się trzymać od niej z daleka. Nie masz u niej żadnych szans.

William z trudem zwalczył ochotę przyłożenia mu w tę bezczelną twarz.

Robbie obrócił się, by odejść, ale wrócił jeszcze, wzburzony, szturchnął Williama palcem w pierś i powiedział:

- Wiem to wszystko od niej. Powiedziała, że nic dla niej nie znaczyłeś. Zupełnie nic.

William patrzył, jak odchodzi. Potem, podpierając się o ścianę, osunął się na krzesło. Ból rozpierał mu czaszkę, wracały mdłości. Zacisnął powieki, jakby w ten sposób dało się wymknąć cierpieniu.

Nie uwierzy, dopóki nie usłyszy tego z jej ust, dopóki nie spojrzy na niego tymi szarymi oczami i nie powie wyraźnie: „Wracam do Robbiego”. Poczul ucisk w gardle, nie był w stanie przełknąć śliny.

Łazienka była zalana, na podłodze leżał nasiąknięty ręcznik, na dywaniku widniały mokre odciski stóp, na półeczce pod lustrem stało pudełko wilgotnych chusteczek higienicznych, a ze ścian ściekała woda. Ślady człowieka, ale to wszystko. Usiadła na łóżku, po czym padła na nie z westchnieniem. Musieli się minąć.

W recepcji nie czekała na nią żadna wiadomość, a samochód stał nadal na hotelowym parkingu, więc William nie mógł być daleko. Nie chciała ponownie nękać recepcjonisty pytaniami o wiadomości, ale poprosiła o udostępnienie telefonu i wyszukanie numeru na komisariat policji w Lukce.

- *Pronto.*

- *Yy... buongiorno, szukam...*

Męski głos wyrzucił wartki potok słów, najpewniej informując ją, że nie mówi po angielsku. Nabrała powietrza i spytała krótko:

- *Signore Isyanov?*

Usłyszała ożywioną dyskusję pomiędzy kilkoma mężczyznami, policjantami, jak przypuszczała. Kłócili się najpierw, a potem rozległ się śmiech.

- *Signore Isyanov, no, mi dispiace.*

- *Grazie.* - Rozłączyła się.

Recepcjonista oczywiście słuchał, co mówiła, i wyjawiał, iż *signore Isyanov* wyszedł dosłownie dziesięć minut



temu. Dlaczego odnotował ten fakt, pozostawało dla niej tajemnicą, ale wróciła do pokoju, by tam na niego czekać.

Jego torba leżała na podłodze pod oknem. Uklękła, otworzyła ją i wtuliła twarz w ubrania, wdychając jego zapach i przesuując palcami po tkaninach. W rogu torby była reklamówka ze sklepu Sainsbury's, a w niej -szkicowniki. Usiadła na podłodze i wyjęła je, po czym zaczęła oglądać rysunki. Nie było szkiców dłoni ani twarzy, nawet wykonanego ukradkiem jej portretu. Strony wypełnione były sprzętami lub ujęciami kątów, formalnymi wprawkami w kresce, kształcie i perspektywie, zdyscyplinowanymi i niemal zbyt perfekcyjnymi. Miała nadzieję trafić na bazgroły, skreślenia, notki na marginesach, ale nie - z kartek wiał chłód pozbawionych emocji linii.

Ktoś pukał do drzwi. Podniosła wzrok znad szkicowników i poczuła przypływ wyrzutów sumienia. Może zapomniał klucza? Skoczyła otwierać, uśmiechając się z ulgą, lecz za drzwiami nie było Williama: stał przed nią Sebastian.

## ROZDZIAŁ 22

- Co u licha...? - Rzuciła mu się na szyję, ściskając mocno i śmiejąc się w głos. - Co ty tu robisz?

- Pakuj się, musimy jechać! - rzucił, zamykając za sobą drzwi.

- Co takiego?

Patrzyła na niego z otwartymi ustami.

- Czekam na Williama, nigdzie nie idę. A ty co tu robisz? To Robbie, tak...?

- Nie możemy tu zostać, aż wróci William, i uwierz mi, nie chcesz go więcej widzieć. Nie jest tym, za kogo go uważasz!

Lily stała bez ruchu, wpatrzona w Sebastiana. Przeszedł obok niej, podniósł z podłogi jej torbę i w milczeniu zaczął wrzucać do środka ubrania.

- Bzdury - zaśmiała się. - Czy to Robbie namówił cię na tę akcję?

Z zaciśniętymi zębami walczył z zamkiem torby. Z niepokojem dotknęła jego ramienia.

- William jest dokładnie tym, za kogo się podaje,

wiem to na pewno. Poznałam jego przyjaciół, znam go, ja...

- Przespałaś się z nim, tak, kumulując komplikacje. Szybko, musimy iść.

Nie drgnęła. Westchnął zniecierpliwiony i poszedł do łazienki, gdzie jednym ruchem ręki zgarnął do torby wszystkie jej kosmetyki.

- Dlaczego? - Poczwała, że oczy już pieką ją od łez, a głos zaczyna się łamać. - Jakie znów komplikacje? Co to ma wspólnego z tobą? Po co tu przyjechałeś? Nie dzwoniłam po ciebie i nie potrzebuję ratunku.

Sebastian zignorował jej pytania.

- Może Isyanov ma jakichś przyjaciół, ale widocznie i oni nie znają prawdy. Tobie też raczej jej nie opowie. Nie próbuje odzyskać księgi dla firmy Weston, choć taka jest oficjalna wersja.

Lily zamrugała i obserwowała go, starając się zrozumieć to, co usłyszała. Wszystko, co zdołała już sobie poukładać, runęło nagle w gruzach. Co jeszcze? Zaraz dowie się, że Otto to w rzeczywistości pudel.

- Ale książka trafiła w ręce policji, już po wszystkim! - wyjąkała.

- Mają kopię. Jak tylko się zorientują, wszyscy będziemy poszukiwani, również ty, ślicznotko, jako lepsza połowa Robbiego. Dużo lepsza, powiem szczerze. Więc bądź grzeczna i chodź ze mną.

Lily ani drgnęła.

- Jacy wszyscy? I co to znaczy kopię?

- Robbie zlecił wykonanie jej we Florencji, niemało go to kosztowało. Spodziewaliśmy się takiego obrotu sprawy, gdy na scenę wkroczył Isyanov.

- My? Ty i Robbie? Wiedziałaś, gdzie on jest i co robi, i zataiłeś to przede mną?
- Mogę wyjaśnić w samochodzie?

Siadła z impetem na łóżku i otarła z policzków łzy.

- Nie, do cholery, nie możesz.

Położył dłoń na jej ramieniu, ale odepchnęła go.

- Nie wzięliśmy pod uwagę tego, że dasz się uwieść facetowi, który przybędzie szukać książki, ani tego, że jak idiota weźmie cię ze sobą. Chcieliśmy, żebyś została w domu i pilnowała interesów, zanim nie dokonamy transakcji.

- No to spieprzyliście robotę, co? - warknęła, choć głos jej drżał.

- Dwadzieścia milionów, Lii, do podziału na troje. Nie spieprzyliśmy, a przynajmniej jeszcze nie. Policja i zbiry ruszą teraz w pogoń za Robbiem i wszystkimi związanymi z nim osobami, więc proszę cię, jedźmy już.

Patrząc na niego spod mokrych rzęs, mnąc w dłoniach sukienkę, wyszeptała:

- Nie rozumiem tego, co mówisz o Williamie. Seb uklęknął przy niej i ujął jej ręce w swoje.

- Nie wątpię, że zależy mu na tobie, ale to bandzior, i to bezwzględny. - Przerwał, wziął głęboki oddech i powiedział: - Kazał Robbiemu wziąć cię do domu. Widzieli się na komisariacie chwilę temu, jeszcze nie wie, że zdobył falsyfikat, więc musimy zmykać.

- Wziąć mnie do domu?

Twarz wykrzywiła jej się, trysnęły gorące łzy. Zaczęło ciec jej z nosa, ale pozwoliła, żeby łzy kapały na czerwoną sukienkę, nie dbając już o nic.

- Czemu?

- Słuchaj, Lily, ty, my, my wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie. Nie mogliśmy zostawić cię tu samej. A jeśli chodzi o Williama... Mam ci to powiedzieć wprost, wielkimi literami? Siedziała z twarzą wykrzywioną bólem i z dłońmi złożonymi na kolanach.

- Tak, musisz!

Sebastian postawił ją na nogi i objął ramieniem.

- Potrzebował cię, by odnaleźć Robbiego. Wydaje mu się, że sprawa załatwiona, więc nie będziesz już przydatna.

- Kłamiesz, tak?

- Nie, nie tym razem.

Spojrzała na szkicowniki rozrzucone po podłodze: strona po stronie chłodnych, wykalkulowanych rysunków. Ani jednego błędu.

Sebastian ujął jej dłoń i pozwoliła mu się wyprowadzić, czując się jak w złym śnie. Wyszli na piazzę. Popołudniowe niebo wisiało nad nimi ciężko, grożąc deszczem. Przecięli drogę okalającą od zewnątrz średniowieczne mury i poszli boczną uliczką na parking za sklepem ze sprzętem elektronicznym. Czekał na nich Robbie, oparty o czarne renault. Uśmiechnął się i ruszył do niej, ale rzuciła mu nienawistne spojrzenie.

- Lily, skarbie, przepraszam, że tak to wyszło.

- Nie zbliżaj się do mnie - wysyczała.

- Nadal do ciebie nie dociera, co? Będziemy mieli tyle kasy, że zwariujemy!

- I co z tego? W zasadzie to dlaczego ja w ogóle mam z wami jechać? Weź sobie mój udział, leć do Sydney

i zabieraj swoje rzeczy z mojego domu albo sama wyrzucę je po powrocie.

Twarz Robbiego spochmurniała, usiadł za kierownicą i trzasnął drzwiczkami. Sebastian otworzył przed nią tylne drzwi, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Wy tłumacz mi raz jeszcze, dlaczego z wami jadę? -Bo...

- Ja ci wyjaśnię - warknął Robbie, wysiadając z powrotem. - Twój kochaś zamierzał cię rzucić, kiedy tylko dotarł do mnie. Jest kompletnym draniem, a ty zostałam bez innych opcji niż podróż z nami, chyba że wolisz sama zorganizować sobie powrót do domu, a przy okazji rozprawić się z facetami, którzy nas ścigają. Więc skończ z tą histerią i wsiadaj. Zawahała się jeszcze i obejrzała na mury miasta. Nie wiedziała, czego się trzymać: wyglądało na to, że okłamali ją wszyscy. Zajęła miejsce na tylnym siedzeniu, zatrzasnęła za sobą drzwi, a mężczyźni usiedli z przodu.

Sebastian wyjrzał przez okno, gdy Robbie wypuścił ostatnią zatrutą strzałę:

- Widziałem Williama dziś na komisariacie i sam powiedział, że lepiej będzie, jeśli wrócisz do Sydney.

- Ale książkę masz ty.

- Tak, i sprzedam ją, czy ci się to podoba, czy nie. I to zanim on się zorientuje.

Ruszyli w drogę. Lily patrzyła, jak za oknem mignęły szpital, ponure przedmieścia, a potem wjazd na autostradę. Pędzili na wschód w stronę zjazdu na Rzym. Żaden z mężczyzn nie odzywał się ani słowem, ona również milczała. Nie obchodziło jej, dokąd i po co jadą. Nie zależało jej na książce ani pieniądzach. Fakt, że była

nadal w przepoconej czerwonej sukience, nie robił jej różnicy. Przygoda się skończyła i przyjechali po nią rodzice. Z powrotem do księgarni, gdzie będzie siedzieć w słońcu, patrząc, jak życie płynie meandrami dzień po dniu, udając, że Robbie jest wierny, Sebastian to najlepszy przyjaciel, a ona uwielbia to, czym się zajmuje.

Nie mogła uwierzyć, że William ją okłamał. I czy przeszkadzałoby jej, gdyby nawet okazał się bezlitosnym bandziorem? A czy Robbie nim nie był? Kochała Williama, a przynajmniej tę jego część, którą знаła. Był nieustępliwy, skupiony na konkretach i czasem trudny w obejściu, ale w stosunku do niej zachowywał się delikatnie, nawet jeśli się kłócili. A jeśli to miała być definicja bycia bezlitosnym bandziorem, to trudno, i tak wolała to niż tych dwóch kłamców z przodu. Obserwowała, jak szepczą, obaj zadowoleni z siebie i pyszni jak pawie. A jak będą się przechwalać, gdy wypali ich chytry plan! Jacyż oni sprytni. Mają w garści książkę, a będą mieć fortunę, zdobyli też Lily, a na boku jeszcze siedemnastoletnią laseczkę.

Lata aroganckich przeświadczeń na swój temat: jacy to nie są ekstra, jacy to z nich świetni życiowi gracze, którzy sami dyktują losowi, co ma im przynieść: szczęście, gorące laski i czego tylko dusza zapragnie.

Ale tej małej ptaszynki nie utrzymają przy sobie, oj nie.

William wrócił do hotelu późnym popołudniem. Nie przyjmował do wiadomości słów Robbiego. Spacerował ulicami Lukki, obracając wszystko w myślach, ćwicząc,

co też jej powie. Zażąda prawdy i wyjaśnienia, dlaczego tak postąpiła. Z tym że w pokoju hotelowym zastał jedynie swoją torbę. Naprawdę odeszła.

Usłyszał, jak za oknem zaczyna padać deszcz - najpierw leciutkie pacnięcia kropel, potem głośnie dudnienie. Rozejrzał się po pokoju, szukając chociaż śladu jej bytności, choćby blond włosa. Nie było jednak nic.

Stać z boku i pozwolić jej dokonać wyboru, nie wpływać na nią. Co za pieprzony idiota. Siadając na łóżku, schował twarz w dłoniach. Ścisnął pulsujące bólem czoło.

No, to dokonała wyboru, i to by było na tyle.

Deszcz wzmógł się, gdy docierali do Florencji. Lily nie przestawała mruczeć pod nosem, a warunki na drodze były gorsze niż złe. Autostrada prowadziła teraz na południe, omijając zabudowania przemysłowe zachodniej części Florencji, gdzie wytwarzano skórzane kurtki i torebki oraz ceramikę. Na drodze znów królowały ciężkie TIR-y, niemieckie, korsykańskie, i te pędzące na południe, by wjechać na prom z Neapolu do Palermo i Tunezji.

Słyszała, jak mężczyźni rozmawiają przyciszonymi głosami, słyszała ich śmiech. Pewnie gratulują sobie nawzajem sukcesu. Kilkakrotnie wspomnieli ogrody willi Borghese, pewnie jutro ma tam zostać sfinalizowana ich transakcja.

Sebastian, dobry, stary Seb, wciąż ją okłamuje. Miała dobry widok na tył jego blond głowy i patrząc na niego, poczuła, że znów zbiera jej się na płacz.



- Sebastian! Jak mogłeś? Odwrócił się do niej i odparł:
  - Miałem dopilnować, żeby wszystko było w porządku. Nic by ci się nie stało, gdyby William zostawił cię w Sydney.
- Robbie powoli pokręcił głową.
- Dałem Robbiemu kontakty - ciągnął Sebastian -ale to ja wymyśliłem, żeby śledzić cię do Włoch. Isyanov nie powinien był zabierać cię ze sobą. Mogła ci się stać krzywda.
  - Proszę, jak Isyanov o ciebie dba - powiedział z przekąsem Robbie.
- Lily zignorowała go.
- Ale jak miałeś zapewnić, że wszystko będzie w porządku, skoro ta menda za kierownicą ukradła nasze pieniądze? Jak miałam sobie radzić?
  - Nie wiedziałem wtedy, że to zrobił, naprawdę. -Rzucił Robbiemu cierpkie spojrzenie. - Graciellą też mnie zaskoczył.
  - I przyprowadziłeś dwóch mafijnych zbirów prosto do księgarni! Może niezły z ciebie gracz, ale zdecydowanie amator!
  - Staralem się wam pomóc zdobyć trochę forsy i owszem, jestem amatorem, obaj jesteśmy...
- Sebastian, siedząc w przednim fotelu, lecz obrócony częściowo do tyłu, starał się wkupić z powrotem w jej łaski, lecz nagle Robbie westchnął zniecierpliwiony i uderzył pięścią w kierownicę.
- Musiałem się uciec do wszelkich środków! Jak miałem załatwić falsyfikat, nie dysponując forszą?

- Ach, a Graciellą była niezbędna do zaspokajania bieżących potrzeb - szydziła Lily. - Robbie musi przecież mieć pod ręką coś do zaspokojenia apetytu, nie jest w stanie podróżować bez przenośnej wyładowarki frustracji seksualnej. Niektórzy nie ruszają się z domu bez grzałki do herbaty, a...

- A ty? Ledwie wyszedłem za próg, wskakujesz do łóżka z pierwszym lepszym facetem, który zastukał do drzwi?

- Jest wart miliona takich jak ty.

- Zatkaj się dżemem, Lily - zakończył dyskusję, kręcąc głową.

- Zatkać się? A może ty, dla odmiany, się nie zatykaj, tylko wyprodukuj jeszcze więcej kłamstw, tak dobrze ci idzie.

- To ty wszystko spaprałaś, dobrze o tym wiesz! -odkrzyknął Robbie. - Ty i ten...

- Zamknijcie się wreszcie oboje! - wrzasnął Sebastian.

Oddychając ciężko ze złości, Lily kalkulowała, jakie miałyby szanse na przeżycie, gdyby w tej chwili opuściła samochód. Wycieraczki szalały, by nadażyć z usuwaniem deszczu z szyby, ciężarówka z naczepą minęła ich właśnie, zalewając renault falą wody, widoczność spadała, w odróżnieniu od prędkości. Autostradę zajmowały ciężarówki, auta rodzin wracających z przerwy świątecznej oraz samochody z wypożyczalni prowadzone przez turystów, zszokowanych maniackalną prędkością wymagającą absolutnego skupienia. Lily, urażona, snuła czarne myśli. Patrzyła na krople deszczu, spływające poziomo po szybach. William

nie polecił Robbiemu zabrania jej do domu. Co jej się ubzdurało? Gdyby miała obstawiać kogoś w pojedynku na prawdomówność, byłby to William. Opiekował się nią w noc, gdy odkryła brak pieniędzy, postarał się, żeby Otto nie poszedł spać głodny, a co najbardziej znamienne, celowo unikał kochania się z nią po tym pierwszym razie, żeby właśnie jej nie wykorzystać. Incydent w szpitalu się nie liczył: to ona wykorzystała jego, leżącego w bandażach w łóżku.

A poza tym, nie tylko wziął sobie do serca jej prośbę o wiersz, ale posunął się do wyszukania wiersza miłosnego pióra Puszkina i zadeklamował go jej po tym, jak się kochali. W dodatku wyrecytował go z uczuciem. Takiego mężczyzny nie należało spisywać na straty.

Deska rozdzielcza podświetlała kabinę samochodu, rzucając nikły blask na dwóch przyjaciół. Napięcie wypełniało wnętrze auta, choć nikt nie odzywał się ani słowem, nie było takiej potrzeby. Musiała go odnaleźć, uciec od nich i odszukać drogę do niego, i to szybko, żeby nie utwierdził się w przekonaniu, że odeszła z Robbiem.

- Chcę się zatrzymać.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Minęli zjazd na Chiusi.

- Chcę się zatrzymać! - krzyknęła z całych sił. - Słyszycie mnie!?

- Nie ma szans, rano musimy być w Rzymie. Tam staniemy - burknął Robbie.

Sebastian odwrócił się do niej.

- Będziemy musieli przespać się w aucie. Gdybyśmy wynajęli pokój, kazaliby pokazać paszporty, a nie

możemy ryzykować. Mamy już trzy bilety do Sydney na jutrzejsze popołudnie.

Lily zignorowała go i zaczęła kopać w oparcie przedniego fotela. Tłukąc dłonią w siedzenie obok siebie, krzyczała jednostajnie, żeby się zatrzymał.

- Na litość boską, kobieto, zamknij się! - nie wytrzymał Robbie, próbując skoncentrować się na drodze. Deszcz rozmywał reflektory innych aut i przy prędkości, z jaką podróżowali, oszacowanie odległości od innych pojazdów było praktycznie niewykonalne.

- Maleńka, nie możemy - Sebastian spróbował sięgnąć jej dłoni, ale Lily wbiła się w tylne oparcie, odtrącając jego rękę.

- Nie waż się tak do mnie zwracać, gnojku! Przyjmę to jeszcze od Robbiego, bo wiem, jaka z niego świnią. Ale ty? Byłeś moim przyjacielem!

- Nadal nim jestem, Lily. Przekonasz się, kiedy tylko się uspokoisz.

Nie patrzyła na niego.

- Zatrzymaj się przy najbliższym autogrillu, albo otworzę drzwiczki i wyskoczę.

Robbie potrząsnął głową.

- Typowe - skwitował.

- Ja ci dam „typowe”! - krzyknęła, odpinając pas, rzucając się przez siedzenie i wymierzając mu cios w głowę. Samochód skręcił gwałtownie. Sebastian wrzasnął i rzucił się obezwładniać Lily. Trzeba udusić Robbiego. Adrenalina buzowała we wnętrzu auta. Rozległy się klaksony jadących z naprzeciwka samochodów, widać było, jak reflektory uciekają na boki. Śmiertelny wypadek z Rob-biem w roli głównej. Tak, tak! Sebastian przygwoździł ją

wreszcie do oparcia, a Robbie opanował wóz. Lily siedziała spokojnie, rozważając, czy nie przesadziła z wyrażaniem swego zdania.

- Zrób to jeszcze raz, a...

Sebastian zakrył twarz dłońmi, kiedy Robbie na nią krzyczał. Postanowiła jednak nie kończyć sceny, wróciła więc do kopania w fotel i wrzeszczenia, żeby się zatrzymał.

Chwilę później z lewej wyłonił się Fabro Autogrill i Robbie z piskiem opon zjechał na parking. Wysiadł, strzelił drzwiami i chwiejnym krokiem ruszył przez deszcz w stronę krzaków. Tam zwymiotował.

Lily chwyciła torebkę i pomknęła przez asfalt, obok dystrybutorów paliwa i zaparkowanych autokarów, do wnętrza autogrilla, pokonując schody po dwa stopnie. Stojąc w holu, sapiąc, rozejrzała się, rozgorączkowana: przed sobą miała bar szybkiej obsługi i sklep, ale u dołu wyłożonej zielonymi kafelkami klatki schodowej dostrzegła damską toaletę. Zbiegła tam ile sił w nogach. Łazienka podzielona była na dwie części: w jednej znajdowały się toalety, w drugiej prysznic. Schowała się w jednej z kabin, zamykając ją na zasuwkę i opierając się o drzwi, po czym otarła twarz z deszczu. Nie pojedzie z nimi ani metra dalej. Zostanie w kabinie do końca roku, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- *No, signore!*

Słyszała, jak Sebastian przekonuje pracownicę stacji, by wpuściła go do środka, i mocniej chwyciła torebkę. Nie wyjdzie stąd za skarby świata.

- *Altri servizi sono di là.* Ktoś zapukał do drzwi kabiny.

- *Esca! La prego, signorina, per favore.*

- Nie - odparła.

- Lily, daj spokój, nie wygłupiaj się - dobiegł ją głos Robbiego. - Przepraszam, kotku, no chodź.

-Nie.

- Lily, proszę, wyjdź stamtąd - tym razem odezwał się Sebastian. - Musimy ruszać dalej.

- Jedźcie beze mnie.

Dało się słyszeć głosy kobiet, niektórych mówiących po angielsku, zaintrygowanych przyczyną, dla której tych dwóch młodych mężczyzn żąda od niej wyjścia, a ona odmawia.

-Nie możemy cię tu zostawić - zaprotestował Robbie.

- Nie chcę was więcej widzieć. Idźcie sobie. Skubała paznokciec kciuka i wbijała wzrok w drzwi. Nagle rozległa się głośna rozmowa po włosku, po czym usłyszała kogoś o amerykańskim akcencie:

- Jak nie chce, niech nie idzie.

-Mogłabyś nie wtrącać się w nie swoje sprawy? -warknął Sebastian. - Musi z nami jechać.

- Słonko, a może jesteś handlarzem ludźmi. Nigdzie nie musi z wami iść.

- Proszę dać temu spokój - łagodził Robbie. - To moja dziewczyna.

Lily z wściekłością potrząsnęła głową i zacisnęła dłonie na torebce, wbijając wzrok w zielone płytki.

- Wcale nie! Nie jestem! - zawołała. Robbiemu wyrwał się jęk irytacji.

Obok zabrzmiał inny głos, również amerykański.

- Lepiej stąd idźcie, albo będę musiała zadzwonić do właścicielki. O, wydaje mi się, że kelner właśnie to zrobił.
- Lily, wyłaź, na miłość boską! Udała, że pociąga nosem i szlocha.
- Sprzedasz mnie pierwszemu facetowi, jaki się nawinie, za butelkę piwa, a ja już nie dam rady tego robić.

Okrzyki zgorzenia rozbrzmiały pod drzwiami toalety.

- Słyszeliście panią, spadajcie stąd, albo wezwiemy policję, sukinsyny. Choć nie, poczekajcie tu, a ja pójdę po męża.

- Wrócimy po ciebie, Lily! - zawołał Sebastian. Nie odpowiedziała, nie usłyszała też więcej głosu

żadnego ze swych prześladowców. Usiadła na ławeczce, wpatrzona w kafelki na przeciwległej ścianie, zastanawiając się, jaki powinien być jej następny krok.

- Skarbie, poszli już.

Lily uchyliła drzwi. Stała przed nią potężna kobieta o siwych włosach ubrana w dres.

- Bardzo pani dziękuję - powiedziała.

- W porządku, już sobie poradzisz?

-Tak, tak, yyy... może już się umyję, skoro tak tu stoję.

Kobieta skinęła głową: prysznic w tych okolicznościach wydawał się sensowny.

## **ROZDZIAŁ 23**

Jej odejście bez pożegnania, po tamtej nocy w szpitalu, rozrywało mu serce. Jeśli chciała wrócić do Robbiego, powinna była przynajmniej zdobyć się na odwagę i powiedzieć mu to wprost. Znalazłby sposób, żeby zatrzymać ją przy sobie, nawet gdyby wymagało to wrycia w pamięć twórczości wszystkich nieszczęsnych poetów rosyjskich, którzy kiedykolwiek stąpali po tej ziemi. Zmusiłby ją, by usiadła i wysłuchała jego deklamacji, a recytowałby z taką namiętnością, że o władnęłaby ją dzika żądza lub też doznałaby szoku, jedno z dwojga. A skończywszy wygłaszanie wierszy po angielsku, zacząłby od nowa - po rosyjsku. A gdyby nadal upierała się przy Robbiem? Wyjął pistolet, sprawdził magazynek i podpiął go z powrotem pod broń. Cóż, chciała rosyjskiej tragedii? Załatwi jej i to.

Zadzwęczała komórka.

Dzwonił kapitan z Tutela Patrimonio Culturale, brygady do spraw dzieł sztuki ze służb Carabinieri.



Zjawił się właśnie w Lukce i pomyślał, że Williama zainteresuje fakt, że książka znajdująca się obecnie na komisariacie jest podróbką. Schwartzman musi mieć przy sobie oryginał. Służby przejmowały tę sprawę, chcieli więc podziękować za jego dotychczasowy udział. I tyle.

Robbie, ten cwany drań. Nie docenił go na tyle, by podejrzewać sporządzenie falsyfikatu. Schował telefon do kieszeni. Miłość rzeczywiście zaślepia: był tak zajęty obserwowaniem przepychanek między Lily a Robbiem, że nie przyszło mu do głowy, by sprawdzić autentyczność dzieła.

Czy Lily od początku знаła kryjówkę Robbiego, a z niego, Williama, robiła idiotę? W głowie czuł pulsujący ból, położył się więc na łóżku i zamknął oczy. Całowała teraz Robbiego tymi słodkimi ustami, śmiali się oboje. Słodycz jej twarzy. Otworzył oczy, co nie uchroniło go przed obrazem Robbiego dyszącego nad jej białym ciałem. Poczul, jak tonie w fali wściekłości.

Z obrzydzeniem otarł łzy spływające po policzkach. Znow zadzwonił telefon. Wyjął go z kieszeni i sprawdził kto to. Thomas, Weston. Będą na niego wściekli, ale trudno, miał to gdzieś.

- Słucham, Thomasie.
- Williamie, rozumiemy, że księga, którą odzyskałeś, to falsyfikat.
- Wszystko na to wskazuje.
- A teraz służby wiedzą, że dzieło jest w kraju, i nigdy go już nie odzyskamy.
- Niekoniecznie tak musi być.

- Moim zdaniem koniecznie, do cholery. Zleceniodawca jest wściekły, góra jest wściekła...
- Zaczniemy od tego, że książka została skradziona przez naszego znamienitego klienta.
- Zlecenie dostaliśmy od Studio Legale Andreano, pamiętasz? I nie zaczynaj mi się bawić w podejmowanie decyzji o odzyskiwaniu dzieł, nie jesteś żadnym pieprzonym Robin Hoodem.

William milczał. Patrzył w sufit i czekał, aż Thomas wyrzuci z siebie, co leży mu na wątrobie.

- Służby obserwują kupca, transakcja ma się odbyć jutro, gdzieś w Rzymie. Ruszaj tyłek i znajdź miejsce, zanim inni tam trafiają.

William podniósł się do pozycji siedzącej i cisnął telefonem o ścianę, patrząc, jak rozsypuje się na milion kawałeczków. Opadł z powrotem na łóżko i wpatrzył się w sufit. Jedyna osoba, z którą miał ochotę porozmawiać, i tak nie miała jego numeru.

Do jedenastej deszcz ustał i mijając Fabro Autogrill, William oszacował, że do Rzymu została mu jeszcze godzina drogi. Ruch na autostradzie Ai był niewielki, więc mógł jechać ze stałą, wysoką prędkością. Z takim urazem głowy nie powinien ryzykować prowadzenia, szczególnie nocą, w deszczu. Lecz jeśli Robbie spróbuje sprzedać książkę jutro w Rzymie, to tam właśnie musi się znaleźć i on, zakładając, że uda mu się ustalić miejsce zawarcia transakcji.

Na szczęście Alessandro i Francesca mieszkali w środkowo-północnej części miasta, co zmniejszyło

możliwość wpakowania się w korki, tworzące się gdzieś nawet w niedzielny wieczór. Minął ogrody willi Borghese i dotarł do dzielnicy Parioli, gdzie stała ich luksusowa willa. Zaproponowali mu gościnę na tak długo, jak tylko będzie jej potrzebował.

Znalazł miejsce do zaparkowania na tłocznej od aut ulicy i wcisnął guzik domofonu. Musiał zadzwonić kilka razy, nim usłyszał chrapliwy głos Alessandra. Nie pytał Williama o cel wizyty, tylko wpuścił go do środka. Stojąc w drzwiach wejściowych, zagwizdał, ujrzawszy twarz gościa.

- Lily cię tak urządziła? - spytał, zamykając za nim drzwi.

- Dlaczego zakładasz, że kobieta mnie bije? Alessandro roześmiał się i ubrany w same bokserki,

zaprowadził Williama do swojego gabinetu. Poza ogromnym biurkiem, zastawionym komputerami i zarzuconym papierzyskami, oraz dwiema długimi kanapami na niskich nóżkach, pokój ozdobiony jedynie obrazem Luciana Freuda. Mimo to był bardzo kolorowy, co zawdzięczał wiaderkom pełnym wysypujących się na podłogę resorówek, a także ciężarówkom i helikopterom, mieszającym się z klockami lego, którymi zasłany był dywan. Gabinet pełny był pułapek-niespodzianek zastawionych przez bliźnięta, a chrząst rozdeptywanych lego rozbrzmiewał w całym domu. Alessandro zapalił lampkę i wyjął z barku butelkę whiskey oraz dwie szklanki.

- Księga, którą odzyskałem wczoraj, była podróbką - wyznał William, wypiwszy duży łyk trunku. Alessandro wzruszył ramionami.

- Zdarza się.

- Do transakcji dojdzie jutro, gdzieś w Rzymie.
- Chcesz, żebym trochę podzwonił? Dowiedział się gdzie?
- Gdybyś mógł.

Alessandro dolał im obu alkoholu.

- A gdzie Lily? Podobała mi się, Francesce też.
- Tak, mnie też się podobała.
- Skąd czas przeszedł? - Alessandro potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć: „Tylko nie znowu!”. - Tym razem Francesca była już pewna, że to ta jedyna.

William się roześmiał.

- Jest twoją żoną, a moją przyjaciółką, ale nawet jej zdarza się mylić. Przypomnij sobie Chiare z Triestu, tę instruktorkę fitnessu. Francesca zarzekała się, że to kobieta dla mnie.
- Ej, miała niezłe ciało.
- Tak, ale co dalej? Badanie, jak szybko uspokaja ci się tętno? Porównywanie wytrzymałości dla celów statystycznych? Poprawa wydajności poprzez zwiększenie dawki przyjmowanych węglowodanów? Obawiam się, że to nie dla mnie.

Alessandro roześmiał się i dolał im jeszcze.

- I jeszcze chciała, żebym grał w siatkówkę, wyobrażasz to sobie?
- Ja grałem na studiach, pamiętasz?
- Pewnie, bo połowa składu żeńskiego nie nosiła staników. To nie grę tak ubóstwiałeś, stary przyjacielu! Teraz już obaj zanosili się śmiechem.
- Więc gdzie ona jest? - Alessandro ponowił pytanie.

William wzruszył ramionami, odwracając wzrok.

Przyjaciel uniósł brwi i westchnął.

- Zatelefonuję w jedno miejsce - powiedział, podchodząc do biurka. Podniósł słuchawkę i spojrzał na Williama. - Szkoda, że nie możesz pojechać z nami jutro do Frascati: piknik z chłopcami. Spędziłbyś trochę czasu z chrześniakami.

William wypił łyk whiskey, patrząc prosto przed siebie.

- To już Pasquetta? - Wbijał niewidzące spojrzenie w dal, gdy Alessandro rozmawiał ze swoim informatorem. Odczekał chwilę, po czym zadzwonił w kolejne miejsce. Wreszcie odłożył słuchawkę.

- Ogrody willi Borghese, jutro, ale nie wiedział w którym konkretnie miejscu, a może nie chciał mi tego zdradzić. To nie obserwacja, lecz agent podstawiony w roli kupca.

Podszedł do kanapy z drinkiem w ręce.

- Zapomnij o książce, niech Weston raz przegra. Jeśli pozwolisz agentowi zrobić co trzeba, dzieło wróci na swoje miejsce. Pojedź jutro z nami, będziesz się wylegiwał cały dzień, dasz odpocząć głowie. Francesca ma całe tony jedzenia.

William milczał.

- No, dobrze - poddał się Alessandro, wstając. - Łóżko już pewnie gotowe, ale ostrzegam, że chłopcy czają się, by wreszcie kiedyś zaciągnąć cię do gry w piłkę! Nie umkniesz im. Po ciemku wspięli się po schodach i William udał się do sypialni, którą zawsze zajmował, gdy nocował w wielkiej willi. W pokoju stało ogromne łóżko z ciemnego drewna, ściany były bladoniebieskie, a na

podłodze leżał jasnoszary perski dywan. Było to od zawsze jego ulubione miejsce w tym domu. Z okien rozciągał się cudny widok: ponad wierzchołkami sosen widać było ogrody willi Borghese i dach willi Giulia. Bliźniaki spały piętro niżej, blisko rodziców, lecz gdy nocował u nich, strumień lawy autek i klocków lego wlewał się i do jego pokoju, wkradając się w każdy zakamarek.

Spał tylko kilka godzin. Zbudził się i poczuł ucisk w piersi, gdy przypomniał sobie, że Lily go zostawiła i, co gorsza, pewnie od początku miała taki zamiar.

Lily zamknęła się w kabinie, by w spokoju ocenić sytuację. Była Niedziela Wielkanocna. Miała ze sobą paszport i kartę kredytową: nie było źle. Nie miała jednak gotówki i zaczynała brzydko pachnieć: nie było dobrze. Nie miała pojęcia, gdzie może być William, ale miała za to nadzieję, że Robbie i Sebastian zmierzają wprost do piekła.

Rzym - tam musiała się dostać. Nie wiedziała, jak odnajdzie Williama, ale w mieście mogła zdobyć pieniądze, wynająć pokój w hotelu, a także, jeśli zajdzie potrzeba, kupić bilet na samolot do domu.

Porzuciła bezpieczeństwo kabiny i podeszła do lustra. Uczesała się i poprawiła makijaż, po czym udała się na górę, do głównej części kompleksu Autogrill. Po prawej miała sklep, po lewej - część restauracyjną.

W barze panował hałas, ludzie zamawiali i spożywali posiłki, nie widać było za to Robbiego ani Seba, co było jedynym pozytywnym aspektem sytuacji. Wzięła tacę

i nałożyła sobie na talerz gnocchi, żeby dobrze się najeść, ale w kasie nie przyjęto jej karty. Młody kasjer wyglądał, jakby było mu szczerze przykro, ale terminal uparcie odmawiał przyjęcia visy. Upokorzona, odstawiła tacę z jedzeniem i usiadła przy stoliku pod oknem. Powoli narastała w niej nienawiść do Włoch.

Żaden autobus nie kursował do Rzymu tego wieczora, ani nawet następnego dnia, wiedziała więc, że samej, z bezużyteczną kartą kredytową, nie będzie jej lekko.

Najlepszym wyjściem będzie przysłuchiwanie się rozmowom, a jeśli usłyszy język angielski, podejdzie ostrożnie i będzie liczyć na uprzejmość obcych ludzi.

Z tym że jeśli obsługa zobaczy, że krąży między stolikami, w poplamionej, pomiętej sukience i szpilkach, prosząc o wyświadczenie przysługi, to usuną ją stąd natychmiast i poślą samą w zalaną deszczem noc. Albo jeszcze gorzej, trafi do kabiny jakiegoś kierowcy ciężarówki, który przejechał długą drogę, mając za towarzysza jedynie brazylijski magazyn porno.

Zeszła z powrotem do łazienki na dole i zauważyła, że przy stoliku siedzi ktoś inny z obsługi. Wróciła do swojej kabiny i podciągnęła nogi na drewnianą ławeczkę, by nikt nie mógł stwierdzić jej obecności. Pysznic był wykluczony, przyciągnęłaby tylko czyjaś uwagę. Może umilać sobie czas zastanawianiem się, co, u licha, ma ze sobą zrobić. Do toalety zaglądało niewiele kobiet, jako że ruch na drodze słabł w nocy. Usadowiła się wygodniej, żeby uniknąć mrowienia w nogach. To by było na tyle na temat miłości. Tak to się kończy: Robbie, Sebastian, William, wszyscy okazali się kłamcami. Czy Otto

naprawdę był jej bratnią duszą? Dwadzieścia dziewięć lat na karku, a jedyne przejawy uczucia, na jakie może liczyć, pochodzą od psa.

Gdzie był teraz William? Nie zostawiła żadnej wiadomości, niczego. Po prostu wyszła jak ostatnia idiotka.

Ciemność nie chciała dać się zastąpić dniem, a jej w marzeniach sennych objawiało się własne łóżko, z górą wyszywanych koców, ciepłymi, białymi mohero-wymi narzutami, stosem miękkich, lecz zbitych poduszek. Luksus przyjęcia pozycji horyzontalnej w trakcie snu, którego nigdy dotąd prawdziwie nie doceniała. Ciepło ciała leżącego obok, ciała o bladej skórze i czarnych włosach.

Dźwięk otwieranych drzwi wybudził Lily z drzemki. W świetle swej wyobraźni była właśnie w miejscu, które nie było jej kuchnią, ale bardzo ją przypominało. Pakowała chochelką dżem do wiadra owsianki. W ten obraz wdarł się czyjś głos. Nie miała pojęcia, która jest godzina, lecz przypuszczalnie już świtało, jako że były to pierwsze odgłosy dnia, jakie usłyszała, z wyjątkiem nucenia pracownika stacji.

- Proszę natychmiast iść do toalety

- Ale mi się nie chce.

- Posłuchaj, tata nie zatrzyma się, dopóki nie dotrzemy do Rzymu, znasz go. To twoja ostatnia szansa, a sądząc po tym, jak się wierciłaś...

Lily wyprostowała się, słuchając uważnie. Nieznajoma kobieta miała australijski akcent, dziecko też.



Lily otworzyła drzwi kabiny i przeszła do części łazienki z toaletami. Ujrzała kobietę pod czterdziestkę, ubraną w niebieskie džinsy, i dziewczynkę około lat ośmiu, w różowych spodniach i bluzeczce w paski. Na jej twarzy malował się wyraz buntu.

- Przepraszam - zaryzykowała Lily.

Kobieta zwróciła na nią udręczone nieco, lecz przyjazne, spojrzenie.

- Jesteście Australijkami, prawda? - spytała Lily. - Ja też! Nie, żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie, ale jestem w tarapatkach i pomyślałam, że skoro jesteśmy rodaczkami...

Mała popatrzyła na matkę, jakby chciała powiedzieć: „Po co słuchasz tej ofiary losu?”.

Kobieta czekała, aż Lily skończy.

- Ja... czy jedziecie może do Rzymu, albo w ogóle na północ?

- Jesteśmy w drodze do Rzymu, jutro lecimy do domu.

- Utknęłam tu, bo... no bo ja...

- Chcesz, żeby cię podwieźć?

Lily miała ochotę ją uścisnąć. Kobieta spojrzała na córkę.

- Zmieścimy panią pomiędzy ciebie a Sama, jak myślisz?

Dziewczynka rzuciła Lily długie, nieustępliwe spojrzenie i spytała:

- Ma pani iPoda?

- Nie.

- To dobrze. Jestem Imogen, może się pani poczęstować moją czekoladą.

Udało się.

Rodzina wracała do Rzymu po pobycie u krewnych w Turynie. Lily wcisnęła się między dwoje dzieci na tylne siedzenie renault i ruszyli. Sam, na oko czternastoletni, przyglądał jej się chwilę, po czym wrócił do spania ze słuchawkami od iPod'a w uszach. Enzo i Michelle pracowali oboje jako nauczyciele w Kingsgrove i wyglądali na wyczerpanych wypoczynkiem w rodzinnym gronie. Michelle starała się prowadzić rozmowę, ale Imogen ją przebiła. Wyraziwszy akceptację dla Lily, liczyła na to, że będzie ją miała dla siebie przez ostatnich kilka godzin drogi do Rzymu.

- Poczęstuj się - zaoferowała dziewczynka, wyciągając w stronę Lily olbrzymią torbę czekoladek wielkości piłek golfowych. - Papierki są różnokolorowe, ale smaki wszystkie takie same. - Istotna uwaga.

Kuzyn Enza pracował dla firmy cukierniczej w Turynie i obdarował rodzinę taką ilością czekolady, że wyglądało to na półroczną produkcję. Konająca z głodu Lily wpychała do ust jedną czekoladkę za drugą, podczas gdy Imogen przeszukiwała torbę, by za chwilę wydobyć z niej dwie pluszowe zabawki: pieska i myszkę. Jedna trafiła w ręce Lily.

- Ładna - powiedziała Lily, gładząc białe futerko na nosie myszki. - Kupiliście w Turynie?  
- Baw się! - warknęła dziewczynka.

Przez następne pół godziny, pomimo sugestii Michelle, by zrobić przerwę, Lily zmuszona była do wejścia w rolę piskliwej myszki w każdej zabawie, jaką wymyśliła Imogen.

Zielone płytki kabiny prysznicowej nabierały dziwnie różowego kolorytu i Lily z nutką

nostalgii przywołała oazę ciszy i spokoju, gdzie słyszała własne myśli.

- Zjedz jeszcze czekoladkę, a potem powiedz: „Ach, panie Piesku, tak nie można”, a ja powiem: „Właśnie, że tak!”, a ty na to mówisz...

Kiedy tylko zamykała oczy, Imogen, już dawno traktująca ją jak koleżankę, trącała ją w bok. Gdy próbowała porozmawiać z matką dziewczynki, mała natychmiast podnosiła głos tak, że słowa pozostałych tonęły w jej wypowiedzi. Nic dziwnego, że brat miał na uszach słuchawki.

Zjadą z autostrady i skręcą w Via Salaria, następnie na Corso D'Italia i przez ogrody willi Borghese, a potem zatrzymają się na Piazza del Popolo i tam ją wysadzą.

- Wypuścimy cię już tutaj, bo będziemy szukać hotelu w pobliżu - wyjaśnił Enzo, zerkając na żonę. - To może być nieco stresujące, a nawet gorszące doświadczenie.

Lily podziękowała im serdecznie za podwiezienie. Jakaś część jej chciała zostać i zapakować się wspólnie z nimi do samolotu lecącego do Sydney.

Ale w Sydney nie będzie Williama. Jest we Włoszech, jeśli tylko nadal tropi księgę. Na ułożenie planu Imogen dała jej jakieś pół sekundy wolnego czasu. Jeśli William zorientował się, że odzyskał falsyfikat, to nadal będzie szukał Robbiego. Ten zaś ma zamiar w ogrodach willi Borghese czatować na kupca. Jeśli jej się poszczęści, William dowie się, gdzie ma się odbyć transakcja, i również

przyjedzie. W sumie jedyne, co musiała zrobić, to namierzyć Robbiego. Myśl była dość irytująca, ale wyraźnie widziała w niej logikę.

Raz jeszcze pomachała swym australijskim wybawcom, gdy włączali się już w szalony ruch uliczny, po czym rozejrzała się, kombinując, jak znaleźć Robbiego, i to tak, by on jej nie zauważył. Musiała oddalić się od szosy, by pomyśleć w spokoju, więc podążyła w stronę sosen i dębów Monte Pincio po drugiej stronie drogi. Zauważyła ścieżkę wijącą się w górę do ogrodów Pincio, więc ruszyła nią, trafiając po drodze na publiczną toaletę ukrytą w kępie drzew. Pierwsza zasada podróżnika: nigdy nie przechodź obojętnie obok toalety! William opuścił dom, gdy ciepły świt spowity był jeszcze mgiełką, i mijając przepyszne wille, ruszył w kierunku ogrodów. Ramiona miał spięte, dłonie zaciśnięte w pięści. Ogrody były ogromne, lecz niedługo wszystkie trawniki zostaną zajęte przez tłumy piknikowiczów. Była Pasquetta, święto państwowe, w które wszyscy Włosi wybierali się na łono przyrody, by uczcić jej piękno posiłkiem na trawie. Wielu mieszkańców Rzymu, którzy nie mogli wyjechać poza mury miasta lub woleli uniknąć korków, rozkładało swoje koce właśnie w ogrodach willi Borghese.

Robbie i Lily też tu będą.

Pokonywana piechotą trasa ciągnęła się w nieskończoność, aż wreszcie dotarł do Piazza Napoleone w ogrodach Pincio. Nie miał telefonu, nie wiedział więc, która godzina, i już miał spytać pary pilnującej dziecka przy

karuzeli, gdy nagle ujrzał dwie postacie męskie, natychmiast rozpoznając w jednej z nich Robbiego.

Podszedł bliżej i stwierdził, że drugi z mężczyzn to Sebastian. Co on tu, do cholery, robił? Stworzyli całą szajkę? Czy Suzy i Marcel też wyłonią się zaraz zza żywoplotu? Nigdy nie ufał Sebastianowi i przynajmniej w tym przypadku jego przeczucia okazały się słuszne. Z tym że z kolei Lily zawierzył w pełni.

Przyjaciele kłócili się. Robbie siedział na niskim kamiennym murku ze skrzyżowanymi nogami. Sebastian stał naprzeciw niego, machając ręką i - sądząc po gestach - wytykając coś Robbiemu ze złością. Obserwował ich jeszcze przez chwilę. U stóp Robbiego spoczywała walizka, najprawdopodobniej zawierająca księgę. Tajny agent mógł pojawić się w każdej chwili, trzeba więc było działać. Musi raz na zawsze załatwić tę sprawę, zdobyć to, po co przyjechał. Wyciągnął broń, upewnił się, że jest naładowana, i wsadził za pasek dżinsów, zakrywając ją kurtką. Ruszył w stronę mężczyzn, nie idąc bezpośrednio do nich, lecz meandrując lekko, żeby nie zauważyli go za wcześnie, nie przestraszyli się i nie uciekli.

Lily wyszła z toalety i zamarła z przerażenia. Dobiegł ją głos Robbiego, kłócącego się z Sebastianem gdzieś w pobliżu. Wyglądało na to, że byli o parę kroków od niej. To było niemal za proste! Podkrađła się ścieżką i wyjrzała na piązzę. Była otoczona kamiennym murkiem, w którym w regularnych odstępach pozostawiono luki. Słyszała, jak zażarcie dyskutują. Szła dalej alejką, aż dotarła do miejsca nadającego się zarówno do obser-

wacji, jak i podsłuchiwania. Co za szczęście... w końcu!

Nagle zeszywniała: jej wzrok natrafił na Williama! Był tam - wysoki, szczupły i taki przystojny, z tą pokiereszowaną twarzą. Opuchlizna zesła mu już z oka i wydawało się, że widzi zupełnie dobrze. Podchodził do tamtych dwóch z pistoletem w dłoni.

## **ROZDZIAŁ 24**

Wyjął broń i dyskretnie ukrył ją w dłoni. Na trawniku po drugiej stronie piazza rodziny rozkładały już koce i krzesła, dzieci biegały podekscytowane, a kobiety wykładały jedzenie na świąteczne pikniki. Fioletowa wisteria oplatała się pomiędzy drzewami wokół wszystkiego, co napotkała na swej drodze. Para starszych ludzi stała w pobliżu Robbiego, podziwiając widok rozciągający się na Piazza Del Popolo, Tybr, Bazylikę Świętego Piotra i Watykan. Deszcz wymył miasto do czysta, upał zelżał i dzień na Pasquette był wręcz wymarzony.

- Robbie.

Obaj mężczyźni podnieśli wzrok. Robbie ześliznął się z murku na ziemię i stanął przy Sebastianie. William podniósł broń i powiedział cicho:

- Nie ruszajcie się, mam do was kilka pytań. Starsza para zauważyła go i oddaliła się po cichu.

Dokonawszy demonstracji siły, William opuścił dłoń

z pistoletem i odnotował, że mina Robbiego zmieniła się z przerażonej na kombinatorską.

- W każdej chwili może zjawić się kupiec, Isyanov. Nie powstrzymasz mnie.

- Nie mam takiego zamiaru. Sprzedaj książkę, zrób z nią, co ci się żywnie podoba, tylko powiedz mi, gdzie jest Lily.

Robbie chwycił się pod boki i zaśmiał się.

- Co takiego?

- Gdzie ona jest?

- Masz tupet, wymachiwać bronią i żądać informacji o mojej dziewczynie. Może odwalisz się już i znajdziesz sobie własną. Lily jest szczęśliwa ze mną.

Sebastian, który dotąd wbijał spojrzenie w Williama, teraz spojrzał na Robbiego. Do tego momentu William nie zwracał na niego uwagi.

- Co, Sebastianie, jest szczęśliwa?

„Tu jestem, piękny mój!”, chciała krzyknąć. Pytał o nią, nie o książkę. To jej pragnął. Ach, cudowny, wspaniały! Wreszcie ktoś, dla kogo była najważniejsza.

A Robbie, czy on nie miał wstydu? Roztrwonili swoje szczęście przez lata, aż zależność i kłamstwa zajęły jego miejsce - nie dostrzegali tego?

William spytał ją już przy pierwszym spotkaniu, czy Robbie dawał jej szczęście. Nic dziwnego, że ofuknęła go wtedy: wolała się nad tym nie zastanawiać.

Cśś, teraz Sebastian będzie mówił... ciekawe, do jakich dojdzie wyznań!



- Szczęśliwa? Z Robbiem? Dawno, dawno temu, jak my wszyscy.
- Zamknij się! - warknął Robbie.
- Sam się zamknij, dupku, nie wiesz, gdzie jest, i nawet cię to nie obchodzi. Ktoś musi wyciągnąć korzyść z tej całej spapranej akcji, może niech tą osobą będzie właśnie Lily. Zaparkowała przy nich furgonetka z lodami, mrużąc agregatem koniecznym do chłodzenia. William przenosił wzrok z jednego z Australijczyków na drugiego, czując, jak dziwna mieszanina strachu i podniecenia tętni mu w żyłach.
- Jak to nie wiesz, gdzie jest?
- Wyjechała z Lukki z nami - zaczął Sebastian - bo powiedziałem jej, że jesteś bezwzględny bandziorem, który... Zresztą, nieważne, co jej nagadałem, była zrozpaczona, a ja jestem łajdakiem, bo ją okłamałem. Kocha ciebie, stary, nie ten bezwartościowy worek gówna stojący obok mnie. Robbie pokręcił głową z niedowierzaniem.
- Niezła bajka, Seb, pieprzę cię. Jak będzie po wszystkim...
- Sebastian odwrócił się do niego, wściekły:
- Nie chcę cię więcej widzieć. Sam mógłbyś przyznać się do bzdur, które mu naopowiadałeś. Dobrze wiesz, że Lily nie wróciłyby do ciebie za żadne skarby świata, nawet za całkiem realne sześć milionów dolarów.

O Boże, kłóć się o nią!

Może kiedyś wybaczy Sebastianowi - przynajmniej w ramach pokuty wyjawiał Williamowi prawdę.

- Gdzie zatem jest, skoro Lukkę opuściła z wami?

- Chciała zostać w Autogrillu Fabro - powiedział Sebastian. - Mówiła, że nienawidzi nas obu, i schowała się w kabinie...

William odwrócił się do Robbiego, a w jego oczach palił się gniew.

- Zostawiłeś ją tam? W kabinie prysznicowej w autogrillu, w kraju, którego języka nie zna, wśród tirówek? Tam porzuciłeś swoją najukochańszą dziewczynę?

Robbie skinął głową.

- Wrócimy po nią ju...

Zanim zdołał dokończyć zdanie, zwijał się z bólu na ziemi, próbując tamować krew tryskającą na koszulkę ze złamanego nosa. Sebastian starał się powstrzymać kolejne ciosy. Lily stłumiła okrzyk i chwyciła mocniej kamień murku. Tyle krwi. Robbie na ziemi. Nie bij go już. Przeszła z nogi na nogę, rozpaczliwie pragnąc włączyć się do akcji. Ale Robbie od dawna sobie grabił, musiała to przyznać. Patrzyła, jak Sebastian wrzeszczy na Williama, żeby przestał. Nie słuchał. To wszystko wydawało się takie abstrakcyjne. Nagle podniósł się i odszedł bez słowa. Chciała wykrzyknąć jego imię, lecz jednocześnie pozostać niezauważoną dla Robbiego i Sebastiana.

Jęcząc z frustracji, nie wytrzymała dłużej i wystawiła głowę nad mur. Sebastian kłął soczyście, próbując jednocześnie pomóc Robbiemu i ochronić swoje własne czyste ubranie przed zachlapaniem krwią. Kilka osób podeszło do nich, oferując pomoc, ale, jak Lily słyszała, odmawiał wszystkim. Czekali dalej na klienta. Wtem w trakcie przepychanki z potężną kobietą, która miała akurat metr bandaża w torebce, zauważył wyglądającą zza muru dziewczynę.

Zamarła, gdy ich oczy się spotkały. Sebastian zerknął na Robbiego, otoczonego wianuszkami rzymian o dobrych zamiarach, a potem z powrotem na nią. Skinął głową w kierunku, w którym zniknął William. Zauważyła ten gest i popędziła przez mały placyk do ścieżki wśród drzew. Bieganie w sandałkach na koturnie było nie lada wyczynem, szczególnie po bezsennej nocy spędzonej pod prysznicem, ale czekoladki Imogen dostarczyły sporej dawki energii, więc przemieszczała się najszybciej, jak potrafiła. Ból w pięści wskazywał na złamaną kostkę. Ale było warto, bo miał na to ochotę od bardzo dawna.

Teraz trzeba było tylko dojechać do autogrilla, mniej niż dwie godziny drogi. Radość z prawdy, którą mu wyznano, hamował nieco lęk o dziewczynę. Lily była kobietą z charakterem i sprowokowana potrafiła dać temu wyraz, ale zdarzają się sytuacje, które nawet ją by przerosły. Mogła być teraz wszędzie: związana i zakneblowana w ciężarówce mknącej do burdelu w Arabii Saudyjskiej albo na poboczu autostrady, pośród maków, ze

śmiertelnymi obrażeniami na ciele. A może siedzi jeszcze w autogrillu, pijąc piętnastą kawę, zastanawiając się, kiedy, u licha, ktoś wreszcie po nią przyjedzie. A może kuli się nadal w kabinie prysznicowej, opracowując okrutne sposoby zemsty na Robbiem. Boże, jak on ją kochał! Raz blada i rozmarzona, w następnej chwili wymachuje szaleńczo bronią. Musi jak najprędzej do niej dotrzeć. Ruszył biegiem. Odbierze auto spod domu Alessandra i za dziesięć minut będzie w drodze, pojedzie do Fabro i wypyta, czy ktoś pamięta, co robiła i z kim wyszła. Może uruchomić parę kontaktów, sprawdzić, czy nie opuściła Włoch. Zawiadomi policję, zgłosi ją jako zaginioną, choć w tym kraju i tak na wiele się to nie zda.

I wtem w oddali usłyszał jej głos.

- Williamie, zaczekaj, złamię kostkę, jeśli... jeśli nie zwolnisz.

I ujrzał ją: wpół kulała, wpół biegła w jego stronę, potykając się na obcasach, w przepoconej, brudnej czerwonej sukience, ciągnąc po ziemi torbę. Miała podkrążone oczy, a na ustach najpiękniejszy uśmiech na świecie. Uśmiech tylko dla niego.

Pobiegł do niej i padł sobie w ramiona, śmiejąc się i płacząc zarazem, całując się, ściskając i tuląc mocno.

- Jak się tu dostałaś? - spytał. - Właśnie jechałem do Fabro po ciebie.

- Wszystko widziałam - wysapała. - Długa historia. Byłam za murkiem... ale co z książką? Nie chcesz jej? Bo oni ją tam mają, tę prawdziwą!

- Chcę ciebie - powiedział, przytulając ją z całych sił. - Książka wróci na swoje miejsce.

Wyczerpana, Lily położyła głowę na jego piersi. Stali, mocno przytuleni, a jej łzy wsiąkały mu w koszulę. -Możemy jechać do domu? Bo ja już mam dość!

- Gdzie tylko zechcesz, byle razem.

Podniosła rękę do jego twarzy i dotknęła rozcięć na czole.

- Nie wiem, co Robbie ci powiedział, ale mogę sobie wyobrazić. Chciał zniszczyć to, co zrodziło się między nami, żebym była nieszczęśliwa jak on.

- Nie wiedziałem już, w co wierzyć, bo...

- Potrafi być przekonujący.

- A ty wyjechałaś z hotelu...

-Zupełnie się pogubiłam, gdy zjawił się Sebastian...

- Co ci powiedział? Lily spuściła wzrok.

- Że jesteś bezwzględny bandziorem. I że wykorzystałeś mnie, aby odnaleźć Robbiego, a potem kazałeś mi zabrać mnie do domu.

Cofnął się na wyciągnięcie ręki, a ona patrzyła na niego spokojnie w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Kocham cię, Lily. Nie użyłem cię do szukania Robbiego. Trzymałem cię przy sobie, by zapewnić ci bezpieczeństwo i dlatego że nie potrafiłem się z tobą rozstać. Nie prosiłem go, żeby mi cię zabrał. To byłoby jak... zlecić Ottu, żeby przypilnował ci kotleta.

Roześmiała się i przytuliła go mocno.

- A oskarżenie o bycie bezwzględnym bandziorem?

- Widziałaś, jak uderzyłem Robbiego, prawda? -Uniósł jej twarz, by spojrzeć prosto w oczy. - Nigdy w życiu nie podniosłem na nikogo ręki w gniewie.

W samoobronie, owszem, wliczając tego typu w Rzymie. Rozbijanie nosów nie jest w stylu szanującego się przedstawiciela Weston, a gdyby było, to nie podjąłbym się tej pracy.

- Robbie zasłużył sobie na to, ale...

- Lily, proszę - przerwał. - Wiesz, że kocham tęcze, szczeniaczki i wylegiwanie się z książką, czekając, aż ktoś mnie nakarmi, jak każdy przyzwoity gość. Od czasu do czasu mam przyływ energii i wtedy stać mnie na włączenie telewizora, jeśli akurat trafi się jakiś mecz, ale brutalności czy bezwzględności w tym za grosz.

- Też tak myślałam - przyznała. - Kiedy siedziałeś i pozwalałeś mi znosić na stół te wszystkie grzanki i dżemy...

- Cóż, piękna dziewczyna, paradująca tam i z powrotem w obcisłych rowerowych getrach, częstująca mnie przetworami własnej roboty, wiesz...

- Do cholery z tymi spodenkami, nie wiem nawet, skąd je mam. Tak czy inaczej, wiedziałam, że Seb przesadza. Uwierzyłam mu jednak na jakąś godzinę. To dlatego schowałam się w autogrillu, miałam nadzieję, że uda mi się cię odnaleźć. I jesteś, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki! I... o Boże, ale śmierdzą!

- Mmm, wiem, bardzo ponętnie. Zatrzymałem się u Franceski i Alessandra kilka przecznic na północ od ogrodów. Chodźmy się wykapać, a potem pokażę ci moją łagodną stronę. Mam taką, nie wiem, czy wiesz.

Przytuliła się do niego.

- Wiem.

Otworzył drzwi pustego domu i zaprowadził ją do pokoju na górze. Zasłony były nadal zaciągnięte, ale idealny dzień był teraz wewnątrz, w pokoju, razem z nimi.

- Gdzie łazienka? - Ziewnęła, rozglądając się.

- Nic z tego, jeszcze nie czas na wannę. Pozwól, że najpierw zademonstruję ci słodycz i łagodność mojej natury.

Pociągnął ją na nieposłane łóżko i zatonęli w długim pocałunku, przyciśnięci do siebie mocno. Czerwona sukienka sfrunęła na podłogę, za nią podążyła bielizna, a potem reszta ich ubrań. Nie spieszyli się. Gładziła dłonią jego twarz, wsunęła mu palce do ust, palce drugiej dłoni przesuwał po jego obojczyku.

- Teraz moja kolej na przesłuchanie - powiedział, pieszcząc jej piękne, pełne piersi. Twarz piekła ją tam, gdzie zarostem otarł się o jej skórę.

- Powiem wszystko, towarzyszu - wysapała, wydając jęk rozkoszy, gdy poczuła go w sobie. - Powiedział, że nic dla ciebie nie znaczę. - Popatrzyła mu prosto w oczy, posyłając uśmiech, lecz jednocześnie rozproszona wyjątkowymi impulsami drażniącymi jej zakończenia nerwowe. Uniósł jej nogę, by wejść głębiej. - Że kochałaś się ze mną, by go ukarać.

Ujęła w dłonie jego twarz, pocałowała go i wyszeptwała:

- Jak mogłeś w to uwierzyć?

- Czy widzisz mnie, kiedy ci to robię? - Wycofał się, schodząc niżej, delikatnie podgryzając jej brzuch, zsuwając się jeszcze niżej, między uda, muskając językiem jej wilgoć. Nagle podniósł głowę i powiódł wzrokiem wzdłuż jej ciała, w końcu napotykając jej spojrzenie.

Chciała krzyknąć i wepchnąć jego twarz z powrotem między swoje nogi.

- Widzisz?

- Czy co widzę? - śmiała się.

- Mnie! Czy widzisz mnie, Lily?

- Jaka jest poprawna odpowiedź? - Wiercąc się, próbowała chwycić jego dłoń, by pomóc jej trafić z powrotem między uda, ale odepchnął jej rękę, uklęknął pomiędzy jej nogami, podciągnął w górę jej biodra i ponownie w nią wszedł. Kołdra i koc zsunęły się na podłogę.

- Jeszcze pytasz? - warknął.

- Nie. Tak. Cokolwiek chcesz.

- Spójrz na mnie. Nie chcę, abyś widziała kogokolwiek innego. - Wchodził w nią delikatnie, palcami pieszcząc jej łechtaczkę. Patrzyła mu w twarz, aż wreszcie nie mogła wytrzymać ani sekundy dłużej: dochodząc, zacisnęła powieki.

- A więc? - Nie dawał spokoju, przyspieszając i poruszając się w niej coraz mocniej.

- Niczego nie widziałam.

- No tak... - Dyszał nad nią. - Zdaje się, że jeszcze sporo ćwiczeń...

Lily zakryła mu usta dłonią i przycisnęła do siebie, gdy szczytował, tak że ich twarze prawie się stykały. Zaczekała, aż jego serce trochę się uspokoi.

- Williamie, zaczęłaś wyłączać Robbiego z gry w chwili, gdy po raz pierwszy cię ujrzałam.

A w tę noc, kiedy razem oglądaliśmy księgę... przepadłam.

Uniósł głowę i spojrzał na nią:

- Faun i nimfy?



- Mhm, tak, sposób, w jaki wymówiłaś te słowa: „Niecierpliwa żąda nimfy zwłokę jego beszta...”. Uff, byłam już twoja. I od tamtej pory osobiście beształam twoją zwłokę.

Roześmiał się i obrócił na plecy, wyciągając się na gładkim prześcieradle.

- Miłość, tak? Termin wydaje się zupełnie nieadekwatny do tego, co czuję do ciebie.

Kocham cię tak bardzo, że aż mnie to przeraża. To dlatego ruszyłem za Robbiem, myślałem, że jesteś z nim. Musiałem usłyszeć to z twoich ust. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby to, co mówił, okazało się prawdą. Pewnie rzuciłbym się w wody Tybru, wepchnąwszy tam najpierw Robbiego, a może i ciebie.

Przeciągnęła palcem po jego twarzy, dotykając każdego włosa, zmarszczki, kropli potu.

- Williamie, jednak jesteś rosyjskim romantykiem.

Przygotowywał jej gorącą kąpiel. Lily niecierpliwiła się, stojąc nad nim owinięta w ręcznik.

- Są jakieś bąbelki? - spytała, rozglądając się po łazience.

- Nie są ci potrzebne.

- Wiem, ale je lubię.

- Ja lubię czystą, gorącą wodę.

- A mnie podobają się zapachy, bąbelki i sól do kąpieli, a w dodatku przez całą noc tkwiłam zamknięta w kabinie, mając na sobie brudną szmatę. Przebij to.

William westchnął.

- Znajdę coś w łazience Franceski.

Gdy wrócił, wśliznął się do wanny razem z nią, dolewając jeszcze wody, by wytworzyć więcej bąbelków, których tak pragnęła. Z westchnieniem oparła się plecami o jego pierś i pomieszała wodę wokół nich, wciągając w nozdrza woń płynu i obserwując, jak bąbelki skupiają się razem, tworząc puszyste chmury. Zgarniała je dłońmi i okładała sobie nimi kolana.

- Wszystkie moje ubrania zostały u nich w samochodzie - powiedziała z żalem. - Mam tylko tę przepoconą szmatę. - Wskazała sukienkę zmiętą na podłodze.

- Ta ładna żółta sukienka też?

- Tak, i moja ulubiona niebieska. Więc podobały ci się?

- Owszem. Tu w okolicy jest sklep z odzieżą w stylu *vintage*, przechodzę tamtędy od czasu do czasu i zawsze zatrzymuję się przed wystawą. Lubię te ciekawe stare tkaniny i wzory. Chlapnęła pianą i zaczęła piętrzyć sobie na brzuchu bąbelkowy tort Pawłowa.

- Wydawało mi się, że nie przepadasz za sztuką dekoracyjną.

- Lily, mówiłem dużo rzeczy... które mijały się z prawdą.

Serce drgnęło jej niespokojnie i zamknęła oczy, czekając na to, co jej wyjawি. Okaze się zaraz, że jest szefem sycylijskiej grupy przestępczej: ta ciemna karnacja nie wzięła się z rosyjskich, lecz ze śródziemnomorskich korzeni. Albo wystrychnął Włochów na dudka i udało mu się przemycić księgę do Moskwy, a Robbiego

i Seba wyeliminował. Albo może ma żonę i dwoje dzieci w Londynie.

- Mów dalej.

- Pamiętasz, opowiadałem ci o doktoracie? Niedokończonym zresztą.

- Taaak...

- To nie był niemiecki modernizm, tylko dekoracyjne srebra stołowe Republiki Rzymskiej.

- Dekoracyjne!?! - wykrzyknęła i przekręciła się, by spojrzeć mu w twarz. - Kpiłeś sobie ze mnie!

- Bo tak cudownie się z tobą bawi. I czytałem *Annę Kareninę*, nie gazetę prawną.

Wybuchnęła śmiechem, a on pocałował ją w pokryty pianą kark. Odepchnęła go jednak, wychlapując wodę na podłogę.

- Tak często bywam we Włoszech właśnie przez doktorat - ciągnął. - Zagięło coś ze sztuki rzymskiej? Odkopcie skądś starego Isyanova i pošlijcie go z misją.

- Dlaczego nie dokończysz doktoratu? Teraz William się roześmiał.

- Wolałbym być okładany pistoletem przez mafiosów: przynajmniej wszystko jest jasne, czarne na białym, widzisz od razu, kto chce cię ukatrupić. A jeśli chodzi o kwestie praktyczne, to pensja jest pięć razy wyższa niż na uczelni.

Lily z westchnieniem potarła oczy, czując, jak od gorącej kąpieli ogarniają senność.

Położyła głowę z powrotem na jego ramieniu.

- Jak wyjdę z wanny, będę musiała stawić czoła brakowi ubrań.

- Kilka telefonów i odzyskam twoją torbę, a jeśli masz ochotę, to wezmę cię do sklepu, o którym wspominałem.

- Ale muszę wracać do domu, do Sydney. Będzie tam na mnie czekał niezły bałagan: rachunki, klienci rozpaczliwie poszukujący pierwszego wydania *Moby Dicka*, terapia dla Otta, by wyleczyć skutki długiej rozłąki.

- Myślisz, że Otto zaakceptuje mnie jako ojczyrna? Uśmiechnęła się.

- Otto kocha tego, kogo kocham ja. Wie, co dla niego dobre!

William przyniósł na górę tacę, na której stały wielki talerz z grzankami z dżemem i dzbanek herbaty. Lily siedziała w łóżku w jednej z jego koszulek z krótkimi rękawami.

- Czujesz się tu jak u siebie - zauważyła, gdy stawiał tacę na jej kolanach.

- Solidny brytyjski posiłek: tosty i herbata. Często się tu zatrzymuję, ale tylko wtedy, gdy nie jestem w mieście w interesach. Alessandro i ja byliśmy na studiach bliskimi przyjaciółmi, nadal jesteśmy.

Wzięła do ręki grzanekę, a on wśliznął się do łóżka obok niej.

- Nie będzie im przeszkadzało, że tu jestem?

- Francesca będzie zachwycona. Powita cię z otwartymi ramionami, ale niestety ja muszę być w Londynie za dzień lub dwa.

Nalał herbaty do dwóch filiżanek.

- Co z Robbiem i Sebastianem?

- A kogo to obchodzi?
- Cóż, nie chciałabym, żeby to wszystko odbiło się zbyt mocno na ich psychice.
- Jak możesz tak mówić? Po tym wszystkim, co ci zrobili?
- Wiem, ale chyba kiepski ze mnie materiał na mściciela.
- Ich kupiec to tajny agent. Dojdzie do transakcji, na skutek której obaj zostaną ujęci. Pewnie dzieje się to właśnie w tej chwili. Zostaną deportowani, co w przypadku ich branży jest bardzo przykre, bo zamknie im to dostęp do Unii Europejskiej. Może będą musieli zapłacić grzywnę za świadomą próbę handlu kradzionymi dziełami sztuki. Władze nie będą się bawiły w więzienie.

Lily westchnęła, kończąc czwartą grzanekę. Oczy same jej się zamykały.

- Wiesz - powiedział William, odbierając od niej pustą filiżankę - powinienem był wycofać się z tego zadania po naszej pierwszej wspólnej nocy i skupić się na tobie.
- Czemu tego nie zrobiłeś?
- Próbowałem, ale nie dość skutecznie - westchnął. - Myślałem, że zdobędę i ciebie, i książkę.

Lily przymknęła powieki.

- Cieszę się, że w końcu wybrałeś mnie.
- To nie był konkurs - powiedział, kładąc się na boku i bawiąc jej włosami. - Robbie popełnił błąd, przyjeżdżając do Włoch. Gdyby udał się do Ameryki i zadbał o dyskrecję, mógłby teraz być bogaty, a ja dalej tułałbym się po świecie, borykając się z poszukiwaniami. Włosi jednak poważnie traktują swoje dziedzictwo,

krzywo patrzą na kradzieże dzieł sztuki, a służby zajmujące się tego typu przestępczością mają świetnie wyszkolone. Dbają też...

Zauważył nagle, że oczy Lily są zamknięte, a oddech równy i spokojny. Spróbował ją obudzić, ale usłyszał jedynie „więcej grzanek”, po czym obróciła się na drugi bok.

Położył się więc przy niej, z twarzą w jej włosach, czując powolny rytm jej oddechu.

Zamknął ją w objęciach, kładąc dłoń na jej piersi. Tak leżeli wtedy, pod stołem, wtuleni w siebie, odczuwając ciepło, ale i strach przed tym, co mogłoby się zdarzyć. Teraz miał prawo zostawić dłoń na dłużej.

Przytulony do jej gładkich pleców, wyczuwał pyszną krągłość jej uda i tę soczystą pupę przyciskającą się do niego. Od czegoś takiego mężczyznę nachodzi ochota na pewne rzeczy, takie, które na pewno by ją zbudziły. A sen był jej teraz potrzebny, jemu zresztą też. Tak jednak zamierzał teraz sypiać każdej nocy do końca życia.

Następnego dnia William zaprowadził ubraną w sukienkę Franceski Lily do komendy głównej policji, by odzyskała swój dobytek. Robbie i Sebastian zostali tymczasowo aresztowani i czekali na wizytę przedstawiciela australijskiej ambasady. Księga była bezpiecznie zamknięta w muzeum archeologicznym w Neapolu.

Później, podczas lunchu w trattorii pod Panteonem, unikali tematu Robbiego i Sebastiana, omawiając menu i kwestię wylotu do Londynu. Lily nalegała na choć

jedną wyprawę na zakupy w towarzystwie Franceski. W końcu była w Rzymie!

- Widzę, że podróże z tobą będą odbywały się o wiele wolniej niż w pojedynkę - zauważył.

- Ale sam też już pochodziłem po sklepach. - Wyjął małą paczuszkę owiniętą złotą bibułą.

Gdy ją rozpakowała, znalazła w środku antyczną łyżkę inkrustowaną emalią, o pięknej złotej rączce.

- Och, Williamie - zachwyciła się, trzymając w dłoni ciężki, solidny przedmiot.

- To do twoich dżemów. Antyk z Rosji carskiej. Znalazłem w magazynach Leonelli.

- Jest cudna i mogę cię nią karmić!

- Tak, miałem nadzieję, że to powiesz. Kupiłem ją zaraz po naszym przyjeździe.

- Wyobrażałam sobie, że biegasz po ulicach w masce

i pelerynie, zwalczając przestępczość w świecie sztuki - śmiała się Lily. - A tymczasem ty wybierałeś łyżeczki do dżemu i uczyłeś się na pamięć wierszy! Miałam cię za zimnego i pozbawionego uczuć.

- I to z powodu mojej własnej głupoty - przyznał, ściskając jej dłoń.

Zapominając o stygnącej cukinii, Lily podniosła łyżkę do światła, przyglądając się ciepłemu błyskowi złota.

- Liluszka?

- Mm? - mruknęła, wpatrując się uważnie we wzór inkrustacji.

- Alessandro zaoferował mi pracę w swojej firmie w Rzymie. Od dawna namawia mnie, żebym przyjął tę posadę, a teraz, cóż...

Lily, zaskoczona, podniosła wzrok.

- Ale... Sydney?

Spojrzał jej w oczy, jak gdyby spodziewał się tej reakcji.

- To mnóstwo pieniędzy, ale nie przyjmę tej pracy, jeśli nie będziesz chciała.

- Jak to?

- Nie przyjmę pracy tutaj - wzruszył ramionami - chyba że będziesz przy mnie.

- Mamy mieszkać w Rzymie?

Miała absolutnie dość Włoch. Włoskie drogi, włoscy przestępcy, sami Włosi i ich bezczelne spojrzenia, włoskie kabiny prysznicowe, włoski bruk.

Skinął głową.

- Nie na zawsze, chyba że nam się spodoba. Z pomocą Franceski znaleźlibyśmy ładne mieszkanie.

Lily wyjrzała przez okno na ulice Rzymu: mieszanina elegancji i chaosu, która doprowadzała ją do szaleństwa. Tętniące życiem drogi, warkot skuterów, donice różowych azalii na murach, modnie ubrani ludzie spieszący po zaśmieconych chodnikach.

Rozważała jego propozycję. Byle tylko być z Williamem, a będzie szczęśliwa, może więc Rzym, wspólnymi siłami, był do zdobycia...

Nie spuszczał z niej oczu, gdy patrzyła w dal, rysując w myślach wizję przyszłości.

- Obiecujesz, że nie zdradzisz Francesce, że chodziłam w getrach rowerowych? - spytała, wracając na ziemię. - Słowo honoru.

Spojrzała na talerz pełny cukinii.

- A co z Ottem?



Wzruszył ramionami.

- Będiesz miała mnie do kochania.

Rzuciła mu takie spojrzenie, że wycofał się natychmiast.

- Żartuję, żartuję tylko, będziesz miała, co zechcesz. Możemy przywieźć go tutaj. Trzeba go będzie zaszczepić na wściekliznę, ale jest młody i silny, nic mu nie będzie.

Będą spacerować z nim wspólnie po ogrodach... Nie będzie się już mógł zachowywać jak nieokrzesany australijski prostak biorący przykład z tych łachudrów kelpie. Będzie musiał nosić nową, elegancką obrożę, może od Gucciego, sznycel zmieni się w *costolette*, i będzie kroczył dumnie u jej boku, warcząc na wyliniałe koty Rzymu.

- Och, och, sama nie wiem. Nie odzyskiwałbyś już skradzionych dzieł, prawda? Pistolety, te rzeczy...?

- Nie, od razu chcę z tym zerwać. Zajmowałbym się zarządzaniem identyfikacją i kolekcjami. Co wieczór wracałbym do domu, do przetworów, szczeniaczków i dzidziusiów. - Spojrzał ze smutkiem na swój makaron. - Będę musiał chodzić w garniturze i pod krawatem.

- Mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze może być bardzo seksowny.

Twarz mu pojaśniała. Oni dwoje, mieszkający w Rzymie razem: niesłychane, a jednak wydawało się coraz bardziej rzeczywiste, ledwie to wypowiedział.

- I wiesz, jako obywatel Unii Europejskiej mogę legalnie mieszkać i pracować we Włoszech. Ty jednak musiałabyś zostać moją żoną, żeby móc mieszkać w Rzymie na stałe.

Otworzyła usta ze zdumienia. Wziął ją za rękę, wyjął z niej łyżkę i pocałował koniuszki palców.

- A pomysł ten, nie będę ukrywał, bardzo mi się podoba.

- Moja łyżka - zażądała, wyciągając dłoń. - Nie możesz mi jej odebrać.

Roześmiał się i oddał jej prezent.

- Spędzimy trochę czasu razem w Sydney, wtedy zdecydujesz.

Lily przyjrzała się łyżce. Była już prawie pewna swojej odpowiedzi, ale nie zaszkodzi mu, jeśli poczeka -wcześniej to ona trzymana była w niepewności. Odłożyła łyżkę, w zamian zajmując się cukinią.

- Zjedz do końca i pójdziemy do domu poćwiczyć spędzanie sjesty. Mam całe mnóstwo planów na te popołudniowe przerwy.

Wytarła talerz do czysta kawałkiem chleba. Rzymianie tak robili, a kiedy wejdiesz między wrony...

- Mam dla ciebie jeszcze jeden wiersz - powiedział, ujmując jej dłoń, gdy wkraczali na zalaną słońcem ulicę. - Obawiam się jednak, że nie jest rosyjski. Rosyjska poezja zbyt wiele traci w tłumaczeniu. Ten jest angielski. Chcesz posłuchać?

- Widzę, że nie możesz się doczekać, żeby mi go wyrecytować - zauważyła, stając na palcach i całując go w szyję.

- Trochę mi zajęło, zanim nauczyłem się całego, więc nie mogę go zmarnować, deklamując zbyt szybko, muszą też zaistnieć odpowiednie okoliczności: ty i ja w ciepłym łóżku...

- Jaki ma tytuł?
  - *Lilia Miłości*. Autorem jest Dante Gabriel Rossetti.
  - Znalazłeś go w Trastevere?
  - Nie, szukałem go w dzień po tym, jak poznałem ciebie. Pamiętasz? Kupowaliśmy razem owoce i opowiedziałaś mi o swoim imieniu.
- Lily westchnęła i oparła głowę o jego pierś, uśmiechając się delikatnie. Dzień po tym, jak się spotkali. Ileż to czasu już minęło.

*Między dłońmi, między brwiami,  
Między usty Lilii Miłości  
Rodzi się duch, którego przyście  
Rozpala we krwi mojej ogień,  
By jarzył się we mnie.  
Duch, co oczy moje natchnie,  
Co śmieje się i szepcze mi do ucha,  
Co kolor na lico wywołuje.  
Mdleje życie me z pragnienia,  
By go usłyszeć  
W głosie, w sercu,  
W myśli Lilii Miłości.*

## **SPECJALNOŚĆ LILY - MARMOLADA O SMAKU POMARAŃCZY MALINOWEJ Z AMARETTO**

Składniki:

8 twardych pomarańczy malinowych 2 cytryny 1/2 litra wody

5 szklanek podgrzanego białego cukru

1/2 szklanki amaretto (słodko-gorzka włoska nalewka ziołowa)

Sposób wykonania:

Pomarańcze i cytryny pociąć na cienkie plasterki. Zebrać wyciekający sok.

Pokrojone owoce ułożyć w misce, zalać wodą i pozostawić na noc.

Przelać owoce z wodą do dużego rondla. Doprowadzić do wrzenia, gotując na małym ogniu.

Zmniejszyć ogień i dusić około 40 minut.

Dodać podgrzany cukier i mieszać, aż do całkowitego rozpuszczenia.

Zwiększyć temperaturę i gotować do zastygnięcia\*. Zdjąć z ognia. Dolać amaretto, wymieszać. Przełożyć marmoladę do umytych, nagrzaných słoików. Po wystygnięciu zawekować.

\* Aby określić moment zastygnięcia, należy przemieszać marmoladę drewnianą łyżką, po czym wyjąć na łyżce porcję przetworu i odczekać, aż wystygnie. Trzymać łyżkę poziomo. Jeśli marmolada uformuje się w sztywny płatek lub kroplę, moment zastygnięcia został osiągnięty.

## **PODZIĘKOWANIA**

Pragnę podziękować Bernadette Foley, Ali Lavau i całemu zespołowi Hachette Australia, centrum dla pisarzy *Queensland Writers Centre*, a także Kim Wilkins i Annette Fioretti. Chciałabym również wyrazić wdzięczność Narelle Johnson za nieocenione rady, grupie Grey Hävens za silne e-wsparcie oraz Aleksandrowi McNabbowi za zadanie domowe. Szczególne podziękowania kieruję do Nina - *un buon barista e consorte infinitamente paziente*.